FREDRIK BACKMAN

BRITT-MARIE TU BYŁA

Kolejna urzekająca historia autora bestsellerowych
Mężczyzna imieniem Ove i *Pozdrawiam i przepraszam*

Zabawna i pełna ciepła opowieść o kobiecie, która czeka całe życie, aż zacznie się jej własne.

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

FREDRIK BACKMAN

BRITT-MARIE TU BYŁA

Z języka szwedzkiego przełożyła
Magdalena Greczichen

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
BRITT-MARIE VAR HÄR

Copyright © Fredrik Backman 2014
Published by agreement with Salomonsson Agency
Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Aleksandra Mól, Aneta Iwan, Maria Zając

ISBN: 978-83-8110-395-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22

23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
Podziękowania od autora

Mamie, która zawsze pilnowała, żeby było jedzenie w moim brzuchu
i książki na mojej półce.

Kocha się piłkę nożną, bo jest instynktowna.
Jak się toczy po ziemi, to się w nią kopie.
Bo kocha się ją z takiego samego powodu,
z jakiego człowiek się zakochuje.
Bo nie wiadomo, jak się powstrzymać.

1

Widelce. Noże. Łyżki.

W tej kolejności.

Britt-Marie nie jest doprawdy kimś takim, kto osądza innych, bynajmniej, ale przecież żadna cywilizowana osoba nie wpadłaby na pomysł, żeby układać sztućce w szufladzie w inny sposób. Britt-Marie nie osądza innych, bynajmniej, ale przecież nie jesteśmy zwierzętami.

Jest poniedziałek w styczniu. Britt-Marie siedzi przy małym biurku w małym pokoju w urzędzie pracy. Naturalnie nie ma to nic wspólnego ze sztućcami, ale to oznaka wszystkiego, co jest nie tak. Sztućce powinny być ułożone tak jak zwykle, bo życie powinno się układać tak jak zwykle. Zwykłe życie dobrze się prezentuje, sprząta się kuchnię, dba o balkon i zajmuje dziećmi. Niewątpliwie to więcej pracy, niż się wydaje. Posiadanie balkonu.

W zwykłym życiu nie siedzi się doprawdy w urzędzie pracy.

Dziewczyna, która tu pracuje, ma krótko ścięte włosy, jak chłopak.

Nie ma w tym nic złego, bynajmniej. Britt-Marie nie ma uprzedzeń. To oczywiście bardzo nowoczesne. Dziewczyna wskazuje na kartkę i uśmiecha się, jakby jej się spieszyło.

– Proszę tylko wpisać swoje nazwisko, PESEL i adres zamieszkania!

Britt-Marie zostanie zarejestrowana. Jakby Britt-Marie była przestępcą. Jakby przyszła ukraść wolne miejsca pracy.

– Mleko i cukier? – pyta dziewczyna w następnej chwili, podając kawę w plastikowym kubku.

Britt-Marie nie osądza innych, bynajmniej, ale kto zachowuje się w ten sposób? W plastikowym kubku! Czyżby była wojna? Britt-Marie chce o to zapytać dziewczynę, ale ponieważ Kent ciągle zwraca jej uwagę, żeby była

„bardziej do ludzi”, uśmiecha się najbardziej dyplomatycznie, jak tylko potrafi, i czeka, aż zaproponuje się jej podstawkę.

Kent to mąż Britt-Marie. Jest przedsiębiorcą. Odnosi wielkie, wielkie sukcesy. Robi interesy z Niemcami i jest bardzo, bardzo towarzyski. Dziewczyna wyciąga dwa jednorazowe mleczka do kawy, których nie trzeba przechowywać w lodówce. Potem wyciąga plastikowy kubek z plastikowymi łyżeczkami. Britt-Marie nie wyglądałaby na bardziej przerażoną, gdyby zobaczyła teraz węża.

– Ani mleka, ani cukru? – pyta dziewczyna, nie okazując zrozumienia.

Britt-Marie kręci głową i przeciera dłonią biurko, jakby było pełne niewidzialnych okruszków. Wszędzie leżą jakieś kartki w strasznym nieładzie. Na sprzątanie to oczywiście ona nie ma czasu, musi się przecież zajmować karierą, dochodzi do wniosku Britt-Marie.

– Okej, wystarczy, jak pani tu wpisze swój adres zamieszkania! – Dziewczyna uśmiecha się do kartki.

Britt-Marie wbija wzrok w swoje kolana i strąca niewidzialne okruszki ze spódnicy. Tęskni za swoją szufladą na sztućce. Za zwykłym życiem. Tęskni za Kentem, bo to Kent zawsze wypełnia wszystkie dokumenty.

Dlatego kiedy dziewczyna znowu ma otworzyć usta, Britt-Marie przerywa jej, mówiąc:

– Czy mogłabym prosić o wskazanie miejsca, na które mogę odstawić filiżankę?

Wypowiada to pytanie dystyngowanym tonem, którego używa, kiedy musi wydobyć całą swoją dobroć, żeby nazwać to coś „filiżanką”, choć jest to tylko plastikowy kubeczek.

– Co? – wyrywa się dziewczynie po drugiej stronie biurka, jakby można było odstawiać kubki gdzie popadnie.

Britt-Marie uśmiecha się tak życzliwie, jak tylko potrafi.

– Zapomniała pani o podstawce. Nie chcę zostawić śladów na pani biurku, droga pani.

Dziewczyna po drugiej stronie biurka wydaje się nie rozumieć wagi podstawek. Albo porcelany. Albo, swoją drogą, luster, stwierdza Britt-Marie, wyciągając wnioski z doboru fryzury.

– To nie ma znaczenia, proszę ją po prostu odstawić – mówi beztrosko dziewczyna, wskazując na kawałek wolnego miejsca na biurku.

Jakby życie było takie proste. Jakby nie odgrywało żadnej roli, czy się używa podstawek albo czy się układa sztućce w odpowiedniej kolejności. Dziewczyna puka długopisem w kartkę, koło rubryczki na „Adres zamieszkania”. Britt-Marie wydycha powietrze w sposób niezwykle cierpliwy, nie jest to bynajmniej westchnienie.

– Nie stawiamy przecież kubków prosto na biurku? Zostawiają wtedy ślady, droga pani.

Dziewczyna obserwuje powierzchnię stołu, która wygląda tak, jakby małe dzieci starały się jeść prosto z niej ziemniaki. Widłami. W ciemności.

– To nie ma znaczenia, i tak jest już zniszczone i porysowane. – Uśmiecha się.

Britt-Marie wydaje wewnętrzne okrzyki.

– Naturalnie nie rozważyła pani, że to może być spowodowane nieużywaniem podstawek.

Mówi to z troską w głosie, ma się rozumieć. Absolutnie nie „pasywnie-agresywnie”, jak kiedyś powiedziały dzieci Kenta, gdy im się wydawało, że Britt-Marie tego nie słyszy. Britt-Marie nie jest bynajmniej pasywno-agresywna. Troszczy się. Po tym, jak usłyszała dzieci Kenta mówiące, że jest pasywno-agresywna, była szczególnie troskliwa przez kilka tygodni.

Dziewczyna z urzędu pracy wygląda na nieco spiętą. Masuje brwi.

– Cóż… Czyli ma pani na imię Britt, tak?

– Britt-Marie. Tylko moja siostra mówi do mnie Britt – poprawia ją Britt-Marie.

– Gdyby pani mogła tylko… wypełnić ten dokument. Bardzo proszę – mówi dziewczyna.

Britt-Marie spogląda na dokument, w którym musi zaznaczyć, gdzie mieszka i kim jest. Obecnie wymaga się absurdalnie dużo papierkowej roboty, żeby móc być człowiekiem, taki jest zdecydowany pogląd Britt-Marie. Niedorzecznie wiele biurokracji, żeby państwo pozwoliło być komuś jego częścią.

W końcu niechętnie wpisuje swoje nazwisko, swój PESEL i numer telefonu komórkowego. Zostawia niewypełnioną rubryczkę na dane adresowe.

– Jakie ma pani wykształcenie, Britt-Marie? – indaguje dziewczyna.

Britt-Marie mocno trzyma torebkę.

– Pragnę poinformować, że moje wykształcenie jest znakomite – informuje.

– Ale nie ma pani żadnego formalnego wykształcenia? – pyta urzędniczka.

Britt-Marie wypuszcza krótko powietrze nosem, jakby prychnęła, ale Britt-Marie nie należy do takich osób, które prychają.

– Pragnę panią poinformować, że rozwiązuję pokaźną ilość krzyżówek. Do tego naturalnie nie są zdolne osoby nieposiadające wykształcenia – informuje, czując się atakowana.

Bierze mały łyk kawy. W ogóle nie smakuje jak kawa Kenta. Kent potrafi robić bardzo dobrą kawę, wszyscy to mówią. Britt-Marie odpowiada za podstawki, a Kent odpowiada za kawę. Tak ułożyli swoje wspólne życie.

– Ach tak – mówi dziewczyna i uśmiecha się zachęcająco, zadając inne pytanie: – Jakie ma pani doświadczenie zawodowe?

– Ostatnio byłam zatrudniona jako kelnerka. Dostałam niezwykle pozytywne rekomendacje – informuje Britt-Marie.

Przez chwilę dziewczyna wygląda na pełną nadziei. Wkrótce to mija.

– Kiedy to było? – pyta.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym – odpowiada Britt-Marie.

– Aha – mówi dziewczyna, starając się uśmiechać, próbując nieudolnie ukryć prawdziwą reakcję. Potem zadaje kolejne pytanie: – I od tamtej pory pani nie pracowała?

– Pracowałam każdego dnia od tej pory, pomagałam mężowi w jego firmie – mówi obrażona Britt-Marie.

Dziewczyna znowu wygląda na pełną nadziei. Wydawałoby się, że powinna się już nauczyć.

– Jakie były pani obowiązki w tej firmie?

– Zajmowałam się dziećmi i dbałam o to, aby nasz dom dobrze się prezentował – odpowiada Britt-Marie.

Dziewczyna uśmiecha się, chcąc ukryć rozczarowanie, w taki sposób, jak to się robi, kiedy się nie rozumie różnicy między „mieszkaniem” a „domem”. Różnicę stanowi „troska”. Sprawia ona, że są podkładki, prawdziwe filiżanki i łóżka, które rano ścieli się tak sztywno, że Kent żartuje ze swoimi znajomymi, że kiedy się potknie o próg sypialni, już prędzej połamie kości, lądując na łóżku niż na podłodze. Britt-Marie nie

znosi, kiedy tak mówi. Cywilizowani ludzie podnoszą przecież nogi, przekraczając próg sypialni. Czy wymaga zbyt wiele? Żeby zachowywać się jak ludzie?

Kiedy Britt-Marie wyjeżdża z Kentem, posypuje materac proszkiem do pieczenia. Ścieli łóżko dopiero dwadzieścia minut później. Soda oczyszczona wchłania brud i wilgoć, co sprawia, że materac pozostaje świeży. Soda oczyszczona pomaga na prawie wszystko, jak wynika z doświadczenia Britt-Marie. Kent zwykle narzeka, że się spóźnią, ale ona splata przed sobą ręce w geście opanowania i mówi: „Muszę doprawdy pościelić łóżko przed wyjazdem. Co będzie, jeśli umrzemy?”.

To dlatego Britt-Marie nie znosi podróżować. Śmierć. Nawet soda oczyszczona nie poradzi sobie ze śmiercią. Kent mówi, że Britt-Marie przesadza. Britt-Marie wydaje wtedy wewnętrzne okrzyki. Ludzie umierają przecież co chwilę, podróżując, a co sobie inni pomyślą, kiedy właściciel będzie musiał wyłamać drzwi do mieszkania i znajdzie nieświeży materac? Że Kent i Britt-Marie żyli w brudzie?

Dziewczyna patrzy na zegarek.

– O… kej – mówi.

Jej ton wydaje się Britt-Marie nieco krytyczny.

– Nasze dzieci to bliźniaki, a my mamy balkon. Posiadanie balkonu to znacznie więcej pracy, niż mogłoby się wydawać – broni się Britt-Marie.

Dziewczyna kiwa ostrożnie głową.

– W jakim wieku są pani dzieci?

– To są dzieci Kenta. Mają trzydzieści lat.

Dziewczyna kiwa głową wolniej.

– Czyli wyprowadziły się z domu?

– Naturalnie.

Dziewczyna drapie się po fryzurze, jakby czegoś tam szukała.

– A pani ma sześćdziesiąt trzy lata?

– Tak – odpowiada Britt-Marie, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

Dziewczyna odchrząkuje, jakby to mimo wszystko miało jakieś znaczenie.

– Cóż, Britt-Marie, będę z panią szczera. Mamy kryzys finansowy. Jest mało wolnych miejsc pracy dla osób w pani… sytuacji.

Głos dziewczyny nie brzmi tak, jakby chciała zakończyć swoją kwestię słowem „sytuacja”. Britt-Marie bierze głęboki oddech i uśmiecha się

pobłażliwie.

– Kent mówi, że kryzys finansowy się skończył. Jest przedsiębiorcą, droga pani. Dlatego potrafi pojąć pewne rzeczy, które nieco przekraczają pani kompetencje.

Dziewczyna dłuższą chwilę mruga oczami. Patrzy na zegarek.

– No tak… W każdym razie jest pani zarejestrowana…

Dziewczyna wydaje się zestresowana. To sprawia, że Britt-Marie też się stresuje. Dlatego, żeby pokazać swoją dobrą wolę, nagle decyduje się powiedzieć dziewczynie komplement. Rozgląda się wokół, żeby znaleźć coś, co można pochwalić, aż w końcu mówi:

– Ma pani bardzo nowoczesną fryzurę.

Dziewczyna uśmiecha się tak bardzo uprzejmie, jak tylko potrafi. Koniuszki palców podążają instynktownie w kierunku głowy.

– Proszę? Aha… Dziękuję.

– To niezwykle odważne decydować się na krótkie włosy, kiedy ma się takie wysokie czoło – wyjaśnia Britt-Marie, życzliwie potakując.

Szczerze mówiąc, dziewczyna wygląda na nieco obrażoną ostatnią wypowiedzią Britt-Marie, choć to był komplement. Najwyraźniej tak to jest, kiedy człowiek stara się być towarzyski w kontaktach z młodzieżą. Dziewczyna podnosi się z krzesła.

– Dziękuję, że pani przyszła, Britt-Marie. Jest pani zarejestrowana w bazie danych. Skontaktujemy się z panią!

Wyciąga rękę, żeby się pożegnać. Britt-Marie się podnosi i podaje jej plastikowy kubek z kawą.

– Kiedy? – dopytuje się Britt-Marie.

– Cóż, trudno mi powiedzieć… – mówi dziewczyna.

Britt-Marie uśmiecha się dyplomatycznie. Zupełnie nie oskarżycielsko.

– Mam naturalnie czekać. Jakbym nie miała nic lepszego do roboty. Czy to ma pani na myśli?

Dziewczyna przełyka ślinę.

– To znaczy… mój kolega skontaktuje się z panią w sprawie szkolenia w związku z poszukiwaniem zatrudnienia i…

– Nie potrzebuję żadnego kursu. Potrzebuję pracy – wyjaśnia Britt-Marie.

– Tak, tak, ale nie wiadomo, kiedy coś się pojawi – tłumaczy dziewczyna.

Britt-Marie wyciąga z torebki notatnik.

– Powiedzmy jutro?

– Proszę? – mówi dziewczyna.

– Czy jutro może się coś pojawić? – pyta Britt-Marie.

Dziewczyna odchrząkuje.

– Cóż, chyba MOŻE, to znaczy…

Britt-Marie wyciąga z torebki ołówek, patrzy rozzłoszczona najpierw na ołówek, a potem na dziewczynę.

– Czy zechciałaby mi pani podać temperówkę? – pyta.

– Temperówkę? – powtarza dziewczyna, jakby pytanie dotyczyło tysiącletniego magicznego artefaktu.

– Muszę wpisać nasze spotkanie na listę – informuje Britt-Marie.

Są ludzie, którzy nie przywiązują wagi do notatników, ale Bóg świadkiem, że Britt-Marie nie należy do tego typu osób. Ma tyle list, że potrzebuje osobnej, na której zapisuje wszystkie pozostałe. Gdyby ich nie było, mogłoby się wydarzyć cokolwiek. Mogłaby umrzeć. Albo zapomnieć kupić sodę oczyszczoną.

Dziewczyna podaje długopis i mówi coś w stylu: „Ale jutro chyba nie mam czasu”, lecz Britt-Marie jest zbyt zajęta przypatrywaniem się długopisowi, żeby to usłyszeć.

– Nie piszemy chyba list długopisem? – wybucha w taki sposób, jak wtedy, kiedy tłumaczy się ludziom, którzy nie rozumieją, że przecież, na Boga, trzeba mieć możliwość wymazania jakiejś pozycji z listy.

Dziewczyna wygląda tak, jakby chciała, żeby Britt-Marie już sobie poszła.

– Nie mam nic innego. A jutro nie mam czasu, ale mój kolega skontaktuje si…

– Ha – przerywa Britt-Marie.

Britt-Marie często to mówi. „Ha”. Nie jak „ha, ha”, kiedy człowiek się śmieje, lecz jak kiedy mówi „aha”, gdy jest całkowicie rozczarowany. Jak kiedy zobaczy mokry ręcznik rzucony na podłodze w łazience. „Ha”. Britt-Marie ściąga zawsze usta po wypowiedzeniu tego słowa, żeby zaznaczyć, że „Ha” to doprawdy ostatnia rzecz, jaką zamierza wypowiedzieć w tej sprawie. Co rzadko się zdarza.

Dziewczyna się waha. Britt-Marie trzyma długopis tak, jakby się kleił. Wyszukuje w notatniku listę oznaczoną jako „Wtorek” i pisze na samej

górze, nad „Posprzątać” i „Zrobić zakupy”, „Wiadomość z urzędu pracy”.

Oddaje długopis. Dziewczyna uśmiecha się pełna nadziei.

– Miło było panią poznać! Skontaktujemy się! – mówi, jakby ani jedno, ani drugie nie było prawdą.

– Ha. – Britt-Marie kiwa głową.

Potem wychodzi z urzędu pracy. Dziewczynie wydaje się naturalnie, że to było ich ostatnie spotkanie, ponieważ nie rozumie powagi, z jaką Britt-Marie traktuje swoje listy. Najwyraźniej dziewczyna nigdy nie widziała balkonu Britt-Marie.

To wyjątkowo, wyjątkowo reprezentacyjny balkon.

Jest styczeń, w powietrzu czuć zimowy chłód, ale na ziemi nie ma śniegu, jest poniżej zera, choć nie ma na to dowodu. Najgorsza pora roku dla roślin na balkonie. Po wyjściu z urzędu pracy Britt-Marie idzie do sklepu spożywczego, nie tego co zwykle, i kupuje wszystko, co ma zapisane na liście. Nie lubi sama robić zakupów, bo nie lubi pchać wózka. Kent zawsze to robi, Britt-Marie idzie obok i trzyma za brzeg wózka. Nie dlatego, że lubi rządzić, ale dlatego, że lubi trzymać rzeczy, które on trzyma. Ma wtedy poczucie, że zmierzają w tym samym kierunku.

Punktualnie o szóstej je zimną kolację. Jest przyzwyczajona do czekania na Kenta całą noc, więc próbuje włożyć jego porcję do lodówki. Ale jedyna lodówka, jaka się tu znajduje, jest wypełniona małymi butelkami z alkoholem. Siada ciężko na nie swoim łóżku i pociera palec serdeczny – nawyk, który się powtarza, gdy jest zdenerwowana. Kilka dni temu siedziała na własnym łóżku i obracała obrączkę na palcu po wyjątkowo skrupulatnym wyczyszczeniu materaca proszkiem do pieczenia. Teraz pociera palcem białą plamę na skórze palca, gdzie nosiła obrączkę.

Budynek ma adres, ale bynajmniej nie jest to ani mieszkanie, ani dom. Na podłodze stoją dwie plastikowe skrzynki na rośliny balkonowe, ale pokój hotelowy nie ma balkonu. Britt-Marie nie ma nikogo, na kogo mogłaby czekać całą noc.

Jednak mimo wszystko to robi.

2

Urząd pracy jest otwarty od dziewiątej zero zero. Britt-Marie czeka do dziewiątej zero dwie, zanim wejdzie, bo doprawdy nie chciałaby, żeby ktoś sobie pomyślał, że się narzuca.

– Mieli się państwo dzisiaj skontaktować – informuje, nie narzucając się ani trochę, kiedy dziewczyna otwiera drzwi do swojego gabinetu.

Chłopięca fryzura dziewczyny wygląda dzisiaj inaczej. Bardziej w bok niż do góry. Nie wybrała jej z rozmysłem, jest raczej wynikiem tego, na którym boku zasnęła poprzedniego wieczora. Naturalnie jest to bardzo praktyczne, dziewczyna nie ma czasu na martwienie się, że fryzura przeszkodzi jej w robieniu kariery. Nie ma w tym bynajmniej nic złego. Britt-Marie nie osądza nikogo. Jednak sama ułożyła włosy w taki sposób, jak to się robi, kiedy ma to znaczenie.

– Co? – wybucha dziewczyna z twarzą pozbawioną pozytywnego wyrazu.

W jej biurze siedzą obcy ludzie. Z plastikowymi kubeczkami w rękach.

– Kim są ci ludzie? – dopytuje się Britt-Marie.

– Mam spotkanie – odpowiada dziewczyna.

– Ha, na pewno bardzo ważne – stwierdza Britt-Marie, poprawiając fałdę na spódnicy widoczną jedynie dla niej.

– To znaczy… – zaczyna dziewczyna.

Britt-Marie potakuje i stwierdza naprawdę niezwykle wyrozumiale i zupełnie nieoceniająco:

– Ja naturalnie nie jestem ważna.

Dziewczyna wierci się na krześle, jakby jej ubrania nagle zmieniły rozmiar.

– Tak, powiedziałam wczoraj, że się odezwę, jeśli coś się pojawi, ale nie mówiłam, że to będzie dzi…

Britt-Marie wyciąga z torebki notatnik i wskazuje pedagogicznie.

– Wpisałam to na listę.

Koniuszki palców dziewczyny kierują się w stronę głowy, jakby chciały z niej wyciągnąć malutkie, niewidzialne gwoździe.

– Powiedziałam, że to… *może*… być dzisiaj.

Britt-Marie uśmiecha się w sposób wyrażający wyłącznie dobre intencje.

– Nie wpisałabym tego na listę, gdyby pani tego nie powiedziała, droga pani.

Dziewczyna bierze głęboki oddech.

– Mam spotkanie. Musz…

– Może znalazłaby pani więcej czasu na szukanie wolnych miejsc pracy, gdyby nie poświęcała pani całych dni na siedzenie na spotkaniach? – proponuje życzliwie Britt-Marie.

Dziewczyna patrzy na zegarek.

– Przykro mi, ale naprawdę nie mogę pani pomóc…

Britt-Marie bierze całkowicie wyjątkowo cierpliwy oddech.

– Ale pani musi. To jest na liście. To pani niedopatrzenie, droga pani.

Oczy dziewczyny nieco się rozszerzają.

– Proszę?

Britt-Marie trzyma przed sobą torebkę obiema rękami, jakby to była kierownica hulajnogi.

– Zmusiła mnie pani do pisania długopisem. Wtedy nie da się niczego wymazać z listy.

Dziewczyna odchrząkuje i oddaje notes.

– Bardzo mi przykro, jeśli doszło do nieporozumienia, ale muszę wrócić na spotkanie.

Britt-Marie ściska mocniej torebkę.

– Ha. Czyli rozumiem, że pani uważa, że mam tu siedzieć i czekać, jakbym nie miała nic lepszego do roboty?

– Nie, to znaczy… – Dziewczyna stara się tłumaczyć, ale Britt-Marie zdążyła już usiąść na krześle w korytarzu.

Naturalnie najpierw oczyściła krzesło chusteczką. Tak robią cywilizowani ludzie.

Dziewczyna zamyka drzwi z zamkniętymi oczami, jednocześnie wzdychając, nie inaczej niż w sytuacji, kiedy się zdmuchuje świeczki z tortu, żarliwie sobie czegoś życząc. Britt-Marie zostaje sama na korytarzu. Zauważa na drzwiach dziewczyny, nieco pod klamką, dwie naklejki. Na

takiej wysokości, jakby przylepiły je dzieci. Są na nich futbolówki. Przypomina jej to Kenta, bo Kent kocha piłkę nożną. Kocha piłkę jak nic innego w życiu. Kocha piłkę bardziej niż opowiadanie o cenach przedmiotów, których jest właścicielem, a Bóg świadkiem, że Kent naprawdę to kocha.

Kiedy odbywają się duże imprezy sportowe, dodatek z krzyżówkami znika z porannej gazety Kenta i Britt-Marie, a zastępuje go specjalne wydanie o rozgrywkach piłkarskich, i wtedy nie da się wydobyć żadnego logicznego słowa z ust Kenta. Jak Britt-Marie pyta, co chce na kolację, mamrocze, nie spuszczając oczu z piłki nożnej: „Wszystko jedno”.

Britt-Marie nigdy nie wybaczyła piłce nożnej. Ani tego, że odbiera jej Kenta, ani tego, że pozbawia ją dodatku z krzyżówkami.

Pociera białą plamę na serdecznym palcu. Pamięta ostatni raz, kiedy dodatek z krzyżówkami został zastąpiony specjalnym wydaniem o mistrzostwach, bo przeczytała resztę gazety cztery razy, mając nadzieję, że może znajdzie jakąś ukrytą krzyżóweczkę, którą przegapiła. Niczego takiego nie znalazła, ale była wzmianka o kobiecie w wieku Britt-Marie, która zmarła. Britt-Marie nie potrafiła tego zapomnieć. Ponoć kobieta leżała martwa wiele tygodni, zanim ją znaleziono, po tym, jak sąsiedzi zaczęli narzekać na przykry zapach dochodzący z jej mieszkania. Britt-Marie nie może zapomnieć o tej wzmiance, bo nie może przestać myśleć o tym, jakie by to było nie do zniesienia, gdyby sąsiedzi narzekali na przykry zapach. Pisali, że umarła „naturalną” śmiercią. Pewien sąsiad relacjonował, że „obiad kobiety nadal stał na stole, kiedy administrator wszedł do mieszkania”. Britt-Marie zapytała Kenta, co według niego kobieta zjadła tego dnia; była zdania, że to doprawdy nie do zniesienia umrzeć w samym środku obiadu, jakby jedzenie było niedobre. Kent wymamrotał pod nosem, że to przecież nie ma znaczenia, i pogłośnił mecz. Britt-Marie wydała wtedy wewnętrzne okrzyki.

Ale to ma znaczenie. Obiady mają przecież ogromne znaczenie.

Mija pół godziny, zanim drzwi do gabinetu dziewczyny się otwierają. Wychodzą jacyś ludzie. Dziewczyna żegna się i uśmiecha entuzjastycznie, potem patrzy na Britt-Marie i uśmiecha się nieco mniej entuzjastycznie.

– O, a pani tu dalej. Cóż, Britt-Marie, bardzo mi przykro, ale nie mam czasu na…

Britt-Marie podnosi się i strąca niewidzialne okruszki ze spódnicy.

– Rozumiem. Musi się pani zajmować karierą, a dla mnie nie ma już naturalnie czasu.

Britt-Marie wymawia słowo „kariera” bardzo życzliwie. Bynajmniej nie krytycznie. Wydaje się, że dziewczyna mimo wszystko przyjmuje to jako nieco krytyczne, bo wygląda jak sąsiedzi Britt-Marie, kiedy Britt-Marie starała się być życzliwa. Raz jedna sąsiadka nazwała ją „zrzędliwą jędzą”, kiedy Britt-Marie, kierowana troską, zadzwoniła do drzwi sąsiadki i mając uzasadniony powód, poinformowała o przepisach we wspólnej pralni. Po raz czwarty. Britt-Marie bardzo źle to przyjęła. Nie z powodu „jędzy”, bo to w końcu może przeboleć, ale „zrzędzenia” nie mogła zaakceptować. Britt-Marie jest życzliwa, a to jest różnica. Tłumaczyła to sąsiadce za każdym razem, kiedy się później spotykały, do momentu, kiedy sąsiadka wrzasnęła: „Do cholery, Britt-Marie, przestań to ciągle powtarzać!”. Britt-Marie obraziła się wtedy na całego, bo nie jest bynajmniej kimś, kto ciągle coś powtarza. „Jestem kimś takim, Kencie? Uważasz, że jestem kimś takim, kto ciągle coś powtarza? Tak uważasz? Powtarzam się?”, zapytała Kenta tego wieczoru. „Niiie, nie, nie, do cholery”, wymamrotał Kent. „No właśnie, właśnie to powiedziałam. Ja się bynajmniej nie powtarzam!”, stwierdziła Britt-Marie, potakując głową. Potem nie spała całą noc poruszona myślą, że po domu chodzą ludzie, którzy całkowicie bez uzasadnienia twierdzą, że Britt-Marie należy do osób, które się powtarzają.

– Przykro mi, ale… – mówi dziewczyna niecierpliwie, najwyraźniej zamierzając odprawić Britt-Marie z kwitkiem.

– Bawi panią piłka nożna, jakże to miło – przerywa Britt-Marie, wskazując głową naklejki na drzwiach.

Twarz dziewczyny się rozpromienia.

– Tak. Panią też?

– Doprawdy nie – wyjaśnia Britt-Marie.

– Aha… – mówi dziewczyna.

– Ha – mówi Britt-Marie.

Dziewczyna spogląda na swój zegarek, a potem na zegar ścienny. Wyraźnie widać, że chce odprawić Britt-Marie, więc Britt-Marie postanawia powiedzieć coś bardziej życzliwego.

– Ma pani dzisiaj inną fryzurę – zauważa.

– Co takiego? – pyta dziewczyna.

Britt-Marie uśmiecha się życzliwie.

– Jest dzisiaj inna. Naturalnie to bardzo nowoczesne. Nigdy nie musieć się decydować.

Potem od razu dodaje:

– Nie ma w tym bynajmniej nic złego, naturalnie.

Britt-Marie nie ocenia innych. Dziewczyna odchrząkuje.

– Okej. Dziękuję, ale teraz musz…

– Wygląda praktycznie, fryzura – przytakuje z uznaniem Britt-Marie.

Właściwie jest przede wszystkim krótka i stercząca, jakby ktoś wylał sok pomarańczowy na puszysty dywan. Kentowi ciągle zdarzało się wylewać wódkę z sokiem pomarańczowym na dywan, kiedy oglądał swoje mecze, do momentu, kiedy Britt-Marie miała już tego dosyć i przeniosła dywan do pokoju gościnnego. To było trzynaście lat temu, ale nadal o tym myśli. Dywany i wspomnienia Britt-Marie mają z sobą wiele wspólnego, trudno je wyczyścić.

Jednak fryzura może naturalnie wyglądać dowolnie. Dzisiaj wygląda trochę tak, jak kiedy się uprawia koper w doniczce na balkonie. Nie ma w tym nic złego, bynajmniej, Britt-Marie nie ma absolutnie żadnych uprzedzeń, jeśli chodzi o koper.

Dziewczyna odchrząkuje. Fryzura zachowuje się biernie.

– Nie mam niestety czasu.

– A kiedy pani ma? – dopytuje się Britt-Marie.

Dziewczyna oddycha, jakby była otyłym mężczyzną, a nie szczupłą dziewczyną.

– Co ma pani na myśli?

Britt-Marie wyjmuje notatnik i przegląda metodycznie listę.

– Mam czas o trzeciej.

– Dzisiaj mam spotkania cały czas, nic się nie da zro… – stara się wytłumaczyć dziewczyna.

– Mogę też o czwartej lub o piątej – proponuje dyplomatycznie Britt-Marie.

– Zamykamy dzisiaj o piątej – mówi dziewczyna.

– W takim razie niech będzie piąta – zgadza się Britt-Marie sama z sobą i przygotowuje się do pisania świeżo zaostrzonym ołówkiem, który pojawił się nagle między jej palcem wskazującym a kciukiem.

– Ale to niemożliwe. Przecież już mówiłam! – protestuje dziewczyna.

– Czyli jest pani zajęta o piątej? – pyta zakłopotana Britt-Marie.

– To znaczy… wtedy zamyka… – zaczyna dziewczyna.

– Doprawdy nie możemy spotkać się później niż o piątej – wyjaśnia Britt-Marie.

– Proszę? – mówi dziewczyna.

Britt-Marie uśmiecha się niezwykle, niezwykle cierpliwie.

– Nie chciałabym sprawiać problemu. Bynajmniej. Przecież nie żyjemy w czasach wojny, prawda, droga pani? Cywilizowani ludzie jedzą przecież kolację o szóstej, tak więc piąta to zdecydowanie najpóźniejsza pora na spotkanie, czyż nie?

– Proszę?

– Czyli proponuje pani, abyśmy odbyły spotkanie podczas kolacji?

– Nie… to znaczy… Co takiego?

Britt-Marie potakuje głową, jakby robiła to z wielkim wysiłkiem.

– Ha. W takim razie proszę się nie spóźnić. Bo ziemniaki wystygną.

Potem zapisuje na liście: „Kolacja godz. 18.00”.

Dziewczyna woła coś do Britt-Marie, ale Britt-Marie już sobie poszła, ponieważ doprawdy nie zamierza powtarzać się cały dzień.

Jest dziewiąta trzydzieści pięć. Punktualnie o jedenastej słychać pukanie do drzwi. Britt-Marie stoi za nimi i ma zatroskaną minę.

– Cierpi pani na jakieś alergie pokarmowe? – pyta.

– Proszę? – mówi dziewczyna.

– Czy pani czegoś nie jada? – wyjaśnia Britt-Marie z tego typu stoickim spokojem, w jaki trzeba się uzbroić, jeśli chce się konwersować z kimś, kto na każde rozsądne pytanie odpowiada „Proszę?”.

– Jestem… wegetarianką – wydusza z siebie dziewczyna.

Britt-Marie wyciąga notatnik.

– Ha.

Dziewczyna oddycha przez nos.

– Ale… starałam się pani powiedzieć, że nie mogę się spotkać dzisiaj wieczo…

– Jada pani ryby? – przerywa Britt-Marie.

– Tak… tak, jadam ryby, ale jak mówi…

– Ryby nie są potrawą wegeteriańską, to mięso. Mięso rybie – wyjaśnia Britt-Marie.

Dziewczyna kładzie koniuszki palców na powieki w taki sposób, jak ktoś przyzwyczajony do prostych wyjaśnień trudnych spraw, bo trudne odpowiedzi sprawiają, że ludzie uważają, że powinno się upraszczać.

– Nie jadam czerwonego mięsa. Ale łatwiej ludziom zrozumieć, kiedy mówię, że jestem wegetarianką.

Britt-Marie chwilę nad tym rozmyśla.

– Jada pani łososia? – pyta po chwili i dodaje życzliwie: – Łosoś to ryba, droga pani.

– Tak. Jadam łososia – przyznaje dziewczyna.

Britt-Marie strąca niewidzialne okruszki ze spódnicy. Poprawia nieistniejącą fałdę.

– Łosoś to czerwone mięso.

Być może dziewczyna chce coś odpowiedzieć, ale Britt-Marie już sobie poszła.

Britt-Marie przyrządza wyśmienitego łososia, bo łosoś to jedyna ryba, jaką lubi Kent. Każdego popołudnia o piątej dzwoni do niego i pyta, czy zdąży na kolację w domu o szóstej. Kent prawie zawsze mówi „nie”, bo ma spotkanie z Niemcami, ale niezależnie od tego, jak późno wraca do domu, zawsze czeka na niego na stole ciepła kolacja.

„Ha. Nie smakuje ci?”, mawia zwykle Britt-Marie, bynajmniej nie oskarżycielsko, gdy Kent zdąży już przełknąć kilka kęsów. „Ależ skąd! Jest przepyszne! Przepyszne!”, mamrocze Kent, nie odrywając wzroku od działu sportowego w porannej gazecie. Czyta ją wieczorem. Britt-Marie czasami wydaje z tego powodu wewnętrzne okrzyki.

„Jeśli ci smakowało, byłoby miło, gdybyś mi o tym powiedział”, mawia zwykle Britt-Marie, zbierając ręką niewidoczne okruszki z obrusa. „Na Boga, Britt-Marie, przecież mówiłem, że to przepyszne”, broni się zwykle Kent, nie rozumiejąc, w czym rzecz, i przy okazji dłubiąc coś w komórce. Britt-Marie zazwyczaj wtedy wstaje i wyrzuca niewidzialne okruszki do zlewu. Potem opróżnia zmywarkę i sortuje sztućce.

Kent kładzie zwykle swój talerz koło zlewu, sprawdza wynik meczu w telegazecie i idzie się położyć. Britt-Marie podnosi jego koszulę z podłogi w sypialni i wkłada ją do pralki. Potem pierze, sprząta i przeorganizowuje jego przyrządy do golenia w łazience. Kent zwykle twierdzi, że „schowała” jego przyrządy do golenia, kiedy rano krzyczy

„Briiiit-Mariiie”, bo nie może ich znaleźć, ale ona ich wcale nie chowa. Ona przeorganizowuje. To jest różnica. Czasami przeorganizowuje, bo jest taka potrzeba, a czasami dlatego, że chce usłyszeć, jak Kent woła ją po imieniu.

Potem nastaje kolejny dzień, Kent wraca późno do domu, je kolację, sprawdza wynik meczu w telegazecie i idzie się położyć. Britt-Marie pierze jego koszulę. Chciałaby, żeby choć raz sam włożył ją do kosza na brudy. Chciałaby, żeby choć raz powiedział, że mu smakowało, bez proszenia go o to. Bo kolacje muszą mieć sens.

„Było pyszne”. To zdanie z sensem.

3

Jest szesnasta pięćdziesiąt pięć. Britt-Marie stoi sama na ulicy pod urzędem pracy, ponieważ niegrzecznie byłoby przyjść za wcześnie na spotkanie. Wiatr smaga ją delikatnie po włosach. Tęskni za swoim balkonem do tego stopnia, że musi zmrużyć oczy tak mocno, aż bolą ją skronie. Zazwyczaj zajmuje się balkonem nocami, kiedy czeka na Kenta. Zawsze mówi, żeby na niego nie czekała. Mimo wszystko zawsze to robi. Zwykle widzi jego samochód z balkonu, a kiedy on przekracza próg domu, czeka na niego ciepła kolacja na stole. Kiedy on zasypia w ich łóżku, podnosi koszulę z podłogi w sypialni i wkłada ją do pralki. Jeśli kołnierzyk jest brudny, czyści go octem i sodą oczyszczoną. Wstaje wcześnie następnego ranka, układa włosy i sprząta kuchnię, posypuje sodą oczyszczoną skrzynki na balkonie i myje wszystkie okna faxinem. To ulubiona marka Britt-Marie do mycia okien. Faxin jest nawet lepszy niż soda oczyszczona.

Są ludzie, którzy twierdzą, że nie trzeba codziennie myć okien, ale kiedy Britt-Marie umyje wszystkie okna, Kent się zwykle budzi, a kiedy Kent się budzi, dzień się zaczyna. Britt-Marie doprawdy nie zamierza zaczynać dnia, mając brudne okna.

Okna w hotelu, w którym mieszka Britt-Marie, są tak czyste, że była zmuszona zaciągnąć firanki, kiedy szła do sklepu, żeby zminimalizować ryzyko, że ptaki się o nie obiją. To byłoby okropne, bo trzeba by umyć okna jeszcze raz, a jej ostatnia butelka faxinu właśnie się skończyła. Czuje się nieswojo, kiedy nie ma przynajmniej jednej butelki w zapasie. Wtedy może się coś wydarzyć.

Wpisuje faxin na listę. Rozważała nawet, czy nie postawić na końcu wykrzyknika, żeby podkreślić powagę sytuacji. Powstrzymała się jednak. Potem poszła do sklepu, niebędącego tym, do którego zwykle chodzi, i gdzie wszystko stało w innym miejscu niż zwykle. Zapytała młodego mężczyznę z obsługi o faxin. Nie znał tego produktu. A kiedy Britt-Marie

wydała już wewnętrzne okrzyki i wyjaśniła uprzejmie, że to jej ulubiona marka, sprzedawca wzruszył ramionami i zaproponował zupełnie inny produkt. Wtedy bardzo już wzburzona Britt-Marie wyciągnęła swój notatnik i dopisała w nim wykrzyknik.

Wózek tak się zacinał, że aż wjechała sobie na nogę. Zamknęła oczy, ugryzła się w policzki i zatęskniła za Kentem. Znalazła łososia w promocyjnej cenie, a potem dorzuciła do wózka ziemniaki i warzywa. Z niewielkiej półki z napisem „Materiały biurowe” wzięła ołówek, dwie temperówki i dołożyła do wózka.

– Ma pani kartę członkowską? – zapytał młody mężczyzna, kiedy podeszła do kasy.

– Kartę członkowską czego? – zastanawiała się podejrzliwie Britt-Marie.

– Łosoś jest w cenie promocyjnej jedynie dla osób posiadających kartę członkowską – powiedział.

Britt-Marie uśmiechnęła się cierpliwie.

– Drogi panie, to nie jest mój sklep spożywczy. W moim sklepie spożywczym mój mąż posiada kartę członkowską.

Młody mężczyzna wyciągnął broszurkę.

– Może pani dostać kartę członkowską, to potrwa tylko chwilę. Wystarczy wpisać nazwisko, adres zamieszkania i…

– Wykluczone! – powiedziała Britt-Marie.

Naturalnie powiedziała to z troską. Bynajmniej nie złośliwie. Ale przecież muszą być jakieś granice? Czy trzeba się rejestrować z nazwiskiem i adresem jak jakiś terrorysta, tylko dlatego, że chce się kupić łososia? Britt-Marie nie zamierza doprawdy wysadzić kogoś w powietrze za pomocą łososia. Zamierza przyrządzić go w piecu i podać z ziemniakami i fasolką szparagową. Jak cywilizowany człowiek.

– Przykro mi, ale musi pani zapłacić pełną cenę za łososia – powiedział młody mężczyzna.

– Ha – powiedziała Britt-Marie.

Młody mężczyzna wyglądał niepewnie.

– Jeśli nie ma pani przy sobie całej kwoty, to mo…

Britt-Marie otworzyła szeroko oczy. Chciała podnieść głos z rozpaczy, ale ten uwiązł jej w gardle.

– Moja sytuacja finansowa jest wyśmienita, drogi panie. Naprawdę wyśmienita – próbowała krzyczeć, a potem uderzyć portfelem o taśmę, ale

wyszły jej zaledwie szept i pacnięcie.

Młody mężczyzna wzruszył ramionami i przyjął płatność. Britt-Marie chciała mu opowiedzieć, że jej mąż jest przedsiębiorcą i że doprawdy stać ją na łososia w pełnej cenie. Jednak on zaczął już obsługiwać kolejnego klienta.

Jakby Britt-Marie nie miała znaczenia.

Dokładnie o siedemnastej zero zero Britt-Marie puka do drzwi gabinetu dziewczyny. Dziewczyna otwiera. Ma na sobie kurtkę.

– Ha. Pani naturalnie już wychodziła – zauważa Britt-Marie.

Dziewczyna wygląda, jakby ją o coś oskarżano.

– Cóż… to znaczy, właśnie zamykamy… jak ostatnio powiedziałam, mu…

– A kiedy pani wróci? – pyta Britt-Marie.

– Co? – mówi dziewczyna.

– Muszę doprawdy wiedzieć, kiedy mam nastawić ziemniaki – wyjaśnia Britt-Marie.

– Ziemniaki? – mówi dziewczyna.

– Ziemniaki to potrawa wegetariańska – wybucha Britt-Marie, jakby teraz ona czuła, że się ją o coś oskarża.

Dziewczyna pociera powieki knykciami.

– Tak, tak, okej. Przepraszam, Britt-Marie, ale starałam się pani powiedzieć, że nie…

– To dla pani – mówi Britt-Marie, podając ołówek.

Kiedy zmieszana dziewczyna go przyjmuje, Britt-Marie wyciąga temperówki: niebieską i różową. Patrzy na nie, kiwając głową po kolei, a potem patrzy w sposób całkowicie pozbawiony przesądów na fryzurę dziewczyny.

– Cóż, ciężko stwierdzić, jaką pani właściwie obecnie preferuje. Dlatego kupiłam po jednej z każdego koloru.

Dziewczyna nie wygląda na całkowicie pewną, o co Britt-Marie chodzi.

– Dzię… kuję. Chyba.

– Proszę mi wskazać drogę do kuchni, jeśli nie jest to nadmierny problem, w przeciwnym razie nie zdążę ugotować na czas ziemniaków – wyjaśnia Britt-Marie, mając same dobre intencje.

Dziewczyna wygląda przez chwilę, jakby chciała krzyknąć „Do kuchni?!”, ale w ostatniej chwili przełyka ślinę i dochodzi do wniosku, że wszelkie próby protestowania jedynie wydłużą sam proces i sprawią, że będzie jeszcze trudniejszy. Dlatego bierze tak głęboki oddech, że aż guziki w żakiecie się luzują, i się poddaje.

– No dobra… do cholery! Niech będzie! Kuchnia dla personelu znajduje się tam! – wzdycha, odbierając reklamówkę od Britt-Marie.

Britt-Marie idzie za nią i wygląda, jakby chciała odwzajemnić tę uprzejmość jakimś komplementem.

– Niezwykle stylowy płaszcz – mówi w końcu.

Ręka dziewczyny opada z zaskoczenia na dzianinę płaszcza.

– Dziękuję! – Uśmiecha się szczerze.

Britt-Marie kiwa głową.

– To odważne z pani strony ubierać się w czerwienie o tej porze roku.

Dziewczyna oddycha przez nos. Britt-Marie usuwa niewidzialne okruszki ze spódnicy.

– Gdzie znajdują się przybory kuchenne? – pyta, kiedy docierają do kuchni.

Dziewczyna otwiera z coraz bardziej ograniczoną cierpliwością jedną z szuflad. W jednej połowie leży stos przyrządów kuchennych. W drugiej połowie jest plastikowy wkład na sztućce. Bez przegródek. Widelce, noże, łyżki. Wszystko razem.

Poirytowana mina dziewczyny zmienia się, i teraz wyraża prawdziwy niepokój.

– Przepraszam, dobrze się pani czuje? – pyta Britt-Marie.

Britt-Marie już sobie poszła, usiadła na krześle i wygląda, jakby miała zemdleć.

– Barbarzyńcy – szepce i przygryza policzki.

Dziewczyna opada na krzesło po drugiej stronie kuchni. Wygląda na bezsilną. Jej oczy szukają lewej ręki Britt-Marie. Koniuszki palców pocierają kłopotliwą bladą plamę na skórze, jak gdyby była blizną po amputowanej części ciała. Kiedy Britt-Marie zauważa wzrok dziewczyny, ukrywa rękę pod torebką, jakby ktoś podglądał ją pod prysznicem.

Dziewczyna podnosi ze zdziwienia brwi.

– Mogę zadać pani pytanie? Przepraszam… ale co pani tu właściwie robi?

– Szukam pracy – odpowiada Britt-Marie, szukając w torebce chusteczki, którą mogłaby wyczyścić stół.

Dziewczyna kiwa się nad stołem z nieobecną miną, nieudolnie próbując wyglądać na zrelaksowaną.

– Britt-Marie, z całym szacunkiem, nie pracowała pani od czterdziestu lat. Dlaczego teraz to takie ważne?

– Pracowałam czterdzieści lat. Zajmowałam się domem. Dlatego to jest teraz ważne – odpowiada Britt-Marie, usuwając niewidzialne okruszki ze stołu.

Kiedy dziewczyna nie odpowiada od razu, dodaje:

– Czytałam artykuł o kobiecie, która leżała martwa wiele tygodni, droga pani. Mówili, że umarła „naturalną" śmiercią. Jej obiad nadal stał na stole. To nie jest bynajmniej naturalne. Nikt nie wiedział, że umarła, dopóki sąsiadom nie zaczął przeszkadzać przykry zapach.

Dziewczyna drapie się niepewnie po fryzurze.

– Czyli szuka pani pracy, bo… – próbuje ostrożnie.

Britt-Marie wzdycha niezwykle cierpliwie. Nie jest to bynajmniej westchnienie wynikające ze zniecierpliwienia.

– Nie miała dzieci, męża ani pracy. Nikt nie wiedział, że była. Jeśli ktoś chodzi do pracy, to da się zauważyć, że go nie ma.

Dziewczyna, która została w pracy długo po tym, jak jej dzień roboczy się skończył, przypatruje się kobiecie, która jest tego powodem. Britt-Marie siedzi z wyprostowanymi plecami, w takiej pozycji, w jakiej zwykle siedziała na krześle na balkonie, czekając na Kenta. Nigdy nie szła się położyć, kiedy Kenta nie było w domu, bo nie chciała zasnąć, jak nikt nie wiedział, że jest.

Przygryza policzki. Pociera białą plamę.

– Ha. Uważa pani z pewnością, że to niedorzeczne. Doprawdy jestem świadoma, że konwersowanie nie jest moją mocną stroną. Mój mąż mawia, że jestem pozbawiona społecznych kompetencji.

Ostatnie słowa są wyszeptane. Dziewczyna przełyka ślinę, kiwa głową, wskazując na obrączkę, której już nie ma na palcu Britt-Marie.

– Co się stało z pani mężem?

– Miał zawał.

Zawstydzone powieki dziewczyny opadają i otwierają się z wyrazem współczucia.

– Przykro mi. Nie wiedziałam, że umarł.

– Nie umarł – szepce Britt-Marie.

– Aha… Wydawało mi się, że… – zaczyna dziewczyna.

Britt-Marie przerywa jej, podnosi się, żeby posortować sztućce, jakby te popełniły przestępstwo.

– Nie używam perfum, dlatego zawsze prosiłam, żeby wkładał koszulę do pralki zaraz po przyjściu do domu. Nigdy tego nie robił. Potem narzekał, że pralka chodzi w nocy.

Nagle milknie, żeby zwrócić uwagę kuchence, że ma przyciski w złej kolejności. Kuchenka wygląda, jakby się wstydziła. Britt-Marie znowu kiwa głową.

– To ona zadzwoniła do mnie ze szpitala, kiedy miał zawał.

Dziewczyna podnosi się, żeby pomóc. Siada czujnie, kiedy Britt-Marie wyciąga z szuflady nóż do filetowania.

– Kiedy dzieci Kenta były małe i mieszkały u nas co drugi tydzień, czytałam im zwykle bajki. Wybierałam *Pana krawca*. To bajka, droga pani. Dzieci prosiły, żebym wymyślała bajki, ale ja doprawdy nie rozumiem, jaki w tym cel, skoro są gotowe bajki napisane przez profesjonalistów. Kent mawiał, że to dlatego, że nie mam wyobraźni, ale ja mam doprawdy znakomitą wyobraźnię!

Dziewczyna nie odpowiada. Britt-Marie rozgrzewa piec. Wkłada łososia do naczynia żaroodpornego. Stoi.

– Potrzeba doprawdy znakomitej wyobraźni, żeby udawać, że się nie wie, co się dzieje, kiedy się pierze jego koszule, samej nie używając perfum – szepce.

Dziewczyna podnosi się znowu. Kładzie niezdarnie rękę na ramieniu Britt-Marie.

– Przepraszam, ja…

Milknie, choć nikt jej nie przerwał. Britt-Marie splata ręce przed sobą i zagląda do pieca.

– Szukam pracy, bo uważam, że nie wypada niepokoić sąsiadów przykrym zapachem. Chcę, żeby ktoś wiedział, że tu jestem.

Nie ma na to żadnej odpowiedzi.

Kiedy łosoś jest gotowy, siadają przy stole i jedzą go, nie patrząc na siebie.

– Jest bardzo ładna. Młoda. Nie obwiniam go, bynajmniej – mówi w końcu Britt-Marie.

– Na pewno niezła z niej *bitch*! – wyrywa się dziewczynie w nagłym ataku chęci wsparcia.

– Co to znaczy? – pyta Britt-Marie, wyglądając na obrażoną.

Dziewczyna odchrząkuje.

– To znaczy… To coś złego.

Britt-Marie spuszcza wzrok na talerz.

– Ha. To miło z pani strony.

Wygląda, jakby chciała się jakoś odwzajemnić, więc mówi z pewnym wysiłkiem:

– Ma pani… Chciałam powiedzieć, że ma pani dzisiaj ładnie ułożone włosy.

Dziewczyna się uśmiecha.

– Dziękuję!

Britt-Marie potakuje.

– Nie odsłania pani dzisiaj czoła tak jak wczoraj.

Dziewczyna drapie się pod grzywką. Britt-Marie patrzy na swój talerz i próbuje się powstrzymać, żeby nie podejść do lady i nie nałożyć porcji Kentowi. Dziewczyna coś mówi. Britt-Marie podnosi wzrok i mamrocze:

– Proszę?

– To było pyszne – mówi dziewczyna.

Pomimo że Britt-Marie nie zadała jej żadnego pytania.

4

A więc tak to wygląda, kiedy Britt-Marie dostaje pracę. Praca jest akurat w Borg, więc dwa dni po tym, jak dziewczyna z urzędu pracy zostaje zaproszona na łososia, Britt-Marie udaje się właśnie tam swoim samochodem. To dlatego musimy teraz porozmawiać o Borg.

Borg to miasteczko przy drodze. Właściwie to najmilsze słowa, jakie można powiedzieć o Borg. Nie jest to miejsce, które można opisać jako jedno na milion, raczej jako jedno z miliona. Ma zamknięte boisko do piłki nożnej, zamkniętą szkołę, zamkniętą aptekę, zamknięty sklep monopolowy, zamkniętą przychodnię, zamknięty sklep spożywczy, zamknięte centrum handlowe i drogę, która prowadzi stamtąd w dwóch kierunkach.

Jest wprawdzie Ośrodek Sportu i Rekreacji, który nie został zamknięty, ale wyłącznie dlatego, że nikt nie zdążył jeszcze tego zrobić. Zamykanie całego miasteczka, co zrozumiałe, zabiera nieco czasu, więc ośrodek musi poczekać na swoją kolej. Pozostałe dwie rzeczy w Borg, które najwyraźniej nadal działają, to piłka nożna i pizzeria, ponieważ one jako ostatnie wydają się opuszczać ludzi.

Pierwszy kontakt Britt-Marie z pizzerią i centrum rekreacyjnym wygląda tak, że pewnego dnia w styczniu zatrzymuje się swoim białym samochodem na żwirowanym parkingu między nimi. Jej pierwszy kontakt z piłką nożną wygląda tak, że dostaje nią bardzo mocno w głowę.

Dzieje się to zaraz po tym, jak jej samochód wybucha. Chyba można podsumować to wszystko tak, że pierwsze wrażenia Borg i Britt-Marie o sobie nawzajem nie są całkowicie pozytywne.

Do wybuchu dochodzi, gdybyśmy byli drobiazgowi, już kiedy Britt-Marie wjeżdża na parking. Po stronie pasażera, Britt-Marie słyszy to wyraźnie. KABUUM – tak opisałaby ten dźwięk, gdyby musiała. Puszcza z należną paniką zarówno sprzęgło, jak i hamulec, na co samochód reaguje takim kaszlem, jakby się przestraszył, jedząc popcorn, i po kilku dramatycznych

poślizgach po zamarzniętych styczniowych kałużach zatrzymuje się nagle pod budynkiem z szyldem, którego sporadycznie działające czerwone neonówki układają się w napis PIZZ R A. Przerażona Britt-Marie wyskakuje z samochodu ze słusznym poczuciem, że pod wpływem eksplozji auto zacznie się palić. Tak się jednak nie dzieje. Britt-Marie stoi nagle sama na parkingu w tego rodzaju ciszy, jakiej można doświadczyć w miasteczkach, nigdy w miastach. Nieco to irytujące. Poprawia spódnicę, mocno trzymając torebkę.

Piłka toczy się powoli po żwirze od samochodu Britt-Marie, a potem znika za budynkiem z napisem O RODEK. Coś zaczyna stukać w tej samej chwili, kiedy piłka znika za rogiem. Brzmi to tak, jakby suszarka, do której ktoś wrzucił kamienie zamiast piłek tenisowych, wirowała kołdry. Brzmi to naturalnie niedorzecznie, ale Britt-Marie doświadczyła czegoś podobnego we wspólnej pralni w domu, gdzie mieszka z Kentem. Ludziom przychodzą obecnie do głowy przeróżne rzeczy.

Wyjmuje z torebki swoją listę. Na samej górze jest napisane „Podróż do Borg”. Odznacza ten punkt ptaszkiem. Kolejny punkt to „Odbiór kluczy z urzędu pocztowego”.

Wyciąga komórkę, którą dostała od Kenta pięć lat temu, i po raz pierwszy jej używa.

– Tak? – mówi dziewczyna z urzędu pracy.

– To się teraz mówi, odbierając telefon? – pyta Britt-Marie.

Troskliwie. Bynajmniej nie krytycznie.

– Co? – mówi dziewczyna, która przez kilka chwil była szczęśliwie nieświadoma, że opuszczenie budynku urzędu pracy przez Britt-Marie niekonieczne oznacza opuszczenie przez Britt-Marie życia dziewczyny.

– Jestem teraz w tym *Borg*. Coś potwornie tu łomocze, a mój samochód eksplodował. Jak daleko jest do urzędu pocztowego? – pyta Britt-Marie.

– Britt-Marie? – pyta dziewczyna po chwili zastanowienia, mając nadzieję, że odpowiedź będzie negatywna.

– Bardzo źle słychać! – informuje Britt-Marie.

– Eksplodował? – dopytuje się dziewczyna.

– Jest jakaś usterka. Eksplodował, słyszałam wyraźnie – wyjaśnia Britt-Marie.

– Nic się pani nie stało? – pyta zaniepokojona dziewczyna.

– Ależ skąd! Ale co będzie z samochodem? – odpowiada i pyta Britt-Marie.

– No, to znaczy… To przecież pani samochód – mówi dziewczyna.

– Ha – stwierdza Britt-Marie.

Milczą chwilę.

– Halo? – mówi Britt-Marie.

– Tak? – mówi dziewczyna.

– Tak! – stwierdza Britt-Marie.

– Nie znam się na samochodach – tłumaczy się dziewczyna.

Britt-Marie wydaje naprawdę cierpliwe westchnienie.

– Powiedziała pani, że mam zadzwonić, jeśli będę miała jakieś pytania – przypomina.

Britt-Marie uważa, że nie powinno się mieć w stosunku do niej żadnych oczekiwań w kwestii motoryzacji. Zdarzyło jej się zaledwie kilka razy siąść za kierownicą, odkąd wyszła za Kenta, ponieważ nigdy nie jeździ samochodem bez Kenta, a Kent jest nadzwyczaj dobrym kierowcą.

– Miałam na myśli pytania dotyczące… pracy – wzdycha dziewczyna po drugiej stronie.

– Ha. Naturalnie tylko to się liczy. Kariera. Jeśli umrę w wybuchu, to nie będzie miało żadnego znaczenia – stwierdza Britt-Marie.

– Nie to miałam na myśli – mamrocze dziewczyna.

– Naturalnie moja śmierć wszystkim by się przysłużyła. Będzie o jedno miejsce pracy więcej. Wpłynie to pozytywnie na statystyki – mówi Britt-Marie całkowicie uprzejmie, w ogóle nie takim głosem, jakby się sama nad sobą litowała.

Wie doprawdy, jak się rzeczy mają, jeśli chodzi o statystyki. W gazetach wiele się teraz pisze o statystykach i nie ma już prawie miejsca na krzyżówki.

– Droga Britt-Ma… – próbuje dziewczyna.

– Bardzo źle panią słychać! – mówi Britt-Marie troskliwie, rozłączając się.

Potem stoi sama i gryzie się w policzki. Mocno.

Coś wciąż łomocze po drugiej stronie centrum rekreacyjnego. Najwyraźniej nie jest jeszcze zamknięte, ale radni domykają przygotowania, aby je zamknąć, dowiedziała się wczoraj Britt-Marie od dziewczyny z urzędu pracy. Nie zdążyli po prostu tego zrobić na zebraniu

członków rady gminnej w grudniu, ponieważ było wiele innych miejsc, o których zamknięciu trzeba było postanowić w pierwszej kolejności, tak że postanowienie w sprawie zamknięcia centrum rekreacyjnego mogłoby zmusić członków rady gminnej do przesunięcia dorocznego przyjęcia wigilijnego. Ponieważ uznano, że przesunięcie Wigilii jest niewykonalne, przesunięto kwestię zamknięcia centrum rekreacyjnego na koniec stycznia ze względu na planowane urlopy członków. Naturalnie osoba odpowiedzialna za przepływ informacji w gminie powinna odpowiadać za przekazanie tego kadrom, ale niestety osoba ta była na urlopie, o czym zapomniała wspomnieć, czego następstwem było anonsowanie stanowiska dozorcy nieruchomości w urzędzie pracy na początku stycznia, ponieważ pracownicy kadr odkryli, że jest tu nieruchomość bez dozorcy. To takie proste i takie skomplikowane.

Tak czy siak, praca nie tylko jest nadzwyczajnie kiepsko wynagradzana, ale na dodatek umowa obowiązuje jedynie do momentu, kiedy zapadnie decyzja o zamknięciu centrum na spotkaniu członków rady gminnej za trzy tygodnie. Poza tym praca jest w Borg, miasteczku, o którym najmilsze, co można powiedzieć, to że znajduje się przy drodze. Tym samym liczba kandydatów na stanowisko była ograniczona.

Stało się jednak tak, że dziewczyna z urzędu pracy przedwczoraj całkiem niedobrowolnie zjadła łososia z Britt-Marie i obiecała, że naprawdę postara się znaleźć dla niej pracę. Dlatego Britt-Marie zapukała nazajutrz do drzwi gabinetu dziewczyny o godzinie dziewiątej zero dwie, żeby się dowiedzieć, czy sprawa postępuje. Dziewczyna stukała przez chwilę na klawiaturze komputera, po czym westchnęła wyraźnie w ten sposób, jak by się pewnie westchnęło, gdyby coś w kształcie piramidy utknęło w jednej dziurce nosa, i powiedziała: „Mam coś. Praca jest w miasteczku pośrodku niczego, jest tak źle opłacana, że gdyby pani dostawała zasiłek dla bezrobotnych, prawdopodobnie straciłaby pani, przyjmując tę posadę”.

„Nie pobieram żadnych zasiłków”, odpowiedziała Britt-Marie, wymawiając słowo „zasiłków”, jakby mówiła o „chorobach”. Dziewczyna ponownie westchnęła i próbowała opowiedzieć coś o „kursach przekwalifikowujących” i „środkach”, które Britt-Marie mogłaby w zamian dostać, ale Britt-Marie wyjaśniła, że doprawdy nie potrzebuje żadnej zapomogi. „Ale, droga Britt-Marie, to praca tylko na trzy tygodnie,

a jeszcze musi się pani przeprowadzić do tego… *Borg*”, starała się ją przekonać dziewczyna, szukając Borg na mapie w komputerze.

„Ha”, powiedziała Britt-Marie, poprawiając torebkę na kolanach. Dziewczyna błądziła palcami po czole i dodała poważnie: „Britt-Marie, nie chciałabym, żeby to zabrzmiało złośliwie, ale mówiąc szczerze, nie polecałabym pani podjęcia takiej pracy w pani wieku”. Britt-Marie przytaknęła, podniosła się, poprawiła fałdę na spódnicy i odpowiedziała: „Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało złośliwie, ale mówiąc szczerze, nie polecałabym pani takiej fryzury przy pani czole”.

Wtedy dziewczyna zaczęła wyglądać trochę tak, jakby uważała, że Britt-Marie jest sama sobie winna. Dlatego nacisnęła klawisz „drukuj”, a potem stało się, jak się stało.

Britt-Marie jest w Borg, a jej samochód eksplodował. Nie jest to bynajmniej idealny pierwszy dzień w nowej pracy. Bynajmniej.

Nie żeby Britt-Marie była krytyczna. Bynajmniej. Britt-Marie nie należy do osób krytycznych.

Jednak czuje, że byłoby lepiej, gdyby był tam Kent. Zdecydowanie.

Dziewczyna z urzędu pracy odbiera nową rozmowę trzy minuty po zakończeniu połączenia w sprawie eksplozji samochodu.

– Gdzie mogę się spodziewać, że znajdę przyrządy do sprzątania?

– Proszę? – pyta dziewczyna.

– Powiedziała pani, że mam zadzwonić, jeśli będę miała pytania związane z pracą – informuje Britt-Marie.

Głos dziewczyny brzmi, jakby wydobywał się ze słoika.

– Źle panią słychać, Britt-Marie. Chyba jest słaby zasięg.

Britt-Marie wzdycha w sposób niezwykle cierpliwy i powtarza tak wolno, jak tylko zdoła:

– Powiedziała pani, że mam *zadzwonić*, jeśli będę miała pytania związane z *pracą*. To pytanie związane z pracą. Gdzie są przyrządy do sprzątania?

– Co? Nie wiem! – odpowiada głos ze słoika.

Britt-Marie nie podnosi głosu. Bynajmniej. Jedynie artykułuje.

– Droga pani, zamierzam się udać do tego urzędu pocztowego, gdzie według przekazanych mi przez panią informacji mam odebrać klucze do

centrum rekreacyjnego, jednak moja noga tam nie postanie, dopóki mi pani nie wyjaśni, gdzie znajdę przyrządy do sprzątania!

– Ale ja tego nie wiem! – odpowiada głos ze słoika.

Britt-Marie wymachuje ramionami tak, że prawie upuszcza telefon.

– Stoję pod tym centrum rekreacyjnym w tym miasteczku i okna są potwornie brudne. Potwornie. Czy ludzie żyją tu we własnym brudzie?

– Nie wiem! – krzyczy dziewczyna.

– To kto wie? – woła Britt-Marie.

– *Nieee.*.. wiem. Droga Britt-Marie, bardzo źle panią sły…

Britt-Marie ma jej właśnie przerwać, kwestionując zasadność tego, że urząd pracy nic nie wie o pracach, w podjęciu których pomaga, jednak sama przerywa rozmowę, kiedy widzi turlającą się po parkingu piłkę. Britt-Marie jej nie lubi. To nic osobistego, nie wybrała właśnie tej piłki jako obiektu swojej dezaprobaty, po prostu nie lubi piłek. Bez uprzedzeń.

Za piłką biegnie dwoje dzieci. Są nadzwyczaj brudne, cała trójka wraz z piłką. Dżinsy dzieci są podarte na udach. Podnoszą piłkę, kopią ją w przeciwnym kierunku i znowu znikają za ośrodkiem. Jedno z nich traci równowagę, opiera się o ścianę i zostawia czarny ślad ręki na okiennej szybie.

– Koniec świata! – krzyczy przerażona Britt-Marie.

To wyrażenie, które często powtarza. „Koniec świata”. Jest bardzo uniwersalne, przynajmniej w sensie, w jakim Britt-Marie go używa, ale często oznacza, że coś, co właśnie się stało, powinno być traktowane jako przestępstwo. Nie dlatego, że Britt-Marie jest osobą krytyczną, ale jednak.

– Co się stało? – pyta dziewczyna po drugiej stronie, kiedy Britt-Marie milknie.

– Czy dzieci nie powinny być w szkole? – przerywa jej Britt-Marie, przypominając sobie o dopisaniu na liście wykrzyknika po „Kupić faxin!”. Jeśli w tym miasteczku jest w ogóle jakiś sklep.

– Co? – mówi dziewczyna.

– Proszę nie mówić ciągle „co”, droga pani. To sprawia, że nie prezentuje się pani jak osoba inteligentna – wyjaśnia Britt-Marie.

– Eeee… to znaczy… bardzo źle panią słychać, Britt-Marie, ma pani włączony głośnik? – pyta dziewczyna.

– Co takiego?

– To jest… albo nie… nic… – wzdycha dziewczyna i dodaje: – Nieważne!

– Co nie jest ważne? – pyta Britt-Marie z oburzeniem w głosie.

– O jakich dzieciach pani wspominała?! – woła dziewczyna, próbując wybrać najmniej niebezpieczny temat do dalszej dyskusji.

– Tu są dzieci! – informuje krótko Britt-Marie.

– Okej, droga Britt-Marie, nie wiem nic o Borg! Nigdy tam nie byłam!

– Nie, nie. Naturalnie, naturalnie. Pani myśli głównie o swojej karierze – mówi troskliwie Britt-Marie.

Po drugiej stronie dziewczyna oddycha przez nos.

– Droga Britt-Marie, bardzo źle panią słychać, wydaje mi się, że… może… Nie trzyma pani przypadkiem telefonu do góry nogami?

Britt-Marie spogląda krytycznie na telefon. Odwraca go.

– Ha – mówi do mikrofonu, niezupełnie inaczej, niż gdyby się powiedziało „ha”, jeśliby się uznało, że wina leży całkowicie po stronie tej drugiej osoby.

– Teraz słyszę panią bardzo dobrze! – mówi zachęcająco dziewczyna.

– Nigdy nie używałam tego telefonu. Są ludzie, którzy mają inne rzeczy do roboty niż gadanie całymi dniami przez telefon, droga pani – informuje Britt-Marie.

– Ach, niech się pani nie martwi. Zawsze tak robię, kiedy mam nowy telefon! – mówi dziewczyna w nagłym przypływie uprzejmości i wyrozumiałości.

– Ja się bynajmniej nie martwię! To nie jest wcale nowy telefon, ma pięć lat – prostuje Britt-Marie.

– Aha – mówi dziewczyna.

– Wcześniej nigdy nie odczuwałam potrzeby, aby go użyć. Miałam inne sprawy, droga pani. Nie dzwonię do nikogo poza Kentem, a do niego dzwonię z telefonu domowego, jak cywilizowani ludzie.

– A jak pani jest gdzieś poza domem? – pyta dziewczyna, jak to się instynktownie robi, gdy się nie pamięta, jak wyglądał świat, zanim każdy mógł się skontaktować z każdym o dowolnej porze.

Britt-Marie oddycha cierpliwie.

– Wychodzę wyłącznie z Kentem, droga pani.

Britt-Marie rozważa, czy jeszcze czegoś nie dodać, ale właśnie wtedy zauważa szczura. Biegnie po zamarzniętych kałużach po parkingu. Jest rozmiaru normalnej wielkości rośliny doniczkowej. Britt-Marie wspomina potem, że na pewno chciała bardzo głośno krzyczeć. Jednak nie zdążyła, ponieważ nagle zapadła ciemność, a ciało Britt-Marie osunęło się nieprzytomnie na ziemię.

Pierwszy kontakt z piłką nożną Britt-Marie w Borg jest taki, że dostaje nią bardzo mocno w głowę.

5

Britt-Marie budzi się na podłodze. Ktoś stoi pochylony nad nią i coś mówi, ale jej myśli zwracają się ku podłodze. Niepokoi ją, że może być brudna, i wydaje jej się, że nie żyje. Takie rzeczy zdarzają się co chwilę, ludzie upadają i umierają. To byłoby okropne, uważa Britt-Marie. Umrzeć na brudnej podłodze. Co ludzie by sobie pomyśleli?

– Halo? Czy ty, no wiesz… jak to było? Nie żyjesz? – pyta ktoś, ale Britt-Marie skupia się na podłodze.

W mieszkaniu Britt-Marie podłogi zawsze są świeżo przetarte na mokro, co bynajmniej nie oznacza, że ona lubi je przecierać. Kent i dzieci nigdy nie potrafili zrozumieć różnicy. Raz Britt-Marie próbowała to wyjaśnić Kentowi. Podała jako przykład, że lubi teatr, bo to oznacza coś lubić, ale lubienie świeżo przetartych podłóg to nie jest lubienie tego samego rodzaju.

Kent powiedział „tak, tak”, ale tego roku dał Britt-Marie w prezencie świątecznym mop parowy. „Będzie ci łatwiej”, powiedział z zadowoleniem w głosie, jakby Britt-Marie zażyczyła sobie właśnie tego prezentu. Potem nigdy już nie próbowała wyjaśnić, co lubi. Nie chciała doprawdy, aby wszystko było proste, chciała, żeby coś miało znaczenie.

Mógł jej dać bilety do teatru.

– Halo, słuchaj no? Ty, no wiesz, żyjesz? – powtarza ktoś, nieco gwiżdżąc.

Britt-Marie nie lubi gwizdania. Poza tym boli ją głowa. Podłoga pachnie pizzą. Byłoby okropne umrzeć z bólem głowy, śmierdząc pizzą. Kent kocha pizzę, zrzuca ją zawsze na podłogę. Pewnego razu, mniej więcej piętnaście lat temu, Britt-Marie rozważała wręcz terrorystyczną metodę niemycia podłogi przez cały tydzień, żeby Kent i dzieci zobaczyli, jak się zabrudziła, ale oni się tym nie przejmowali, a Britt-Marie tak bardzo się przejmowała, że wytrzymała tylko półtora dnia. Ten, kto najmniej się przejmuje, zawsze zwycięża w tym świecie, to doświadczenie Britt-Marie. Dokładnie jak w bajce *Pan krawiec*, którą czytała dzieciom, kiedy jeszcze lubiły słuchać

jej głosu. Pewien mężczyzna daje krawcowi kawałek materiału, żeby ten mu uszył płaszcz, i kiedy wraca, krawiec rzecze: „Nie będzie płaszcza, będą spodnie”. Następnym razem krawiec mówi: „Nie będzie spodni, będzie kamizelka”. Potem: „Będą rękawiczki”. A kiedy mężczyzna przychodzi odebrać rękawiczki, krawiec wzrusza ramionami, mówiąc: „Nie będzie żadnych rękawiczek”. „To co będzie?”, pyta mężczyzna, na co krawiec odpowiada: „Nic nie będzie”. Britt-Marie dobrze to rozumie.

– Halo! Słuchaj no… ty… jesteś, jak to było… przytomna? – pyta ktoś nad nią nieco bardziej obcesowo. Britt-Marie czuje teraz jeszcze wyraźniej zapach pizzy.

Nie jest to bynajmniej jej ulubiony zapach, a to dlatego, że Kent często pachniał pizzą, kiedy wracał późno ze spotkań z Niemcami. Britt-Marie pamięta wszystkie jego zapachy. Szczególnie ten z sali szpitalnej. Było tam pełno bukietów. Przyjęło się, aby przesłać osobie po zawale serca kwiaty, ale Britt-Marie wyczuwała zapach perfum i pizzy z koszuli, która leżała na brzegu łóżka.

Spał, lekko chrapał. Ujęła go za rękę po raz ostatni, nie budząc go. Potem złożyła koszulę i włożyła ją do torebki. Po powrocie do domu wyczyściła kołnierzyk sodą oczyszczoną i octem, wyprała ją dwa razy, po czym powiesiła na wieszaku. Potem umyła okna faxinem, odświeżyła materac proszkiem do pieczenia, przyniosła doniczki z balkonu, spakowała torbę i po raz pierwszy w życiu włączyła komórkę. W ich życiu. Pomyślała, że może dzieci będą chciały zadzwonić i zapytać, jak się czuje Kent. Jednak tego nie zrobiły. Wysłały tylko po SMS-ie.

Był taki okres, jak przestały być nastolatkami, kiedy nadal obiecywały, że przyjadą na Wigilię. Potem zaczęły wymyślać różne wymówki. W końcu przestały udawać, że mają jakiś powód, żeby nie przyjeżdżać. Takie stało się życie. W końcu zrobiło się jasne, że nic nie będzie.

Britt-Marie zawsze lubiła teatr, bo podoba jej się, jak oklaskuje się aktorów za to, że dobrze udają. Zawał serca Kenta i głos tej młodej i ładnej kobiety, która zadzwoniła, żeby poinformować o sytuacji, pozbawiły Britt-Marie szansy, aby dalej udawała. Nie da się udawać, że kogoś nie ma, kiedy się rozmawia z tym kimś przez telefon. Dlatego Britt-Marie wyszła ze szpitala z koszulą, która pachniała perfumami, i z sercem, które pękło.

W takich sytuacjach nie daje się kwiatów.

– Kurde… *żyjesz*? – pyta ktoś niecierpliwie.

Britt-Marie uważa, że to niezwykle nieuprzejme przerywać komuś w samym środku umierania. Szczególnie jak ktoś mówi takim językiem. Istnieje doprawdy wiele lepszych synonimów słowa „kurde”, jeśli już się czuje potrzebę użycia takiego słowa. Patrzy na tego Kogoś, kto się nad nią pochyla.

– Czy mogę się dowiedzieć, gdzie jestem? – pyta oszołomiona Britt-Marie.

– Heja! W przychodni – mówi Ktoś wesoło.

– Pachnie pizzą – wydobywa z siebie Britt-Marie.

– No tak, bo przychodnia jest też pizzerią – przytakuje Ktoś.

– Nie jest to chyba higieniczne – ocenia Britt-Marie.

Ktoś wzrusza ramionami.

– To jest przede wszystkim pizzeria. Oni, wiesz… zamknęli przychodnię. Kryzys finansowy. Takie bzdety. Więc robimy, co możemy. Ale luz, mamy pierwszom pomoc!

Ktoś, kto wydaje się kobietą, wskazuje pogodnie na otwarte plastikowe pudełko z czerwonym krzyżem i napisem „Pierwsza Pomoc”. Potem wywija śmierdzącą butelką.

– A tu, mamy, no wiesz… drugom pomoc. Chcesz?

– Słucham? – mówi Britt-Marie, pocierając bolesne wybrzuszenie na czole.

Ktoś, kto po bliższym wizualnym rozeznaniu okazuje się nie stać nad Britt-Marie, lecz siedzieć, próbuje podać jej szklankę.

– Zamknęli sklep monopolowy. Więc wiesz, robimy, co możemy. Masz! Estońska wódka albo coś w tym stylu. Cholernie dziwne litery, nie? Może to nie wóda. Ale jakie to ma znaczenie? Trochę pali w język, ale można się przyzwyczaić. Dobra na, no wiesz… jak im tam? Afty!

Britt-Marie potrząsa z udręczeniem głową. Następnie dostrzega czerwone plamy na swoim żakiecie.

– Czyżbym krwawiła? – wybucha przerażona i siada.

Byłoby to nie do zniesienia, gdyby zostawiła po sobie ślady krwi na podłodze u Ktośki. Nieważne, czy była wcześniej czyszczona, czy też nie.

– Nie! Nie! To nic takiego. Może bedzie guz po postrzale, ale to tylko sos pomidorowy, wiesz! – krzyczy Ktośka, próbując wyczyścić żakiet Britt-Marie serwetką.

Britt-Marie zauważa, że Ktośka siedzi na wózku inwalidzkim. Trudno tego nie zauważyć. Wydaje się też, że jest pijana. Britt-Marie wnioskuje po tym, że Ktośka śmierdzi wódką i nie trafia serwetką w plamę. Po niczym innym. Britt-Marie nie ma uprzedzeń.

– Czekałam tutaj, aż przestaniesz umierać. Jeść mi się zachciało, więc wiesz, zjadłam obiad. – Ktośka się szczerzy, sięgając po niezjedzony kawałek pizzy na taborecie.

– Obiad? O tej porze? – mamrocze Britt-Marie, ponieważ nie ma nawet jedenastej.

– Głodna? Jest pizza! – proponuje Ktośka.

Dopiero wtedy do Britt-Marie dociera to, co usłyszała.

– Co ma pani na myśli, mówiąc „po postrzale”? Zostałam POSTRZELONA? – wybucha, macając się po głowie, jakby szukała dziury.

– Tak, tak. Piłką, w czaszkę, no wiesz… – Ktośka kiwa głową, rozlewając wódkę na pizzę.

Britt-Marie wygląda, jakby wolała pistolet zamiast piłki. Wyobraża sobie, że pistolety są czystsze.

Ktośka, która musi mieć ponad czterdzieści lat, pomaga jej wstać. Asystuje jej dziewczynka, która nagle pojawiła się obok niej. Wygląda na nastolatkę. Ktośka ma najgorszą fryzurę, jaką Britt-Marie widziała w swoim życiu, jakby czesała się przestraszonym zwierzakiem. Fryzura dziecka jest nieco bardziej przyzwoita, ale dżinsy ma rozdarte wzdłuż całego uda. Naturalnie bardzo nowocześnie. Bardzo.

Ktośka uśmiecha się beztrosko.

– Bachory i ta cholerna piłka. Ale nie źlij się, nie celowały w ciebie!

Britt-Marie dotyka guza na czole.

– Jestem brudna na twarzy? – pyta jednocześnie niepewnie i oskarżycielsko.

Ktośka potrząsa głową i przysuwa się do pizzy. Zawstydzony wzrok Britt-Marie pada na dwóch brodatych mężczyzn w bejsbolówkach, którzy siedzą przy jednym stole w rogu nad filiżankami kawy i popołudniówkami. Leżenie na podłodze w stanie omdlenia w obecności ludzi pijących kawę wydaje jej się potworne. Jednak żaden z mężczyzn nie obdarza jej nawet spojrzeniem.

– Zemdlałaś tylko trochę – mówi beztrosko Ktośka, akcentując „tylko”, a nie „zemdlałaś”, i jadąc żwawo obok Britt-Marie z kawałkami pizzy

między ustami a swetrem.

Britt-Marie wyjmuje z torebki bardzo małe lusterko i pociera czoło. Uważa, że omdlenie było wyjątkowo nieprzyjemne, ale ani w połowie tak nieprzyjemne, jak gdyby zemdlała brudna. A gdyby umarła?! Co by ludzie pomyśleli? W trakcie picia kawy.

– Skąd pani wie, że nie celowały we mnie? – pyta tylko odrobinę krytycznie.

Ktośka rozkłada ramiona.

– Bo trafiły. Jak w coś celujom, to nigdy nie trafiom. Som, no wiesz… beznadziejne w piłce.

– Ha – mówi Britt-Marie.

– Tacy beznadziejni to znowu nie jesteśmy… – mamrocze obok obrażona dziewczynka.

Britt-Marie widzi, że trzyma piłkę. Tak jak trzyma się piłkę, żeby się powstrzymać przed kopaniem w nią co chwilę.

Ktośka robi zachęcający gest, wskazując na dziewczynkę.

– To Vega. Pracuje tu!

– Nie powinnaś być w szkole? – pyta Britt-Marie, nie spuszczając wzroku z piłki.

– Nie powinnaś być w pracy? – odpowiada Vega, trzymając piłkę w taki sposób, w jaki się trzyma za rękę kogoś, w kimś jest się zakochanym.

Britt-Marie ściska mocniej torebkę.

– Pragnę poinformować, że udawałam się tam, kiedy zostałam postrzelona w głowę. Jestem dozorczynią w ośrodku. A dzisiaj jest mój pierwszy dzień.

Usta Vegi rozchylają się ze zdziwienia. Jakby to w jakiś sposób wszystko zmieniało. Jednak nic nie mówi.

– Dozorczyniom w ośrodku? Serio? Mam, no wiesz… jak to było? List polecony z kluczami! – krzyczy Ktośka.

– Poinformowano mnie, że mam odebrać klucze w urzędzie pocztowym – wyjaśnia troskliwie Britt-Marie.

– Tu jest! Zamknęli pocztę, no wiesz… – wydziera się Ktośka i wjeżdża za ladę, nadal trzymając butelkę wódki.

Nastaje chwila ciszy. Przerywa ją dzwonek do drzwi i odgłos ciężkich, brudnych butów stąpających po nieumytej posadzce. Ktośka wynurza się zza lady, wołając:

– Cześć, Karl! Czekaj, mam tom paczkę!

Britt-Marie odwraca się i prawie upada z powodu mocnego uderzenia w bark. Podnosi wzrok i zauważa pod nierozsądnie brudną bejsbolówką gęstą brodę, która na nią patrzy.

– Ty, uważaj – mamrocze coś pomiędzy bejsbolówką a brodą.

Britt-Marie, która wcześniej stała bez ruchu, czuje się bezradna. Dlatego ściska mocniej torebkę i mówi:

– Ha.

– To ty ją potrąciłeś! – syczy nagle Vega zaraz za nią.

Britt-Marie to się wcale nie podoba. Jest zakłopotana, kiedy ktoś jej broni. Tak można się poczuć, kiedy nie jest się do tego przyzwyczajonym.

Ktośka pojawia się z paczką Karla, Karl spogląda z poirytowaniem na Vegę i z wrogością na Britt-Marie. Potem kiwa niechętnie głową w kierunku mężczyzn przy stoliku w rogu. Tamci odwzajemniają gest jeszcze bardziej niechętnie. Drzwi dzwonią radośnie, kiedy Karl zamyka je za sobą. Bo nie wiedzą, co innego mogłyby zrobić.

Ktośka klepie Britt-Marie pocieszająco po ramieniu.

– Walić go. Karl ma, no wiesz… jak to jest? On ma komary w dupie.

Britt-Marie raczej nie wie, o co chodzi. Ktośka bynajmniej się tym nie przejmuje.

– On jest wkurzony, no wiesz… na życie i na cały świat. Na wszystko. Tacy nie lubią ludzi z wielkiego miasta, no wiesz… – mówi do Britt-Marie, wskazując głową na mężczyzn przy stole, kiedy wymawia słowo „tacy”.

Przy stoliku czyta się gazety i pije swoją kawę, jakby nie było tu żadnej z tych kobiet.

– Skąd wiedział, że jestem z wielkiego miasta? – pyta Britt-Marie.

Ktośka przewraca oczami. Britt-Marie nie wie, jak to zinterpretować, dlatego zajmuje się weryfikowaniem plamy po sosie do pizzy na swoim żakiecie. Wolałaby, żeby to była krew, bo krew schodzi po sodzie oczyszczonej. Nie wie, jak się sprawy mają z sosem do pizzy.

– Chodź! Pokażę ci ośrodek! – krzyczy Ktośka, jadąc w kierunku drzwi.

Britt-Marie rozgląda się po tej części lokalu, która rozciąga się w drugim kierunku od pizzerii-przychodni-poczty. Jest wypełniona półkami i produktami spożywczymi. Jakby to był sklep spożywczy.

– Czy to przypadkiem nie jest sklep spożywczy? – pyta.

– Zamknęli spożywczaka, no wiesz… więc robimy, co możemy! – krzyczy Ktośka.

Britt-Marie nie uważa doprawdy, że to higieniczne. Ale przypomina sobie brudne okna w ośrodku.

– Czy przypadkiem nie prowadzą państwo tutaj sprzedaży faxinu? – pyta.

– Nie – mówi Ktośka, jakby nie wiedziała, co to faxin.

Britt-Marie uśmiecha się cierpliwie.

– To środek do czyszczenia okien, droga pani.

Britt-Marie nigdy nie używała innego środka niż faxin. Zobaczyła jego reklamę w gazecie porannej taty, kiedy była dzieckiem. Na obrazku stała kobieta i wyglądała przez okno, a poniżej było napisane: „Faxin pozwoli ci zobaczyć świat”. Britt-Marie uwielbiała ten obrazek. Kiedy dorosła, czyściła okna faxinem każdego dnia przez całe życie i nigdy nie miała trudności, by zobaczyć świat. Tylko świat jej nie widział.

– Wiem, ale no wiesz… nie mam już faxinu – mówi Ktośka.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – pyta Britt-Marie tylko trochę oskarżycielsko.

Ktośka wzrusza ramionami.

– No wiesz, wycofano faxin z, jak to było… z asortymentu producenta. Nie opłaca się, no wiesz…

Britt-Marie otwiera szeroko oczy i mówi, dysząc:

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Z asortymentu, no wiesz… – powtarza Ktośka.

Jakby to była odpowiedź.

– Chyba nie można tak po prostu zrobić? – wybucha poruszona Britt-Marie.

Ktośka wzrusza ramionami.

– Olać to. Mam innom markę! Chcesz?

– Ma być faxin – odpowiada Britt-Marie, jakby czuła się poważnie upokorzona na samą myśl, że ktoś proponuje zmianę marki.

– Mam taki rosyjski środek, cholernie dobry, tam z ty… – zaczyna Ktośka i robi gest w kierunku Vegi, żeby pobiegła go przynieść.

– Nie trzeba! – przerywa Britt-Marie i idzie w kierunku drzwi, sycząc:

– Użyję sody oczyszczonej!

Nie można przecież zmienić sposobu patrzenia Britt-Marie na świat.

6

Britt-Marie potyka się o próg. Jakby nie tylko mieszkańcy Borg starali się ją odwieść od przeprowadzki, lecz także samo miasteczko. Stoi na podjeździe dla wózków inwalidzkich, który prowadzi do drzwi pizzerii. Britt-Marie zgina palce u nogi tak, że stopa zaciska się w bucie jak pięść, żeby stłumić ból. Drogą obok przejeżdża w jedną stronę traktor, w drugą stronę jedzie jakaś ciężarówka. Potem na drodze robi się pusto. Britt-Marie nigdy nie była w tak małym miasteczku, jedynie przejeżdżała obok takich samochodem razem z Kentem. Kent zawsze odczuwał pogardę. Dla miasteczek. „Cholerne obozy zasiłkowiczów, przez takich mamy najwyższe na świecie podatki, nie powinno się nazywać ich miastami, powinno się je nazywać utrzymalniami!”, wybuchał zwykle i chichotał ze swojej przenikliwości, jakby to mówił po raz pierwszy. A jeśli Britt-Marie od razu nie wybuchała śmiechem, dawał jej kuksańca, mówiąc: „Rozumiesz? Utrzymalniami!” – jakby na tym polegał problem.

Britt-Marie odzyskuje równowagę, zaciska mocniej torebkę, schodząc z podjazdu w kierunku parkingu. Idzie żwawym krokiem, jakby ktoś ją gonił. Ktośka jedzie za nią, jakby to ona goniła. Vega bierze piłkę i biegnie w stronę innych dzieci. Wszystkie mają podarte na udach dżinsy. Po kilku krokach zatrzymuje się, spogląda na Britt-Marie i mówi:

– Sorry za tę piłkę. Nie celowaliśmy w panią. – Potem odcina się, mówiąc do Ktośki: – MOGLIŚMY trafić, gdybyśmy celowali!

Odwraca się i kopie piłkę obok chłopców, w płot pomiędzy ośrodkiem a pizzerią. Jeden z chłopców przyjmuje piłkę i strzela nią w ten sam płot. Wtedy dociera do Britt-Marie, dlaczego w Borg tak łomocze. Jeden z chłopców najwyraźniej celuje w płot, ale udaje mu się strzelić prosto w kierunku Britt-Marie, co biorąc pod uwagę kąt strzału, jest niemalże wybitnym osiągnięciem, jak na brak osiągnięcia.

Piłka toczy się powoli w kierunku Britt-Marie. Dzieci wydają się czekać, aż Britt-Marie ją kopnie. Britt-Marie się przesuwa, jakby piłka chciała ją

opluć. Piłka toczy się dalej. Vega przybiega.

– Dlaczego jej pani nie kopnęła? – pyta, nie rozumiejąc.

– Dlaczego, na Boga, miałam ją kopnąć? – pyta Britt-Marie.

Gapią się na siebie z wzajemnym przekonaniem, że druga jest kompletnie szalona. Vega kopie piłkę do chłopców i odbiega. Britt-Marie strzepuje kurz ze spódnicy. Ktośka bierze łyk wódki.

– Bachory, no wiesz… beznadziejne w piłce. Nie trafiłyby, no wiesz… jak to było? Do wody z łódki! Nie majom gdzie grać. Gmina, kurwa mać, zamkła boisko. Sprzedali ziemię, mieli budować mieszkania, dewelopery. A potem był kryzys finansowy, no i wiesz… A teraz nie ma ani mieszkań, ani boiska.

– Kent mówi, że kryzys finansowy się skończył – informuje uprzejmie Britt-Marie.

Ktośka parska.

– Ten Kent to chyba ma, no wiesz… jak to jest? Dupę tam, gdzie głowę, co?

Britt-Marie nie potrafi rozstrzygnąć, czy czuje się bardziej obrażona tym, że nie wie, co to znaczy, czy tym, że domyśla się, że wie, co to znaczy.

– Kent z pewnością wie więcej na ten temat niż pani. Jest przedsiębiorcą, droga pani. Niezwykle utalentowanym. Robi interesy z Niemcami.

Ktośka wygląda na niewzruszoną. Wskazuje na dzieci butelką.

– Rozwiązali drużynę piłki nożnej, kiedy zamkli boisko. Dobrzy zawodnicy przenieśli się do drużyny w mieście.

Kiwa głową, wskazując drogę. Britt-Marie zakłada, że ma na myśli miasto. Potem znowu wskazuje na dzieci.

– Miasto. Dwadzieścia kilometrów w tamte stronę. Te dzieciaki, no wiesz… tu zostały. Jak twój, jak to szło? Faxin! Wycofane z asortymentu. Musi być rentownie. Jak ten Kent, co ma dupę tam, gdzie głowę, wiesz? Kryzys może wyniósł się z miasta, ale Borg to on lubi. Tu mieszka ten pieron!

Śmiechu Ktośki nie da się odróżnić od ataku kaszlu, który następuje później. Britt-Marie zauważa wyraźną różnicę, kiedy Ktośka mówi o „mieście” dwadzieścia kilometrów stąd i o „wielkim mieście”, z którego pochodzi Britt-Marie. Mówi o nich z różnym stopniem pogardy. Ktośka bierze tak głęboki łyk, że w jej oczach pojawiają się łzy. Potem dodaje:

– W Borg wszyscy jeżdżom ciężarówkami, no wiesz. Była tu, jak to szło? Firma transportowa. A potem, no wiesz… ten kurewski kryzys finansowy. Teraz jest więcej ludzi w Borg niż ciężarówek i więcej ciężarówek niż pracy.

Britt-Marie ściska mocniej torebkę i czuje być może nie do końca uzasadnioną potrzebę, żeby się bronić.

– Są tu szczury – informuje za to najzupełniej uprzejmie.

Ktośka bierze jeszcze jeden nieco roztargniony łyk wódki.

– Szczury też muszom gdzieś mieszkać, nie?

Britt-Marie kiwa głową, w sposób zupełnie niekrytyczny.

– Szczury są brudne. Mieszkają we własnym brudzie. Ale to was nie niepokoi. Jakże to miło.

Ktośka drapie się za uchem. Obserwuje zaciekawiona opuszek palca. Pije więcej wódki. Britt-Marie kiwa głową i dodaje troskliwie:

– Gdyby mieszkańcy Borg nieco bardziej się angażowali w utrzymywanie czystości, może nie zmagaliby się z kryzysem finansowym.

Ktośka nie wydaje się całkiem skupiona na słuchaniu.

– To taki, no wiesz… jak to szło? Mit! Brudne szczury. To mit. One som, no wiesz… czyste! Myjom się jak koty, no wiesz… liżom się. Myszy srajom wszędzie, som brudne, ale szczury majom takie toalety. Zawsze srajom w tym samym miejscu.

Wskazuje na swoją pupę, potem na ziemię, kiedy mówi „srają”. Britt-Marie stara się to ignorować. Ktośka wskazuje butelką na samochód Britt-Marie.

– Powinnaś go przeparkować. Bedom w niego kopać piłkom.

Britt-Marie potrząsa cierpliwie głową.

– Nie da się go doprawdy przeparkować. Eksplodował, kiedy parkowałam.

Ktośka się śmieje. Objeżdża samochód i patrzy na wgniecenie w kształcie piłki do nogi od strony drzwi pasażera.

– A, to musiał być kamień – mówi, szczerząc zęby.

– Co takiego? – pyta Britt-Marie i niechętnie podąża za Ktośką, żeby obejrzeć wgniecenie w kształcie piłki.

– „Kamień strzelił”. Kiedy warsztat dzwoni do ubezpieczalni, wtedy, no wiesz, mówiom „kamień strzelił”. – Ktośka się szczerzy.

Britt-Marie błądzi ręką w torebce, szukając swojej listy.

– Ha. Zechce mnie pani poinformować, gdzie znajduje się najbliższy warsztat?

– Tutaj – odpowiada Ktośka.

Britt-Marie zerka sceptycznie. Na Ktośkę naturalnie, nie na wózek. Britt-Marie nie osądza innych.

– Pani naprawia samochody?

Ktośka wzrusza ramionami.

– Zamkli warsztat, więc robimy, co możemy, ale walić to! Pokażę ci ośrodek, co?

Ktośka podaje kopertę z kluczami. Britt-Marie ją odbiera, spogląda na butelkę Ktośki i ściska mocniej torebkę. Potem potrząsa głową.

– Nie trzeba, dziękuję. Nie chciałabym pani sprawiać kłopotu.

– Żaden kłopot – mówi Ktośka, robiąc nonszalanckie okrążenie wózkiem do przodu, a potem do tyłu.

Britt-Marie uśmiecha się pobłażliwie.

– Nie chodziło mi o panią.

Potem szybko się obraca i znika za parkingiem, żeby Ktośce nie przyszło do głowy pojechać za nią. Wyciąga z samochodu swoje torby i doniczki balkonowe i ciągnie je za sobą do ośrodka. Otwiera drzwi, wchodzi, zamyka drzwi na zamek. Nie żeby nie lubiła tej Ktośki, bynajmniej. Britt-Marie nie należy do osób, które nie lubią ludzi.

Ale zapach wódki przypomina jej Kenta.

Znowu wyciąga komórkę. Głos dziewczyny z urzędu pracy nie brzmi bynajmniej entuzjastycznie.

– Proszę, aby skontaktowała się pani z osobą usuwającą szkodniki, jest tutaj co najmniej jeden szczur! – informuje natychmiast Britt-Marie.

– Ale, droga Britt-Marie… starałam się pani powie… – zaczyna dziewczyna, co brzmi trochę tak, jakby ktoś położył czoło na brzegu biurka.

– Powiedziała pani, że mam dzwonić, jeśli będę miała pytania związane z pracą. To jest pytanie związane z pracą. Szczury w miejscu pracy nie są bynajmniej higieniczne! – stwierdza Britt-Marie.

– Okej, okej, okej. Zobaczę, co mogę zrobić – mamrocze dziewczyna i brzmi to trochę tak, jakby ktoś powolnie uderzał swoim telefonem o głowę.

Britt-Marie się rozłącza. Rozgląda się. Coś łomocze w ścianę na zewnątrz, a na podłodze widać w kurzu szczurze ślady. Więc Britt-Marie robi to, co zawsze robi w najtrudniejszych momentach w swoim życiu: sprząta. Myje okna szmatką z sodą oczyszczoną, a przeciera je starymi gazetami i octem. Wychodzi to niemal tak dobrze jak z faxinem, chociaż dla Britt-Marie jest zupełnie inaczej. Szoruje zlew sodą oczyszczoną i wodą, potem przeciera na mokro wszystkie podłogi, a następnie miesza sodę oczyszczoną z sokiem z cytryny, żeby wyczyścić kafelki i krany w łazience, potem miesza sodę oczyszczoną z pastą do zębów, żeby wypolerować umywalkę. Posypuje też sodą oczyszczoną swoje doniczki balkonowe, żeby nie przychodziły ślimaki.

Wydaje się, że doniczki zawierają tylko ziemię, ale w środku są kwiaty, które czekają na wiosnę. Zima wymaga, aby osoba, która je podlewa, miała zaufanie, że coś, co wygląda na nic, ma w sobie ogromny potencjał. Britt-Marie nie wie już, czy nadal ma zaufanie, czy może tylko żywi nadzieję. A może nie ma ani jednego, ani drugiego.

Tapety w ośrodku obserwują ją i doniczki obojętnie. Pokryte są zdjęciami ludzi i piłek do futbolu. Wszędzie piłki do futbolu. Za każdym razem, kiedy Britt-Marie widzi je kątem oka, przeciera coś mocniej gąbką, bynajmniej nie pasywno-agresywnie. Jedynie dokładnie i troskliwie. Sprząta tak długo, dopóki nie ustaje łomotanie w ścianę, a dzieci za nią nie pójdą sobie do domu. Dopiero kiedy słońce zachodzi, Britt-Marie zauważa, że żadna lampa wewnątrz poza lampą w kuchni nie działa. Dlatego tam ląduje, na małej wysepce oświetlonej świetlówką w prawie zamkniętym ośrodku.

Kuchnię zajmują prawie całkowicie zlew, lodówka i dwa drewniane taborety. Otwiera lodówkę, której jedyną zawartość stanowi opakowanie kawy. Wyrzuca sobie, że zapomniała o olejku waniliowym. Jak się wymiesza olejek waniliowy z sodą oczyszczoną, lodówka pachnie świeżością.

Staje niepewnie przed ekspresem do kawy. Wygląda nowocześnie. Nie robiła kawy od wielu lat, ponieważ Kent parzy bardzo dobrą kawę, a Britt-Marie zawsze uważa, że najlepiej na niego poczekać. Jednak ten ekspres ma jakiś przycisk, który świeci, a to najmilsze, co ktokolwiek zrobił dla Britt-Marie od długiego czasu, dlatego próbuje otworzyć pojemnik, do którego, według jej przypuszczeń, należy wsypać kawę. Nie potrafi go wyjąć. Przycisk zaczyna migać złowrogo. Britt-Marie czuje się głęboko urażona.

Pociąga mocno za pojemnik, po czym miganie się nasila, po czym Britt-Marie, jeszcze bardziej sfrustrowana, pociąga za pojemnik, aż cała maszyna się przewraca. Pojemnik się otwiera i bryja fusów z wodą rozpryskuje się na żakiet Britt-Marie.

Mówi się, że podróże zmieniają ludzi. To właśnie dlatego Britt-Marie nie znosi podróżować. Nie chce żadnych zmian. Czyli to wszystko z powodu podróży, dochodzi potem do wniosku, kiedy całkowicie traci opanowanie w taki sposób jak wtedy, kiedy Kent wszedł na parkiet w butach do golfa na początku ich małżeństwa.

Przyciąga do siebie mopa i z całej siły uderza wściekle uchwytem w ekspres. Ten migocze. Coś trzeszczy. Ekspres przestaje migać. Britt-Marie uderza uchwytem do mopa kolejny raz i kolejny, aż ręce zaczynają jej się trząść, a oczy przestają rozróżniać kontury zlewozmywaka. Potem zdyszana wyciąga z torebki ręcznik. Gasi lampę na suficie w kuchni. Siada na jednym z taboretów i płacze w ręcznik w ciemności.

Nie chce, żeby łzy spadły na podłogę. Mogą się zrobić plamy.

7

Britt-Marie nie śpi całą noc. Jest do tego przyzwyczajona. Tak to jest, kiedy się żyło całe życie dla kogoś innego.

Naturalnie siedzi w ciemności, co w przeciwnym razie pomyśleliby sobie przechodzący ludzie, gdyby zobaczyli, że świeci w środku nocy jak jakiś przestępca? Jednak nie śpi, bo pamięta, jak gruba była warstwa kurzu na podłodze w ośrodku, zanim ją wyczyściła, i jeśli umrze we śnie, nie zamierza doprawdy ryzykować, że będzie tak leżała, śmierdząc i pokrywając się kurzem. Spanie na jednej z kanap, które stoją w kącie ośrodka, jest nie do pomyślenia, bo były tak brudne, że Britt-Marie musiała użyć dwóch par gumowych rękawiczek, kiedy posypywała je proszkiem do pieczenia. Może mogłaby spać w samochodzie. Gdyby była zwierzęciem.

Dziewczyna z urzędu pracy nakłaniała ją, aby nocowała w położonym dwadzieścia kilometrów dalej hotelu, ale Britt-Marie nie może sobie wyobrazić, że mogłaby spać całą noc gdzieś, gdzie inne osoby ścielą jej łóżko. Wie, że są ludzie, którzy nie marzą o niczym innym niż podróżowanie i przeżywanie czegoś nowego, ale Britt-Marie marzy o domu i żeby wszystko było po swojemu. Chce, żeby był tam Kent i żeby w szafce ze środkami czystości była prawie pełna butelka faxinu. Chce ścielić własne łóżko.

Nie chodzi o to, że Britt-Marie jest krytyczna wobec tego, jak personel hotelowy ścieli łóżka, bynajmniej, ale kiedy mieszka z Kentem w hotelu, zawsze zawiesza kartkę z napisem „Proszę nie przeszkadzać”, po czym sama ścieli łóżko i sprząta pokój. Nie chodzi o to, że Britt-Marie ocenia innych, bynajmniej, ona ma całkowicie racjonalne pobudki. Wie mianowicie, że personelem sprzątającym mogą równie dobrze być osoby, które oceniają innych, a doprawdy nie chce ryzykować, żeby personel rozmawiał na popołudniowym spotkaniu o tym, jak brudno było w pokoju

423. To racjonalny powód. Ludzie co rusz urządzają takie spotkania. Zakładać, że nie dotyczy to także personelu, byłoby przesadą.

Pewnego razu Kentowi się pomyliło, kiedy zamykają bramki, jak mieli lecieć do domu po pobycie w hotelu, chociaż ciągle twierdzi, że „ci idioci nie potrafią nawet zapisać odpowiedniej godziny na cholernym bilecie!”, i musieli opuścić pokój w środku nocy, nie mieli nawet czasu się wykąpać. Britt-Marie pobiegła wtedy przed wyjściem do łazienki i odkręciła wodę pod prysznicem na kilka sekund, żeby na podłodze było mokro, tak żeby ci, którzy przyjdą posprzątać, nie pomyśleli sobie, że goście z pokoju 423 wyjechali ubrani we własny brud.

Kent parsknął wtedy i powiedział, że zawsze za bardzo się przejmuje, co ludzie o niej myślą. Britt-Marie wydawała wewnętrzne okrzyki przez całą drogę na lotnisko. Britt-Marie nie przejmuje się bynajmniej, co ludzie o niej myślą.

Przejmuje się, co ludzie myślą o Kencie.

Nie wie, kiedy Kent przestał się przejmować tym, co ludzie o niej myślą. Wie, że kiedyś się przejmował. Kiedy jeszcze na nią patrzył, jakby wiedział, że tu jest. Trudno powiedzieć, kiedy miłość zakwita, nagle się budzi i już jest. Podobnie się dzieje, kiedy więdnie, pewnego dnia nagle jest za późno. Pod tym względem miłość ma wiele wspólnego z roślinami balkonowymi. Czasami nie pomoże nawet soda oczyszczona.

Britt-Marie nie wie, kiedy ich małżeństwo wyślizgnęło jej się z rąk. Kiedy stało się zniszczone i porysowane, niezależnie od tego, ilu podkładek używała. Dawniej trzymał ją za rękę we śnie, a jego marzenia były jej marzeniami. Nie chodzi o to, że Britt-Marie nie miała własnych, ale jego były większe, a ten, kto ma największe marzenia, zawsze wygrywa na tym świecie. Tego się nauczyła. Dlatego została kilka lat w domu, żeby zająć się jego dziećmi, nie marząc nawet o własnych. Została w domu kilka kolejnych lat, żeby stworzyć reprezentacyjny dom ze względu na jego karierę, nie marząc nawet o własnej. Miała sąsiadów, którzy nazywali ją „zrzędliwą jędzą”, kiedy martwiła się, co powiedzą Niemcy, jeśli zobaczą śmieci przy wejściu albo poczują zapach pizzy na klatce schodowej. Nie miała żadnych przyjaciół, tylko znajome, często żony współpracowników z firmy Kenta. Jedna z nich zaproponowała raz, że pomoże Britt-Marie

zmywać naczynia po kolacji i posortowała szufladę na sztućce noże-łyżki-widelce. Kiedy przerażona Britt-Marie zapytała, co ona, na Boga, wyprawia, znajoma się zaśmiała, jakby to był żart, i powiedziała: „To chyba nie ma znaczenia, prawda?”. Już nie są znajomymi. Kent powiedział, że Britt-Marie brakuje kompetencji społecznych, dlatego została w domu jeszcze kilka lat, żeby on mógł być społeczny za nich oboje. Tak kilka lat zmieniło się w wiele lat, a wiele lat stało się wszystkimi latami. Lata tak się zachowują. Nie chodzi o to, że Britt-Marie nie chciała mieć oczekiwań, obudziła się po prostu pewnego ranka i zrozumiała, że już za późno, żeby jakieś mieć. Zrozumiała, że nic nie będzie.

Dzieci Kenta ją lubiły, tak jej się wydaje, ale dzieci dorośleją, a dorośli nazywają Britt-Marie „zrzędliwą jędzą”. Przez jakiś czas w tej samej klatce schodowej mieszkały inne dzieci, Britt-Marie gotowała im czasami obiad, jak były same w domu. Ale dzieci miały zawsze swoje mamy i babcie, które wracały do domu wcześniej lub później. Potem dorastały, a Britt-Marie stawała się zrzędliwą jędzą. Kent mówił, że jest społecznie niekompetentna, a ona zakładała, że tak jest.

Dlatego w końcu jedynym, czego pragnęła, stał się balkon i mąż, który nie wchodzi na parkiet w butach do golfa i który od czasu do czasu wkłada koszulę do brudów bez upominania, i który raz na jakiś czas powie bez pytania, że jedzenie było dobre. Prawdziwego domu. I dzieci, które wprawdzie nie były jej własnymi, ale tak czy siak, przyjeżdżałyby do domu na Wigilię. Albo przynajmniej, jak już by nie przyjeżdżały, żeby miały ku temu jakiś zmyślony powód. Dobrze posortowanej szuflady na sztućce. Okien, przez które można oglądać świat. Kogoś, kto doceni, że Britt-Marie ułożyła szczególnie starannie włosy. Albo kogoś, kto chociaż udaje, że to docenia. Albo przynajmniej kogoś, kto pozwoliłby, żeby Britt-Marie mogła dalej udawać.

Kogoś, kto czasem widziałby starania Britt-Marie, kiedy wracałby do domu, w którym byłyby świeżo przetarta podłoga i ciepłe jedzenie na stole. Bo ludzie są jak obiady. Ważny jest dla nich sens. „Ale pięknie to przygotowałaś”. To zdanie ma sens.

Być może serce pęka na dobre dopiero wtedy, kiedy opuszcza się salę szpitalną z koszulami pachnącymi pizzą i perfumami, ale wszystko pęka łatwiej, kiedy nadpękało już kilka razy wcześniej.

Britt-Marie zapala lampę w kuchni o szóstej następnego poranka. Nie dlatego, że brakuje jej światła, ale dlatego, że myśli, że ludzie mogli zobaczyć wczoraj wieczorem zapaloną lampę i na tej podstawie wyciągnąć wniosek, że Britt-Marie spędziła noc w ośrodku, i mogliby sobie tym samym pomyśleć, że jeszcze śpi o tej porze.

Przy kanapach stoi stary telewizor, który mogłaby włączyć, żeby poczuć się mniej samotnie, ale nie robi tego, bo na pewno leci jakiś mecz. Obecnie ciągle puszczają jakieś mecze, więc Britt-Marie woli być sama. Ośrodek otula ją wyczekującą ciszą. Ekspres leży przewrócony na bok i już nie migocze. Britt-Marie siedzi przed nim na taborecie i przypomina sobie, jak dzieci Kenta powiedziały mu, że Britt-Marie jest „pasywno-agresywna". Kent śmiał się tak jak wtedy, kiedy pił wódkę z sokiem pomarańczowym, oglądając mecz piłki nożnej. Jego brzuch tak się trząsł, że wypuszczał perlisty śmiech przez dziurki w nosie, mówiąc: „Ona nie jest, do cholery, pasywno-agresywna, ona jest agresywno-pasywna!". Potem śmiał się tak, że aż rozlewał wódkę i sok na dywan. Tego wieczoru miarka się przebrała i Britt-Marie przeniosła bez słowa dywan do pokoju gościnnego. Nie dlatego, że jest pasywno-agresywna, bynajmniej. Ale muszą istnieć jakieś granice.

Nie było jej przykro, że Kent to powiedział, było jej przykro, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że stała tak blisko, by to usłyszeć. Dobrze wiedziała, że Kent nie wie, co to znaczy „agresywno-pasywna", ale mimo wszystko poczuła się urażona, bo dobrze wiedziała, co jemu się wydaje, że to znaczy.

Patrzy na ekspres. Przez przelotną beztroską chwilę uderza ją myśl, że mogłaby go naprawić, ale opamiętuje się i cofa rękę.

Niczego nie naprawiła, odkąd wyszła za mąż. Zawsze czuła, że najlepiej poczekać, aż Kent wróci do domu. Kent zawsze mawiał, że „baby nie potrafią nawet złożyć mebla z Ikei", kiedy widział w telewizji kobiety w programach o budowaniu domów albo o remontach. Nazywał to „parytety". Britt-Marie siadała wtedy obok na kanapie i rozwiązywała krzyżówki. Tak blisko pilota, że czuła jego opuszki na swoich kolanach, kiedy go szukał, żeby zmienić kanał na mecz piłki nożnej.

Patrzy na ekspres i stanowczo splata ręce na brzuchu. Potem przynosi więcej sody oczyszczonej i sprząta ośrodek jeszcze raz. Kiedy posypuje

kanapy proszkiem do pieczenia, ktoś puka do drzwi. Trwa to dobrą chwilę, zanim Britt-Marie otwiera drzwi, ponieważ pobiegnięcie do łazienki i ułożenie włosów przed lustrem wymaga czasu, kiedy nie ma działającego oświetlenia.

Kent nigdy nie rozumiał, dlaczego Britt-Marie zawsze układa włosy przed wyjściem. Nawet jeśli wybiera się tylko do sklepu.

Tak jakby się martwiła, że ludzie pomyślą sobie o niej coś złego.

Ktośka siedzi pod drzwiami, trzymając karton wina.

– Ha – mówi Britt-Marie do kartonu.

– Dobre wino, wiesz. Tanie. Wypadło z ciężarówki – mówi zadowolona Ktośka.

Britt-Marie nie wie, co to znaczy.

– Ale, no wiesz… trzeba wlać do butelki z etykietom i innymi pierdołami, jakby skarbówka się pytała. W mojej pizzerii nazywa się „domowe czerwone", gdyby pytała skarbówka, okej? – mówi Ktośka na wpół rzucając, na wpół podając karton Britt-Marie, po czym z łoskotem przepycha się wózkiem przez próg i rozgląda.

Britt-Marie obserwuje mieszankę topniejącego śniegu i żwiru, którą zostawiają koła na podłodze. Jej przerażenie jest marginalnie mniejsze, niż gdyby to były odchody.

– Czy wolno mi zapytać, jak postępuje praca nad naprawieniem mojego samochodu? – pyta Britt-Marie.

Ktośka potakuje ochoczo.

– Świetnie! Świetnie! Tylko jedna sprawa, słuchaj, Britt-Marie, ważny jest dla ciebie kolor?

– Jak to? – dziwi się Britt-Marie.

Ktośka rozkłada ręce.

– No wiesz… mam drzwi. Super kolor, no wiesz… ale nie do końca taki jak w twoim samochodzie. Trochę bardziej… żółty.

– Co się stało z moimi drzwiami? – pyta przestraszona Britt-Marie.

– Nic takiego! Nic! Tylko pytam, no wiesz… Żółte drzwi niedobre? Som, no wiesz… wyblakłe! Stare. Już prawie nie żółte, tylko białe.

– Pragnę z całą stanowczością zaznaczyć, że doprawdy nie zamierzam tolerować żółtych drzwi w moim białym samochodzie! – wybucha Britt-

Marie.

Ktośka wymachuje rękami w obronnym geście.

– Okej, okej. Luz, luz. Bedom białe drzwi. Żadny kłopot. Nie ma co się stresować. Ale na białe drzwi trzeba czekać, no wiesz… terminy – mówi, wskazując beztrosko głową na wino. – Lubisz wino, Britt-Marie?

– Nie – odpowiada Britt-Marie, nie dlatego, że nie lubi wina, ale dlatego, że jak się mówi, że się lubi wino, ludzie mogą dojść do wniosku, że ich rozmówca jest alkoholikiem.

Britt-Marie nie chce, żeby ludzie dochodzili do żadnych wniosków.

– Wszyscy lubią wino, Britt! – Ktośka się szczerzy.

– Nazywam się Britt-Marie. Tylko moja siostra mówi do mnie Britt – protestuje Britt-Marie.

Twarz Ktośki się rozpromienia.

– Siostra? Jest, jak to szło… jeszcze jedna taka jak ty? Świat się cieszy!

Ktośka szczerzy zęby, jakby właśnie powiedziała żart. Jej kosztem – zakłada Britt-Marie.

– Moja siostra zmarła, kiedy byłyśmy dziećmi – informuje, nie spuszczając wzroku z kartonu.

– O kurwa! Moje, jak to szło…? Moje kondolencje – mówi smutno Ktośka.

Britt-Marie zwija mocno palce w butach.

– Ha. To miło z pani strony – odpowiada cicho.

Ktośka się szczerzy.

– Wino dobre, ale trochę, no wiesz… mętne. Trzeba przelewać przez filter do kawy kilka razy, żeby było okej! – wyjaśnia, wtajemniczając Britt-Marie, po czym spogląda na torebkę i doniczki Britt-Marie i szczerzy się jeszcze mocniej. – Chciałam ci dać, no wiesz… prezent z okazji rozpoczęcia nowej roboty, ale widzę, że to chyba bedzie, jak to szło? Prezent z okazji przeprowadzki!

Urażona Britt-Marie trzyma karton w taki sposób, jakby ten tykał.

– Pragnę zaznaczyć, że nie mieszkam tutaj.

Ktośka szczerzy zęby.

– To gdzie spałaś w nocy?

– Nie spałam – odpowiada Britt-Marie. Wygląda, jakby chciała wyrzucić karton przez drzwi i zatkać sobie uszy.

– Jest taki hotel, no wiesz… – mówi Ktośka.

Britt-Marie kiwa głową w dobrych intencjach.

– Ha, mieści się naturalnie w tym lokalu, czyż nie? Pizzeria, warsztat, poczta, sklep spożywczy i hotel. Jakże to miło. Nigdy nie musieć się decydować.

Twarz Ktośki zapada się z nieudawanego zaskoczenia.

– Hotel? Po co mi hotel? Nie, nie, nie, Britt-Marie. Trzymam się mojej głównej, jak to szło? Mojej głównej działalności.

Britt-Marie przestępuje niezdecydowanie z prawej na lewą nogę. Wreszcie odstawia karton i rusza do lodówki.

– Nie lubię hoteli – informuje, zamykając mocno drzwi lodówki.

– Kurwa, nie! Nie stawiaj wina w lodówce, bo zrobią się grudki! – krzyczy natychmiast Ktośka.

Britt-Marie wpatruje się w nią.

– Czy to doprawdy konieczne, aby przeklinać tutaj, jakbyśmy stanowili zgraję barbarzyńców?

Ktośka podjeżdża, szarpie za szuflady, aż znajduje filtry do kawy.

– Kuuurde, Britt-Marie! Zobacz. Przelewa się. Bedzie okej. Albo, no wiesz… możesz wymieszać z fantom. Mam taniom fantę, wiesz, jakbyś chciała. Z Chin!

Zatrzymuje się, kiedy zauważa ekspres. Przynajmniej jego resztki. Britt-Marie wsuwa niewygodnie jedną dłoń w drugą i kładzie obie na biodrach. Wygląda, jakby chciała usunąć niewidoczny kurz z wlotu do czarnej dziury i ukryć się w niej.

– Co się… stało? – pyta Ktośka ze wzrokiem utkwionym najpierw w mopa, a potem w kijokształtne ślady na resztkach ekspresu.

Britt-Marie dłuższą chwilę stoi w milczeniu z wypiekami na policzkach. Możliwe, że myśli o Kencie. W końcu odchrząkuje, prostuje plecy i odpowiada:

– Kamień strzelił.

Ktośka patrzy na nią. Potem na ekspres. Na mopa. Po chwili wybucha śmiechem. Głośno. A potem kaszle. I znowu głośno się śmieje. Britt-Marie czuje się głęboko urażona. To nie miało być śmieszne. Przynajmniej tak uważa Britt-Marie, o ile pamięta, nie powiedziała nic, co z założenia miało być śmieszne, od wielu lat. Dlatego czuje się urażona śmiechem, ponieważ zakłada, że Ktośka śmieje się z niej, a nie dlatego, że to było śmieszne. Tak

się zwykle zakłada, jeśli wystarczająco długo było się kimś takim, kto żyje obok mężczyzny, który cały czas próbuje być śmieszny. W ich związku nie było już miejsca na inne żarty niż jego. Kent był zabawny, a Britt-Marie wychodziła do kuchni, żeby pozmywać. Tak ułożyli sobie życie.

Mimo to Ktośka wpada w atak śmiechu połączonego z kaszlem, tak że wózek niemal się przewraca. To sprawia, że Britt-Marie czuje się niepewnie, a jej naturalną reakcją w takim stanie jest irytacja. Bynajmniej nie agresja, Britt-Marie nie jest przecież agresywną osobą. W każdym razie w sposób nadzwyczaj demonstracyjny idzie po odkurzacz w celu rozprawienia się z kanapami pokrytymi proszkiem do pieczenia.

Śmiech Ktośki przeradza się w chichot, a potem w mamrotanie „kamień strzelił", kamień na drodze, no wiesz… cholernie zabawne. Potem wydaje się, że robi krótką przerwę, by się zastanowić, po czym woła:

– W twoim samochodzie jest cholernie duży karton, wiesz?!

Jakby to miało być zaskakujące. Britt-Marie nadal słyszy chichot w głosie Ktośki.

– Jestem tego świadoma – mówi, nie odwracając się.

Słyszy, jak Ktośka zbliża się do drzwi.

– Potrzebujesz pomocy, no wiesz… żeby to przynieś?

W odpowiedzi Britt-Marie włącza odkurzacz. Ktośka przekrzykuje hałas:

– To żaden problem, Britt-Marie!

Britt-Marie z całej siły przyciska końcówkę odkurzacza do obszycia sofy. Powtarza tę czynność, dopóki Ktośka się nie podda i nie krzyknie: „No dobra, mam, no wiesz… ta fanta, jak chcesz do wina!". Potem zamykają się drzwi. Britt-Marie wyłącza odkurzacz. Nie chce być niemiła, bo nie jest bynajmniej niemiłą osobą, ale nie chce żadnej pomocy przy kartonie. Nic nie odgrywa teraz większej roli niż to, że nie chce żadnej pomocy przy kartonie.

Bo jest w nim mebel z Ikei.

Britt-Marie sama go złoży.

8

Od czasu do czasu przez Borg przejeżdża ciężarówka, na co ośrodek reaguje takimi wstrząsami, jakby stał na styku dwóch płyt kontynentalnych. Często pojawiają się w krzyżówkach, płyty kontynentalne, dlatego Britt-Marie wie takie rzeczy. Wie także, że Borg jest dokładnie takim miejscem, jakie mama Britt-Marie opisałaby jako coś „poza wszelkim poszanowaniem i przyzwoitością”, bo tak mama Britt-Marie opisywałaby wieś.

Przejeżdża jeszcze jedna ciężarówka. Zielona. Ściany się trzęsą. Britt-Marie naturalnie zrozumiała, że Borg jest tego typu miasteczkiem, do którego przyjeżdżały ciężarówki, ale obecnie jedynie tędy przejeżdżają. Nic już tu nie dociera. Nikt się nigdzie nie wybiera.

Ciężarówka sprawia, że myśli o Ingrid. Pamięta, że zdążyła ją zobaczyć przez tylną szybę. Była wtedy dzieckiem, a to był ostatni dzień, kiedy jeszcze nim była. Tamta ciężarówka też była zielona. Przez wszystkie te lata zastanawiała się, czy właściwie zdążyła krzyknąć. Jakby to robiło jakąś różnicę. Ich matka mówiła Ingrid, żeby zapięła pasy, ponieważ Ingrid nigdy tego nie robiła, i właśnie dlatego Ingrid nigdy ich nie zapinała. Kłóciły się. Dlatego jej nie zauważyły. Britt-Marie ją zobaczyła, ponieważ zawsze zapinała pasy, bo chciała, żeby mama na to zwróciła uwagę. Czego mama naturalnie nigdy nie robiła, ponieważ Britt-Marie nie trzeba było pilnować, bo zawsze wykonywała wszystkie obowiązki bez niczyjego polecenia.

Jechała z prawej strony. Zielona. To jedna z niewielu rzeczy, jakie Britt-Marie pamięta. To, że jechała z prawej strony, i krew, która była wszędzie w samochodzie jej rodziców. Ostatnią rzeczą, jaką Britt-Marie pamięta, zanim straciła przytomność, była chęć posprzątania tego. Ułożenia wszystkiego na swoje miejsce. Dlatego, kiedy obudziła się w szpitalu, podniosła się i zaczęła to robić. Sprzątać. Wszystko układać. Kiedy pochowali jej siostrę, a w domu, w mieszkaniu jej rodziców, stali nieznajomi ludzie ubrani na czarno, popijając kawę, Britt-Marie położyła podstawki pod każdą filiżanką, pozmywała wszystkie naczynia i wymyła

wszystkie okna. Kiedy jej tata zaczął coraz dłużej pracować, a mama przestała się w ogóle odzywać, Britt-Marie sprzątała. W kółko. I wszystko układała.

Miała nadzieję, że jej mama wcześniej czy później wstanie z łóżka i powie: „Ale pięknie tu wszystko posprzątałaś!”, ale to nigdy się nie stało. Nigdy nie rozmawiały o wypadku, a ponieważ nigdy tego nie robiły, nie potrafiły rozmawiać o niczym innym. Byli ludzie, którzy wyciągnęli Britt-Marie z samochodu, nie wie którzy, ale wie, że jej mama w milczącej złości nigdy im nie wybaczyła, że uratowali nie tę córkę. Być może Britt-Marie również nigdy im tego nie wybaczyła. Że uratowali życie, w którym zajmowała się jedynie chodzeniem w kółko i strachem, że umrze i będzie śmierdziała. Pewnego razu przeczytała gazetę taty i zobaczyła reklamę środka do czyszczenia okien. I tak ułożyło się jej życie.

Teraz ma sześćdziesiąt trzy lata i stoi poza wszelkim poszanowaniem i przyzwoitością, obserwując Borg przez okno kuchenne ośrodka. Brakuje jej faxinu i jej sposobu postrzegania świata.

Stoi naturalnie w wystarczającej odległości od okna, żeby nikt nie mógł zajrzeć i jej zobaczyć. Jak by to wyglądało? Jakby tam tylko stała i gapiła się całymi dniami. Jak przestępca. Jej samochód wciąż stoi na parkingu. Zapomniała kluczyków, a karton z Ikei nadal znajduje się na tylnym siedzeniu. Nie do końca wie, jak ma go przynieść do ośrodka, bo jest bardzo ciężki. Nie wie też, dlaczego jest ciężki, bo nie ma pewności, co w nim jest. Miał być taboret, niezupełnie niepodobny do tych, które są w ośrodku, ale kiedy podeszła do działu samoobsługowego w Ikei i wyszukała odpowiedni regał, okazało się, że w miejscu na taborety nic nie było. Zastanawiała się całe popołudnie, czy rzeczywiście przyjechała po taboret; cały ten antyklimaks sprawił, że tak długo stała sparaliżowana, nie wiedząc, co zrobić, aż zaczęła się obawiać, by ktoś nie zobaczył, że stoi w magazynie z niezidentyfikowanym wyrazem twarzy. Co ludzie pomyślą? Pewnie, że chce coś ukraść. Kiedy ta myśl do niej dotarła, spanikowała i z siłą, której w tej chwili nie potrafi pojąć, zdołała podnieść pierwszy lepszy karton z regału obok wózka i prawie jej się udało zrobić to w sposób niemal przekonujący, że właśnie o ten karton jej chodziło. Nie pamięta, jak go wsadziła do samochodu. Jak przypuszcza, spotkało ją to, o czym mówią w telewizji, że spotyka matki, które z nieludzką siłą podnoszą kamienne

bloki, pod którymi utknęły ich dzieci. Britt-Marie zyskuje taką moc, kiedy zaczyna się martwić, że ludzie mogliby sobie pomyśleć, że jest przestępcą.

Na wszelki wypadek oddala się od okna. Dokładnie o dwunastej stawia talerz z lanczem na stole przy kanapach. Nie dlatego, że chodzi o stolik albo o lancz, w końcu to tylko puszka orzeszków ziemnych z minibaru w hotelu i szklanka wody, ale o dwunastej cywilizowani ludzie jedzą lancz, a Britt-Marie z pewnością zalicza się do osób cywilizowanych. Kładzie ręcznik na kanapie, po czym siada na niej, kładzie orzeszki na talerzu i zjada je widelcem i nożem, co jest dokładnie tak trudne, jak to brzmi. Potem zmywa naczynia, sprząta cały ośrodek jeszcze raz tak dokładnie, że prawie kończy jej się cała soda oczyszczona, którą ma ze sobą.

W ośrodku jest mała pralka i suszarka. Britt-Marie czyści urządzenia resztką sody oczyszczonej, jak głodujący na bezludnej wyspie związują resztki żyłki do łowienia ryb. Nie dlatego, że chce zrobić pranie, ale ponieważ nie zniosłaby myśli, że coś jest brudne. W rogu za suszarką znajduje worek z białymi koszulkami, na których są jakieś liczby. Domyśla się, że są to koszulki meczowe. W całym ośrodku jest mnóstwo ścian ze zdjęciami różnych ludzi w takich koszulkach. Naturalnie widać na nich wszędzie plamy z trawy. Britt-Marie za nic nie potrafi pojąć, jak można się zdecydować na uprawianie sportu na dworze, kiedy ma się na sobie białą koszulkę. Barbarzyństwo.

Wyciąga komórkę i dzwoni do dziewczyny z urzędu pracy, żeby zapytać, czy może sklep spożywczy-pizzeria-warsztat samochodowy-urząd pocztowy prowadzi sprzedaż sody oczyszczonej. Soda oczyszczona świetnie sobie radzi z plamami z trawy. Dziewczyna nie odbiera. Naturalnie jest zajęta swoimi statystykami. Fakt, że Britt-Marie kona gdzieś w dziczy, nikogo nie obchodzi.

Przynosi płaszcz. Zaraz obok drzwi wejściowych, obok zdjęć futbolówek i ludzi, którzy nie mają nic lepszego do roboty, niż je kopać, wisi żółta koszulka z napisem „Bank” nad dziesiątką. Zaraz pod spodem wisi zdjęcie starszego mężczyzny, który trzyma tę samą koszulkę, dumnie się uśmiechając.

Britt-Marie wkłada płaszcz i otwiera drzwi. Stoi tam jakaś twarz, która najwyraźniej chciała zapukać. Twarz ma pod wargą porcję snusu. Jest to

doprawdy zły początek chwilowej relacji Britt-Marie z twarzą, ponieważ Britt-Marie w każdy możliwy sposób nienawidzi snusu. Kończy się po dwudziestu minutach, relacja, bo twarz z porcją snusu pod wargą oddala się, mrucząc coś pod nosem, co zdecydowanie brzmi jak „zrzędząca jędza”.

Wtedy Britt-Marie znowu wyciąga telefon komórkowy i dzwoni na jedyny numer, który kiedykolwiek był z niego wybierany. Dziewczyna z urzędu pracy nadal nie odbiera. Britt-Marie znowu dzwoni, ponieważ rozmowy telefoniczne to nie jest coś, czego można nie odbierać. Nawet jeśli ktoś dzwoni o dwunastej albo o szóstej. Szczególnie nie wtedy, bo to pora posiłków, a jeśli ktoś dzwoni o tej porze, wiadomo, że stało się coś ważnego. Żaden cywilizowany człowiek nie zadzwoniłby przecież w samej porze posiłku.

– Tak? – mówi w końcu dziewczyna z jedzeniem w ustach.

– Ha – mówi Britt-Marie po drugiej stronie.

– Britt-Marie? – mlaska dziewczyna.

– Mówi pani z jedzeniem w ustach, cóż, jakże pani pracodawca musi się cieszyć, że czuje się pani tak swobodnie w pracy – mówi troskliwie Britt-Marie.

– Przepraszam. Właśnie jadłam lancz – mówi dziewczyna w sposób zupełnie nieprzemyślany.

– Teraz? Jest wpół do drugiej! – wybucha Britt-Marie, jakby dziewczyna sobie żartowała.

Britt-Marie nie lubi żartów na żaden temat.

– Mhm, miałam trochę dużo spraw do załatwienia, więc zdecydowałam się na późny lancz w pracy – mówi dziewczyna trochę tak, jak by się powiedziało „trochę dużo” o tych sprawach, których było dzisiaj dużo, bo polegały na znalezieniu osoby zajmującej się usuwaniem szkodników w pobliżu Borg.

Britt-Marie wzdycha z najlepszymi intencjami. Bynajmniej nie krytycznie.

– Droga pani, przecież nie żyjemy w czasach wojny. Nie jemy doprawdy lanczu o wpół do drugiej.

Dziewczyna nie odpowiada, ponieważ nie jest całkowicie pewna, czy to były pytania, czy zdania oznajmujące. Britt-Marie kontynuuje, nie tracąc nic ze swojej troskliwości.

– Gdyby zorganizowała pani lepiej swoje życie, nie musiałaby się pani martwić, że nie zdąży pani zjeść lanczu, nie sądzi pani?

Dziewczyna przeżuwa dokładnie swój posiłek. Próbuje odważnie zmienić temat rozmowy:

– Czy był deratyzator? Dzwoniłam kilka godzin, ale w końcu udało mi się znaleźć kogoś od nagłych przy…

– To była kobieta. Bardzo nowocześnie! – informuje Britt-Marie.

– Aha – mówi dziewczyna.

– Miała snus w ustach – odpowiada Britt-Marie, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

– Aha – powtarza dziewczyna.

– Ha – mówi Britt-Marie.

– A zajęła się szczurem? – pyta dziewczyna.

– Bynajmniej – skarży się Britt-Marie.

– Co? – nie dowierza dziewczyna.

– Weszła tutaj w brudnych butach, a ja dopiero co przetarłam podłogę. Na dodatek miała snus w ustach. Mówiła, że chce rozstawić pułapki z trucizną, tak powiedziała, a przecież tak się nie robi. Uważa pani, że można tak robić? Rozstawiać gdzie popadnie truciznę?

– N… ie? – próbuje dziewczyna.

– Nie! Przecież tak nie można. Bynajmniej. Ktoś może przecież umrzeć! I to właśnie powiedziałam. A ona stała i przewracała oczami w brudnych butach i ze snusem pod wargą, i powiedziała, że włoży do pułapki na szczury snickersa! Snickersa!

Britt-Marie podnosi głos. Dziewczyna go obniża.

– Snickersa? To znaczy… czekoladę?

– Na moją świeżo przetartą podłogę – mówi Britt-Marie takim tonem, jak osoby wydające wewnętrzne okrzyki.

– Okej – mówi dziewczyna i od razu żałuje, ponieważ dochodzi do niej, że wcale nie jest okej.

Po drugiej stronie panuje cisza taka jak wtedy, kiedy Britt-Marie poprawia włosy. Po chwili Britt-Marie zbiera się w sobie i mówi dalej:

– Wtedy powiedziałam, że może być trucizna, i wie pani, co ona wtedy powiedziała? Wyobraża sobie pani? Powiedziała, że jak szczur zje truciznę, to nie będzie wiadomo, gdzie pójdzie umrzeć. Może się schować gdzieś za ścianą, leżeć tam i śmierdzieć! Wiedziała pani? Czy pani wiedziała, że

ściągnęła tu pani kobietę ze snusem pod wargą, która uważa, że pozwalanie, aby zwierzęta umierały i śmierdziały za ścianą, jest całkowicie normalne?

– Nie, nie, droga Britt-Marie, starałam się tylko pomóc – mówi dziewczyna takim tonem, jakby znowu położyła czoło na kancie biurka.

– Ha. Piękna mi pomoc. Doprawdy. Domyślam się, że pani nie rozumie, że niektórzy z nas mają inne rzeczy do zrobienia niż rozprawianie się z deratyzatorką całymi dniami – mówi Britt-Marie z samymi dobrymi intencjami.

– Dokładnie – przytakuje dziewczyna.

– Słucham? – pyta Britt-Marie.

– Nic, zupełnie nic – odpowiada dziewczyna.

Britt-Marie milczy bardzo długo, po czym w końcu mówi:

– He.

9

Jest kolejka w sklepie spożywczym. Albo w pizzerii. Albo w urzędzie pocztowym. Albo w warsztacie samochodowym. Albo w czymkolwiek to jest. Tak czy siak, jest kolejka. W środku popołudnia. Jakby ludzie o tej porze nie mieli nic lepszego do roboty.

Brodaci mężczyźni w bejsbolówkach piją kawę i czytają popołudniowe gazety przy jednym ze stołów. Karl stoi na samym przodzie. Odbiera paczkę. „Jakże to miło – myśli Britt-Marie – że ma tyle wolnego czasu”. Trzydziestoletnia kobieta o figurze sześcianu stoi w kolejce przed Britt-Marie. Nosi okulary przeciwsłoneczne. W sklepie. Naturalnie bardzo nowocześnie. Ma z sobą białego psa. Britt-Marie nie potrafi sobie wyobrazić, że to może być higieniczne. Kobieta kupuje kostkę masła, piwo z etykietą z zagranicznymi literami, które Ktośka przynosi z zaplecza, dużą wytłoczkę z jajkami, cztery opakowania bekonu i więcej rodzajów ciastek czekoladowych, niż w opinii Britt-Marie jakikolwiek cywilizowany człowiek może mieć potrzebę zgromadzić. Ktośka pyta, czy chce to kupić na zeszyt. Kobieta gorzko potakuje głową. Wkłada wszystko do reklamówki. Britt-Marie naturalnie nigdy by nie pomyślała, że tamta jest „gruba”, bo Britt-Marie nie jest doprawdy osobą, która w ten sposób myśli o ludziach, więc myśli, jak to miło, że kobieta może przejść przez życie, zupełnie się nie martwiąc swoim poziomem cholesterolu we krwi.

– Ślepa jesteś czy co? – wyrzuca z siebie kobieta w tej samej chwili, obracając się i kierując prosto na Britt-Marie.

Britt-Marie otwiera szeroko oczy ze zdziwienia. Poprawia włosy.

– Bynajmniej. Widzę doskonale. Rozmawiałam na ten temat z moim optykiem. Jeśli chce pani wiedzieć, droga pani, powiedział: „Widzi pani doskonale, Britt-Marie”! – informuje.

– No to może byś się przesunęła? – mamrocze kobieta, wymachując laską.

Britt-Marie spogląda na laskę. Patrzy na psa i okulary słoneczne. Bełkocze „ha, ha, ha”, skinąwszy głową w przepraszającym geście, po czym zauważa, że skinienie nie miało żadnego znaczenia. Ślepa kobieta przechodzi bardziej przez Britt-Marie niż obok niej. Za nimi dzwonią radośnie drzwi.

Ktośka przejeżdża obok Britt-Marie i kiwa zachęcająco głową.

– Wal ją. Jest jak Karl. Ma komary w dupie, no wiesz.

Robi ręką gest, który, jak sądzi Britt-Marie, ma przedstawiać, jak daleko znajduje się to pierwsze w tym ostatnim, po czym stawia na ladzie stos pustych kartonów na pizzę. Britt-Marie poprawia włosy, poprawia spódnicę i instynktownie poprawia karton na samej górze, kiedy ten się przekrzywia, próbując poprawić tymczasem swoją godność, po czym mówi z prawdziwą troską w głosie:

– Pragnę zostać poinformowana o postępach poczynionych w naprawie mojego samochodu.

Ktośka drapie się po głowie.

– Jasne, jasne. Samochód, tak. Słuchaj, muszę cię tylko zapytać: A te drzwi, to som ważne dla ciebie?

– Cóż, na Boga, chce pani przez to powiedzieć? – pyta przestraszona Britt-Marie.

Ktośka rozkłada ramiona.

– No wiesz, tylko pytam. Kolor: ważny dla Britt-Marie, kumam. Żółte drzwi: nie w porządku. Więc pytam: Czy drzwi som ważne dla Britt-Marie? Bo jak nie, to samochód Britt-Marie jest… naprawiony! Jak drzwi ważne… no to wiesz. Jak to szło? Terminy!

Ktośka wygląda na zadowoloną. W przeciwieństwie do Britt-Marie.

– Muszę, na Boga, mieć drzwi w samochodzie! – wybucha.

Ktośka wymachuje rękami w obronnym geście.

– Jasne, jasne, nie źlij się, Britt-Marie. Tylko pytam. Jak majom być drzwi, to bedom terminy!

Ktośka odmierza kilka centymetrów powietrza między kciukiem a palcem wskazującym, żeby zilustrować, ile mniej więcej czasu zajmą „terminy”.

Britt-Marie dostrzega, że ta kobieta ma nad nią przewagę w negocjacjach. Powinien tu być Kent, bo on uwielbia negocjować. Zawsze

mówi, że należy w takich sytuacjach prawić komplementy. Dlatego Britt-Marie skupia się, po czym mówi:

– Tu w Borg wszyscy mają czas, aby robić zakupy całymi popołudniami. Jakże to miło mieć tyle wolnego czasu.

Ktośka podnosi brwi.

– A ty? Ty jesteś bardzo… jak to było? Zajęta?

Britt-Marie zakłada cierpliwie jedną dłoń na drugą.

– Pragnę poinformować, że jestem niezwykle zajęta. Niezwykle. Jednak przypadkowo skończyła mi się soda oczyszczona. Czy prowadzi pani sprzedaż sody oczyszczonej w tym… sklepie?

Wymawia słowo „sklep” z boską wręcz wyrozumiałością.

– VEGA! – krzyczy od razu Ktośka, tak że Britt-Marie aż podskakuje i prawie wywraca stos kartonów do pizzy.

Dziecko z wczoraj pojawia się za ladą. Nadal trzyma piłkę. Obok niej stoi chłopiec, który wygląda prawie tak samo jak ona, chociaż ma dłuższe włosy. Z pewnością to bardzo nowoczesne.

– Soda oczyszczona dla tej damy, jeśli mogę, jak to szło? Jak mogę prosić! – mówi Ktośka z bardzo przesadzonym teatralnym ukłonem w stronę Britt-Marie, którego Britt-Marie w ogóle nie docenia.

– To ona – szepce Vega do chłopca.

Chłopiec wygląda nagle, jakby Britt-Marie była zgubionym kluczem. Wbiega do magazynu i zaraz wraca, niemalże potykając się z dwiema butelkami w rękach. To faxin. Britt-Marie traci oddech.

Domyśla się, że to, co potem odczuwa, pojawia się w krzyżówkach jako „eksterioryzacja”. Zapomina na chwilę o tym, że sklep spożywczy, pizzeria, brodaci mężczyźni, kubki z kawą i popołudniowe gazety wokół niej istnieją. Serce jej wali, jakby chciało wyskoczyć. Kiedy Britt-Marie wreszcie dochodzi do siebie, uważa, że to niezwykle irytujące. Doświadczyć kołatania serca, kiedy ktoś właśnie pije kawę.

Chłopiec stawia butelki na ladzie jak kot, który właśnie złapał wiewiórkę. Koniuszki palców dotykają ich, jednak godność Britt-Marie rozkazuje im, żeby przestały. Czuje się, jakby wróciła do domu.

– Wydawało mi się, że mówiła pani… że nie ma go już w asortymencie – szepce do Ktośki.

Chłopiec odpowiada:

– Luz! Omar załatwi wszystko!

Żarliwie wskazuje na samego siebie.

– To ja jestem Omar!

Wskazuje jeszcze gorliwiej na butelki z faxinem.

– Wszystkie zagraniczne ciężarówki zatrzymują się na stacji w mieście! Znam tam wszystkich! Załatwię wszystko, co trzeba!

Ktośka potakuje pedagogicznie głową.

– Zamkli stację w Borg. No wiesz… nie opłacało się.

– Mogę załatwić benzynę w kanistrze, jak chcesz. Dostawa gratis! Mogę załatwić więcej faxinu, jeśli pani chce! – woła chłopiec.

Vega przewraca oczami.

– To ja mówiłam, że ona potrzebuje faxin – syczy na chłopca, kładąc na ladzie sodę oczyszczoną.

– Ale to ja go załatwiłem! – upiera się chłopiec, nie spuszczając wzroku z Britt-Marie.

– To mój młodszy brat Omar – wzdycha Vega do Britt-Marie.

– Urodziliśmy się w tym samym roku! – protestuje Omar.

– Jasne! W styczniu i grudniu! – parska Vega.

– To ja potrafię wszystko najlepiej załatwić w Borg. Ja tu rządzę. Jak coś pani potrzebuje, niech pani przyjdzie do mnie! – mówi Omar do Britt-Marie, puszczając do niej pewnie oko i nie przejmując się, że siostra kopie go w łydkę.

– Ciota! – wzdycha Vega.

– *Bitch!* – odpowiada Omar.

Britt-Marie nie wie, czy powinna się czuć skonsternowana, czy dumna, że wie, iż to oznacza coś złego, ale nie zastanawia się nad tym zbyt długo, bo po chwili Omar leży na podłodze, trzymając się za wargę. Vega wychodzi przez drzwi z piłką w jednej ręce, drugą ma dalej zaciśniętą.

Ktośka szczerzy się do Omara.

– Masz, jak to szło? Haribo zamiast mózgu! Nigdy się nie nauczysz!

– Co za trzęsidupa, nie byłem gotowy – syczy Omar i wstaje. Na twarzy nadal ma krew.

Ktośka przynosi więcej wódki.

– Nie byłem gotowy, trzeba być totalnym cykorem, żeby bić kogoś, kto nie jest gotowy! – powtarza Omar, zwracając się do Britt-Marie.

Britt-Marie nie wygląda jak ktoś, kto wie, co należy odpowiedzieć w takiej sytuacji. Omar wyciera usta, a potem momentalnie o wszystkim zapomina. Jak bardzo małe dziecko, które zapomina, żeby się rozpłakać, że spadły mu lody, bo widzi, jak błyszczy odbijająca się piłka.

– Jak potrzebuje pani nowe felgi do samochodu, mogę je załatwić. Albo cokolwiek. Szampon albo torebkę, albo cokolwiek. Wszystko załatwię!

– Chcesz plaster?! – woła Ktośka z nieukrywaną *schadenfreude*, wskazując na jego wargę.

Britt-Marie trzyma mocno torebkę i poprawia włosy, jakby chłopiec obraził je obie.

– Nie potrzebuję bynajmniej ani szamponu, ani torebki.

Omar wskazuje butelki z faxinem.

– Idą po trzydzieści, jeśli chce pani wziąć je na kredyt.

– Na kredyt? – wybucha Britt-Marie, z nie mniejszym przerażeniem, niż gdyby ją poproszono, żeby zapłaciła w naturze.

– Wszyscy kupują na kredyt w Borg. Żaden wstyd – mówi chłopiec.

– Nie kupuję doprawdy na kredyt! Domyślam się, że tego w Borg nie rozumiecie, ale niektórzy z nas naprawdę mogą za siebie zapłacić! – syczy Britt-Marie.

Ostatnie słowa jej się wymykają. Nie powiedziała tego celowo.

Ktośka przestaje się szczerzyć. Chłopiec i Britt-Marie robią się czerwoni na twarzy z powodu różnego rodzaju wstydu. Britt-Marie kładzie szybko pieniądze na ladzie, chłopiec je bierze i wybiega przez drzwi. Wkrótce znowu słychać uderzenia. Britt-Marie nie rusza się i unika wzroku Ktośki.

– Nie dostałam paragonu – stwierdza cicho, zupełnie nie oskarżycielsko.

Ktośka potrząsa głową i cmoka.

– Czy on wygląda jak Ikea? On nie jest, jak to szło? Spółkom akcyjnom, no wiesz. To tylko chłopak z rowerem.

– Ha – mówi Britt-Marie.

– Czy to wszystko? – pyta Ktośka wyraźnie mniej uprzejmie, wkładając puszkę z sodą i faxin do reklamówki.

Britt-Marie uśmiecha się najostrożniej, jak tylko potrafi.

– Proszę uprzejmie, aby pani zrozumiała, że trzeba wydać paragon. W przeciwnym wypadku nie da się udowodnić, że nie jest się przestępcą – wyjaśnia.

Ktośka przewraca oczami. Britt-Marie uważa to za niepotrzebne. Ktośka wbija coś na kasie fiskalnej. Otwiera się pojemnik na pieniądze, który raczej niczego nie zawiera, po czym maszyna wypluwa z siebie wyblakłą karteczkę.

– To bedzie sześćset siedemdziesiąt trzy korony i pięćdziesiąt öre – mówi Ktośka.

Britt-Marie patrzy, jakby coś utknęło jej w gardle.

– Za sodę oczyszczoną?

Ktośka wskazuje na coś za drzwiami.

– Za wgniecenie. Przeprowadziłam taką, jak to szło? Kontrolę powierzchni! Nie chcę, jak to było? Urazić cię, Britt-Marie. Więc nie dostaniesz kredytu. Sześćset siedemdziesiąt trzy korony i pięćdziesiąt öre.

Britt-Marie prawie upuszcza torebkę, tak poważna staje się cała sytuacja.

– Mam tylko… kto, na Boga, nosi…? Chyba żadna cywilizowana osoba nie chodzi z taką ilością gotówki przy sobie.

Mówi to szczególnie głośno. Tak, żeby wszyscy w lokalu na wszelki wypadek usłyszeli, gdyby ktoś z nich był przestępcą. Są to oczywiście tylko brodaci mężczyźni z kawą i żaden z nich nawet nie podnosi oczu, jednak mimo wszystko. Przestępcy bywają brodaci. Britt-Marie nie ma doprawdy żadnych uprzedzeń.

– Można kartą? – pyta, czując wzbierające gorąco przy kościach policzkowych.

Ktośka potrząsa zdecydowanie głową.

– W karty to można grać. Tu się płaci gotówkom, Britt-Marie.

– Ha. W takim razie proszę o opis drogi do najbliższego bankomatu – prosi Britt-Marie.

– Jest w mieście – mówi Ktośka chłodno i krzyżuje ramiona.

– Ha – mówi Britt-Marie.

– Zlikwidowali bankomat w Borg, nie opłacało się – mówi Ktośka z podniesionymi brwiami, wskazując na paragon.

Britt-Marie desperacko błądzi wzrokiem wzdłuż ścian, starając się odciągnąć uwagę od swoich krwistoczerwonych policzków. Na ścianie wisi żółta koszulka, dokładnie taka sama jak w ośrodku. Z napisem „Bank” nad dziesiątką na plecach.

Ktośka widzi, że Britt-Marie na nią patrzy, więc zamyka kasę, zawiązuje reklamówkę z sodą oczyszczoną i podaje ją nad ladą.

– Tu nie ma wstydu wziąść coś na kredyt, wiesz, Britt-Marie. Może to wstyd tam, skąd pochodzisz, ale w Borg to żaden wstyd – mówi.

Britt-Marie odbiera reklamówkę, dalej nie wiedząc, co ma zrobić z oczami. Ktośka bierze łyk wódki i kiwa głową w kierunku żółtej koszulki na ścianie.

– Najlepsza zawodniczka w Borg. Nazywała się „Bank”, no wiesz… bo kiedy Bank grała dla Borg, to było… jak to było? Jak pieniądze w banku! To było dawno temu… Przed kryzysem. Potem, no wiesz… przyszła choroba. Był inny kryzys. Przeprowadziła się. Aż do teraz.

Wskazuje głową na drzwi. Piłka odbija się o płot.

– Jej ojciec trenował gówniarzy. Trzymał ich przy życiu. Całe Borg w zasadzie, no wiesz… Kumplował się ze wszystkimi! Ale Bóg, no wiesz, kurwa, ten liczyć to nie potrafi. Daje zawały nie tym, co trzeba, i tym, co na coś się przydajom. Jej ojciec umarł miesiąc temu.

Drewniane ściany trzeszczą i ocierają się o siebie. Jak stare domy i starzy ludzie. Jeden z mężczyzn z popołudniówkami podchodzi do lady po dolewkę kawy. Dolewki są tu darmowe, zauważa Britt-Marie.

– Znaleźli go na, jak to szło? Podłodze w kuchni! – dodaje Ktośka.

– Słucham? – mówi Britt-Marie.

Ktośka wskazuje na żółtą koszulkę. Wzrusza ramionami.

– Ojca Bank. Na podłodze w kuchni. Któregoś ranka. Nie żył już.

Wystukuje coś palcami. Britt-Marie się wzdryga. Przechodzi jej przez myśl, że ktoś mógłby ją znaleźć na podłodze w kuchni. Myśli o zawale Kenta. On zawsze się przydawał. Britt-Marie ściska mocniej reklamówkę z faxinem i sodą oczyszczoną. Stoi długo, milcząc tak, że Ktośka zaczyna wyglądać na zaniepokojoną.

– Hej, potrzebujesz jeszcze coś? Mam taki, no wiesz… jak to szło? Baileys! Czekoladowa gorzałka! Taka podróba, ale można dodać kakao i wódę i wtedy da się wypić. Jak, no wiesz… wypijesz szybko!

Britt-Marie potrząsa energicznie głową. Idzie w kierunku drzwi, ale coś na podłodze sprawia, że się zatrzymuje. Obraca się ostrożnie, po czy zmienia zdanie i znowu się obraca.

Nie jest bynajmniej osobą spontaniczną, należy to sobie uzmysłowić. „Spontaniczny” jest synonimem słowa „irracjonalny”, taki jest zdecydowany pogląd Britt-Marie, a osobą irracjonalną Britt-Marie doprawdy nie jest. Dlatego to nie jest dla niej łatwe. Jednak w końcu mimo

wszystko się obraca, zmienia zdanie i znowu się obraca, tak że w końcu, stojąc obrócona w kierunku drzwi, obniża głos i pyta najbardziej spontanicznie, jak tylko jest w stanie:

– Czy prowadzą państwo przypadkiem sprzedaż snickersów?

W Borg w styczniu robi się wcześnie ciemno. Britt-Marie wraca do ośrodka i siedzi sama na jednym z taboretów w kuchni z drzwiami wejściowymi otwartymi na oścież. Nie robi sobie nic z chłodu. Ani z czekania. Jest przyzwyczajona. Ma dużo czasu, żeby się zastanowić, czy to, co teraz przechodzi, to jakiegoś rodzaju kryzys życiowy. Czytała o nich. Co chwilę przytrafiają się ludziom.

Szczur wchodzi przez otwarte drzwi dwadzieścia po szóstej. Siedzi na progu i z dużą czujnością obserwuje snickersa, który leży na talerzu na małym ręczniku. Britt-Marie obserwuje surowo szczura i zakłada zdecydowanie jedną rękę na drugą.

– Od teraz będziemy jeść kolację o szóstej. Jak cywilizowani ludzie.

Po chwili namysłu dodaje:

– Albo jak szczury.

Szczur patrzy na batonik. Britt-Marie ściągnęła z niego opakowanie i położyła go na środku talerza, a obok umieściła schludnie złożoną serwetkę. Patrzy na szczura. Odchrząkuje.

– Ha. Nie jestem szczególnie dobra w rozpoczynaniu tego typu konwersacji. Brak mi społecznych kompetencji, jak mówi mój mąż. On jest bardzo społeczny, wszyscy to mówią. Przedsiębiorca, ma się rozumieć.

Kiedy szczur nie odpowiada, dodaje:

– Niezwykle utalentowany. Niezwykle.

Rozważa przez chwilę, czy opowiedzieć szczurowi o swoim kryzysie życiowym. Wyobraża sobie, że chciałaby wytłumaczyć, jak trudno jest wiedzieć, kim się jest, kiedy jest się samemu, a zawsze się było dla kogoś innego. Nie chce jednak zakłopotać szczura. Dlatego poprawia fałdę spódnicy i mówi bardzo formalnie:

– Chciałabym zaproponować następujący układ. Dla pana oznaczałby on gotową kolację o szóstej każdego dnia. – Robi wyjaśniający gest w kierunku batonika. – Umowa niniejsza, jeśli uznałby ją pan za korzystną dla obu stron, oznaczałaby, że nie pozwolę panu leżeć gdzieś za ścianą

i śmierdzieć w przypadku pana śmierci. Tak że ktoś będzie wiedział, że pan jest.

Szczur tupta ostrożnie w kierunku batonika. Wyciąga szyję i go wącha. Britt-Marie usuwa niewidoczne okruszki z kolana.

– Kiedy się umiera, z ciała ulatnia się soda oczyszczona, drogi panie. Dlatego się śmierdzi. Czytałam o tym, kiedy umarła Ingrid.

Wąsy szczura wibrują sceptycznie. Britt-Marie odchrząkuje przepraszająco.

– Ingrid była moją siostrą, drogi panie. Zmarła. Martwiłam się, że będzie śmierdziała. W ten sposób dowiedziałam się o sodzie oczyszczonej. Ciało produkuje sodę oczyszczoną, żeby zneutralizować gazy trawienne w żołądku. Kiedy się umiera, ciało przestaje wytwarzać sodę oczyszczoną, po czym gazy przeżerają się przez skórę i wydostają się na podłogę. Właśnie to wtedy śmierdzi, drogi panie.

Rozważa, czy nie dodać, że zawsze wyobrażała sobie, że dusza ludzka znajduje się w sodzie oczyszczonej. Kiedy opuszcza ciało, nie ma już nic. Są tylko narzekający sąsiedzi. Jednak nic nie mówi. Nie chce sprawiać kłopotów.

Szczur zjada kolację, ale nie mówi, że była dobra.

A Britt-Marie nie pyta.

10

Właściwie wszystko zaczyna się tego wieczoru.

Zima jest łagodna, śnieg zamienia się w deszcz między niebem a ziemią. Dzieci grają w piłkę w ciemności, ale nie przejmują się ani mrokiem, ani pogodą. Parking zostaje łaskawie obdarzony światłem tylko w tych miejscach, do których dociera neonowe oświetlenie z pizzerii albo z okna kuchennego, gdzie za zasłoną stoi Britt-Marie i patrzy na nie. Bogiem a prawdą, większość dzieci wydaje się tak beznadziejna w futbolu, że światło dzienne wpłynęłoby na ich umiejętność trafienia w piłkę w bardzo marginalny sposób.

Szczur poszedł do domu. Britt-Marie zamknęła drzwi, pozmywała naczynia i posprzątała jeszcze raz cały ośrodek, a teraz stoi przy oknie i patrzy na świat. Od czasu do czasu piłka odbija się w kałużach i wylatuje w kierunku drogi, wtedy dzieci grają w kamień, papier, nożyce, żeby zdecydować, które z nich po nią pobiegnie. Britt-Marie nie uważa, żeby to było higieniczne. Nie chodzi o to, że ma coś przeciwko dzieciom, do takich osób Britt-Marie nie należy, ale uważa, że należy dbać o higienę podczas zabawy. Kent mawiał zwykle do Davida i Pernilli, kiedy byli mali, że Britt-Marie nie potrafi się bawić, bo „nie wie, jak to się robi”. Ale to nieprawda. Britt-Marie doskonale wie, jak się gra w kamień, papier, nożyce. Uważa jedynie, że niehigieniczne jest zawijanie kamieni w papier. Nie mówiąc o nożycach. Kto wie, gdzie mogły wcześniej leżeć.

Kent zawsze mówi, że Britt-Marie jest „cholernie negatywna”. I że to jeden z objawów braku kompetencji społecznych. „Do diabła! Postaraj się być trochę bardziej pozytywna!”, szczerzy się zawsze, kiedy przychodzi do kuchni po papierosy, a ona zmywa naczynia. Kent zajmuje się gośćmi, a Britt-Marie zmywaniem, tak podzielili sobie życie. Kent jest raczej pozytywny, a Britt-Marie raczej negatywna. Może tak jest. Może łatwiej jest być optymistą, jeśli nigdy nie trzeba po sobie sprzątać bałaganu.

Rodzeństwo Vega i Omar grają w różnych drużynach. Ona jest spokojna i sprytna, kopie piłkę wewnętrzną częścią stopy, zginając palce w taki sposób, jak zgina się delikatnie palce u nóg przez sen, leżąc obok kogoś, kogo się kocha. Jej brat jest z kolei wściekły i sfrustrowany, goni za piłką, jakby mu była winna pieniądze. Britt-Marie nie wie doprawdy nic o piłce nożnej, ale nie trzeba wiele wiedzieć, by zauważyć, że Vega gra najlepiej ze wszystkich dzieci na parkingu. Albo przynajmniej najmniej źle. Omar jest ciągle w cieniu siostry. Wszyscy są w jej cieniu. Vega przypomina jej Ingrid.

Ingrid nigdy nie była negatywna. Z tego typu ludźmi zawsze tak jest, że trudno stwierdzić, czy ludzie kochali Ingrid, bo była pozytywna, czy też była taka pozytywna, bo wszyscy ją kochali. Siostra Britt-Marie była starsza i wyższa o pięć centymetrów. Nie trzeba wiele, aby umieścić kogoś w swoim cieniu, wystarczy pięć centymetrów. Dla Britt-Marie nie miało to nigdy znaczenia, że żyła w czyimś cieniu, nigdy nie pragnęła niczego innego, ponieważ nigdy nie pragnęła szczególnie wielu rzeczy. Czasami wyobrażała sobie, że to zrobi, zapragnie czegoś, będzie chciała czegoś tak bardzo, że nie będzie mogła wytrzymać. Wydawało się to takie ekscytujące. Ale potem jej przechodziło.

Ingrid wręcz umierała z pragnienia różnych rzeczy – kariery muzycznej, sławy, na którą była skazana, i chłopaków gdzieś daleko w świecie, którzy byli kimś więcej niż zwykli chłopcy z tej samej klatki schodowej i to, co mieli do zaoferowania. Ci zwykli chłopcy, którzy według Britt-Marie byli absolutnie nieskończenie zbyt niezwykli, żeby chociaż spojrzeć na Britt-Marie, byli jej zdaniem absolutnie zbyt zwykli, żeby mogli zasłużyć na jej siostrę.

To byli bracia, chłopcy z klatki schodowej. Alf i Kent. Bili się o wszystko. Britt-Marie nie mogła tego zrozumieć. Sama wszędzie chodziła za swoją siostrą. Ingrid to nigdy nie przeszkadzało. Przeciwnie. „Jesteśmy ty i ja, Britt”, szeptała w nocy, kiedy opowiadała historie o tym, jak będą mieszkać w Paryżu w pałacu ze służbą. Właśnie dlatego nazywała swoją młodszą siostrę „Britt”, bo to brzmiało bardziej amerykańsko. Wydawało się trochę niejasne, dlaczego należy mieć amerykańskie imiona w Paryżu, ale Britt-Marie doprawdy nigdy nie była taką osobą, która niepotrzebnie lubi cokolwiek kwestionować.

Vega jest bardziej zawzięta, ale kiedy się śmieje, gdy jej drużyna strzela bramkę między dwie puszki po coli w deszczu i parkingowym mroku, jest to śmiech Ingrid. Ingrid też kochała się bawić. To jest tak, jak jest zawsze z takimi ludźmi: trudno rozstrzygnąć, czy była najlepsza w różnych grach, bo je kochała, czy też kochała je, bo była najlepsza.

Mały rudy chłopiec mocno dostaje w twarz piłką. Upada jak długi w błotnistą kałużę. Britt-Marie się wzdryga. To ta sama piłka, którą Britt-Marie dostała w głowę, i kiedy widzi na niej błoto, chce sama zaordynować sobie szczepionkę przeciwko tężcowi. Jednak trudno jej oderwać wzrok od gry. Bo Ingrid by się spodobała.

Gdyby tu był Kent, powiedziałby oczywiście, że dzieci grają jak cioty. Kent potrafi niemal wszystko, co mu się nie podoba, opisać, używając słowa „ciota” na początku lub na końcu swojej wypowiedzi. Britt-Marie nie jest szczególnie zachwycona ironią, ale uważa, że jest w tym coś ironicznego, że jedyny zawodnik, który nie gra jak ciota, to ta dziewczynka.

Wreszcie dochodzi do siebie i odsuwa się od okna, zanim ktoś zdąży sobie coś pomyśleć. Jest po ósmej, więc ośrodek pogrąża się ponownie w ciemności zepsutych lamp. Britt-Marie podlewa w mroku balkonowe doniczki. Posypuje ziemię sodą oczyszczoną. Najbardziej brakuje jej balkonu. Nigdy nie jest się samotnym, kiedy człowiek stoi na balkonie, ma się wtedy samochody, domy i ludzi na ulicy. Jest się wśród nich, choć nie z nimi. To największa zaleta balkonu. A druga jest taka, że można stać na nim rano, zanim Kent się obudzi, zamknąć oczy i poczuć wiatr we włosach. Britt-Marie często tak robiła i czuła się wtedy jak w Paryżu. Naturalnie nigdy nie była w Paryżu, bo Kent nie ma tam żadnych interesów, ale rozwiązała pokaźną liczbę krzyżówek na temat Paryża. To najbardziej optymalne pod względem krzyżówek miasto świata, a Ingrid zawsze mówiła, że tam zamieszkają, jak dorosną, ona i Britt-Marie. Kiedy Ingrid zostanie gwiazdą. Gwiazdy mieszkają w Paryżu i mają służbę, to Ingrid wiedziała, a Britt-Marie wystarczało, jak tylko coś uszczęśliwiało Ingrid. Britt-Marie nie ma też nic przeciwko temu, żeby nazywać się Britt, po amerykańsku, ale bardzo ją niepokoi służba. Nie chciała, aby sobie pomyśleli, że siostra Britt-Marie nie potrafi sprzątać i musi kogoś do tego zatrudniać. Britt-Marie słyszała, jak ich mama mówiła o tego typu ludziach z pogardą, a Britt-Marie nie chciała, żeby ktoś w ten sposób mówił o Ingrid.

Dlatego kiedy Ingrid radziła sobie świetnie ze wszystkim w szerokim świecie, Britt-Marie postanowiła dobrze sobie radzić ze wszystkim zaraz obok. Ze sprzątaniem. Porządkowaniem. Siostra to widziała. Widziała ją. Britt-Marie układała jej codziennie włosy, a siostra nigdy nie zapominała powiedzieć: „Dziękuję, jak ładnie to zrobiłaś, Britt!”, kiedy obracała głową przed lustrem w rytmie swoich płyt gramofonowych. Britt-Marie nigdy nie miała płyt gramofonowych. Nie trzeba, kiedy ma się starszą siostrę, która je ma.

Britt-Marie jej brakuje. Brakuje jej siostry bardziej niż balkonu.

Kiedy Britt-Marie słyszy pukanie do drzwi, wzdryga się, jakby ktoś cisnął przez nie siekierą. Na zewnątrz stoi Vega. Bez siekiery. Ściekają z niej za to deszcz i błoto. Britt-Marie wydaje wewnętrzne okrzyki.

– Dlaczego nie zapala pani lamp? – pyta Vega, zaglądając do środka.

Britt-Marie zakłada ręce.

– Nie działają, moja droga.

– A zmieniła pani żarówki? – pyta Vega ze zmarszczonym czołem, jakby musiała się opanować, żeby za chwilę nie zawołać „MOJA DROGA!”.

Przy jej boku pojawia się Omar. Ma błoto w dziurkach od nosa. W samym środku. Britt-Marie nie rozumie, jak coś takiego może się zdarzyć. Istnieje przecież, na Boga, prawo ciążenia.

– Potrzebuje pani żarówki? Mam zajebiste żarówki energooszczędne! Dla pani promocyjna cena! – mówi żarliwie chłopiec i wyciąga plecak.

Vega kopie go w łydkę. Patrzy na Britt-Marie z wymuszoną dyplomacją nastolatki.

– Czy możemy tutaj pooglądać mecz? – pyta.

– Jaki… mecz? – pyta Britt-Marie.

– Mecz! – odpowiada Vega podobnym tonem, jakim ktoś odpowiedziałby „Papież!” na pytanie: „Jaki papież?”.

Britt-Marie kładzie jedną rękę na drugą.

– Czego?

– Piłki nożnej! – wykrzykują Vega i Omar jedno przez drugie i gapią się na Britt-Marie w ten sam sposób, jak robiły to dzieci Kenta, kiedy były bardzo małe, a Kent robił znak cudzysłowu w powietrzu, kiedy mówił „Święty Mikołaj”.

– Ha – mamrocze Britt-Marie i patrzy z niesmakiem na ich umazane błotem ubrania. Bynajmniej nie na dzieci. Na ubrania. Britt-Marie nie czuje bynajmniej obrzydzenia w stosunku do dzieci.

– Pozwalał nam tutaj oglądać – mówi Vega, wskazując na zdjęcie po wewnętrznej stronie drzwi. Jest na nim starszy mężczyzna trzymający koszulkę z napisem „Bank”.

Na innym zdjęciu, zaraz obok, stoi ten sam mężczyzna przy ciężarówce i ma na sobie białą kurtkę z napisem „Borg FC” na jednej kieszeni i „Trener” na drugiej. Przydałoby się ją wyprać, zauważa Britt-Marie. W tym miasteczku chyba nikt nigdy nie słyszał o sodzie oczyszczonej.

– Nie zostałam o tym poinformowana. Musicie się skontaktować z tym panem – mówi Britt-Marie.

Cisza między nimi pozbawia powietrze tlenu.

– On nie żyje – mówi w końcu Vega do swoich butów.

Britt-Marie patrzy na mężczyznę na zdjęciu. Potem na swoje dłonie.

– Przy… ha. Przykro mi. Nie należy jednak mnie o to obwiniać – mówi.

Vega patrzy na nią z nienawiścią. Po chwili szturcha Omara w bok i syczy:

– Chodź, Omar, spadamy. Walić ją.

Obraca się i odchodzi, kiedy Britt-Marie zauważa, że pozostała trójka dzieci stoi metr dalej i czeka. Wszystkie mają po kilkanaście lat. Jedno rudowłose, jedno czarnowłose i jedno z wysoką zawartością cholesterolu we krwi. Britt-Marie nie ma uprzedzeń, ale kiedy widzi, jak na nią patrzą, czuje się trochę, jakby ją o coś oskarżano. To nie jest uczucie, które Britt-Marie docenia. W pizzerii jest jasno. Okna ujawniają, że w środku musi się znajdować co najmniej jeden telewizor.

– Czy można zapytać, dlaczego nie oglądacie piłki nożnej w pizzerii albo warsztacie, albo czymkolwiek to miejsce jest, jeśli ma to jakieś znaczenie? – pyta Britt-Marie pod każdym możliwym względem uprzejmie i bynajmniej nie konfrontacyjnie.

Omar kopie piłkę w kierunku parkingu i mówi cicho:

– Tam piją. Jak przegrają.

– Ha. A jak wygrają? – pyta Britt-Marie.

– Wtedy piją jeszcze więcej. Dlatego pozwalał nam tutaj oglądać – odpowiada Omar.

Wskazuje znowu mężczyznę na zdjęciu. Britt-Marie ściska mocniej dłonie.

– Ha. Ha.

Potem opanowuje się i od razu dorzuca:

– A własnych domów z telewizorami naturalnie nie macie w tym mieście?

Odpowiada Vega, stoi dziesięć metrów dalej, a każda sylaba jest opleciona drutem kolczastym:

– U nas w domu nie zmieści się cała drużyna, a my zawsze oglądamy mecze razem! Jak drużyna!

Britt-Marie usuwa pyłki ze spódnicy.

– Wydawało mi się, że nie macie już żadnej drużyny.

– MAMY DRUŻYNĘ! – wrzeszczy Vega i zaczyna iść w kierunku Britt-Marie. Kiedy jest o kilka kroków od niej, podnosi palec wskazujący i krzyczy: – Jesteśmy tutaj, no nie? Jesteśmy! Jak drużyna! Nawet jak nam zabiorą to cholerne boisko i cholerny klub i jak nasz trener dostanie zawału serca i umrze, to jesteśmy, do kurwy nędzy, drużyną!

Britt-Marie kręci się nieco nerwowo z powodu szalonego wzroku dziecka, który się w nią wbija. Nie jest to bynajmniej odpowiedni dobór słów. Jednak teraz po policzku dziecka ciekną w uporządkowany sposób łzy, a Britt-Marie wygląda, jakby nie mogła rozstrzygnąć, czy dziecko zamierza ją przytulić, czy uderzyć. Britt-Marie sprawia wyraźne wrażenie, że obydwie alternatywy są równie przerażające.

– Proszę tu zaczekać – mówi spanikowana i znowu zamyka drzwi.

Właśnie to się dzieje, zanim wszystko się zacznie.

Britt-Marie stoi w mroku za drzwiami. Wdycha zapach mokrej ziemi z doniczek i sody oczyszczonej. Pamięta zapach alkoholu i odgłosy meczów piłki nożnej Kenta. Nigdy nie wychodził na balkon. Bał się wysokości. Od tamtej pory balkon należał tylko do Britt-Marie, ta jedna jedyna rzecz. Zawsze mówiła, że kupiła jakieś rośliny, bo wiedziała, że on powie coś niemiłego, kiedy się przyzna, że znalazła je w śmieciach albo na ulicy. Pozostawione przez jakiegoś sąsiada, który się wyprowadził. Przypominały jej o Ingrid, bo Ingrid kochała żyjące rzeczy. Dlatego Britt-Marie ratowała wciąż życie bezdomnym roślinkom, żeby nie zapomnieć

o siostrze, która nie potrafiła uratować życia choć jednej. Takich rzeczy nie dało się opowiedzieć Kentowi.

Kent nie wierzy w śmierć, wierzy w ewolucję. „Ewolucja” – kiwał zadowolony głową, kiedy oglądał program przyrodniczy o lwie, który zjadał zebrę. „No… usuwają słabsze osobniki. Przecież chodzi o przeżycie, każdy powinien to zrozumieć. Jak się nie jest debeściakiem od początku, trzeba zrobić miejsce innym, tak?”.

Nie da się rozmawiać z takim człowiekiem o roślinach doniczkowych.

Ani o tęsknocie.

Koniuszki palców Britt-Marie drżą nieco, kiedy podnosi komórkę. Dziewczyna z urzędu pracy odpowiada za trzecim razem.

– Halo? – dyszy dziewczyna.

Britt-Marie bierze głęboki, dobrze przemyślany oddech.

– Tak się teraz odpowiada? Dysząc? – pyta.

– Britt-Marie? Jestem w siłowni! – krzyczy dziewczyna.

– Ależ to miło! – stwierdza Britt-Marie.

– Czy coś się stało? – wzdycha dziewczyna.

– Tu są dzieci. Mówią, że chcą obejrzeć jakiś mecz.

– A, mecz, no tak! Jak też zamierzam go obejrzeć – odpowiada ochoczo dziewczyna.

– Nie zostałam poinformowana, że w zakres moich obowiązków wchodzą też dzieci – mówi zupełnie nieochoczo Britt-Marie.

Dziewczyna po drugiej stronie wzdycha całkiem niepotrzebnie i niecierpliwie.

– Britt-Marie, przykro mi, ale nie wolno mi rozmawiać przez telefon w siłowni.

Potem wyrzuca z siebie:

– Ale to chyba dobrze, prawda? Jak dzieci będą tam oglądać piłkę, a pani umrze, to one to zauważą!

Śmieje się krótko. Potem bardzo, bardzo długo panuje cisza. Dziewczyna bierze zawzięty oddech w akompaniamencie bieżni, która się zatrzymuje.

– Okej, przepraszam, Britt-Marie, tylko żartowałam. Niepotrzebnie to powiedziałam. Nie miałam tego na my… halo?

Britt-Marie odłożyła już słuchawkę. Otwiera drzwi pół minuty później, trzymając świeżo wyprane koszulki schludnie złożone w stos.

– Nie wejdziecie w każdym razie w tych zabłoconych ubraniach, właśnie przetarłam podłogę! – mówi do dzieci, po czym się powstrzymuje.

Wśród nich stoi policjant. Jest niski i okrągły, a granica pomiędzy jego włosami i twarzą wygląda jak trawnik następnego dnia po tym, jak ktoś poustawiał na nim wszędzie jednorazowe grille.

– Co wyście nawyprawiali? – syczy Britt-Marie do Vegi zaledwie trochę oskarżycielsko.

– Że niby co? – syczy Vega i odwraca się do policjanta, wskazując na Britt-Marie. – Ona nie pozwala nam tutaj oglądać meczu!

Britt-Marie wskazuje od razu na Vegę i wbija defensywnie wzrok w policjanta.

– Te dzieci uderzyły mnie wczoraj w głowę!

– NIESPECJALNIE! – krzyczy Vega.

Policjant wygląda na zdezorientowanego, ale w końcu decyduje, że najbardziej odpowiednie w tej sytuacji, z zawodowego punktu widzenia, będzie przekazanie Britt-Marie dużego słoika.

– Nazywam się Sven. Chciałem tylko przywitać panią w Borg. A to dżem dla pani.

Britt-Marie przypatruje się słoikowi. Vega patrzy na Svena. Sven drapie się nieobecnie po mundurze.

– To dżem jagodowy. Sam go zrobiłem. Byłem na takim kursie. W mieście.

Britt-Marie lustruje go spojrzeniem z góry na dół. Po drodze robi przerwę, kiedy dociera do koszuli, która opina mu brzuch.

– Nie mam koszulki w pana rozmiarze – informuje.

Sven się czerwieni.

– Nie, nie… nie o to mi chodziło. Chciałem tylko… przywitać panią w Borg. Tylko to chciałem powiedzieć!

Nieliczne kępki włosów wciskają słoik Vedze i potykają się o próg, kierując się na parking w stronę pizzerii. Vega patrzy na słoik. A Omar na pusty serdeczny palec Britt-Marie i się szczerzy.

– Ma pani męża? – pyta.

Britt-Marie doznaje szoku, kiedy orientuje się, jak szybko odpowiada:

– Jestem rozwiedziona.

Mówi to po raz pierwszy. Omar szczerzy się jeszcze mocniej i wskazuje głową na Svena.

– Sven nikogo nie ma, tak tylko, żeby pani wiedziała.

Britt-Marie słyszy, jak inne dzieci chichoczą. Kładzie koszulki na ramionach Omara i wyrywa Vedze słoik.

– Dlaczego on ma na sobie mundur?

Dzieci milkną, nie okazując zrozumienia.

– Co? – pyta Omar.

– Dlaczego ma na sobie mundur, skoro jest kawalerem? Przecież należy go nosić jedynie w czasie pracy! – wyjaśnia oburzona Britt-Marie.

Znika w mroku ośrodka. Ponad połowa z tuzina dzieci stoi nadal w progu i przewraca oczami.

Właśnie tak wszystko się zaczyna.

11

Futbol to dziwna gra, ponieważ nie prosi, aby ją kochać. Ona tego żąda.

Britt-Marie błądzi po ośrodku jak nieszczęsny duch, którego grób ktoś otworzył i zdecydował się tam urządzić dyskotekę. Dzieci siedzą w białych koszulkach na kanapie i piją colę. Britt-Marie naturalnie dopilnowała, żeby usiadły na ręcznikach, ponieważ nie ma wystarczająco dużo sody, żeby oczyścić dzieci. Naturalnie zadbała też o to, aby miały podkładki pod napojami. Nie było jednak prawdziwych podkładek, więc Britt-Marie urwała po dwa listki papieru toaletowego i złożyła je na pół. Potrzeba matką wynalazków, ale nawet ona powinna zrozumieć, że nie kładzie się puszki z napojem gazowanym prosto na stole, takie jest zdecydowane przekonanie Britt-Marie.

Stawia też szklanki przed dziećmi. Jedno z nich, to którego Britt-Marie nigdy by nie nazwała „grubasem”, ale które w każdym razie wygląda, jakby wypiło wiele napojów gazowanych innych dzieci, mówi do niej radośnie: „Najchętniej piję z puszki”.

– Wykluczone, tu pijemy ze szklanek – wyrzuca z siebie Britt-Marie z bezkompromisową artykulacją.

– Dlaczego? – pyta chłopiec.

– Bo nie jesteśmy zwierzętami – informuje Britt-Marie.

Chłopiec patrzy na swoją puszkę, długo się zastanawia, po czym pyta:

– Które zwierzę poza człowiekiem potrafi pić z puszki?

Britt-Marie nie odpowiada. Podnosi za to piloty z podłogi i kładzie je na stole, po czym przestraszona od razu odskakuje kilka metrów, kiedy dzieci na sofie taktownie wydają z siebie jednym głosem „NIEEE!”, jakby Britt-Marie rzuciła im piloty w twarz.

– Żadnych pilotów na stole! – krzyczy przerażony chłopiec od napojów gazowanych.

– To przynosi pecha! Przecież przegramy! – wydziera się Omar, podbiegając i zrzucając je znowu na podłogę.

– Jacy my? – pyta Britt-Marie, jakby straciła rozum.

Omar wskazuje na dorosłych mężczyzn w telewizji, którzy z całą pewnością nie wiedzą, że on istnieje.

– My! – powtarza pewnie, jakby to coś miało oznaczać.

Britt-Marie zauważa, że włożył koszulkę tyłem do przodu. Poprawia włosy i zaczyna czuć się zestresowana.

– Nie uznaję tutaj krzyków. Nie uznaję też zakładania ubrań tyłem do przodu, jakbyście byli jakimiś gangsterami – wyjaśnia i podnosi piloty z podłogi.

– Przegramy, jeśli będą na swoim miejscu – wyjaśnia Omar i wskazuje na mecz w telewizji.

Tak jakby rozsądne było postrzeganie życia w ten sposób.

Britt-Marie nawet nie wie, jak zareagować na taki poziom głupoty, więc wynosi piloty i zabłocone ubrania dzieci do pralni. Kiedy włącza pralkę i się obraca, widzi przed sobą rudowłosego chłopca. Wygląda na zmieszanego. Britt-Marie splata ręce i nie wygląda jak osoba gotowa na rozmowę.

– Są przesądni, wszystko musi być tak, jak było, kiedy ostatnio wygraliśmy – mówi chłopiec, wyjaśniając i broniąc się, a jednocześnie patrzy w kierunku telewizora.

– Jacy „my”? – powtarza Britt-Marie, gapiąc się na ekran, gdzie dwóch dorosłych mężczyzn w koszulkach z reklamami w obcych językach biega dookoła.

Chłopiec nie wygląda, jakby pytanie cokolwiek dla niego znaczyło.

– My – odpowiada.

– Ha – mówi Britt-Marie.

Chłopiec potakuje ostrożnie głową.

– To ja uderzyłem panią wczoraj piłką w głowę. To nie było specjalnie. Jestem słaby w celowaniu. Mam nadzieję, że nie zniszczyłem pani fryzury – mówi.

Britt-Marie oczyszcza ręką spódnicę, poprawia włosy, bo nie potrafi się powstrzymać.

– Kiedy nie dostaliście się do drużyny w mieście, powinniście to może potraktować jako aluzję – mówi.

– Ma pani ładną fryzurę – mówi rudowłosy chłopiec z szybko znikającym uśmiechem, po czym odwraca się w progu i idzie z powrotem na kanapę.

Trudno stwierdzić, czy nie zrozumiał, co ona miała na myśli, czy też wolał tego nie zrozumieć. Britt-Marie patrzy za nim i mimo wszystko nie ma żadnych negatywnych uczuć w stosunku do niego. Chłopiec siada na końcu przy ścianie między czarnowłosym dzieckiem a tym, które pije najwięcej napojów gazowanych, tak że go nie widać.

– To Pirat – mówi Vega.

Pojawia się obok Britt-Marie. Najwidoczniej ma to w zwyczaju, pojawianie się znikąd. Jej koszulka jest nieco za duża. Lub może jej ciało jest za małe.

– Pirat – powtarza Britt-Marie w taki sposób, w jaki to robi, kiedy musi wydobyć z siebie całą życzliwość, żeby nie oświadczyć krytycznie, że Pirat nie nadaje się na imię dla nikogo innego poza piratami.

Vega wskazuje pozostałą dwójkę na kanapie.

– A to jest Ropucha. I Dino.

Jednak to przekracza granicę życzliwości Britt-Marie.

– Przecież to, na Boga, nie są żadne imiona! – wyjaśnia.

Vega nie wygląda na kogoś, kto wie, co Britt-Marie ma na myśli.

– To dlatego, że on jest z Somalii – mówi, wskazując na jednego z chłopców, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

Kiedy widać po Britt-Marie, że to nic nie wyjaśnia, Vega wzdycha ze znudzenia i mówi:

– Kiedy Dino wprowadził się do Borg, a Omar usłyszał słowo „Somalijczyk”, pomyślał, że Dino nazywa się „sommelier”, wie pani, taki, co pije wino w telewizji. Dlatego nazwaliśmy go „wino”. A to się rymuje z Dino. Dlatego nazywamy go teraz Dino.

Britt-Marie patrzy na Vegę, jakby ta zasnęła pijana w łóżku Britt-Marie.

– Wasze prawdziwe imiona naturalnie się nie nadawały, bynajmniej.

Vega nie wygląda na kogoś, kto rozumie różnicę.

– Nie może przecież nazywać się tak samo jak my. Nie wiedzielibyśmy, komu podać, jak gramy.

Britt-Marie parska krótko przez nos, ponieważ tak kipi poirytowanie, kiedy się go zbierze za dużo w głowie.

– Ma przecież, na Boga, prawdziwe imię! – wyrzuca z siebie.

Vega wzrusza ramionami.

– Nie mówił za dużo, kiedy tu się przeprowadził, więc nie wiedzieliśmy, jak się nazywa, ale śmiał się, słysząc słowo „Dino”, a my lubiliśmy, kiedy się śmiał. Więc tak zostało.

Jakby świat właśnie tak działał. Jakby można było tak po prostu wybierać imiona. Britt-Marie usuwa tak dużo niewidzialnego kurzu ze swojej spódnicy, że aż ją zaczyna boleć nadgarstek. Vega wskazuje na chłopca od napojów gazowanych.

– Ropuchę nazywamy Ropuchą, bo nazywa się Patrik i dlatego, że potrafi zajebiście głośno bekać. A Pirata nazywamy Piratem, bo nie wiem… bo tak.

Wskazuje głową na rudowłosego chłopca, którego nie widać. Britt-Marie uśmiecha się pobłażliwie i mówi:

– Ale drużyn dla dziewczynek, w których mogłabyś grać, nie ma bynajmniej, prawda?

Vega potrząsa głową.

– Wszystkie dziewczyny grają w mieście w drużynie.

Britt-Marie potakuje głową niezwykle życzliwie. Niezwykle.

– Ale ta drużyna naturalnie ci nie wystarczała.

Vega wygląda na wkurzoną.

– To jest moja drużyna! – odpowiada.

Jakby to była odpowiedź.

Jeden zawodnik w telewizji tarza się po trawie. Omar wykorzystuje przerwę, żeby wspiąć się na jeden z kuchennych taboretów i zacząć na kredyt wymieniać żarówki. Britt-Marie krąży zaniepokojona wokół niego i stwierdza:

– Nie niepokoi cię bynajmniej, że możesz spaść z tego taboretu, zepsuć go i umrzeć. Bynajmniej. Jakże to miło.

Omar wygląda, jakby właśnie tak się czuł. Vega rozgląda się nagle dookoła, jakby zniknął jakiś człowiek.

– Gdzie jest piłka? – pyta zwrócona w stronę pokoju.

– *Shit*! Na zewnątrz! – krzyczy Omar, patrząc na deszcz za oknem.

– Chyba, na Boga, nie zamierzacie przynieść tutaj piłki! – dyszy przerażona Britt-Marie.

– Przecież nie może leżeć w deszczu, rozumie pani! – mówi Vega równie przerażona, jakby chodziło o jakąś osobę.

Zanim Britt-Marie zdąży się zorientować, co się za chwilę wydarzy, w całym pokoju rozpoczyna się seria rozgrywek w kamień, papier, nożyce, aż rudowłosy Pirat chyba przegrywa, wstaje z kanapy i zmierza w stronę drzwi.

– Koniec świata! Nie w świeżo wypranej koszulce! Nie! – wydobywa z siebie Britt-Marie tak zła, że aż jej się ręce trzęsą.

Łapie go za kołnierzyk, ale on włożył już buty i przekroczył próg. Rozgorączkowana Britt-Marie wybiega za nim w butach.

– Nie w świeżo wypranej koszulce! – krzyczy, po czym deszcz spada na jej fryzurę.

Chłopiec stoi dwa metry dalej z zabłoconą piłką w ramionach.

– Przepraszam – mamrocze, patrząc w dół.

Britt-Marie nie wie, czy chłopiec chce przeprosić ją, czy piłkę. Trzyma ręce nad głową, żeby deszcz nie zniszczył jej fryzury. Chłopiec zerka na nią, uśmiecha się szczerze, choć jest nieco speszony, a potem spuszcza wzrok.

– Czy mogę o coś zapytać? – pyta.

– Słucham? – mówi Britt-Marie z deszczem na twarzy.

– Czy pomogłaby mi pani coś zrobić z moimi włosami? – mamrocze, unikając kontaktu wzrokowego.

– Słucham? – pyta Britt-Marie, akcentując „łu” i patrząc na plamę z błota zrobioną przez piłkę na świeżo wypranej koszulce chłopca.

– Idę jutro na randkę. Chciałem… Pomyślałem, że zapytam panią, czy pomoże mi ułożyć włosy – wydobywa z siebie.

Britt-Marie kiwa głową, jakby pytanie wcale jej nie zdziwiło.

– Fryzjerów nie macie tutaj naturalnie w Borg, bynajmniej. Czyli to też będzie teraz moja praca, to chcesz mi powiedzieć? Tak?

Chłopiec kiwa głową, spoglądając na piłkę.

– Ma pani ładną fryzurę. Pomyślałem, że pani potrafi dobrze układać włosy, bo ma pani ładną fryzurę. Nie ma żadnego fryzjera w Borg, bo go zamknęli.

Deszcz nieco łagodnieje. Britt-Marie nadal trzyma dłonie jak skośny dach nad fryzurą, tak że deszcz spływa jej po rękawach.

– Czy tak to się teraz nazywa? „Randka”? – mówi nieco podejrzliwie.

– A jak to się nazywało wcześniej? – pyta chłopiec, podnosząc wzrok.

– W moich czasach mówiło się „schadzka” – mówi zdecydowanie Britt-Marie.

Być może nie jest ekspertem w tej dziedzinie, musi to przyznać. Była tylko raz na schadzce z dwoma różnymi chłopcami. Za jednego później wyszła. Deszcz całkowicie ustaje, kiedy stoją tam razem, Britt-Marie, rudowłosy chłopiec i zabłocona piłka.

– My mówimy „randka”, przynajmniej ja tak mówię – mamrocze chłopiec.

Britt-Marie bierze głęboki wdech i unika unikania przez niego wzroku.

– Musisz zrozumieć, że nie mogę teraz na to odpowiedzieć, bo mam swoją listę w torebce – mówi cicho.

Chłopiec zaczyna od razu kiwać głową z entuzjazmem, który jest nieco niepokojący.

– Nie ma sprawy! Jutro mogę kiedy bądź!

– Ha. Do szkoły to wy naturalnie tutaj w Borg nie chodzicie, bynajmniej – stwierdza Britt-Marie.

– Jest przerwa świąteczna – mówi chłopiec.

Potem cisza zostaje przerwana euforycznymi wrzaskami dobiegającymi z ośrodka. Staje się to tak nagle, że wystraszona Britt-Marie pociąga chłopca za koszulkę, a chłopiec z zaskoczenia podaje jej piłkę. Na żakiecie pojawia się błoto. Pół sekundy później ryczą mężczyźni w pizzerii, tak że neonówka nad drzwiami zaczyna się trząść.

– O co chodzi? – dopytuje się Britt-Marie z paniką w oczach, upuszczając piłkę.

– Strzeliliśmy bramkę! – wyje przeszczęśliwy Pirat.

– Jacy my? – pyta Britt-Marie.

Pirat podnosi piłkę i patrzy na nią, jakby to było filozoficzne pytanie.

– Nasza drużyna! – mówi niewyrozumiale.

– Wydawało mi się, że nie macie żadnej drużyny! – syczy Britt-Marie.

– To znaczy: drużyna, za którą idziemy! W telewizji! – stara się wyjaśnić chłopiec.

– Co masz na myśli? – dopytuje się Britt-Marie.

Chłopiec otwiera usta ze zdziwienia.

– To znaczy… drużyna, której kibicujemy.

Poirytowana Britt-Marie splata dłonie przed sobą.

– To nie jest wasza drużyna, skoro w niej nie gracie, mój drogi – wyjaśnia.

Chłopiec zastanawia się nad tym chwilę. Potem wydaje się mocniej ściskać piłkę.

– Kibicujemy tej drużynie dłużej, niż grają w niej niektórzy zawodnicy. Więc to jest bardziej nasza drużyna niż ich.

– To niedorzeczne – parska Britt-Marie.

W następnej sekundzie przez styczniowy wieczór przedziera się dźwięk zamykających się od ośrodka drzwi. Britt-Marie kręci się z przerażenia i biegnie w ich kierunku. Chłopiec biegnie za nią. Drzwi są zamknięte od wewnątrz.

– Zamknęli, żebyśmy nie weszli! Bo byliśmy na zewnątrz, kiedy strzelili bramkę! – stęka zdyszany i szczęśliwy Pirat.

– Co, na Boga, chcesz przez to powiedzieć? – dopytuje się Britt-Marie i ciągnie desperacko za klamkę.

– Czyli chodzi o to, żebyśmy byli na dworze, bo jak tu jesteśmy, to strzelamy bramki! Przynosimy tu szczęście! – krzyczy chłopiec.

Jakby to było rozsądne. Britt-Marie gapi się na niego, jakby to doprawdy nie było rozsądne. Jednak potem stoją na parkingu, pomimo że znowu zaczyna padać, a Britt-Marie nie mówi już nic.

Po raz pierwszy od bardzo dawna ktoś jej powiedział, że jest ważne, aby gdzieś była.

Futbol to dziwna gra. Ponieważ nie prosi, aby ją kochać.

12

Dzieci otwierają drzwi w połowie meczu i wpuszczają Britt-Marie i Pirata. Britt-Marie spędza całą drugą połowę meczu przed lustrem w łazience. Najpierw dlatego, że nie chce wyjść i ryzykować rozmowy z którymś z dzieci, a potem dlatego, że ich drużyna znowu strzela gola w telewizji i dzieci od razu zakazują jej wychodzenia przed końcem meczu. Dlatego Britt-Marie zostaje w łazience i suszy włosy, przynosi szczęście i przeżywa kryzys życiowy. Da się zrobić te wszystkie rzeczy naraz.

Odbicie w lustrze należy do kogoś innego, kogoś, komu kolejne zimy pozostawiły ślady na twarzy. Zimy zawsze były najgorsze, zarówno dla roślin balkonowych, jak i dla Britt-Marie. Teraz walczy, aby nauczyć się żyć z ciszą, bo w ciszy nikt nie wie, czy ktoś istnieje. Zima to cicha pora roku izolująca ludzi od siebie. Sprawia, że świat milczy.

To właśnie cisza sparaliżowała Britt-Marie, kiedy umarła Ingrid. Jej tata wracał do domu coraz później, wkrótce tak późno, że Britt-Marie zawsze już spała. Potem obudziła się pewnego ranka, dopiero kiedy wrócił do domu. W końcu obudziła się pewnego ranka przez to, że wcale nie wrócił do domu.

Jej mama mówiła o tym coraz mniej. Leżała rano coraz dłużej w łóżku. Britt-Marie kręciła się po mieszkaniu, tak jak robią to dzieci w cichych światach. Raz przewróciła wazon tylko po to, żeby mama nakrzyczała na nią z sypialni. Jednak mama nie krzyknęła. Britt-Marie posprzątała skorupy. Później już nigdy nie przewróciła żadnego wazonu. Następnego dnia mama leżała w łóżku aż do obiadu, który ugotowała Britt-Marie. Kolejnego dnia wstała jeszcze później. Aż w końcu w ogóle nie wstała.

Britt-Marie była prawie sama na pogrzebie mamy. Istniało oczywiście kilku przyjaciół mamy, którzy przysłali bardzo ładne kwiaty i złożyli kondolencje, byli tylko po prostu zbyt zajęci życiem, żeby odwiedzić kogoś, kto jest już martwy. Britt-Marie podcinała kwiaty i zmieniała wodę. Wysprzątała mieszkanie, umyła wszystkie okna, a następnego dnia wyszła

wyrzucić śmieci i spotkała Kenta na klatce schodowej. Patrzyli na siebie, jak to robią dzieci, które dorosły. Był wcześniej żonaty i miał dwójkę dzieci, ale niedawno się rozwiódł i wrócił do domu, żeby odwiedzić swoją mamę. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył Britt-Marie. Bo wtedy na nią patrzył.

Britt-Marie pociera palec serdeczny przed lustrem. Biała obwódka wygląda jak tatuaż. Szydzi z niej. Ktoś puka do łazienki. Przed drzwiami stoi Pirat.

– Ha. Wygraliście? – pyta Britt-Marie, jakby została narażona na okropną zniewagę, gdy tymczasem odczuła ulgę, że mogła zostać w łazience, nie musząc się z nikim integrować.

Łazienki przypominają w tym balkony. Pomagają uniknąć samotności, jednocześnie nie zmuszając do integracji.

– Dwa do zera! – przytakuje szczęśliwy Pirat.

– Przebywałam tutaj cały czas, ponieważ tak mi kazaliście. Nie mam problemów jelitowych – mówi Britt-Marie bardzo poważnie.

Zmieszany Pirat kiwa głową i mamrocze „okej”, wskazując na drzwi wejściowe. Są otwarte.

– Sven tu znowu jest.

Policjant stoi na progu i niezdarnie podnosi rękę, chcąc się przywitać.

Britt-Marie wycofuje się i zamyka za sobą drzwi do łazienki z wyraźnie obrażoną miną. Układa dokładnie włosy, bierze głęboki wdech i ponownie wychodzi.

– Ha? – mówi do policjanta.

Policjant uśmiecha się i wyciąga kartkę. Upuszcza ją w chwili, gdy ma ją podać Britt-Marie.

– Oj, przepraszam, chciałem tylko to pani przekazać. Pomyślałem sobie, to znaczy pomyśleliśmy sobie, że…

Robi gest w kierunku pizzerii. Britt-Marie przypuszcza, że chodzi mu o to, że rozmawiał z Ktośką. Ponownie się uśmiecha. Zakłada dłonie wysoko nad brzuchem. Zmienia zdanie i krzyżuje ramiona prawie na wysokości brody.

– Pomyśleliśmy, że musi pani przecież gdzieś zamieszkać. Domyślam się, że nie chce pani mieszkać w hotelu w mieście.

Po chwili dodaje wyjaśniająco:

– Może pani oczywiście mieszkać tam, gdzie pani chce! Naturalnie! Pomyśleliśmy tylko, że to może być inne rozwiązanie. Jak pani myśli?

Britt-Marie patrzy na kartkę. To napisane ręcznie i z błędami ortograficznymi ogłoszenie o wynajmie pokoju. Na dole widnieje rysunek tańczącego ludzika w kapeluszu. Jest w najwyższym stopniu niejasne, co ludzik ma wspólnego z ogłoszeniem. Policjant wymachuje entuzjastycznie ramionami.

– Pomogłem jej zrobić to ogłoszenie. Chodziłem w mieście na kurs komputerowy. Gospodyni jest niezwykle serdeczna i właśnie wróciła do Borg. No, może to tylko chwilowe, bo zamierza sprzedać dom. Ale to tu, w Borg, niedaleko. Mogę panią podwieźć.

Brwi Britt-Marie zbliżają się do siebie. Na parkingu stoi radiowóz.

– Tym czymś? – pyta.

Policjant potakuje żarliwie.

– Tak, słyszałem, że pani samochód jest w naprawie, ale mogę panią podwieźć. To żaden problem, żaden!

Britt-Marie kiwa powoli głową.

– Rozumiem, przynajmniej nie dla pana. Za to ja mam chcieć być wożona po całym mieście, jakbym była jakimś przestępcą. To ma pan na myśli?

Policjant wygląda na zawstydzonego.

– Nie, nie. Naturalnie pani tego nie chce. Naturalnie.

– Nie, bynajmniej – mówi Britt-Marie.

Policjant kiwa głową z zażenowaniem. Britt-Marie kiwa głową pewnie.

– Czy jeszcze coś? – pyta.

Sven potrząsa głową. Britt-Marie robi to samo. Policjant odwraca się ze spuszczonym wzrokiem i odchodzi. Britt-Marie zamyka drzwi.

Dzieci zostają w ośrodku, dopóki Britt-Marie nie zdąży wysuszyć ich ubrań w suszarce. Ubrania, których nie można suszyć w suszarce, rozwiesza tak, aby mogły je znaleźć następnego dnia. Większość z nich idzie do domu w koszulkach futbolowych. Tak oto Britt-Marie w pewien sposób staje się trenerką drużyny piłkarskiej. Chodzi tylko o to, że nikt jej jeszcze tego nie powiedział.

Żadne dziecko nie dziękuje za wypranie koszulek. Drzwi zamykają się za nimi i ośrodek pogrąża się w tego typu ciszy, jaką jedynie dzieci i piłki

potrafią zostawić. Britt-Marie zbiera ze stołu talerze i puszki. Omar i Vega zostawili talerze w zlewie. Nie pozmywali ich ani nie włożyli do zmywarki, nawet nie opłukali, tylko położyli w zlewozmywaku. Kent też tak czasami robił i wyglądał, jakby spodziewał się za to podziękowania. Jakby chciał, żeby Britt-Marie wiedziała, że jak talerz leży czysty i wytarty w szufladzie, to on, Kent, doprawdy wykonał należną część pracy.

Ktoś puka do drzwi ośrodka. Nie jest to cywilizowana pora na takie rzeczy. Britt-Marie zakłada, że to jedno z dzieci czegoś zapomniało. Otwiera, mówiąc:

– Ha?

Potem widzi, że na zewnątrz znowu stoi policjant. Uśmiecha się zakłopotany. Britt-Marie natychmiast zmienia ton na:

– Ha!

To dwie zupełnie różne rzeczy. Przynajmniej kiedy Britt-Marie je wymawia. Policjant przełyka ślinę, wygląda, jakby zbierał się na odwagę, potem pociąga trochę za szybko za bambusową zasłonę, tak że prawie uderza nią Britt-Marie w czoło.

– Przepraszam, ja tylko chciałem… to jest bambusowa zasłona! – mówi, upuszczając ją w błoto.

– Ha… – mówi Britt-Marie, nieco się wahając.

Policjant kiwa głową z zażenowaniem.

– Sam ją zrobiłem! Chodziłem w mieście na kurs. „Wschodnioazjatyckie wzornictwo wnętrz”.

Znowu kiwa głową. Jakby czekał, aż Britt-Marie coś powie. Jednak nic takiego się nie dzieje. Policjant podnosi bambusową zasłonę na wysokość twarzy.

– Może pani trzymać zasłonę w oknie samochodu, żeby nie było widać, że to pani.

Wskazuje energicznie na radiowóz. Potem na zasłonę.

Potem znowu zaczyna padać deszcz. Jak to się zwykle dzieje w Borg. To musi być przyjemne nie mieć nic innego do roboty.

– Może pani trzymać ją nad głową w drodze do samochodu, jak parasolkę, tak żeby się pani nie zepsuła fryzura! – mówi policjant.

Britt-Marie wkłada niepewnie jedną dłoń w drugą.

– Ha.

Policjant przełyka ponownie ślinę, błądzi wzrokiem. Przejeżdża palcami po bambusie.

– Naturalnie pani nie musi, nie, wcale. Pomyślałem tylko, że powinna pani gdzieś zamieszkać w trakcie swojej wizyty w Borg. Pomyślałem, że to jest, no wie pani… że nie przystoi damie nocować w ośrodku.

Potem długo stoją, milcząc. Britt-Marie wkłada jedną dłoń w drugą, a potem na odwrót, aż w końcu bierze nieskończenie cierpliwy wdech. Nie jest to bynajmniej westchnienie. Następnie mówi:

– Muszę pozbierać swoje rzeczy.

Policjant kiwa żarliwie głową. Britt-Marie zamyka drzwi i zostawia swojego rozmówcę w deszczu.

Tak się rozwija. To, co się zaczęło.

13

Britt-Marie otwiera drzwi. Sven podaje jej zasłonę z bambusa, a ona jemu doniczki na balkon.

– Powiedziano mi, że na tylnym siedzeniu pani samochodu leży duży karton, czy mam go przenieść do mojego auta? – pyta usłużnie.

– Absolutnie nie! – odpowiada Britt-Marie z nieco mniejszym przerażeniem, niż gdyby jej zaproponowano podpalenie kartonu.

Policjant od razu kiwa głową, przepraszając.

– Naturalnie, naturalnie.

Britt-Marie widzi, jak brodaci mężczyźni w bejsbolówkach wychodzą z pizzerii. Kiwają głową w kierunku policjanta, ten im odmachuje. Nie wydają się widzieć Britt-Marie. Sven pospiesza do radiowozu z doniczkami w rękach, potem szybko wraca i idzie obok Britt-Marie. Nie bierze jej pod ramię, ale trzyma rękę kilka centymetrów pod jej ramieniem, nie dotykając jej. Tak żeby mógł ją złapać, jeśli się poślizgnie.

Britt-Marie trzyma zasłonę z bambusa jak parasol nad głową, albowiem zasłony z bambusa zastępują całkiem zadowalająco parasolki, szczególnie jeśli się szuka wyjątkowo źle działającej parasolki. Dlatego Britt-Marie dalej trzyma bambusową zasłonę nad głową przez całą podróż samochodem, żeby policjant nie zauważył, że zniszczyła jej się fryzura.

– Poproszę, aby wysadzić mnie przy bankomacie, żebym mogła zapłacić za pokój – mówi tonem, który wydaje się odpowiedni, kiedy się prosi o coś takiego w czymś pomiędzy taksówką a radiowozem. – Jeśli to nie problem. Nie chciałabym bynajmniej sprawiać problemów – dodaje zakłopotana.

– To żaden problem! – mówi niezakłopotany policjant.

Mówi przez całą drogę, zupełnie jak Kent, kiedy jeździli samochodem. Ale mimo wszystko inaczej, ponieważ Kent zawsze opowiadał. Policjant zadaje pytania. To irytuje Britt-Marie. Jest się poirytowanym, jeśli ktoś się nami interesuje i nie jest się do tego przyzwyczajonym.

– Jak się pani podobał mecz? – pyta policjant.

– Byłam w toalecie – mówi Britt-Marie.

Bardzo się irytuje, kiedy sama słyszy, jak to mówi. Ponieważ, jeśli się wyciągnie zbyt pochopne wnioski, brzmi to tak, jakby miała poważne problemy jelitowe. Policjant nie odpowiada od razu, więc Britt-Marie dochodzi do wniosku, że właśnie tak sobie pomyślał, a zupełnie jej się nie podoba, że policjant wyciąga tak pochopne wnioski. Dlatego dodaje ostro:

– Nie mam bynajmniej problemów jelitowych, ale miałam zostać w toalecie, bo w przeciwnym razie coś by nie poszło dobrze w meczu!

Policjant się śmieje. Nie wie, czy to z niej. Kończy, kiedy widzi, że jej się to nie podoba.

– Jak to się stało, że przeprowadziła się pani właśnie do Borg? – pyta zaciekawiony.

– Dostałam tu pracę – odpowiada Britt-Marie.

Jej stopy są zakopane pomiędzy kartonami na pizzę i papierowymi opakowaniami z barów szybkiej obsługi. Z tyłu leżą sztaluga, porozrzucane pędzle i obrazy.

– Chodzę w mieście na kurs akwareli! Lubi pani malarstwo? – pyta wesoło policjant, kiedy Britt-Marie na nie patrzy.

– Nie – mówi Britt-Marie.

Policjant przesuwa palcami po kierownicy.

– Naturalnie, naturalnie. Nie pytam o moje własne obrazy, naturalnie. Jestem tylko beztroskim amatorem, ale chodzi mi oczywiście tak ogólnie. O prawdziwe obrazy. Piękne obrazy.

Jest coś w Britt-Marie, co chce powiedzieć „pana obrazy też są piękne”, ale coś znacznie bardziej rozsądnego w niej odpowiada natychmiast:

– Nie mamy żadnych obrazów w domu. Mój mąż nie lubi sztuki.

Policjant potakuje głową w ciszy. Wjeżdżają do miasta, które leży dwadzieścia kilometrów od Borg. Jest w zasadzie raczej miasteczkiem niż miastem. Jak Borg, ale jest go więcej. Jedzie się drogą w tym samym kierunku, tylko nie dojeżdża się tam tak szybko. Britt-Marie pobiera pieniądze z bankomatu, który znajduje się obok solarium, co Britt-Marie uznaje za w ogóle niehigieniczne, ponieważ przeczytała, że solaria powodują raka, a rak wydaje się doprawdy całkowicie niehigieniczny.

Pobranie pieniędzy zajmuje trochę czasu, ponieważ Britt-Marie tak bardzo się stara ukryć swój kod, że nie widzi klawiszy, które naciska. Swoją drogą procesu nie ułatwia ciągłe trzymanie zasłony z bambusa nad głową.

Britt-Marie nie chce nawet próbować sobie wyobrazić, co pomyśleliby ludzie, gdyby jacyś byli w pobliżu.

Policjant nie mówi jej, żeby się pospieszyła. Britt-Marie dostrzega, ku swojemu zdziwieniu, że jej się to podoba. Kent zawsze mówił, żeby się pospieszyła, niezależnie od tego, jak szybko wykonywała różne czynności. Siada ponownie w radiowozie i czuje, że może powinna powiedzieć coś towarzyskiego. Dlatego bierze głęboki oddech i wskazuje na puste kartony i torebki na podłodze, mówiąc:

– A kursu gotowania nie mieli w mieście, prawda?

Policjant promienieje.

– Ależ tak! Chodziłem na kurs sushi! Zrobiła pani kiedyś własne sushi?

– Doprawdy nie. Mój mąż nie lubi zagranicznej kuchni – odpowiada to, co rozsądne w Britt-Marie.

Policjant kiwa głową ze zrozumieniem.

– Naturalnie, naturalnie, chociaż z sushi nie ma dużo gotowania. Głównie się… kroi. Ale ja też niezbyt często je robię, jeśli mam być szczery. To znaczy, po kursie. Gotowanie tylko dla jednej osoby nie jest takie fajne, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Wygląda na zawstydzonego. Britt-Marie w ogóle się nie uśmiecha.

– Nie – mówi.

Wjeżdżają do Borg. W końcu policjant zbiera się na odwagę, żeby zmienić temat rozmowy:

– W każdym razie to miło z pani strony, że zajmuje się pani dzieciakami w ten sposób. W Borg niełatwo się teraz dorasta. Młodzi potrzebują kogoś, kto ich dostrzega, prawda?

– Nikim się nie zajęłam, to nie należy bynajmniej do moich obowiązków! – protestuje Britt-Marie.

Policjant potrząsa głową przepraszająco, tak że aż mu się policzki trzęsą.

– Nie, nie, nie to miałem na myśli, chodzi mi tylko o to, że one panią lubią. Dzieciaki. Nie zauważyłem, żeby kogoś lubili, odkąd zmarł ich poprzedni trener.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „poprzedni”? – pyta urażona Britt-Marie, jak to się robi, kiedy się miało taki wieczór, w czasie którego zostało się trenerem drużyny piłkarskiej, choć nikt nam o tym nie powiedział.

– Chciałem tylko powiedzieć, że ja… że oni się bardzo cieszą, że się pani tu przeprowadziła – mówi policjant tak, jak się mówi „oni”, kiedy ma się na

myśli „my”, potem pyta: – Czym się pani zajmowała, zanim się pani tu przeprowadziła?

Britt-Marie nie odpowiada. Za to patrzy na domy, obok których przejeżdżają. Przed prawie co drugim stoi na trawniku tabliczka z napisem „Na sprzedaż”, więc stwierdza chłodno:

– Nie wydaje się, żeby było wiele osób w Borg, które chcą tutaj mieszkać.

Kąciki ust policjanta robią to, co robią kąciki ust, kiedy chcą przemóc smutek. Podnoszą się, chociaż ramiona mówią, żeby przestały.

– Kryzys finansowy mocno w nas uderzył, kiedy firma transportowa zwolniła wszystkich kierowców. Ci, którzy wystawili tabliczki, nadal mają nadzieję, że uda im się sprzedać. Inni się poddali. Młodzież przeprowadza się do miasta. Zostaliśmy tu tylko my, starsi, bo tylko my nadal mamy pracę.

– Kryzys finansowy się skończył. Mój mąż tak powiedział, jest przedsiębiorcą – informuje Britt-Marie.

Policjant natychmiast potakuje, jakby sam siebie krytykował.

– Naturalnie, ja nie wiem o tym zbyt wiele. Naturalnie. Pani mąż ma z pewnością rację.

Britt-Marie ukrywa włosy i białą plamę na serdecznym palcu pod zasłoną z bambusa. Patrzy na miasteczko, w którym nie chcą mieszkać nawet jego mieszkańcy.

– Rozumiem, że pana również bawi piłka nożna – mówi wreszcie.

Źrenice policjanta się rozszerzają, głos czyta słowa, jakby deklamował wiersz:

– Kiedyś usłyszałem, że „Kocha się piłkę nożną, bo jest instynktowna. Jak toczy się po ziemi, to się w nią kopie. Bo kocha się ją z takiego samego powodu, z jakiego człowiek się zakochuje. Bo nie wiadomo, jak się powstrzymać”.

Policjant uśmiecha się nieobecnie.

– Kto tak twierdzi? – pyta Britt-Marie.

– Były trener dzieci kiedyś tak powiedział. Ładnie powiedziane, prawda? – mówi policjant.

– Niedorzeczne – mówi Britt-Marie, chociaż chciała powiedzieć „poetyckie”.

Policjant trzyma mocniej kierownicę.

– Naturalnie, naturalnie. Chciałem tylko powiedzieć, że… wszyscy chyba lubią piłkę nożną? – mówi na koniec.

Jakby tak działał świat.

Zatrzymują się przed małym, szarym, prostokątnym, dwupiętrowym domem. W ogrodzie po drugiej stronie drogi stoją dwie kobiety, które są tak stare, że wyglądają, jakby mieszkały w tym miasteczku, zanim ono stało się miasteczkiem. Wspierają się na balkonikach i patrzą podejrzliwie na radiowóz. Sven do nich kiwa, one nie reagują. Przestało padać, ale Britt-Marie nadal trzyma zasłonę z bambusa nad głową. Policjant dzwoni do drzwi szarego domu. Otwiera niewidoma kobieta, podobnie prostokątna jak dom. Nie żeby Britt-Marie nazwała ją „grubą”, bynajmniej, ale w każdym razie w ręce ma czekoladowe ciastko.

– Cześć, Bank – mówi przyjaźnie policjant.

– Cześć, Sven. Masz ją ze sobą? – odpowiada obojętnie Bank i wywija laską w kierunku Britt-Marie.

– Tak! To Britt-Marie – mówi policjant, prezentując wesoło Britt-Marie, jakby to miało znaczenie.

– Pokój kosztuje dwieście pięćdziesiąt za tydzień, płatność z góry. Możesz wynajmować, dopóki nie sprzedam tej rudery – mamrocze Bank i wycofuje się do domu, nikogo nie zapraszając do środka.

Britt-Marie idzie z tyłu, stara się iść na palcach, bo podłoga jest tak brudna, że nawet nie chce chodzić po niej w butach. W przedpokoju leży biały pies. Dookoła w totalnym nieładzie leżą niedbale spakowane kartony. Britt-Marie zakłada, że wynika to z niedbalstwa, a nie z tego, że Bank jest ślepa. Britt-Marie nie wyciąga pochopnych wniosków, dlatego jest pewna, że nawet ślepe osoby mogą być niedbałe.

W domu wszędzie wiszą stare zdjęcia dziewczynki w żółtej koszulce, na niektórych z nich stoi obok starszego mężczyzny, który jest na każdej ścianie w ośrodku. Jest młodszy na zdjęciach. Musiał być w wieku Britt-Marie, kiedy go znaleźli na podłodze kuchennej w tym domu, wnioskuje Britt-Marie. Nie wie, czy to ją postarza. Nie miała zbyt wielu ludzi dookoła siebie, żeby móc porównywać z nimi wiek.

Sven stoi przy drzwiach, trzymając doniczki balkonowe i jej torebkę. Też jest w jej wieku. Czuje się stara, kiedy na niego patrzy.

– Bardzo nam brakuje twojego ojca, Bank. Całe Borg za nim tęskni – mówi melancholijnie policjant, patrząc na pokój.

Bank nie odpowiada. Britt-Marie nie wie, co zrobić, więc wyrywa doniczki Svenowi. Ten zdejmuje czapkę policyjną, ale nadal stoi w progu, jak robią to tego typu mężczyźni, którzy uważają, że nie wypada wchodzić do domu dam, jeśli nie zostaje się zaproszonym. Britt-Marie go nie zaprasza, chociaż gryzie ją, że stoi umundurowany w progu. Widzi, jak wiekowe kobiety po drugiej stronie stoją w ogrodzie i się gapią. Co pomyślą sąsiedzi.

– Czy coś jeszcze? – pyta, choć właściwie chciała podziękować.

– Nie, nie. Oczywiście, że nie – mówi Sven, ponownie zakładając czapkę.

– W takim razie dziękuję – mówi Britt-Marie w taki sposób, że brzmi to bardziej jak „do widzenia” niż jak „dziękuję”.

Kiwa głową zmieszany i się odwraca. Kiedy jest w połowie drogi do samochodu, Britt-Marie bierze głęboki wdech, odchrząkuje i nieco podnosi głos:

– Za podwiezienie mnie. Dziękuję panu… za podwiezienie.

Sven odwraca się i rozpromienia na całej twarzy. Britt-Marie szybko zamyka drzwi, żeby nie przyszły mu do głowy jakieś głupoty.

Bank idzie po schodach. Wydaje się, że używa laski raczej, żeby się podpierać, niż żeby wiedzieć, dokąd idzie. Wskazuje na górne piętro, kiedy Britt-Marie podchodzi, potykając się z doniczkami balkonowymi w rękach.

– Toaleta. Umywalka. Jeść musisz gdzie indziej, bo nie chcę, żeby w domu śmierdziało jedzeniem. W ciągu dnia trzymaj się z dala od domu, bo będzie przychodził agent nieruchomości z klientami – syczy Bank, zbliżając się z powrotem do schodów.

Britt-Marie obraca się za nią dyplomatycznie.

– Ha! Proszę mi wybaczyć moje zachowanie dzisiejszego poranka. Nie wiedziałam, że jest pani niewidoma.

Bank coś mamrocze i próbuje zejść, ale Britt-Marie jeszcze nie skończyła.

– Chciałabym podkreślić, że nie może się pani spodziewać, iż wszyscy będą wiedzieli, że pani jest niewidoma, jak widzą panią tylko od tyłu – mówi troskliwie.

Bank mamrocze niecierpliwie. Britt-Marie podąża za nią w kierunku schodów i podnosi głos:

– Nie mam uprzedzeń! Gdyby mnie poinformowano o pani niepełnosprawności, z pewno…

– Na Boga, babo, nie jestem ślepa! – krzyczy Bank.

– Hę? – wybucha zdziwiona Britt-Marie.

– Niedowidzę. Z bliska widzę świetnie.

– Z jak bliska? – pyta Britt-Marie.

– Widzę psa. Pies widzi resztę – mówi Bank, wskazując na psa leżącego metr od schodów.

– Czyli właściwie jest pani niewidoma – stwierdza Britt-Marie.

– Właśnie to mówiłam. Dobranoc – mówi Bank.

– Ha. Ale nie jest pani zupełnie niewidoma, prawda? Powiedziała pani, że nie jest niewidoma, więc… – zauważa Britt-Marie.

Bank wzdycha.

– Dobranoc.

– Nie jestem bynajmniej kimś, kto zwraca uwagę na słowa, bynajmniej, ale doprawdy słyszałam, jak pani użyła słowa „niewidoma”. Mam wyśmienity słuch, droga pani. „Mój lekarz mó…”, upiera się Britt-Marie, po czym Bank wygląda trochę tak, jak się wygląda, kiedy chciałoby się zrobić dziurę w ścianie długopisem.

– Jak mówię, że jestem niewidoma, to ludzie wstydzą się zadawać pytania i zostawiają mnie w spokoju. Jak mówię, że niedowidzę, to chcą wałkować różnicę między niedowidzeniem a ślepotą. No to dobranoc! – kończy i dalej kieruje się ku schodom.

– Ja niczego nie wałkuję! – upiera się Britt-Marie, krzycząc za nią.

– Zauważyłam – wzdycha Bank.

– Czy mogę zapytać, w jakim celu ma pani laskę, psa i okulary słoneczne, skoro nie jest pani niewidoma? – pyta Britt-Marie, po czym Bank wygląda, jakby chciała się położyć w pozycji embrionalnej i zakryć sobie uszy.

– Mam nadwrażliwość na światło. A psa miałam, zanim pogorszył mi się wzrok. To zwykły kundel. Dobranoc!

Pies wygląda na nieco obrażonego i zatrzymuje się na środku schodów.

– A laskę? – pyta Britt-Marie.

Bank masuje skronie.

– To nie jest laska dla niewidomych, to kij na spacery. Mam słabe kolano. Poza tym to całkiem praktyczne, kiedy ludzie się przesuwają.

– Ha – mówi Britt-Marie.

Bank przepędza psa z drogi kijem.

– Płatność z góry. Nic na kredyt. I nie chcę cię tu widzieć w ciągu dnia. Dobranoc!

– Czy mogę zapytać, kiedy spodziewa się pani sprzedać dom? – pyta Britt-Marie.

– Jak tylko znajdę kogoś na tyle głupiego, że będzie chciał zamieszkać w Borg – odpowiada Bank.

Britt-Marie stoi na górze przy schodach. Jest pusto i nieskończenie przerażająco, gdy tylko Bank i pies znikają z pola widzenia.

– Mam wrażenie, że pani ojciec był oczarowany Borg. Więc musi być coś, co można lubić w tym miasteczku! – krzyczy Britt-Marie, pochylając się nad schodami.

Bank nie odpowiada.

– Ja niczego nie wałkuję! – Britt-Marie czuje się zobligowana, aby to powtórzyć.

Bank mruczy pod nosem coś, co brzmi jak przekleństwo. Drzwi wejściowe zamykają się za nią i za psem. Dom pogrąża się w ciszy.

Britt-Marie rozgląda się dookoła. Domyśla się, że zarówno Bank, jak i jej ojciec nieszczególnie przejmowali się higieną. Zakłada, że wynika to z faktu, iż obydwoje są barbarzyńcami. Nie ma przecież uprzedzeń – ani w stosunku do zmarłych, ani do niewidomych. Ani do niedowidzących. Czy do kogokolwiek. Widzi, jak Bank i pies znikają na ulicy za oknem. Znowu pada. Nie ma już radiowozu. Przejeżdża samotna ciężarówka. Potem nastaje cisza. Britt-Marie wydaje wewnętrzne parsknięcie.

Ściąga pościel z łóżka, posypuje materac proszkiem do pieczenia. Wyjmuje z torebki swoją listę. Nic na niej nie ma. Nie ma żadnych punktów do odhaczenia. Ciemność wdziera się przez okna i otula Britt-Marie. Nie zapala wcale lamp. Wyszukuje ręcznik w torbie i płacze w niego na stojąco. Nie chce usiąść na materacu, dopóki nie będzie wyczyszczony.

Jest po północy, kiedy dostrzega drzwi. Są obok jednego z okien, które wychodzi prosto w nicość. Britt-Marie tak trudno uwierzyć w to, co widzi, że najpierw musi przynieść butelkę faxinu i wyczyścić wszystkie okna i szyby w drzwiach najdokładniej, jak to możliwe w ciemności, zanim

w ogóle odważy się dotknąć klamki. Ta się nie rusza. Britt-Marie szarpie za nią tak mocno, jak tylko zdoła, opiera się o nią ciężarem całego ciała, co swoją drogą nie stanowi wielkiej różnicy. Przez krótką chwilę widzi świat przez szybę i myśli o Kencie, o tym, jak zawsze mówił, że ona sobie nie radzi, i to sprawia, że zbiera w sobie szaloną siłę, aż upada na plecy, kiedy klamka kapituluje i drzwi otwierają się na oścież, tak że deszcz spada na podłogę.

Britt-Marie siedzi oparta o łóżko, ciężko oddycha i patrzy na zewnątrz.

Jest tam balkon.

14

Balkon może wszystko zmienić.

Jest szósta rano, a Britt-Marie jest pełna entuzjazmu. To dla niej nowe doświadczenie. Samopoczucie Ktoński można opisać jako takie, jak gdy ma się kaca i jest się opryskliwym. Britt-Marie ją obudziła, ponieważ zapukała do pizzerii o szóstej rano, entuzjastycznie pytając o wiertarkę. Ktośka otworzyła, skacowana i opryskliwa, i poinformowała Britt-Marie, że pizzeria oraz pozostała działalność jest nieczynna o tej porze. Britt-Marie zakwestionowała wtedy ostrożnie obecność Ktoński w lokalu, ponieważ Britt-Marie nie uznaje za higieniczne mieszkania w pizzerii. Ktośka wytłumaczyła tak jasno, jak tylko mogła z zamkniętymi oczami i czymś na swetrze, co było albo jedzeniem, które nie dostało się do ust Ktoński, albo jedzeniem, które z jakiegoś powodu się z nich wydostało, że była zbyt pijana po wczorajszym meczu, żeby wracać do domu. Britt-Marie pokiwała głową z uznaniem i powiedziała, że to była dobra decyzja, bo nie można prowadzić samochodu pod wpływem alkoholu. Mówiąc to, nie patrzyła bynajmniej na wózek inwalidzki, bo Britt-Marie nie ma żadnych uprzedzeń.

Ktośka wymamrotała coś, próbując zamknąć drzwi. Ale, jak już wcześniej zostało powiedziane, Britt-Marie była pełna entuzjazmu, a okazuje się, że trudno ją powstrzymać, kiedy jest w takim stanie. Nagły atak entuzjazmu był częściowo związany z balkonem, ale głównie chodziło o to, że Britt-Marie miała gdzie postawić swoje doniczki balkonowe. Wtedy wszystko się zmienia. Britt-Marie poczuła się gotowa, żeby zabrać się za świat. Albo przynajmniej za Borg.

Jednak Ktośka nie zareagowała zbyt pozytywnie na entuzjazm o szóstej rano, więc Britt-Marie zapytała, czy może Ktośka przypadkowo posiada wiertarkę. Okazało się, że Ktośka posiada wiertarkę, więc ją przyniosła. Britt-Marie podniosła ją oburącz i niechcący nacisnęła jakiś przycisk, co w konsekwencji spowodowało powiercenie Ktośce nieco w ręce. Ktośka

wzięła z powrotem wiertarkę i zaczęła się dopytywać, po co Britt-Marie wiertarka. Britt-Marie poinformowała z entuzjazmem, że planuje powiesić obraz.

Tak więc Ktośka przebywa teraz w ośrodku, skacowana i opryskliwa, z wiertarką w ręku. Britt-Marie stoi na środku pokoju i obserwuje obraz z entuzjazmem. Znalazła go w składziku w ośrodku dzisiaj rano, ponieważ Bank kazała jej trzymać się z dala od domu w dzień, a Britt-Marie trudno było zasnąć w związku ze wszystkimi emocjami dotyczącymi balkonu. Obraz stał oparty o ścianę za nieopisanym konglomeratem gratów, pokrytym tak grubą warstwą kurzu, że wyglądało to jak popiół wulkaniczny. Britt-Marie wniosła go do ośrodka, wyczyściła wilgotną szmatką i sodą oczyszczoną. Teraz jest bardzo stylowy.

– Nigdy nie wieszałam obrazu, droga pani – wyjaśnia troskliwie Britt-Marie, kiedy widzi, że Ktośka jest poirytowana.

Ktośka kończy wiercić i wiesza obraz na ścianie. Nie jest to bynajmniej malowidło, lecz właściwie bardzo, bardzo stara tablica ogłoszeniowa z czarno-białą mapą Borg. „Witamy w Borg”, jest napisane na górze. Będąc kimś, kto nie znosi podróżować, Britt-Marie zawsze jednak pałała szczególną miłością do map. Jest w nich coś bezpiecznego, zawsze tak czuła, już kiedy Ingrid opowiadała jej w dzieciństwie o Paryżu. Można popatrzeć na mapę i wskazać palcem Paryż. Łatwiej jest zrozumieć wiele rzeczy, kiedy można je wskazać. Potakuje poważnie głową, mówiąc do Ktośki:

– Nie mamy obrazów w domu, Kent i ja, droga pani. Kent nie lubi sztuki.

Ktośka podnosi brwi w kierunku tablicy informacyjnej, kiedy Britt-Marie wymawia słowo „sztuka”. Britt-Marie kiwa dobrotliwie głową.

– Dałoby się powiesić wyżej?

– Wyżej? – wzdycha Ktośka.

– Wisi bardzo nisko – oświadcza Britt-Marie, w sposób całkowicie pozbawiony krytyki.

Ktośka patrzy na Britt-Marie. Patrzy na swój wózek inwalidzki. Britt-Marie patrzy na wózek. Naturalnie bez żadnych uprzedzeń. Patrzy na Ktośkę. Nakłada jedną dłoń na drugą.

– Ale tak jak wisi, też jest oczywiście ładnie. Naturalnie.

Ktośka mruczy coś, czego lepiej, żeby nikt nie słyszał, podjeżdża w kierunku drzwi i dalej na parking, do pizzerii. Britt-Marie idzie za nią, bo

potrzebuje kupić snickersa i sodę oczyszczoną.

W środku śmierdzi dymem z papierosów i piwem. Na stole walają się brudne naczynia. Entuzjazm Britt-Marie zostaje nieco stłumiony.

– Nie chcę się wtrącać, ale tu wygląda jak w chlewie – mówi troskliwie i od razu dodaje: – Ale nie chcę się bynajmniej wtrącać, bynajmniej.

– Jak nie chcesz się wtrącać, to się nie wtrącaj – odpowiada Ktośka, kręcąc się wokół lady i mamrocząc coś, co brzmi jak „Tabletki przeciwbólowe, Vega, gdzie jest to gówno?”. – Wszystko się tu gubi, nic się nie da znaleźć.

Ktośka znika w kuchni.

Britt-Marie przeciska się, sięgając po dwa brudne talerze, kiedy Ktośka, jakby się domyśliła, krzyczy:

– Nie ruszaj żadnych naczyń!

Britt-Marie stoi nadal z jedną dłonią założoną na drugą i próbuje się opanować. Udaje jej się przez mniej więcej piętnaście sekund. Potem zaczyna wynosić naczynia do kuchni. Ktośka popija tabletki na ból głowy czymś z butelki, o której zawartość Britt-Marie nawet nie odważa się zapytać.

– Mówiłam, żeby nie ruszać naczyń – stęka Ktośka, a jej oddech mógłby przeżreć tynk.

Britt-Marie stawia naczynia na zlewozmywaku, lekko o niego uderzając. Bynajmniej nie demonstracyjnie.

– To nie jest higieniczne, droga pani. Wygląda to tak, jakby tu mieszkały zwierzęta.

– Zwierzęta muszom gdzieś mieszkać – mamrocze Ktośka.

Britt-Marie zmywa naczynia. Ktośka prosi, żeby przestała. Britt-Marie otwiera szufladę i zaczyna odpowiednio sortować sztućce. Ktośka podjeżdża i ją zamyka. Britt-Marie bierze cierpliwy wdech.

– Próbuję tylko trochę tu uporządkować.

– Przestań! Nic potem, do cholery, nie znajdę! – krzyczy Ktośka, kiedy Britt-Marie zabiera się do przeorganizowania półki na szkło, nie jakby chciała to robić, ale jakby nie mogła przestać.

– To niepojęte, jak pani cokolwiek tutaj znajduje – informuje Britt-Marie.

– Stawiasz to w złym miejscu! – odcina się Ktośka.

– Ha, ha, cokolwiek robię, robię to najwyraźniej źle, na to wygląda – mówi urażona Britt-Marie.

Ktośka mamrocze coś niewyraźnie, kieruje ramiona do sufitu, jakby to była jego wina, i wyjeżdża z kuchni. Britt-Marie się nie rusza, stara się opanować, żeby znowu nie otworzyć szuflady na sztućce. Udaje jej się przez mniej więcej piętnaście sekund. Kiedy wychodzi z kuchni, Ktośka siedzi w sklepie spożywczym i je całymi garściami płatki kukurydziane z kartonu.

– Mogłaby pani chociaż wziąć talerz – prosi Britt-Marie, przynosząc talerz.

Ktośka je, wielce niezadowolona, płatki garściami z talerza.

– Jogurtu pani naturalnie nie doda – stwierdza troskliwie Britt-Marie.

– Mam, jak to szło… nietolerancję na laktozę – wzdycha Ktośka.

– Ha – mówi Britt-Marie bardzo tolerancyjnie, poprawiając słoiki Ktośki na półce.

– Britt-Marie, proszę, nie ruszaj niczego – szepce Ktośka jak ktoś, kogo bardzo boli głowa.

– Stoją w nieodpowiedniej kolejności – wyjaśnia Britt-Marie.

– Teraz tak.

– Czyli nie umiem sprzątać, to chce pani powiedzieć? – pyta Britt-Marie, podchodząc do kasy i sortując kartony z papierosami według koloru w stosy odpowiedniej wysokości.

– PRZESTAŃ! – krzyczy Ktośka, próbując je wyrwać z rąk Britt-Marie.

– Próbuję tylko sprawić, żeby tu było choć trochę przyjemnie! – wyjaśnia Britt-Marie.

– Nie razem! – jęczy Ktośka, wskazując jeden rodzaj papierosów z zagranicznym napisem na opakowaniu i drugi, na którym takowy nie widnieje.

– Ze względu na skarbówkę! – mówi Ktośka poważnie, wskazując na opakowania bez zagranicznych napisów, potem wskazuje na ten drugi rodzaj. – Kamień na drodze!

Britt-Marie wygląda, jakby się musiała czegoś przytrzymać, żeby nie stracić równowagi.

– Czy chce pani przez to powiedzieć, że to są przemycone towary?

– Nie, ale no wiesz, Britt-Marie. Wypadły z ciężarówki – tłumaczy się Ktośka.

– To nielegalne! – mówi Britt-Marie.

Ktośka oddycha przez nos z zaciśniętymi zębami i znowu wyjeżdża z kuchni. Otwiera szufladę na sztućce i bardzo głośno przeklina, a potem słychać długą oracje, która brzmi mniej więcej tak: „Przyłazi tu pożyczyć wiertarkę, trzeba jej pomagać wieszać jakieś gówno, pospać se nie da, nie, ale przeż jest się przestępcą, przyjechała Mary Poppins otworzyć ośrodek i wszystko zmienia po swojemu”. Britt-Marie przypuszcza, że to ją Ktośka nazywa „Mary Poppins”. Sposób, w jaki to mówi, nie brzmi całkiem pozytywnie. Britt-Marie nadal stoi na granicy sklepu spożywczego i pizzerii, przesuwając słoiki i paczki papierosów. Właściwie chce tylko kupić sodę oczyszczoną i snickersa, a potem już sobie stamtąd pójść, ale wydaje jej się nieodpowiedzialne zakupienie sody oczyszczonej od kogoś, kto całkiem wyraźnie nadal jest pijany, więc decyduje się zaczekać, aż Ktośka wytrzeźwieje.

Wydaje się, że Ktośka rozbija obozowisko w kuchni, więc Britt-Marie robi to, co zwykle robi w takiego rodzaju sytuacjach: sprząta. Wygląda to całkiem przyjemnie, kiedy kończy. Nie ma niestety żadnych kwiatów, ale na ladzie obok kasy stoi słoik oklejony białą taśmą z napisem „Napiwki”. Jest pusty. Britt-Marie myje go i odstawia z powrotem obok kasy. Potem wyciąga wszystkie monety z torebki i wrzuca je do środka. Upycha je trochę, jakby były ziemią. Pełny wygląda lepiej niż pusty.

– Może nie rozwinęłoby się u pani tyle nietolerancji, gdyby pani nieco bardziej dbała tu o higienę – wyjaśnia troskliwie Ktośce, kiedy ta wraca z kuchni.

Ktośka masuje skronie, obraca się na wózku i znika z powrotem w kuchni. Britt-Marie upycha monety w słoiku. Drzwi wejściowe robią dzyń, dzyń i wchodzi dwóch brodatych mężczyzn w bejsbolówkach. Też wyglądają na skacowanych.

– Prosiłabym, żeby wytrzeć buty na zewnątrz – informuje natychmiast Britt-Marie.

– Co? – mówią mężczyźni.

– Właśnie przetarłam podłogę, drodzy panowie – informuje Britt-Marie.

Robią, co każe. Być może raczej ze względu na szok niż dobrą wolę.

– Ha. Czym mogę służyć? – pyta Britt-Marie, kiedy wracają.

– Ka… wa? – wydobywa z siebie jeden z mężczyzn, rozglądając się dookoła, jakby znajdowali się w równoległej rzeczywistości, w której jest pizzeria podobna do tej, gdzie zwykle piją kawę, z tym że ta jest czysta.

Britt-Marie potakuje i wychodzi do kuchni. Ktośka śpi z puszką piwa w ręce i głową na szufladzie ze sztućcami. Britt-Marie nie znajduje ścierek, więc bierze dwie rolki papierowych ręczników, ostrożnie podnosi głowę Ktoški i kładzie rolki do szuflady, jak poduszki. Potem kładzie uważnie głowę Ktoški na papierowych ręcznikach. Zaparza kawę w zwykłym ekspresie, nie narażając go na kamień na drodze, i serwuje ją brodatym mężczyznom w bejsbolówkach. Stoi chwilę przy ich stoliku, ponieważ myśli, że któryś z nich może będzie chciał powiedzieć, że kawa jest dobra. Żaden tego nie robi.

– Rozumiem, że kawa panom nie odpowiadała – stwierdza, zupełnie niezgorzkniale.

Mężczyźni gapią się na nią, jakby mówiła do nich, nie wymawiając samogłosek. Britt-Marie strzepuje niewidzialne okruszki oraz kilka nie niewidzialnych okruszków ze stołu, następnie patrzy na dzienniki.

– Ha. Czy planują panowie rozwiązywać krzyżówki? – pyta.

Mężczyźni gapią się na krzyżówki. Britt-Marie kiwa głową troskliwie.

– Jeśli nie planują panowie rozwiązywania krzyżówek, mogę je dla panów rozwiązać.

Mężczyźni wyglądają trochę tak, jakby ich zapytała, czy planują dalej używać swoich nerek, bo jak nie, to ona może je zabrać. Britt-Marie trzyma dzbanek obiema rękami i wyjaśnia:

– Żeby się nie zmarnowały.

– Kim pani właściwie jest? – pyta jeden z mężczyzn.

– Britt-Marie – mówi Britt-Marie.

– Pani z miasta? – pyta drugi mężczyzna.

– Tak – mówi Britt-Marie.

Mężczyźni potakują, jakby to wszystko wyjaśniało.

– To niech se kupi własną gazetę – mówi jeden.

Drugi mruczy, zgadzając się z pierwszym.

– Ha – mówi Britt-Marie i decyduje się, żeby nie proponować dolewki.

Wyszukuje monetę w torebce i upuszcza ją z dużej wysokości prosto do słoika, tak że aż brzęczy. Bynajmniej nie demonstracyjnie. Bynajmniej. Britt-Marie nie jest demonstracyjną osobą.

Ktośka dalej śpi w kuchni. Być może jest to wina Britt-Marie, że Ktośce śpi się tak wygodnie, dlatego Britt-Marie czuje się zmuszona, aby zająć się

klientami, dopóki Vega nie wróci. Nie chodzi o to, że jest jakoś szczególnie dużo klientów. W zasadzie nie ma żadnych klientów, jeśli już się czepiać. Jedyna osoba, która przychodzi, to rudowłosy chłopiec, którego nazywają Piratem, choć nie jest to żadne imię. Pyta ostrożnie, czy Britt-Marie ma czas na jego włosy. Ona go informuje, że jest okropnie zajęta. On potakuje przesadnie wyrozumiale i czeka w kącie. Wydaje się w tym dobry.

– Ha, jeśli masz tam tylko stać, to mógłbyś właściwie równie dobrze mi pomóc – mówi Britt-Marie.

Chłopiec potakuje tak, że można uznać za cud, iż nie odgryza sobie języka. Britt-Marie mówi, żeby zaproponował brodatym mężczyznom w bejsbolówkach dolewkę. Chłopiec wylewa połowę kawy po drodze.

Potem przychodzi Vega. Zatrzymuje się na progu, wygląda, jakby zabłądziła.

– Co… tu się stało? – dyszy, jakby w nocy było w pizzerii włamanie, którego dokonała grupa wojskowych pedantów, chcąc zasygnalizować sprzątaniem jakieś przesłanie polityczne.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta obrażona Britt-Marie.

– Jest tak… czysto – dyszy Vega.

– Brud nie jest normalnym stanem – wyjaśnia Britt-Marie.

Vega kieruje się do kuchni. Britt-Marie ucisza ją, kładąc palec na ustach.

– Ona tam śpi.

Vega wzrusza ramionami.

– Ma kaca. Zawsze tak jest po meczu.

Karl, który wydaje się w kółko przychodzić do pizzerii, żeby odebrać jakąś paczkę, wchodzi przez drzwi.

– Czym mogę służyć? – pyta profesjonalnie Britt-Marie, bynajmniej nie oskarżycielsko.

– Mam odebrać paczkę – mówi Karl.

Ma bokobrody aż do podbródka, zauważa Britt-Marie. Wyglądają jak odwrócone do góry nogami przebiśniegi. To jedne z ulubionych kwiatów Britt-Marie.

– Nie przyszły dzisiaj jeszcze żadne paczki – informuje Vega.

– W takim razie zaczekam – mówi Karl, idąc w kierunku mężczyzn w bejsbolówkach.

– Jednak nie zamierza pan niczego zamawiać, rozumiem. Będzie pan tu tylko siedział – stwierdza Britt-Marie bardzo, bardzo uprzejmie.

Karl się zatrzymuje. Mężczyźni przy stoliku patrzą na niego, jakby chcieli wyjaśnić, że doprawdy nie zamierzają negocjować z terrorystami.

– Kawę – wydobywa z siebie w końcu Karl.

Pirat pospiesza z dzbankiem.

Kolejna wchodząca osoba to Sven. Uśmiech rozświetla całą jego okrągłą twarz, kiedy dostrzega Britt-Marie.

– Dzień dobry, Britt-Marie! – mówi.

– Proszę wytrzeć buty – mówi ona.

Sven gorliwie potakuje. Wychodzi i po chwili znowu jest w środku.

– Jak miło panią tutaj widzieć – mówi.

– Ha. Pracuje pan dzisiaj? – pyta Britt-Marie.

– Tak, tak. Naturalnie, naturalnie – przytakuje Sven.

– Trudno to stwierdzić, ma pan na sobie mundur niezależnie od tego, czy ma pan wolne, czy nie – mówi Britt-Marie bynajmniej nie krytycznie.

Sven nie wygląda, jakby rozumiał, o co chodzi. Jego wzrok wędruje za to na karton najwyraźniej zagranicznych papierosów, które nadal leżą obok kasy po sprzeczce Ktośki z Britt-Marie na temat przemycania towarów.

– Ale ciekawe litery… – mówi badawczo.

Wzrok Britt-Marie spotyka się ze wzrokiem Vegi, Britt-Marie wyczuwa panikę dziewczynki.

– To moje! – krzyczy Britt-Marie, wyrywając papierosy.

– Aha – mówi zdziwiony Sven.

– Palenie nie jest doprawdy przestępstwem! – mówi Britt-Marie, choć uważa, że w zasadzie powinno być.

Potem wygląda na bardzo, bardzo zajętą sortowaniem półki w sklepie spożywczym.

– Czy wszystko w porządku z pokojem u Bank? – pyta Sven, ale ku uldze Britt-Marie przerywa mu Vega, jęcząc:

– Nieee… tylko nie on.

Britt-Marie wygląda przez okno. Na parkingu zatrzymało się bmw. Britt-Marie to wie, bo Kent ma bmw, więc Britt-Marie wie dokładnie, ile ono kosztuje, bo Kent zwykle opowiada o tym obcym ludziom w kolejce na stacji benzynowej. Drzwi radośnie się otwierają i wchodzi mężczyzna w wieku Ktośki i chłopiec w wieku Vegi. Wydaje się niejasne, kogo Vega nie chce spotkać. Mężczyzna ma na sobie bardzo drogą kurtkę, Britt-Marie to wie, bo Kent ma podobną. Chłopiec ma znoszoną kurtkę treningową, na

której widnieje nazwa miasta odległego o dwadzieścia kilometrów, po którym widać słowo „hokej”. Patrzy z zainteresowaniem na Vegę, ona patrzy na niego z pogardą. Mężczyzna szczerzy się w progu, patrzą na niego, jakby mieli nadzieję, że jeśli będą to robić odpowiednio długo, zacznie się palić. Mężczyzna odwraca wzrok i szczerzy się za to do Vegi.

– A tu jak zwykle *prosperity*, tak?

– Proszę? Jest pan tu po to, żeby kogoś wykopać? – odpowiada gorzkim tonem Vega, po czym udaje, że nachodzi ją nagłe natchnienie i uderza się dramatycznie w czoło. – Nie! No przecież! Nie może pan, bo pan tu nie pracuje. A tam, gdzie pan pracuje, nie ma przecież nikogo, kogo mógłby pan zwolnić, bo zwolnił pan już wszystkich!

Wzrok mężczyzny staje się nagle ponury. Chłopiec wygląda spektakularnie niekomfortowo. Mężczyzna stawia z hukiem na ladzie dwie puszki z napojami.

– Dwadzieścia cztery korony – mówi niewzruszona Vega.

– Poprosimy też o dwie pizze – mówi mężczyzna, jakby starał się odzyskać retoryczną władzę.

– Pizzeria jest nieczynna – mówi Vega.

– Jak to nieczynna? – Mężczyzna grozi pięścią.

– Pizzaiolo jest niedysponowany – informuje Vega.

Mężczyzna ściąga usta z pogardą i rzuca na ladę pięćsetkoronowy banknot.

– Pizzeria, która nie ma pizzy, to nie jest efektywny biznes.

– Trochę jak firma transportowa, która ma tylko szefa i żadnych kierowców – odpowiada kwaśno Vega.

Mężczyzna kładzie ściśniętą dłoń na ladzie, ale kątem oka widzi, jak Karl podniósł się do połowy z krzesła, pomimo że dwóch pozostałych mężczyzn stara się go powstrzymać.

– Brakuje sześciu koron – mówi z zaciśniętymi zębami, patrząc na resztę, którą Vega rzuca na ladę.

– Skończył nam się bilon – odpowiada Vega zza zębów.

Sven stoi obok. Wygląda niepewnie.

– Najlepiej, jak już sobie stąd pójdziesz, Fredrik – mówi.

Wzrok mężczyzny wędruje z Vegi na policjanta. Zatrzymuje się przy słoiku. Jego twarz zdobi teraz wyniosły uśmiech. Potem wkłada ręce do słoika i wyjmuje sześć koron.

– Niech będzie. Wezmę sobie stąd.

Szczerzy się najpierw do Svena, potem do chłopca w kurtce treningowej. Chłopiec spuszcza wzrok i idzie w kierunku drzwi. Zdruzgotany Sven się nie rusza. Mężczyzna w drogiej kurtce spotyka wzrok Britt-Marie.

– Kim pani jest? – pyta.

– Zostałam zatrudniona w ośrodku – mówi Britt-Marie, wbijając wzrok w odciski palców na dopiero co umytym słoiku.

– Myślałem, że gmina go zamknęła – mówi mężczyzna.

– Jeszcze nie – mówi Britt-Marie.

– Cholerne marnotrawstwo pieniędzy z podatków, jakby mnie ktoś pytał. Wpłaćcie je lepiej na poprawczaki, bo tam tak czy siak te dzieciaki w końcu wylądują! – Mężczyzna szczerzy się z wibrującymi kącikami ust w kierunku Vegi.

Britt-Marie wygląda na zatroskaną.

– Mój mąż ma taką kurtkę – mówi.

– Pani mąż ma dobry gust. – Mężczyzna się szczerzy.

– Ale jego kurtka ma odpowiednio dobrany rozmiar – mówi Britt-Marie.

Bardzo, bardzo długo panuje cisza. Potem najpierw Vega, a potem Sven wybuchają ogłuszającym śmiechem. Britt-Marie nie wie, z czego oni się śmieją. Chłopiec wybiega, mężczyzna idzie za nim i trzaska drzwiami tam mocno, że aż świetlówki na suficie migoczą. Bmw rusza z piskiem z parkingu. Britt-Marie nie wie, w którym kierunku ma patrzeć. Sven i Vega nadal śmieją się w głos, co jest niekomfortowe dla Britt-Marie, ponieważ zakłada, że śmieją się z niej. Dlatego idzie do drzwi.

– Mam teraz czas na twoją fryzuję – szepce do Pirata i odchodzi pospiesznie przez parking.

Drzwi radośnie się zamykają. Bo nie wiedzą, co innego mogłyby zrobić.

15

Wszystkie małżeństwa mają słabe strony, bo wszyscy ludzie mają wady. Wszyscy ludzie, którzy żyją z innymi ludźmi, uczą się radzić sobie z tymi wadami na różne sposoby. Można je na przykład traktować, jak się traktuje bardzo ciężkie meble, i po prostu nauczyć się sprzątać wokół nich. Dla zachowania iluzji. Oczywiście wiadomo, że brud zbiera się pod spodem, ale uczymy się tak długo to wypierać, dopóki goście tego nie widzą. A któregoś dnia ktoś przesunie mebel, nie pytając o pozwolenie, i wszystko wyjdzie na jaw. Brud i zadrapania. Stare rysy na parkiecie. Wtedy jest już za późno.

Britt-Marie stoi w łazience w ośrodku i ogląda wszystkie swoje słabe strony w lustrze. Boi się. Jest całkiem pewna, że to jej najgorsza słaba strona. Najbardziej chciałaby pojechać do domu. Wyprasować koszule Kenta i siedzieć na swoim balkonie. Najbardziej chciałaby, żeby wszystko było po staremu.

– Chce pani, żebym już sobie poszedł? – pyta bojaźliwie Pirat, stojąc w progu.

– Nie zamierzam tolerować śmiania się ze mnie – mówi Britt-Marie z całą surowością, jaką potrafi z siebie wydobyć.

– Dlaczego miałbym się z pani śmiać? – pyta Pirat.

Britt-Marie przygryza sobie policzki, nie odpowiadając. Pirat podaje jej niepewnie karton papierosów z zagranicznymi literami.

– Sven powiedział, że pani tego zapomniała.

Britt-Marie odbiera karton z przerażeniem. Towar z przemytu. Jakby na dodatek coś ukradła albo kupiła na kredyt, zależnie od tego, jak wspaniałomyślnie interpretuje się przebieg wydarzeń. To bardzo irytujące, ponieważ Britt-Marie nawet nie wie, jakiego typu przestępcą jest. Jednak tak czy inaczej jest na pewno przestępcą. Chociaż Kent z pewnością zgodziłby się z Ktośką, że zatajenie papierosów przed policją i urzędem skarbowym nie jest niczym nielegalnym. „Weź się w garść, kochanie. Przecież dopóki cię nie złapią, to nie jest żadne cholerne przestępstwo!”,

mawiał zwykle, kiedy miała podpisać swoje zeznanie podatkowe i pytała, co oznaczają te wszystkie kartki, które księgowy Kenta włożył do koperty. „Nie martw się, to całkowicie legalne odliczenia! No, pospiesz się!”, zapewniał. Kent kochał ulgi podatkowe i odczuwał pogardę wobec zasiłków. Britt-Marie nigdy nie odważyła się powiedzieć, że nie rozumie moralnej różnicy, bo się bała, że będzie się z niej śmiał, a to ją zwykle bolało.

Pirat dotyka delikatnie jej ramienia.

– Oni nie śmiali się z pani. To znaczy, w pizzerii. Śmiali się z Fredrika. Był szefem w firmie transportowej, w czasie gdy wszyscy kierowcy zostali zwolnieni, dlatego go nie lubią. Nie śmiali się z pani.

Britt-Marie kiwa głową i stara się wyglądać, jakby wcale się tym nie przejmowała. Wydaje się, że taka reakcja zachęca Pirata, więc kontynuuje:

– Fredrik trenuje drużynę hokeja w mieście, są świetni! Jego syn, ten dryblas z pizzerii, jest w tym samym wieku co ja, ale już prawie ma zarost! To niesprawiedliwe! Jest też bardzo dobrym piłkarzem, ale Fredrik chce, żeby grał w hokeja, bo uważa, że hokej jest lepszy.

– Dlaczego, na Boga? – pyta Britt-Marie, ponieważ niewielka wiedza na temat hokeja pozwala jej wyciągnąć wniosek, że jest to jedna z niewielu rzeczy na świecie, która jest bardziej niedorzeczna niż piłka nożna.

– Wydaje mi się, że to dlatego, że jest droższy. Fredrik lubi rzeczy, na które nie wszystkich stać – mówi Pirat.

– Dlaczego was tak bardzo bawi piłka nożna? – pyta Britt-Marie.

Pirat uznaje pytanie za niejasne.

– Co ma pani na myśli? Lubi się piłkę nożną tak po prostu.

Niedorzeczne, myśli Britt-Marie, ale trzyma język za zębami. Wskazuje za to na torbę w dłoni chłopca.

– Co to takiego?

– Nożyczki, grzebień, jakieś produkty i takie tam! – mówi uszczęśliwiony chłopak.

Britt-Marie nie pyta, co oznaczają „produkty”, ale składają się z pokaźnej liczby różnych słoiczków. Przynosi z kuchni taboret, kładzie ręczniki na podłodze i robi gest w kierunku chłopca, żeby usiadł. Potem myje mu włosy i obcina dokładnie tam, gdzie jest nierówno. Robiła tak zwykle z Ingrid.

Kiedy słowa z niej wychodzą, nie wie, jak to się stało, że wypowiada je na głos:

– Czasami nie jestem pewna, czy ludzie śmieją się ze mnie, czy z czegoś innego, drogi chłopcze. Mój mąż mówi, że to dlatego, że nie mam poczucia humoru.

Rozsądek każe Britt-Marie się zamknąć. Zaciska wargi z zażenowania. Skonsternowany chłopiec patrzy w lustro.

– Jak można powiedzieć komuś taką okropną rzecz?!

Britt-Marie nie odpowiada. Ale zgadza się z chłopcem. Nie wie, jak komuś można powiedzieć taką okropną rzecz.

– Kocha go pani? Pani męża? – pyta chłopiec tak szybko, że Britt-Marie prawie tnie go w ucho.

Britt-Marie usuwa włosy z jego ramienia wierzchem dłoni. Zatapia spojrzenie w skórze jego głowy.

– Tak.

– Dlaczego go tu w takim razie nie ma? – pyta Pirat.

– Bo czasami nie wystarczy kochać – mówi Britt-Marie.

Potem siedzą w ciszy, aż Britt-Marie kończy strzyc, czule zmuszając nieokiełznane włosy przypominające szczotkę do czyszczenia naczyń, by ułożyły się w na tyle schludną fryzurę, na ile pozwalają na to biologiczne uwarunkowania. Pirat się nie rusza i podziwia sam siebie w lustrze. Britt-Marie sprząta i wygląda na parking. Stoi tam dwóch młodych mężczyzn, w jej opinii nie mają nawet dwudziestu lat. Opierają się o czarny samochód i palą. Mają tego samego rodzaju dżinsy z dziurami na udach jak dzieci z drużyny. Ale ta dwójka nie jest już dziećmi. Wyglądają na taki typ młodych mężczyzn, że Britt-Marie trzymałaby mocno torebkę, gdyby obok nich przechodziła. Nie chodzi o to, że Britt-Marie ocenia ludzi, bynajmniej, ale są przecież jakieś granice. Jeden z mężczyzn ma tatuaże na rękach. Rozsądne jest przypuszczenie, że w takim razie musi być głupi.

– To Sami i Psychol – mówi Pirat, stojąc za nią.

Brzmi to, jakby się bał.

– Tak się nie można nazywać – informuje Britt-Marie.

– Sami chyba nosi takie imię, tak mi się wydaje. A Psychola tak nazywają, bo jest psychopatą – mówi Pirat, jakby bał się wypowiedzieć ich imiona za głośno.

– Naturalnie nie mają żadnej pracy, do której mogliby pójść – mówi Britt-Marie i patrzy zaledwie nieco demonstracyjnie na zegarek.

Pirat wzrusza ramionami.

– Nikt nie ma pracy w Borg. Poza tymi, którzy są bardzo starzy.

Britt-Marie wkłada jedną dłoń w drugą. Potem zmienia z powrotem ułożenie rąk. Stara się nie poczuć urażona.

– Ten z prawej ma tatuaże na rękach – zauważa.

– To Psychol. Jest szalony. Sami jest dość w porządku, ale Psychol jest… no wie pani, niebezpieczny. Nie należy się z nim kłócić. Moja mama mówi, że nie wolno mi być w domu u Vegi i Omara, kiedy jest tam Psychol.

– Dlaczego, na Boga, on miałby być w domu u Vegi i Omara? – pyta Britt-Marie.

– Sami jest ich starszym bratem – mówi Pirat.

Drzwi pizzerii się otwierają. Vega wychodzi z dwiema pizzami i podaje je Samiemu. On całuje ją w policzek. Psychol szczerzy się do niej, Vega patrzy na niego, jakby zwymiotował do jej nowej torebki. Ponownie zatrzaskuje drzwi. Czarny samochód odjeżdża z parkingu.

– Nie jadają w pizzerii, kiedy jest tu Sven. Vega im zakazała – wyjaśnia Pirat.

– Ha. Oczywiście, że tak. Ponieważ ona wie, że oni boją się policji, naturalnie – stwierdza wyrozumiale Britt-Marie.

– Nie, bo wie, że policja się ich boi – poprawia ją Pirat.

Miasteczka w taki sposób przypominają ludzi. Jeśli nie zadaje się zbyt wielu pytań i nie przesuwa ciężkich mebli, nie dojrzy się ich najsłabszych stron.

Britt-Marie oczyszcza swoją spódnicę. Potem robi to samo z rękawem Pirata. Chce zmienić temat, a Pirat jej to ułatwia:

– Czy Vega już panią zapytała?

– O co? – pyta Britt-Marie.

– O to, czy chce pani zostać naszym coachem.

– Doprawdy nie! – wybucha Britt-Marie.

Potem, czując się znieważona, wkłada jedną dłoń w drugą i pyta:

– Co to oznacza?

– Byłaby pani naszą trenerką. Musimy mieć trenera. W mieście będzie mecz o puchar, nie można brać w nim udziału, jeśli drużyna nie ma trenera.

– O puchar? To jakieś zawody? – pyta Britt-Marie.

– Rozgrywki o puchar – odpowiada Pirat.

Britt-Marie nie rozumie dokładnie założenia.

– Przy takiej pogodzie? Na dworze? Niedorzeczne!

– Nie, to będą rozgrywki halowe. W mieście – mówi Pirat, po czym kontruje zupełnie niewyrozumiale: – Ale co ma pani na myśli? Co wspólnego ma futbol z pogodą?

Jakby nie miał nic wspólnego.

Britt-Marie chce powiedzieć coś bardzo, bardzo zdecydowanego na temat niestosowności kopania piłki na dworze, jest o tym przekonana, ale nim zdąży to powiedzieć, ktoś puka do drzwi. Na zewnątrz stoi chłopiec w wieku Pirata. Jest długowłosy, tak w ogóle.

– Ha? – mówi Britt-Marie.

– Jest, kurde, Ben? – pyta chłopiec.

Wydaje się w najwyższym stopniu niejasne, co słowo „kurde” wnosi do budowy jego wypowiedzi. Jakby przeklinał Britt-Marie.

– Kto? – pyta Britt-Marie.

– Ben? Albo jak go tam, kurde, nazywają w jego drużynie, Pirat?

– Ha. Ha. Ha. Jest tutaj, ale jest zajęty – mówi Britt-Marie zdecydowanie i zbiera się, żeby zamknąć drzwi.

– Kurde, czym? – pyta chłopiec.

– Idzie na schadzkę. To znaczy na randkę. Albo jak teraz na to mówicie.

– Wieeem. Idzie ze mną – stęka chłopiec.

Britt-Marie, która nie ma żadnych uprzedzeń, zakłada jedną dłoń na drugą i mówi:

– Ha.

Chłopiec żuje gumę. Nie podoba jej się to. Można nie lubić gumy do żucia, nawet jeśli się nie ma żadnych uprzedzeń.

– Słabo jest mówić, kurde, „randka” – mówi chłopiec.

– To Pi… to Ben tak powiedział. W moich czasach mówiliśmy „schadzka” – broni się Britt-Marie.

– Też słabo – parska chłopiec.

– W takim razie jak mówicie? – pyta Britt-Marie zaledwie trochę krytycznie.

– Nic. Po prostu „wychodzimy” gdzieś – mówi chłopiec.

– Proszę, abyś tutaj zaczekał – mówi Britt-Marie, mocno zamykając drzwi.

Pirat stoi w łazience i poprawia włosy. Prawie podskakuje, kiedy dostrzega Britt-Marie w lustrze.

– To on? Prawda, że jest wspaniały?

– Z pewnością jest nieuprzejmy – mówi Britt-Marie, ale Pirat najwyraźniej nic nie słyszy, ponieważ podskok na dwóch nogach odbija się w łazience.

Britt-Marie bierze kawałek papieru toaletowego, ostrożnie podnosi kosmyk włosów ze swetra Pirata, zawija go dokładnie w papier toaletowy i spuszcza w toalecie.

– Miałam wrażenie, że chodzisz na randki z dziewczynami.

– Czasami chodzę na randki z dziewczynami – odpowiada Pirat.

– Ale to jest chłopak – stwierdza Britt-Marie.

– To jest chłopak – potwierdza Pirat, jakby brali udział w jakiejś grze towarzyskiej, o której regułach nie został poinformowany.

– Ha – mówi Britt-Marie.

– A trzeba wybierać? – pyta Pirat niewyrozumiale.

– Nic na ten temat nie wiem. Nie mam uprzedzeń – zapewnia Britt-Marie.

Pirat poprawia włosy, uśmiecha się i pyta:

– Myśli pani, że spodoba mu się moja fryzura?

Britt-Marie nie całkiem sprawia wrażenie, że słyszała pytanie, za to mówi:

– Twoi koledzy z drużyny nie wiedzą bynajmniej, że chodzisz na randki z chłopcami, ja im bynajmniej tego nie powiem.

Pirat wygląda na zdziwionego.

– Dlaczego mieliby nie wiedzieć?

– Powiedziałeś im o tym? – pyta Britt-Marie.

– Dlaczego nie miałbym im o tym powiedzieć? – pyta Pirat.

– I co powiedzieli? – pyta Britt-Marie.

– Powiedzieli „okej” – mówi Pirat.

Potem wygląda niepewnie.

– Powinni powiedzieć coś innego?

– He, he, bynajmniej, bynajmniej – mówi Britt-Marie zupełnie niedefensywnie, dodając: – Nie mam żadnych uprzedzeń!

– Wiem – mówi Pirat.

Potem uśmiecha się nerwowo.

– Mam dobrą fryzurę?

Britt-Marie nie wie, co odpowiedzieć, więc tylko potakuje. Znajduje jeszcze jeden kosmyk włosów na swetrze Pirata, trzyma go nieporadnie w dłoni. On ją przytula. Britt-Marie nie wie, skąd mu to przyszło do głowy.

– Nie powinna pani być sama, to wielka strata, że ktoś, kto ma taką ładną fryzurę jak pani, jest sam – szepce.

Jest już prawie przy drzwiach, kiedy Britt-Marie, nadal trzymając jego kosmyk w ręce, zbiera się, odchrząkuje i szepce:

– Jak nie powie, że masz ładną fryzurę, to nie zasługuje na ciebie.

Pirat się odwraca, biegnie z powrotem do pokoju i znowu ją przytula. Britt-Marie odpycha go uprzejmie, ale zdecydowanie, bo musi przecież istnieć jakiś umiar. Pirat pyta, czy może pożyczyć jej telefon. Britt-Marie robi sceptyczną minę i upomina go, żeby nie dzwonił w żadne drogie miejsca. Pirat bierze telefon i dzwoni na swój własny numer, czeka jeden sygnał. Potem próbuje ją znowu przytulić, śmieje się i biegnie. Drzwi się zamykają.

Piętnaście minut później Britt-Marie dostaje SMS-a o następującej treści: „Powiedział to!:)”.

Ośrodek spowija cisza. Britt-Marie odkurza włosy z podłogi, żeby było coś słychać. Pierze i suszy ręczniki. Czyści wszystkie obrazki, szczególnie dokładnie tablicę informacyjną z mapą, którą Ktośka zawiesiła metr niżej niż wszystkie pozostałe. Potem zdejmuje opakowanie ze snickersa, kładzie go na talerzu, talerz kładzie na ręczniku i umieszcza to wszystko na progu. Otwiera drzwi wejściowe. Długo siedzi na taborecie i próbuje poczuć wiatr we włosach. Na koniec bierze do ręki telefon.

– Halo? – mówi dziewczyna z urzędu pracy.

Britt-Marie bierze głęboki wdech.

– To było nieuprzejme z mojej strony powiedzieć pani, że ma pani chłopięcą fryzurę.

– Britt-Marie? – pyta dziewczyna.

Britt-Marie przełyka ślinę, skupiając się.

– Nie powinnam się bynajmniej wtrącać i komentować pani fryzury. I czy chodzi pani na randki z chłopakami lub dziewczynami. Bynajmniej.

Dziewczyna oddycha niepewnie po drugiej stronie.

– Nic pani o… tym nie mówiła.

– Ha. Ha. Ha. Nie jest całkiem niemożliwe, że tylko to sobie pomyślałam, być może. Ale to było nieuprzejme, tak czy siak – mówi poirytowana Britt-Marie.

– Ale co… co pani chciała powiedzieć o mojej fryzurze? Co z nią nie tak? – dopytuje się dziewczyna.

– Zupełnie nic. Właśnie to chciałam powiedzieć – upiera się Britt-Marie.

– Nie jestem… to znaczy… nie lubię… – mówi dziewczyna trochę za głośno.

– Nic mi do tego – odpowiada Britt-Marie z emfazą.

– To znaczy, nie żebym… no wie pani, nie że… to coś złego! – upiera się dziewczyna.

– Nic takiego doprawdy nie powiedziałam! – mówi Britt-Marie.

– Ja też nie! – protestuje dziewczyna.

– W porządku – mówi Britt-Marie.

– Tak! – mówi dziewczyna.

Tak długo nic nie mówią, że dziewczyna w końcu mówi „halo?”, bo wydaje jej się, że Britt-Marie odłożyła słuchawkę. Wtedy Britt-Marie odkłada słuchawkę.

Szczur jest spóźniony na kolację o godzinę i sześć minut. Wbiega i bierze tak wielki kawałek snickersa, jaki tylko jest w stanie przenieść, zatrzymuje się na sekundę i gapi na Britt-Marie, potem wybiega i znika w mroku. Britt-Marie zawija resztę batonika w folię plastikową i wkłada do lodówki. Zmywa talerz. Pierze i suszy ręcznik, a potem wiesza go na swoje miejsce. Przez okno widzi Svena wychodzącego z pizzerii. Zatrzymuje się przy radiowozie i patrzy na ośrodek. Britt-Marie chowa się za firanką. On wsiada do samochodu i odjeżdża. Przez chwilę Britt-Marie się boi, że przyjdzie i zapuka do drzwi. Potem jest zawiedziona, że tak nie zrobił.

Gasi światło wszędzie oprócz łazienki. Blask pojedynczej żarówki czołga się pod drzwiami i rozświetla dokładnie ten kawałek ściany, gdzie Ktośka powiesiła za nisko, ale bynajmniej nie za nisko tablicę informacyjną. „Witamy w Borg”, czyta Britt-Marie, siedząc na taborecie w ciemności i gapiąc się w czerwony punkt, z powodu którego zakochała się w tablicy od pierwszego wejrzenia. To powód, dla którego kocha mapy. W połowie już odpadł – czerwony punkt – a farba wyblakła. Ale jest tam, rzucony na mapę w połowie odległości między lewym dolnym rogiem a środkiem tablicy. Obok niego jest napisane: „Jesteś tutaj”.

Czasami łatwiej żyć, nie wiedząc, kim się jest, wiedząc, gdzie się jest.

16

Ludzie z miast mówią zawsze, że zmierzch jest „wkradaniem się ciemności”, ale w miasteczkach takich jak Borg jest właściwie jej wybuchem. Dotyka ulic jak epidemia. W miastach jest wiele osób, które nie chcą być w domach nocami, dlatego otwiera się lokale i kompleksy rozrywkowe. W Borg, kiedy wkracza ciemność, życie zamiera.

Britt-Marie zamyka drzwi ośrodka i stoi sama na parkingu. W kieszeniach ma schludnie poskładany papier toaletowy, bo nie mogła znaleźć żadnej koperty. Światła w pizzerii są zgaszone, ale Britt-Marie widzi cień Ktoś ki poruszającej się w środku. Coś w Britt-Marie chce tam pójść i coś powiedzieć, może coś kupić, ale ta znacznie bardziej rozsądna część Britt-Marie każe jej się powstrzymać. Na zewnątrz jest ciemno. To nie jest cywilizowane chodzić po sklepach w mroku.

W środku włączone jest radio. Leci jakaś muzyka pop. Britt-Marie nie jest niezaznajomiona z muzyką pop, bo na ten temat pojawia się sporo pytań w krzyżówkach, więc Britt-Marie doprawdy jest poinformowana. Ale tej piosenki nigdy nie słyszała. Młody mężczyzna, któremu łamie się głos, śpiewa: „W mieście, w którym mieszkam, albo jest się kimś, albo w ogóle nikim”. Britt-Marie nadal trzyma karton papierosów z zagranicznymi napisami. Nie wie, ile kosztują takie papierosy, ale wyjmuje z torebki znacznie więcej pieniędzy, niż jej się wydaje rozsądne, i zawija je w papier toaletowy, tak że wygląda to jak mała koperta z wyjątkowymi właściwościami absorpcyjnymi. Potem wkłada to ostrożnie pod drzwiami.

Mężczyzna w radiu dalej śpiewa. Jakby nic się nie stało. O niczym. „Miłość nikogo nie oszczędza”, śpiewa. W kółko. Miłość nikogo nie oszczędza. Britt-Marie czuje Kenta w piersi tak mocno, że nie może oddychać.

Potem idzie sama drogą, która wychodzi z miasteczka w obu kierunkach. Przez wkradający się mrok. W kierunku łóżka i balkonu, które do niej nie należą.

Z prawej strony za Britt-Marie nadjeżdża ciężarówka. Jest zbyt blisko. Jedzie za szybko. Dlatego Britt-Marie rzuca się na drugą stronę drogi. Ludzki mózg ma zaskakującą zdolność odtwarzania wspomnień tak wyraźnie, że reszta ciała może tymczasem stracić równowagę. Ciężarówka, która nadjeżdża z prawej strony, może wystarczyć, żeby uszy uwierzyły, że słyszą krzyk matki, żeby dłonie uwierzyły, że rani je szkło, żeby usta uwierzyły, że czują krew. Britt-Marie zdąży wydać wewnętrzny krzyk „Ingrid” tysiąc razy.

W deszczu grudek błota uderzających z drogi ciężarówka przejeżdża z łoskotem obok Britt-Marie tak blisko, że jej serce nie może wiedzieć, czy zostało przejechane, czy nie. Britt-Marie traci równowagę, płaszcz ma przemoczony i brudny, dzwoni jej w uszach. Trwa to może sekundę, może sto sekund, mruży oczy, patrząc na światła ze świadomością, która nieskończenie wolno ją obejmuje. Nie słyszy dzwonienia w uszach, tylko trąbienie samochodu. Słyszy czyjś krzyk. Podnosi rękę, żeby zobaczyć światła, zza których widać bmw. Fredrik stoi przed nią i przeraźliwie krzyczy.

– Czy ty już totalnie zgrzybiałaś, babo!? Nie możesz, kurwa, iść środkiem drogi! Prawie cię przejechałem.

Mówi to tak, jakby jej śmierć najbardziej dotknęła jego. Britt-Marie nie wie, co odpowiedzieć. Serce wali jej tak, że aż ją kłuje. Fredrik rozkłada ramiona.

– Słyszysz, co mówię, czy jesteś niedorozwinięta?

Robi dwa kroki w jej kierunku. Britt-Marie nie wie dlaczego. Potem dochodzi do wniosku, że nie planował jej uderzyć, ale żadne z nich nigdy się tego nie dowie, bo przerywa im inny głos. Brzmi inaczej. Jakoś zimno.

– Jakiś problem?

Najpierw obraca się Fredrik, tak że Britt-Marie zdąży zobaczyć, że jego oczy dostrzegły niebezpieczeństwo, dopiero potem dochodzi do niej, czego się boi. Fredrik przełyka ślinę.

– Nieee… ona weszła na dro…

Kilka metrów dalej stoi Sami, ma może z dwadzieścia lat, nie więcej, ręce trzyma w kieszeniach. Mógłby właśnie, biorąc pod uwagę efekt jego ukazania się, trzymać dwadzieścia lat starszego mężczyznę i czterdzieści lat starszą kobietę za gardło i dusić. „Agresja”, tak to się nazywa, według tego, co Britt-Marie przeczytała. „Zachowanie intencjonalne, mające na celu

wyrządzenie komuś krzywdy”, byłoby napisane w krzyżówce. Poziomo, siedem liter. Ludzie zastanawiają się nad wieloma rzeczami, kiedy sądzą, że zostaną pobici na śmierć, i tak się złożyło, że Britt-Marie właśnie o tym myśli.

Fredrik jąka się, mówiąc coś niesłyszalnego. Sami nic nie mówi. Inny młody mężczyzna porusza się za nim. Jest wyższy. Nietrudno zrozumieć, dlaczego mówią na niego „Psychol”. Usta ma otwarte w szyderczym uśmiechu, ale ten uśmiech nie jest niczym innym niż demonstracją zębów. Britt-Marie słyszała o czymś takim w filmach przyrodniczych, które oglądał Kent, kiedy nie było meczu. Człowiek to jedyne zwierzę, które uśmiecha się, bo chce być miłe, podczas gdy inne zwierzęta pokazują zęby, demonstrując siłę. Teraz to rozumie. Rozumie, gdzie w człowieku mieszka zwierzę.

Psychol uśmiecha się szerzej. Sami wyciąga dłonie z kieszeni. Nawet nie podnosi głosu.

– Jej nie ruszaj – mówi, wskazując głową na Britt-Marie, nie odrywając wzroku od Fredrika.

Fredrik idzie chwiejnym krokiem w kierunku bmw. Jego pewność siebie wydaje się wzrastać z każdym krokiem, kiedy się zbliża do auta, jakby samochód dodawał mu supermocy, czeka przy drzwiach, po czym syczy:

– Niedorozwój! Całe to kurewskie Borg jest niedorozwojem!

Psychol robi krok w stronę samochodu. Bmw pomrukuje na wolnych obrotach w błocie i żwirze, po czym ucieka w deszczu. Britt-Marie dostrzega chłopca na siedzeniu pasażera, jest w wieku Bena, Vegi i Omara, ale wyższy. Doroślejszy. Ma kurtkę treningową z napisem „Hokej”. Wygląda, jakby się bał.

Psychol patrzy na Britt-Marie. Pokazuje zęby. Britt-Marie się obraca i stara się z całej siły iść szybko, nie biegnąc, bo w filmach przyrodniczych mówią zawsze, że nie należy uciekać przed dzikimi zwierzętami. Słyszy, jak Sami za nią woła, jego głos jest pozbawiony złości czy gróźb. Brzmi prawie miękko:

– Do zobaczenia, coachu!

Dopiero po pięciuset metrach Britt-Marie odważa się zatrzymać i wziąć oddech. Kiedy się obraca, dwóch młodych mężczyzn zdąża już wrócić do innej grupy młodych mężczyzn na kawałek asfaltu pomiędzy kilkoma domami i drzewami. Czarny samochód stoi z pracującym silnikiem

i włączonymi światłami. Mężczyźni ruszają się w ich blasku. Sami coś woła, biegnie kilka kroków i miota prawą nogą w powietrze. Chwilę później wymachuje pięściami i krzyczy z podniesioną głową. Trwa to minutę, zanim dociera do Britt-Marie, co robią.

Grają w piłkę nożną.

Bawią się.

W nocy niebo zmienia temperaturę na minusową. Deszcz przemienia się w śnieg. Britt-Marie stoi na balkonie i się temu przypatruje. Myśli nieproporcjonalnie dużo o tym, jak się przygotowuje sushi, trzeba to przyznać. Zastanawia się, czy nie lubi sushi, bo nie lubi sushi, czy go nie lubi ze względu na Kenta. Jadła je tylko raz, na kolacji z klientami Kenta. Negocjacje się nie udały i Kent za to znienawidził sushi. Britt-Marie wzięła na siebie winę, w zasadzie nie wiedząc dlaczego. Tak było najłatwiej. Powinna być bardziej kompetentna społecznie, może to by coś zmieniło.

Britt-Marie czyści materac z łóżka. Rozwiesza płaszcz. Kiedy słyszy, jak Bank i pies wracają do domu i drzwi na dole się otwierają, robi trzy okrążenia po pokoju, stąpając najmocniej, jak potrafi. Żeby było wiadomo, że tam jest.

Potem zasypia z wycieńczenia, nic jej się nie śni, ponieważ nie wie, czyje sny miałyby to być.

Jest jasno, kiedy się budzi. Prawie wypada z łóżka, kiedy to do niej dociera. Obudzić się po świcie w styczniu! Co ludzie powiedzą. Wstaje zaspana, bierze swój żakiet i płaszcz, kiedy dociera do niej, co ją obudziło. Ktoś puka do drzwi. To wszystko jest potwornie denerwujące, obudzić się w porze, kiedy pukanie do drzwi już wcale nie jest niecywilizowane.

Układa włosy tak szybko, jak tylko potrafi, potyka się na schodach, uderzając się, kiedy po nich schodzi. Takie rzeczy dzieją się co chwilę, ludzie uderzają się, schodząc ze schodów, i umierają. Ostatecznie udaje jej się wylądować na obydwu nogach w przedpokoju, stara się skupić. Po chwili wahania wchodzi do kuchni, która naturalnie jest tak brudna, jak to można sobie wyobrazić, otwiera wszystkie szuflady, aż znajduje fartuszek. Wkłada go na siebie.

– Ha? – mówi z podniesionymi brwiami, otwierając drzwi.

Poprawia fartuszek. Tak, jak się to robi, kiedy jest się zajętym zmywaniem naczyń o cywilizowanej porze i ktoś nam przeszkodzi, pukając do drzwi. W progu stoją Vega i Omar.

– Co pani robi? – pyta Vega.

– Jestem zajęta – odpowiada Britt-Marie.

– Spała pani? – pyta Omar.

– Doprawdy nie! – protestuje Britt-Marie, poprawiając fartuszek i fryzurę.

– Słyszeliśmy, jak pani schodzi ze schodów – mówi Vega, wskazując głową na przedpokój.

– To nie jest żadne przestępstwo – informuje Britt-Marie, broniąc się.

– Spokojnie, pytaliśmy tylko, czy pani spała! – odcina się Vega.

– Ha – mówi Britt-Marie.

– Tak! – mówi Vega.

Britt-Marie splata dłonie.

– Możliwe, że zaspałam. To nie zdarza się często.

– Zaspała pani na co? – pyta Omar.

Britt-Marie nie ma na to dobrej odpowiedzi. Dlatego milczą przez chwilę. W końcu Vega traci cierpliwość, stęka i przechodzi do swojej sprawy:

– Chcieliśmy zapytać, czy zje pani dzisiaj u nas kolację.

Omar potakuje energicznie.

– I chcieliśmy jeszcze zapytać, czy chce pani być trenerką naszej drużyny!

Potem Omar krzyczy „ole!”, a Vega syczy „idiota”, próbując kopnąć go w łydkę, ale tym razem Omarowi udaje się odsunąć nogę.

– Chcieliśmy panią zaprosić na kolację, żeby zapytać, czy zechce być pani naszą trenerką. Tak jak się przedstawia propozycję kontraktu. W prawdziwych drużynach piłkarskich – mówi naburmuszona Vega do Britt-Marie.

– Nie bawi mnie piłka nożna – mówi Britt-Marie najuprzejmiej, jak tylko potrafi, co prawdopodobnie właśnie teraz nie jest ani trochę uprzejme.

– Nie musi pani nic robić, trzeba tylko podpisać mnóstwo kartek i przychodzić na te cholerne treningi! – mówi kwaśno Vega, używając takiego języka, jakby to Britt-Marie przyszła, pukając do jej drzwi jak jakiś szaleniec, a nie na odwrót.

Omar przytakuje.

– Będą zajebiście ważne rozgrywki w mieście. Organizuje je gmina i wszystkie drużyny będą brały w nich udział, ale trzeba mieć trenera.

– Musi być doprawdy ktoś inny w Borg, kto może się w to zaangażować – mówi Britt-Marie, wycofując się do przedpokoju.

– Nikt inny nie ma czasu – mówi Vega.

– Pomyśleliśmy, że pani w sumie… nie ma nic do roboty! – mówi Omar, potakując radośnie głową.

Britt-Marie zatrzymuje się i wygląda na bardzo obrażoną. Poprawia fartuszek.

– Pragnę was poinformować, że mam masę rzeczy do zrobienia.

– Jak co na przykład? – pyta Vega.

– Mam listę! – informuje Britt-Marie.

– Na Boga, przecież na to w ogóle nie potrzeba czasu, wystarczy, że będzie pani przychodzić na treningi, jeśli przyjedzie ktoś z gminy! Żeby widzieli, że mamy, do cholery, trenera! – stęka Vega.

– Mamy trening dzisiaj o szóstej, na parkingu przy ośrodku – mówi Omar, potakując.

– Nic nie wiem o piłce nożnej – informuje Britt-Marie.

– Omar też nie, ale mimo wszystko tam będzie – mówi Vega.

– Kurwa co? – wybucha Omar.

Wydaje się, że Vega traci cierpliwość, kiwa głową, patrząc na Britt-Marie.

– Pieprzyć to! Myśleliśmy, że będzie pani miła. Jesteśmy w Borg, więc nie mamy wielu innych dorosłych do wyboru. Jest tylko pani.

Britt-Marie nie ma na to odpowiedzi. Vega zaczyna schodzić po schodach, robi poirytowany gest w stronę Omara, żeby poszedł za nią. Britt-Marie stoi nadal w progu, wkłada jedną dłoń w drugą, otwiera i zamyka usta wiele razy, po czym woła:

– Nie mogę o szóstej!

Vega się odwraca. Britt-Marie patrzy na swój fartuszek.

– Cywilizowani ludzie jedzą o szóstej kolację. Nie można bynajmniej kopać piłki w samym środku posiłku.

Vega wzrusza ramionami. Jakby to miało jakieś znaczenie.

– Okej. Proszę przyjść do nas na kolację o szóstej, możemy potem zrobić trening.

– Będą tacos! – dodaje zadowolony Omar.

– A co to takiego? – pyta Britt-Marie.

Dzieci gapią się na nią.

– Tacos – powtarza Omar, jakby problemem było to, że Britt-Marie nie usłyszała, co wcześniej powiedział.

– Nie jadam zagranicznych potraw – mówi Britt-Marie, choć właściwie chce przez to powiedzieć, że „Kent nie jada zagranicznych potraw”.

Vega wzrusza ramionami.

– Jeśli nie zje pani ciasta, to jest to w zasadzie sałatka.

– Ha – mówi Britt-Marie, ponieważ nie ma żadnych zasad dotyczących sałatek.

– Mieszkamy na osiedlu, blok numer dwa, na drugim piętrze – mówi Omar, wskazując w dół drogi.

Oczywiście to nie tam i nie wtedy Britt-Marie zostaje trenerką drużyny piłkarskiej. Ale to wtedy i tam zostaje o tym poinformowana.

Britt-Marie zamyka drzwi. Zdejmuje fartuszek. Wkłada go do szuflady. Sprząta kuchnię, ponieważ nie potrafi tego nie zrobić. Potem idzie na piętro przynieść telefon komórkowy. Dziewczyna z urzędu pracy odbiera po pierwszym sygnale.

– Wie pani coś na temat piłki nożnej? – pyta Britt-Marie.

– Britt-Marie? – pyta dziewczyna, jakby się jeszcze nie nauczyła.

– Potrzebuję informacji na temat sposobów trenowania drużyny piłkarskiej – informuje Britt-Marie.

– Okej… – mówi dziewczyna.

– Nie pomaga mi pani bynajmniej – wyjaśnia Britt-Marie.

– To znaczy… co pani ma na myśli? – pyta dziewczyna.

– Czy można tak po prostu trenować drużynę piłki nożnej? Nie trzeba jakiegoś pozwolenia z urzędu lub czegoś podobnego?

– Nieee… to znaczy… co? – mówi dziewczyna.

Britt-Marie wydycha. Bynajmniej nie wzdycha.

– Droga pani, kiedy na przykład chce się oszklić balkon, trzeba mieć zezwolenie. Zakładam, że to samo dotyczy drużyn piłki nożnej. Nie są chyba wyjęte spod prawa tylko dlatego, że dzieci biegają dookoła, coś kopiąc?

– Nie… to znaczy… Zakładam, że wystarczy, jak ich rodzice podpiszą zaświadczenie, że wolno ich dzieciom grać w drużynie – mówi niepewnie dziewczyna.

Britt-Marie zapisuje to na listę. Potakuje poważnie sama do siebie i pyta:

– Ha. W takim razie czy mogę zapytać, co się robi najpierw na treningu?

– Nie wiem – odpowiada dziewczyna.

– Wydawało mi się, że panią bawi piłka nożna – mówi Britt-Marie oskarżycielskim tonem.

– To znaczy… nie wiem, co się najpierw robi na treningu, może… sprawdza się listę obecności? – stara się dziewczyna.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – pyta Britt-Marie.

– Trzeba mieć listę obecności. Zaznaczyć wszystkich obecnych – mówi dziewczyna.

– Listę? – powtarza Britt-Marie.

– Tak? – mówi dziewczyna.

– Listę z obecnymi osobami – mówi Britt-Marie, głównie do siebie samej.

– Tak? – powtarza dziewczyna.

Britt-Marie odkłada słuchawkę.

Być może nie wie nic o piłce nożnej, ale Bóg świadkiem, nikt nie wie więcej o listach niż Britt-Marie.

17

Dino otwiera drzwi, śmieje się na jej widok. Britt-Marie zakłada, że zadzwoniła do nieodpowiedniego mieszkania, ale okazuje się, że Dino je kolację u Vegi i Omara i że prawdopodobnie nie śmieje się z niej. Najwyraźniej tak się robi w Borg, je się kolacje nie u siebie w domu i śmieje bez wyraźnego powodu. Korytarzem biegnie Omar, wskazując na Britt-Marie.

– Zdejmij buty, Sami się wkurzy, bo właśnie przetarł podłogę!

– Nie wkurzę się! – krzyczy głos z kuchni, jest dość wkurzony.

– Zawsze się wkurza, kiedy mamy sprzątać – wyjaśnia Omar Britt-Marie.

– Może nie wkurzałbym się, gdybym nie tylko JA sprzątał w tym domu. KAŻDEGO dnia, do cholery! – wrzeszczy Sami z kuchni.

Omar potakuje znacząco do Britt-Marie.

– Widzi pani. Wkurzony.

W drzwiach pojawia się Vega. Pochyla się i wymachuje niewidzialną butelką z alkoholem, naśladując Ktośkę.

– No wiesz, Britt-Marie, Sami ma… jak to szło? Komary w odbycie.

Dino i Omar śmieją się tak głośno, że aż się hiperwentylują. Britt-Marie potakuje szybko i uprzejmie kilka razy, ponieważ w ten sposób najbliżej jej w ogóle do śmiechu w głos. Zdejmuje buty, wchodzi do kuchni i potakuje w kierunku Samiego. On wskazuje jej krzesło.

– Gotowe – mówi, zdejmując fartuch, po czym wrzeszczy w kierunku przedpokoju: – JEDZENIE GOTOWE!

Britt-Marie patrzy na zegarek. Jest punktualnie szósta.

– Poczekamy na waszych rodziców? – pyta troskliwie.

– Nie ma ich tutaj – mówi Sami, rozkładając podkładki na stole.

– Naturalnie spóźnią się z powodu pracy – mówi Britt-Marie, potakując.

– Mama jest kierowcą ciężarówki. Za granicą. Rzadko bywa w domu – mówi Sami krótko, rozkładając miseczki i szklanki na podkładkach.

– A tata? – pyta Britt-Marie.

– Zostawił nas – odpowiada Sami.

– Zostawił? – powtarza Britt-Marie.

– Tak. Kiedy byłem mały. Omar i Vega dopiero co się urodzili. Chyba nie dał rady. Dlatego nie mówi się o nim w tym domu. Mama się nami zajęła. KURWA! KOLACJA JUŻ GOTOWA, JAK TU NIE PRZYJDZIECIE, ZAJEBIĘ WAS! – wyjaśnia Sami najpierw Britt-Marie, a potem nieobecnym dzieciom.

Vega, Omar i Dino wbiegają do kuchni i zaczynają jeść tak łapczywie, że jeśli o nich chodzi, można by równie dobrze wrzucić wszystko do miksera i podać do wypicia ze słomką.

– To kto się wami zajmuje, kiedy nie ma waszej mamy? – pyta Britt-Marie.

– Sami się sobą zajmujemy – mówi urażony Sami.

– Ha – mówi Britt-Marie.

Nie wie dokładnie, co należy zrobić w takiej sytuacji, więc wyjmuje karton papierosów z zagranicznymi literami.

– Naturalnie zwykle biorę ze sobą kwiaty, kiedy jestem zaproszona na kolację, ale w Borg nie ma żadnej kwiaciarni. Zauważyłam, że lubisz papierosy. Przypuszczam, że dla kogoś, kto lubi papierosy, papierosy są jak kwiaty – wyjaśnia Britt-Marie, jakby się broniła.

Sami przyjmuje karton. Wygląda na wzruszonego. Britt-Marie siada na wolnym krześle i odchrząkuje troskliwie.

– Rozumiem, że nie boisz się raka. Jakże to miło.

– Są gorsze rzeczy, których należy się bać – stwierdza z uśmiechem Sami.

– Ha – mówi Britt-Marie, podnosząc swój talerz, na którym, jak przypuszcza, jest taco.

Omar i Vega zaczynają się przekrzykiwać. Głównie dotyczy to piłki nożnej, o ile Britt-Marie dobrze rozumie. Dino nie mówi prawie nic, ale ciągle się śmieje. Britt-Marie nie wie z czego. Wydaje się, że on i Omar nawet nie muszą niczego powiedzieć, żeby zacząć się śmiać, patrzą tylko na siebie i się śmieją. Czasami trudno zrozumieć dzieci.

Sami wskazuje na Omara widelcem.

– Ile razy mam powtarzać? Weź, kurwa, te pieprzone łokcie ze stołu!

Omar przewraca oczami. Zdejmuje łokcie ze stołu.

– Nie kumam, dlaczego nie można mieć łokci na stole. Jakie to ma znaczenie?

Britt-Marie obserwuje go w ciszy.

– To ma znaczenie, Omarze, ponieważ nie jesteśmy zwierzętami – wyjaśnia.

Sami patrzy z wdzięcznością na Britt-Marie. Omar patrzy na nich oboje bez zrozumienia.

– Zwierzęta nie mają łokci – odcina się.

– Jedz swoje cholerne jedzenie – mówi Sami.

I tak jedzą. Kiedy Omar i Dino kończą, podnoszą się i biegną ze śmiechem do drugiego pokoju. Vega kładzie swój talerz na zlewozmywaku i wygląda tak, jakby czekała na dyplom za ten wkład pracy. Potem odbiega.

– Mówi się dziękuję – mówi kwaśno Sami za nimi.

– DZIĘKUJEMY! – wrzeszczą dzieci z niezidentyfikowanej części mieszkania.

Sami się podnosi, demonstracyjnie wkłada z hukiem naczynia do zlewu. Potem patrzy na Britt-Marie.

– Rozumiem, że pani nie smakowało.

– Słucham? – pyta Britt-Marie.

Sami potrząsa głową, mówi coś, w czym powtarza się wielokrotnie słowo „kurwa”, bierze ze sobą karton papierosów i znika na balkonie.

Britt-Marie siedzi sama w kuchni. Je coś, co do czego jest prawie pewna, że to tacos. Smakują nie tak dziwnie, jak sobie wyobrażała. Podnosi się, zmywa wszystkie talerze, wkłada resztki do lodówki, zmywa naczynia, wyciera sztućce i otwiera szufladę. Stoi nad nią schylona i oddycha. Widelce-noże-łyżki. W odpowiedniej kolejności.

Sami stoi na balkonie i pali, kiedy Britt-Marie do niego wychodzi.

– To była bardzo smaczna kolacja, Sami. Dziękuję – mówi, mocno trzymając jedną rękę w drugiej.

Sami potakuje.

– Czasami fajnie, jak ktoś powie, że mu smakowało, niepytany. Wie pani, o co mi chodzi?

– Tak – mówi Britt-Marie, bo się z nim zgadza.

Potem czuje, że należałoby powiedzieć coś uprzejmego, więc mówi:

– Macie bardzo piękną szufladę na sztućce.

Sami patrzy na nią długo i się szczerzy.

– Jest pani okej, trenerko.

Britt-Marie przytakuje. Waha się. W końcu mówi:

– Ha. Ha. Ty też jesteś okej… Sami.

Sami podwozi całą gromadkę na trening swoim czarnym samochodem. Vega kłóci się z nim głośno przez całą drogę, nawet jeśli, swoją drogą, cała droga w Borg nie jest wcale długa. Britt-Marie nie do końca rozumie, o co się kłócą, ale wydaje się to mieć coś wspólnego z Psycholem. Coś związanego z pieniędzmi. Kiedy milkną, Britt-Marie czuje, że należy coś zrobić, aby zmienić temat rozmowy, ponieważ Psychol denerwuje ją równie mocno jak trujące pająki, jeśli mówi się o nich zbyt długo, dlatego pyta:

– Czy wy też macie swoją drużynę piłkarską, Sami? Ty i ci chłopcy, z którymi grałeś kilka dni temu?

– Nie, nie mamy żadnej… drużyny – mówi Sami i wygląda, jakby odpowiadał na jakieś dziwne pytanie.

– Dlaczego w takim razie gracie w piłkę nożną? – pyta Britt-Marie bez zrozumienia.

– Jak to „dlaczego”? – pyta Sami również bez zrozumienia.

Żadne z nich nie wydaje się mieć dobrej odpowiedzi.

Samochód się zatrzymuje. Vega, Omar i Dino wyskakują. Britt-Marie przegląda zawartość swojej torebki, żeby sprawdzić, czy czegoś nie zapomniała.

– Jest pani gotowa? – pyta Vega, jakby już się zdążyła znudzić.

Britt-Marie potakuje, jest skupiona i wskazuje na swoją torebkę.

– Tak, tak, naturalnie. Jestem gotowa. Pragnę cię poinformować, że sporządziłam listę.

Sami parkuje samochód, nie wyłącza silnika i zostawia włączone światła, które oświetlają parking. Dzieci stawiają cztery puszki, wyznaczając początek i koniec bramek, ponieważ puszki mają tę magiczną moc, że mogą zmienić parkingi w boiska piłki nożnej wyłącznie swoją egzystencją. Britt-Marie wyjmuje listę.

– Vega? – pyta głośno i wyraźnie, podczas gdy dzieci biegają dookoła i kopią w piłkę z mniejszym lub większym sukcesem.

– Co? – mówi Vega, która stoi dokładnie przed Britt-Marie.

– Czy to znaczy „tak”? – pyta Britt-Marie.

– O co pani chodzi? – pyta Vega.

Britt-Marie uderza niezwykle cierpliwie długopisem w listę.

– Moja droga, sprawdzam listę obecności. Wtedy mówi się każde imię, a pytający odpowiadają „tak”. Taki jest zwyczaj.

Vega patrzy z niezadowoleniem.

– Przecież widzi pani, że tu stoję!

Britt-Marie potakuje cierpliwie.

– Moja droga, gdyby tylko można było dowolnie odhaczać ludzi, nie byłoby żadnego powodu do sporządzania list obecności.

– No właśnie! – mówi Vega.

– No właśnie – mówi Britt-Marie.

– Pieprzyć listę! Gramy! – stęka Vega, kopiąc piłkę.

– Vega? – mówi Britt-Marie.

– TAAAK? O co chodzi? – syczy Vega.

Britt-Marie potakuje skoncentrowana i odhacza imię Vegi na liście. Potem robi to samo z innymi dziećmi i rozdaje im ręcznie napisane karteczki z bardzo krótką i formalną wiadomością, na końcu widać dwie schludne kreski i jest napisane „Podpis rodzica”. Britt-Marie jest bardzo dumna z karteczek. Napisała je długopisem. Jeśli ktoś zna Britt-Marie, wie, jakim niesamowitym wyczynem w powstrzymywaniu własnych impulsów było napisanie czegoś długopisem. Ludzie naprawdę się zmieniają, podróżując.

– Czy oboje rodzice muszą to podpisać? – pyta Pirat, który ułożył swoje rude włosy w tak ładną fryzurę, że Britt-Marie aż boli, kiedy chłopiec dostaje w następnej sekundzie piłką w głowę.

– Przepraszam! Podawałem do Vegi! – krzyczy Omar.

Potem Vega i Omar zaczynają się bić. Pozostałe dzieci się na nich rzucają. Britt-Marie chodzi dookoła i zastanawia się, jak podać Omarowi i Vedze karteczki w plątaninie pięści, ale w końcu się poddaje i idzie zdecydowanym krokiem przez parking, żeby podać karteczkę Samiemu. Ten siedzi na masce czarnego samochodu i pije z jednego słupka bramki. Britt-Marie usuwa kurz z całej siebie. Futbol nie jest bynajmniej higieniczny.

– Potrzebuje pani pomocy? – pyta Sami.

– Nie jestem zaznajomiona z wymaganiami w stosunku do trenera, kiedy zawodnicy biją się jak dzikie psy – wyznaje Britt-Marie.

– Każe im pani pobiegać. – Sami się szczerzy.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – dopytuje się Britt-Marie.

– No wie pani. Idiota – mówi Sami.

– Wykluczone! – protestuje Britt-Marie, choć to słowo nawiązuje do jej obecnego samopoczucia.

Sami śmieje się z niej, a może z nią, jest to w najwyższym stopniu niejasne.

– Nie, kurwa, to taka gra. Nazywa się „idiota”. Pokażę pani.

Zsuwa się z maski i obchodzi samochód. Britt-Marie idzie za nim. Wkłada jedną dłoń w drugą i pyta, bynajmniej nie oskarżycielsko:

– Czy zechciałbyś mi wyjaśnić, dlaczego ty nie trenujesz tych dzieci, jeśli wiesz tyle o piłce nożnej?

Sami podnosi pół tuzina puszek z bagażnika. Podaje jedną z nich Britt-Marie.

– Nie mam czasu – mówi.

– Może byś znalazł, gdybyś nie poświęcał całego swojego czasu na kupowanie napojów gazowanych – zauważa Britt-Marie.

Sami znowu się śmieje.

– Daj spokój, trenerko, chyba się pani domyśla, że gmina nie pozwoli mi, z moim rejestrem karnym, trenować drużyny młodzieżowej – mówi.

Jakby to nic nie znaczyło.

Po tym wyznaniu Britt-Marie trzyma mocno torebkę. Nie chodzi o to, że osądza ludzi, bynajmniej, ale dlatego, że w Borg bardzo mocno wieje. Tylko dlatego.

„Idiota” to gra, która w Borg polega na tym, że stawia się tuzin puszek rzędami w odstępach kilku metrów. Dzieci stają przy płocie między ośrodkiem a pizzerią, biegną tak szybko jak potrafią do pierwszej puszki, a potem najszybciej jak potrafią z powrotem do płotu, potem najszybciej jak mogą do drugiej puszki, a potem z całych sił z powrotem. Potem do trzeciej puszki, z powrotem i tak dalej.

– Jak długo mają tak robić? – pyta Britt-Marie.

– Jak długo pani zechce – mówi Sami.

– Nie mogę ich, na Boga, do niczego zmuszać! – sprzeciwia się Britt-Marie.

– Teraz jest pani trenerką. Jeśli nie zrobią tego, co pani im każe, nie będą mogli brać udziału w rozgrywkach – mówi Sami.

„Co za głupoty”, myśli Britt-Marie, ale Sami nie wyjaśnia tego dokładniej, bo dzwoni jego telefon.

– Jak się nazywa ta gra? – pyta Britt-Marie.

– Idiota! – odpowiada Sami, po czym mówi „tak” do telefonu w ten sposób, w jaki ludzie odpowiadają, nie intonując swojej wypowiedzi ani jako wykrzyknienia, ani jako pytania.

Britt-Marie długo się zastanawia, po czym w końcu mówi:

– To dobra nazwa, zarówno dla tej gry, jak i dla jej twórcy.

Sami idzie w tym momencie w kierunku swojego samochodu z telefonem przy uchu, więc nie słyszy, co powiedziała Britt-Marie. Nikt tego nie słyszy. Ale nie ma to znaczenia dla Britt-Marie. Dzieci biegają między puszkami, a obok stoi Britt-Marie z jakiegoś rodzaju uszczęśliwiającym dwutlenkiem węgla w całym ciele i powtarza: „Dobra nazwa, zarówno dla tej gry, jak i dla jej twórcy”, powtarza bardzo, bardzo cicho. Wiele razy.

Po raz pierwszy, od kiedy pamięta, udało jej się powiedzieć żart.

18

Trzeba powiedzieć w obronie dzieci, że nie robią tego naumyślnie. Albo cóż, oczywiście robią to umyślnie, ale żadne z dzieci nie wierzy, że Ropusze uda się trafić. Nigdy nie udaje im się trafić w to, w co celują. Szczególnie Ropusze, bo jest najmłodszym i najgorszym zawodnikiem w i tak dostatecznie najgorszej drużynie. Jednak dzieje się tak, że Bank przypadkowo, w gorszym humorze niż zwykle, idzie ze swoim białym psem przez parking w trakcie treningu. Omar widzi, jak wchodzi do pizzerii albo sklepu spożywczego, albo warsztatu samochodowego, albo do czegokolwiek to jest, i po chwili wraca z reklamówką, która wygląda tak, jakby zawierała czekoladę, i inną reklamówką, która brzmi tak, jakby zawierała piwo. Omar szturcha łokciem Ropuchę w bok i pyta:

– Myślisz, że ona ma supermoce?

Ropucha odpowiada, wydając odgłos, który jest typowy dla dzieci mających usta pełne słupka bramkowego. Omar gestykuluje, tłumacząc się w kierunku Britt-Marie, jakby Britt-Marie stanowiła lepszą publiczność dla tego typu wywodów, co powinno być uznane za nieco przesadnie optymistyczne.

– No wie pani, w filmach ślepcy zwykle mają supermoce! Jak Daredevil!

– Nie jestem z tym zaznajomiona – wyjaśnia Britt-Marie najuprzejmiej, jak potrafi w sytuacji, gdy ktoś mówi coś równie głupiego jak to.

Bank idzie przez parking z laską w ręku za białym psem. Podniecony Omar wyjaśnia:

– Daredevil! To superbohater! Choć jest ślepy. Dlatego ma wyostrzone inne zmysły. Myśli pani, że ona też tak ma? Że poczułaby, że ktoś celuje w nią piłką, nawet tego nie widząc?

– Pragnę cię poinformować, że pani Bank nie jest ślepa. Jest niedowidząca – mówi Britt-Marie, a po chwili czuje się zmuszona zaznaczyć: – Nie jestem osobą, która wałkuje takie rzeczy. Doprawdy nie.

Trzeba powiedzieć w obronie Ropuchy, że nie jest to jego pomysł. Po prostu właśnie trzyma piłkę. Więc Omar, który już dawno temu przestał słuchać Britt-Marie, obraca się i mówi:

– Ropucha, zrób to!

Ropucha nie wygląda, jakby uważał, że to dobry pomysł. Ale Omar wypowiada te złote słowa, które w sposób czysto magiczny posiadają moc zniszczyć wszelkie zahamowania u każdego dziecka na świecie:

– Nie odważysz się!

Trzeba powiedzieć w obronie Ropuchy, że wydaje mu się, że nie da rady trafić. Wszyscy są bardzo zaskoczeni, kiedy daje radę.

Najbardziej zaskoczona jest oczywiście Bank.

– CO DO KUR… – wrzeszczy, podnosząc się z twarzą w masce błotnej.

Dzieci stoją najpierw, milcząc z otwartymi ustami. Tak się robi. Potem Omar zaczyna chichotać. Chwilę później Vega robi to samo. Bank rzuca się na nie z szalonym wyrazem twarzy, wygrażając im laską w powietrzu.

– ALE ŚMIESZNE! SMARKACZE!

Britt-Marie odchrząkuje i próbuje podać Bank rękę.

– Droga… Bank, to nie było naumyślnie, nie chciał bynajmniej w panią trafić, bynajmniej. To był wypadek, naturalnie.

– WYPADEK! WYPADEK! Jasne! – drze się Bank. Jest trochę niejasne, co chce przez to powiedzieć.

– Jak to nienaumyślnie? Przecież celował! – wrzeszczy pewnie Omar, ale jednocześnie cofa się nieco niepewnie z pola rażenia laski za Britt-Marie.

– Celowałeś? – pyta Ropuchy zdumiona Britt-Marie.

– KTO TO ZROBIŁ!? – krzyczy Bank z pulsującą twarzą, jakby od samej szyi była jedną wielką tętnicą.

Ropucha potakuje sparaliżowany i się wycofuje. Britt-Marie wkłada entuzjastycznie jedną dłoń w drugą, nie wiedząc, co ma począć.

– Ale to przecież… wyśmienicie! – wydobywa się z niej.

– CO TY WYGADUJESZ, BABO?! – wrzeszczy Bank.

Wszystko, co rozsądne w Britt-Marie, stara się oczywiście opanować entuzjazm, ale niezbyt się to udaje, bo Britt-Marie się pochyla i szepce zadowolona:

– Nigdy nie trafiają w to, w co celują, droga pani. To naprawdę wyśmienity postęp z ich strony!

Bank gapi się na Britt-Marie. Przynajmniej tak się wydaje. Jeśli w ogóle może się wydawać. Trudno to stwierdzić z powodu okularów przeciwsłonecznych. Britt-Marie przełyka niepewnie ślinę.

– Naturalnie, to nie jest doprawdy wyśmienite, że trafił… w panią. Nie to miałam na myśli. To wyśmienite, że trafił… w coś.

Bank opuszcza parking w chmurze najbrzydszych słów, jakie Britt-Marie kiedykolwiek usłyszała, żeby wobec niej padały. Britt-Marie nawet nie wiedziała, że można połączyć nazwy narządów płciowych z innymi częściami ciała w ten sposób. Nie natyka się na tego rodzaju innowacje słowne w krzyżówkach.

Na parkingu zalega zamyślona cisza. Przerywa ją naturalnie głos Ktośki.

– Jak mówiłam. Komary. W dupie.

Siedzi na progu pizzerii i szczerzy się, patrząc za Bank. Britt-Marie oczyszcza swoją spódnicę.

– Nie śmiem twierdzić, że się pani myli, bynajmniej. Uważam jednak zdecydowanie, że problemem Bank nie były tym razem komary w dupie, lecz piłka w głowę.

Wszyscy się śmieją. Britt-Marie nie jest z tego powodu zła. To dla niej nowe odczucie.

Chłopiec w kurtce treningowej z napisem „Hokej” wychodzi z pizzerii z kartonem pizzy w rękach. Nie udaje mu się ukryć swojego zainteresowania treningiem piłki nożnej, dostrzega swój błąd i stara się szybko uciec, ale Vega go dostrzega.

– Co tu robisz?! – ryczy.

– Kupuję pizzę – odpowiada skruszony chłopiec w kurtce treningowej.

Vega podnosi głos.

– A w mieście nie ma pizzy?

Chłopiec patrzy na karton.

– Lubię tutejszą pizzę.

Vega zaciska pięści, ale nie mówi nic więcej. Chłopiec przepycha się w progu obok Ktośki i ucieka na drogę. Bmw stoi sto metrów dalej

z włączonym silnikiem.

Ktośka obraca się do Vegi, robiąc grymas.

– Nie jest swoim ojcem. Ojciec może być świnią, chłopak może być dobry. Ty powinnaś to wiedzieć.

Vega wygląda, jakby słowa trafiły w nią jak rwący ból w zębach. Obraca się i kopie tak mocno piłkę, że ta znika za płotem w mroku, daleko od pola świateł samochodu Samiego.

Ktośka podjeżdża do Britt-Marie, wskazując głową na pizzerię.

– Chodź! Mam coś dla ciebie!

Ropucha zdążył wypić wszystkie słupki bramkowe, Vega zaczyna głośno się kłócić z Samim. Britt-Marie rozumie tylko słowa „Psychol” i „wisi nam kasę”, więc domyśla się, że trening już się skończył. Nie wie, czy powinna zrobić coś szczególnego, gwizdnąć w gwizdek albo coś w tym stylu, jednak decyduje się nic nie robić. Nie dlatego, że nie ma gwizdka.

W pizzerii Ktośka kładzie na ladzie kartkę i garść pieniędzy.

– Masz. To reszta i rachunek.

Podaje wszystko, robiąc gest w kierunku szczeliny w drzwiach, gdzie Britt-Marie włożyła pieniądze poprzedniego wieczoru.

– Następnym razem, możesz, no wiesz… jak to było? Wejść. – Ktośka się szczerzy.

Kiedy Britt-Marie nie wie, co odpowiedzieć, dodaje:

– Zostawiłaś za dużo kasy za papierosy, Britt-Marie. Jesteś, no wiesz… Jak to szło? Albo nie umiesz liczyć, albo jesteś bardzo hojna. Pomyślałam: Britt-Marie jest hojna. Nie jak ten Fredrik na przykład, no wiesz… jest taki skąpy, że krzyczy, kiedy sra.

Ktośka kiwa głową zadowolona. Britt-Marie mamrocze „ha” wiele razy. Składa schludnie rachunek i wkłada go do torebki. Bierze pieniądze, które dostała jako resztę, i umieszcza je w słoiku. Ktośka robi pół obrotu do przodu, a potem do tyłu.

– Było ładnie, no wiesz… było ładnie, kiedy posprzątałaś. Dziękuję – mówi.

– Nie miałam zamiaru chować pani własności tak, żeby nie mogła jej pani znaleźć – mówi Britt-Marie, patrząc do swojej torebki.

Ktośka drapie się po brodzie.

– A te sztućce, no nie? Widelce, noże, łyżki. Mogę, jak to szło? Przyzwyczaić się.

Britt-Marie gryzie się w policzki. Idzie do drzwi. Dochodzi do progu, zatrzymuje się i zbiera się, żeby powiedzieć:

– Chciałam tylko poinformować, że prawdopodobnie nie należy się zbytnio stresować szybką naprawą mojego samochodu.

Ktośka wygląda za drzwi na dzieci i boisko. Potakuje. Britt-Marie robi to samo. Po raz pierwszy, od kiedy pamięta, ma przyjaciółkę.

Dzieci zdejmują brudne koszulki i zostawiają je w ośrodku, mimo że Britt-Marie nie zaproponowała, że je wypierze. Wszyscy opuszczają parking i idą do domu, podczas gdy Britt-Marie pierze koszulki, suszy je i składa w schludny stos przed jutrzejszym treningiem. Borg jest puste poza samotną sylwetką na przystanku przy drodze. Britt-Marie właściwie nie wiedziała, że jest tam przystanek, zanim nie zobaczyła kogoś czekającego przy latarni. Dopiero kiedy podeszła kilkaset metrów, dostrzega, że to Pirat. Rude włosy ma potargane i zabłocone, nie rusza się, jakby chciał zignorować fakt, że jest tam Britt-Marie. Jej rozsądek apeluje, żeby sobie stamtąd poszła. Jednak mówi:

– Miałam wrażenie, że mieszkasz w Borg.

Pirat trzyma mocno kartkę, którą Britt-Marie dała mu na początku treningu.

– Tu pisze, że trzeba mieć podpis obojga rodziców, więc muszę pojechać do mojego taty, żeby to podpisał.

Britt-Marie potakuje.

– Ha. W takim razie miłego wieczoru – mówi, idąc w kierunku mroku.

– Pojedzie pani ze mną?! – woła za nią.

Britt-Marie odwraca się, jakby uznała, że Pirat totalnie stracił rozum. Kartka w jego dłoni jest poplamiona potem.

– Ja… chyba czułbym się lepiej, gdyby pani tam była – wydusza z siebie.

Naturalnie całkowicie stracił rozum. Britt-Marie zwraca mu na to uwagę przez całą podróż autobusem.

Trwa to prawie godzinę. Zatrzymują się przed ogromnym białym budynkiem. Britt-Marie trzyma torebkę tak mocno, że dostaje skurczu w palcach. Mimo wszystko jest cywilizowaną osobą z normalnym życiem.

Cywilizowane osoby z normalnym życiem nie mają w zwyczaju chodzić na wizyty do więzienia.

19

„Cholerni gangsterzy”, tak nazywał ich zawsze Kent, bo ponosili winę za wszystko. Za przemoc uliczną, wysokie podatki, kradzieże, bazgroły w toaletach publicznych, hotele czarterowe, w których wszystkie leżaki były zawsze zajęte, kiedy Kent przychodził na basen, wszystko to było winą „gangsterów”. To był wygodny system, zawsze mieć kogoś, na kogo można zwalić winę, nigdy nie musząc definiować, o kogo chodzi.

Britt-Marie nigdy się nie nauczyła, czego on właściwie chce. Czegoś, co sprawia, że jest zadowolony. Czy wystarczałoby mu dużo pieniędzy, czy może musiałby mieć wszystkie pieniądze? Pewnego razu, kiedy David i Pernilla byli nastolatkami, dali mu kubek z napisem „Ten, kto będzie miał najwięcej rzeczy w dniu swojej śmierci, wygrywa”. Powiedzieli, że to było ironiczne, ale Kent potraktował to jak wyzwanie. Zawsze miał plan, zawsze za rogiem czaiła się okazja na „cholerny biznes życia”. Jego firma może robiłaby większe interesy z Niemcami, mieszkanie, które odziedziczyli po rodzicach Britt-Marie, może wreszcie zostałoby przekształcone we własnościowe, tak żeby mogli je sprzedać, zawsze coś było. Jeszcze tylko kilka miesięcy. Kilka lat. Pobrali się, bo według księgowego Kenta to było dobre wyjście ze względu na „planowanie strategii podatkowej”. Britt-Marie nigdy nie miała żadnego planu, miała nadzieję, że wystarczy, jak jest się zakochanym i lojalnym. Aż pewnego dnia przestało to wystarczać.

„Cholerni gangsterzy”, powiedziałby Kent, gdyby siedział tego wieczoru w małej poczekalni więziennej. „Wyślij hołotę na bezludną wyspę, daj im po pistolecie i sami zrobią ze sobą porządek”, zwykł mawiać o przestępcach. Britt-Marie nigdy się nie podobało, kiedy tak mówił, bo uważała, że porządkować można jedynie łazienkę i blaty kuchenne, ale nigdy nic nie powiedziała. Teraz, kiedy się zastanawia, trudno jej sobie przypomnieć, że w ogóle coś mówiła, pewnego dnia opuściła go bez słowa. Dlatego czuje, że to wszystko to była głównie jej wina.

Britt-Marie zastanawia się, co Kent teraz robi. Czy czuje się dobrze i czy ma czyste koszule? Czy zażywa swoje lekarstwa? Czy szuka rzeczy w szufladach, krzycząc jej imię, zanim sobie przypomni, że jej tam nie ma? Zastanawia się, czy jest z nią, z tą ładną i młodą, która lubi pizzę. Zastanawia się, co by mówił, gdyby wiedział, że siedzi w poczekalni w więzieniu pełnym gangsterów. Czy martwiłby się? Czy zażartowałby jej kosztem? Czy dotknąłby jej i szepnął, że wszystko będzie dobrze, jak to robił w okresie po pogrzebie mamy Britt-Marie?

Byli wtedy innymi ludźmi. Britt-Marie nie wie, czy to ona zmieniła się pierwsza, czy Kent. Na ile ona była winna? Czuje się gotowa powiedzieć, że to wszystko jej wina, jeśli odzyska swoje dawne życie.

Pirat siedzi obok i trzyma ją za rękę. Britt-Marie odwzajemnia jego uścisk.

– Nie może pani powiedzieć mamie, że tu byliśmy – szepce.

– Gdzie ona jest? – pyta Britt-Marie.

– W szpitalu.

– Miała wypadek? – wybucha Britt-Marie.

– Nie, nie, pracuje tam – wyjaśnia Pirat.

Potem dodaje, jakby tłumaczył naturalne prawo:

– Wszystkie mamy w Borg pracują w szpitalu.

Britt-Marie nie wie, co na to odpowiedzieć.

– Dlaczego w takim razie nazywają cię Piratem? – pyta za to.

– Bo mój tata schował skarb – odpowiada Ben.

Britt-Marie już nigdy później nie nazywa go Piratem.

Grube metalowe drzwi otwierają się, stoi w nich Sven, czerwony na nosie i spocony, z czapką policyjną w rękach.

– Czy mama jest bardzo wkurzona? – wzdycha od razu Ben.

Sven potrząsa wolno głową. Kładzie dłoń na ramieniu chłopca. Spotyka wzrok Britt-Marie.

– Mama Bena ma nocną zmianę. Zadzwoniła do mnie, kiedy otrzymała stąd telefon. Przyjechałem tak szybko, jak tylko mogłem.

Britt-Marie chciałaby go przytulić, ale jest rozsądna. Strażnicy nie pozwalają Benowi spotkać się z tatą, ponieważ to nie jest czas odwiedzin. Ale po długim przekonywaniu przez Svena biorą ze sobą kartkę do więzienia. Wracają z podpisem. Obok podpisu ojciec Bena dodał: „KOCHAM CIĘ!!”. W drodze powrotnej Ben ściska kartkę tak mocno, że

jest nieczytelna, kiedy dojeżdżają do Borg. Ani on, ani Britt-Marie, ani Sven nic nie mówią. Nie ma co powiedzieć nastolatkowi, który musi prosić obcych w mundurach o pozwolenie na spotkanie z tatą. Ale kiedy wysadzają Bena pod jego domem i podbiega mama, Britt-Marie czuje, że należałoby powiedzieć coś dodającego otuchę, więc stara się to zrobić, mówiąc:

– Tam było bardzo czysto, Benie, naprawdę. Zawsze wyobrażałam sobie więzienia jako bardzo brudne miejsca, ale to wydawało się doprawdy higieniczne. Należy się mimo wszystko z czegoś cieszyć.

Ben zwija kartkę z podpisem taty i nie patrząc na Britt-Marie, podaje ją. Sven mówi natychmiast:

– Zachowaj ją, Benie.

Ben potakuje i trzyma kartkę jeszcze mocniej.

– Czy jutro jest trening? – wydusza z siebie prawie niesłyszalnie.

Britt-Marie szuka po omacku swojej listy w torebce, ale Sven spokojnie obiecuje:

– Oczywiście, że jutro jest trening. O zwykłej porze.

Ben zerka na Britt-Marie. Ona kiwa głową z przekonaniem. Ben uśmiecha się słabo i kiwa do nich. Czekają, aż będzie głęboko w ramionach mamy. Sven macha do niej, ale ona już tego nie widzi, przyciska tylko twarz i czule szepce do swojego chłopca.

Sven jedzie wolno przez Borg. Odchrząkuje, jakby miał wyrzuty sumienia.

– Nie jest im łatwo, jej i Benowi. Ma potrójne zmiany, żeby nadal mogli mieszkać w swoim domu. To fajny chłopak, a jego ojciec nie jest złym człowiekiem, wiem, wiem, oczywiście to, co zrobił, było błędem, oszustwa podatkowe są przestępstwem. Ale był zdesperowany. Kryzys finansowy sprawia, że ludzie stają się desperatami, desperacja sprawia, że są nierozważni…

Milknie. Britt-Marie nie mówi, że kryzys finansowy się skończył. Uznaje z wielu powodów, że tym razem to nie pasuje.

Sven posprzątał radiowóz, wyrzucił z podłogi wszystkie kartony po pizzy, zauważa Britt-Marie. Przejeżdżają obok miejsca, gdzie Sami i Psychol grają ze swoimi przyjaciółmi w piłkę nożną.

– Ojciec Bena nie jest taki jak oni. Chcę tylko, żeby pani zrozumiała, że nie jest przestępcą. Nie w taki sam sposób jak ci chłopcy… – wyjaśnia

Sven.

– Sami nie jest żadnym gangsterem, ma doprawdy wyśmienicie zorganizowaną szufladę na sztućce!

Śmiech Svena pojawia się niespodziewanie, jest głęboki i donośny, jak ognisko, nad którym można ogrzać dłonie.

– Tak, tak, nie ma w nim nic złego. Naturalnie, naturalnie. Obraca się tylko w złym towarzystwie…

– Vega jest chyba zdania, że jest winien ludziom pieniądze – mówi Britt-Marie.

– Nie Sami, tylko Psychol. Psychol zawsze jest komuś coś winien – tłumaczy Sven; jego śmiech spływa po podłodze w nicość.

Radiowóz zwalnia. Chłopcy go widzą, ale nie reagują. Jest w tym jakaś wyniosłość, że nie traktują go nawet jako zagrożenia. Powieki Svena opadają do połowy.

– Sami też nie miał łatwego dzieciństwa. Tę rodzinę spotkało więcej nieszczęść, niż ktokolwiek uznałby za sprawiedliwe, jeśli ktoś by mnie zapytał. Jest zarówno ojcem, matką, jak i starszym bratem dla Vegi i Omara. Taką odpowiedzialnością nikt nie powinien obarczać chłopaka, który nawet nie skończył dwudziestu lat.

Britt-Marie chciałaby zapytać, co oznacza być „zarówno matką, jak i ojcem”, ale rozsądek każe jej się powstrzymać. Nie jest przecież kimś, kto się wtrąca. Dlatego Sven kontynuuje:

– Psychol jest jego najlepszym przyjacielem. Odkąd byli na tyle duzi, żeby kopać piłkę. Sami mógł być naprawdę dobry, wszyscy widzieli, że ma talent, ale za dużo się działo w jego życiu.

– Co to znaczy? – pyta Britt-Marie nieco obrażona, ponieważ sposób, w jaki Sven to mówi, sugeruje, że powinna to zrozumieć bez dodatkowych wyjaśnień.

Sven podnosi rękę przepraszająco.

– Przepraszam, myślałem na głos. On, oni, jak mam to wytłumaczyć? Mama Samiego, Vegi i Omara zawsze robiła co w jej mocy, ale ich ojciec… on nie był dobrym człowiekiem, Britt-Marie. Kiedy wracał do domu i miał swoje ataki, słychać go było w całym Borg. A Sami jeszcze nawet nie chodził do szkoły, a brał swoje rodzeństwo za ręce i uciekał stamtąd. Psychol spotykał ich pod drzwiami za każdym razem. Psychol niósł Omara na plecach, Sami niósł Vegę i potem biegli do lasu. Aż ojciec zaśnie po

popijawie. Wieczór za wieczorem, aż pewnego dnia odszedł od nich. A potem stało się to z ich mamą… to…

Milknie, jak to się robi, kiedy człowiek się zorientuje, że znowu myśli na głos. Próbuje nie ukrywać, że coś ukrywa, ale Britt-Marie się nie wtrąca. Sven przejeżdża tyłem dłoni po brwiach.

– Psychol wyrósł na niebezpiecznego szaleńca, Sami to wie, ale nie jest z takich, co zostawiają kogoś, kto pomagał nosić młodsze rodzeństwo na plecach. Może nie ma tego luksusu w Borg, że można sobie wybrać najlepszego przyjaciela.

Radiowóz sunie powoli wzdłuż drogi. Mecz chłopaków trwa dalej. Psychol strzela bramkę, wrzeszczy coś prosto w mrok i biegnie wokół boiska z ramionami po bokach, jak samolot. Sami śmieje się tak gwałtownie, że musi oprzeć dłonie o kolana. Wyglądają na szczęśliwych. Britt-Marie nie wie, co powiedzieć ani co myśleć. Nigdy nie spotkała gangstera z prawidłowo zorganizowaną szufladą na sztućce.

Wzrok Svena znika gdzieś, gdzie nie docierają światła i zaczyna się mrok.

– Robimy, co możemy w Borg. Zawsze tak było. Ale w tych chłopcach coś się pali, wcześniej czy później pochłonie też innych wokół albo zniszczy ich samych.

– Ależ to było poetyckie – mówi Britt-Marie.

– Chodziłem na kurs – mówi Sven.

Britt-Marie patrzy na swoją torebkę. Potem przeraża sama siebie, zadając pytanie:

– Ma pan własne dzieci?

Sven potrząsa głową. Wygląda przez okno jak ktoś, kto nie ma dzieci, ale ma całą wioskę pełną dzieci.

– Byłem żonaty, ale… cóż, ona nigdy nie lubiła Borg. Mówiła, że to takie miejsce, do którego przyjeżdża się, żeby umrzeć, a nie żeby żyć.

Sven próbuje się uśmiechać. Britt-Marie chciałaby mieć teraz zasłonę z bambusa. Przygryza usta. Kiedy mają skręcić do domu Bank, Sven wydaje się wahać, potem zbiera się na odwagę i mówi:

– Gdyby to nie było dla pani zbyt kłopotliwe, chciałbym pani pokazać jedną rzecz.

– Ha? – mówi Britt-Marie.

Jednak nie protestuje. Sven uśmiecha się pod nosem, prawie tego nie widać. Britt-Marie się uśmiecha, choć wcale tego nie widać.

Sven przejeżdża radiowozem przez Borg na drugą stronę. Skręca w żwirową drogę. Wydaje się to trwać wiecznie, ale kiedy wreszcie stają, wydaje się nierozsądne wyobrażenie sobie, że zaledwie chwilę wcześniej byli w terenie zabudowanym. Samochód jest otoczony drzewami, jest cisza tego typu, jak wtedy, kiedy nie ma żadnych ludzi.

– To jest, ech… to się teraz wydaje głupie, ale to jest moje ulubione miejsce na świecie… – mamrocze Sven.

Czerwieni się. Wygląda, jakby chciał zawrócić radiowozem i jak najszybciej stamtąd odjechać, nigdy więcej nic nie mówiąc na ten temat. Jednak Britt-Marie otwiera drzwi i wysiada.

Stoją na skale nad jeziorem otoczeni lasem. Britt-Marie rozgląda się nad urwiskiem, czuje, że coś jej się ściska w żołądku. Niebo jest bezchmurne, widać gwiazdy. Sven otwiera drzwi i odchrząkuje za nią.

– To niewiele… ale chciałem, żeby pani zobaczyła, że Borg może też być dla nas ładne – szepce.

Britt-Marie zamyka oczy. Czuje wiatr we włosach.

– Dziękuję – szepce.

W drodze z powrotem nie mówią nic. Sven wysiada z samochodu pod domem Bank, biegnie na drugą stronę i otwiera drzwi Britt-Marie. Potem otwiera drzwi z tyłu i sięga po coś, co pojawia się w starej plastikowej tubie.

– To jest, ech… To tylko takie coś – wydusza z siebie.

To rysunek. Ośrodka i pizzerii, pomiędzy którymi dzieci grają w piłkę. Britt-Marie jest w środku. Wszystko jest naszkicowane ołówkiem. Britt-Marie trzyma obraz nieco za mocno, a Sven nieco zbyt szybko zdejmuje czapkę policyjną.

– To jest, ech… oczywiście głupie, ale pomyślałem, że w mieście jest restauracja i…

Kiedy Britt-Marie nie odpowiada, dodaje natychmiast:

– To znaczy prawdziwa restauracja! Nie taka, jak pizzeria w Borg. Z obrusami. I sztućcami.

Chwilę to trwa, zanim Britt-Marie zrozumie, że Sven próbuje ukryć swoją niepewność, opowiadając żart, a nie na odwrót. Ale kiedy ona od razu go nie łapie, Sven podnosi ręce, przepraszając:

– Nie chodzi o to, że pizzerii czegoś brakuje, nie, nie, ale…

Trzyma czapkę policyjną oburącz i wygląda jak znacznie młodsi mężczyźni, kiedy chcą zapytać znacznie młodszych kobiet o coś szczególnego. Jest coś w Britt-Marie, co bardzo chciałoby się dowiedzieć, co to jest. Jednak rozsądek każe jej wejść do przedpokoju i zamknąć drzwi.

Tylko dlatego, że jest się w miejscu, gdzie wszystko jest poza wszelkim szacunkiem i uczciwością, nie należy się tak zachowywać.

20

„Ta druga kobieta”, tak to się nazywa, jednak Britt-Marie zawsze miała problem, żeby tak ją traktować. Może dlatego, że wiedziała, jak to jest być tą drugą. Wprawdzie Kent już był rozwiedziony, kiedy wrócił do domu tego dnia, całe życie temu, po pochowaniu matki Britt-Marie, ale jego dzieci nigdy tego tak nie widziały. Dzieci nigdy tak tego nie widzą. Dla Davida i Pernilli Britt-Marie była tą drugą kobietą, niezależnie od tego, ile bajek im przeczytała, ile obiadów ugotowała, i w pewien sposób dla Kenta też tak było. Może dlatego nigdy nie traktowała jej jak tej drugiej kobiety, niezależnie od tego, ile koszul wyprała, ponieważ nigdy sama nie czuła się do końca jak pierwsza kobieta.

Britt-Marie siedzi na balkonie i widzi, jak poranek wpełza do Borg, tak jak to robią styczniowe poranki w Borg – pojawiają się ze światłem dziennym, choć wydaje się, że słońce nie wschodzi. Nadal trzyma w rękach rysunek Svena. Nie jest zbyt dobrym rysownikiem, bynajmniej, i być może gdyby była bardziej krytyczna, martwiłaby się, że zamazane kontury i nierówna sylwetka mówią coś o tym, jak on ją widzi. Mimo wszystko widzi ją. Trudno temu zaprzeczyć.

Przynosi telefon komórkowy i dzwoni do dziewczyny z urzędu pracy. Głos dziewczyny odpowiada radośnie, więc Britt-Marie domyśla się, że to musi być automatyczna sekretarka. Zamierza oczywiście odłożyć słuchawkę, bo uważa, że nie wypada nagrywać wiadomości na automatycznej sekretarce, jeśli się nie dzwoni ze szpitala albo jeśli się nie chce sprzedawać narkotyków. Być może robi to z innego powodu, siedzi w ciszy po sygnale, a potem deklaruje:

– Tu Britt-Marie. Jedno z dzieci w drużynie trafiło dzisiaj w coś, w co celowało. Pomyślałam, że może będzie pani zainteresowana tą informacją.

Czuje się głupio, kiedy odkłada słuchawkę. Przecież dziewczyna z pewnością nie jest tym zainteresowana. Kent wyśmiałby za to Britt-Marie.

Bank siedzi w kuchni i je zupę, kiedy Britt-Maire schodzi po schodach. Pies siedzi obok stołu i czeka. Britt-Marie zatrzymuje się w przedpokoju i patrzy na talerz zupy. Zastanawia się, jak została ugotowana, bo nie widzi żadnego garnka, a w kuchni nie ma kuchenki mikrofalowej. Bank siorbie.

– Chcesz coś powiedzieć, czy nigdy nie widziałaś wcześniej, jak ślepy je zupę? – pyta, nie podnosząc głowy, jakby słyszała, jak Britt-Marie oddycha.

– Miałam wrażenie, że chodziło o niedowidzenie – mówi Britt-Marie.

W odpowiedzi Bank głośno siorbie. Britt-Marie kładzie dłonie na spódnicy.

– Rozumiem, że bawi panią piłka nożna – mówi, wskazując głową fotografie na ścianie, potem wstydzi się, że to zrobiła, bo stoi dość daleko, i z takiej odległości Bank raczej jest ślepa, niż niedowidzi.

– Nie – odpowiada Bank.

Britt-Marie zakłada ręce przed sobą i patrzy na rzędy fotografii na ścianach, każda przedstawiająca Bank, jej ojca i co najmniej jedną piłkę.

– Tak jakby zostałam trenerem pewnej drużyny piłkarskiej – informuje Britt-Marie.

– Słyszałam – mówi Bank.

Znowu siorbie. Nie podnosi głowy. Britt-Marie usuwa niewidzialny kurz z wszystkiego po trochu w przedpokoju.

– Ha. Tak czy siak, zwróciłam uwagę na wszystkie zdjęcia, więc uznałam, że w kontekście pani oczywistego doświadczenia w futbolu byłoby na miejscu poprosić panią o dobrą radę.

Bank siorbie po raz ostatni. Kładzie łyżkę na talerzu. Zanosi go do zmywarki.

Britt-Marie musi się opanować prawie ponad swoje siły, żeby się nie spytać, czy zjadła zimną zupę.

– Dobrą radę na temat? – mamrocze Bank.

– Na temat piłki nożnej – odpowiada Britt-Marie.

Nie wie, czy Bank przewraca oczami, ale tak się doprawdy czuje. Pies idzie pierwszy do salonu, Bank idzie za nim, przesuwając laską po ścianach.

– Gdzie są zdjęcia, o których mówisz? – pyta.

– Trochę wyżej – informuje pomocnie Britt-Marie.

Laska Bank stuka w szkło w jednej z ramek, gdzie młodsza wersja Bank stoi w tak brudnej koszulce, że chyba nawet soda oczyszczona by nie

pomogła. Pochyla się nad zdjęciem tak, że nos prawie dotyka szkła. Potem porusza się wokół pokoju i puka systematycznie we wszystkie zdjęcia, jakby przypominała sobie ich położenie.

Britt-Marie stoi w przedpokoju i czeka tak długo, jak długo uznaje za stosowne, zanim wszystko z niewygodnego staje się nieodpowiednie. Wtedy wkłada płaszcz i otwiera drzwi. Zanim drzwi się za nią zamkną, Bank mamrocze:

– Chcesz dobrej rady? Ta drużyna nie potrafi grać. Nie ma znaczenia, co zrobisz.

Britt-Marie szepce „ha” i wychodzi. Wiekowe kobiety w ogrodzie po drugiej stronie drogi stoją wsparte na balkonikach i gapią się na nią. Ciężarówka z zagranicznymi numerami ochlapuje ją błotem z kałuży na drodze. Próbuje usunąć błoto ze spódnicy ręką, jednak zabieg kończy się tym, że ma teraz glinę na spódnicy i na ręce, a to już zdecydowanie za dużo dla Britt-Marie. Gdyby była taką osobą, która krzyczy i rzuca dookoła siebie przedmiotami, być może by to zrobiła, ale nie jest bynajmniej kimś takim, bo przecież nie jesteśmy zwierzętami, więc zadowala się odejściem z pola widzenia kobiet. Kiedy jest pewna, że nie widzą, robi stopami z powstrzymanym szałem ślady w ziemi. Rezultat jest taki, że na jej spódnicy ląduje jeszcze więcej błota, potyka się na krawężniku i skręca stopę.

Kuśtyka przez Borg, głęboko zaniepokojona, że ludzie zobaczą plamy z błota i utykanie i pomyślą, że się wywróciła. Byłoby to nie do zniesienia. Żeby ludzie sobie pomyśleli, że nie może nawet wstać z łóżka bez upadania.

Zamyka się w pralni w ośrodku. Siedzi na taborecie, podczas gdy pralka wiruje jej spódnicę. Ubiera się i układa włosy, stoi długo w kuchni i obserwuje ekspres po przejściach z kamieniem na drodze. Potem bierze jeden zdecydowany wdech i idzie przez parking do pizzerii.

– Tak? – stęka Ktośka z czerwonymi szparkami w miejscu, gdzie powinny być oczy.

– Czy prowadzi pani przypadkiem sprzedaż śrubokrętów w którejś z pani działalności? – pyta Britt-Marie.

– Śrubokrętów? Tak. Możesz sobie pożyczyć – wzdycha Ktośka i wjeżdża z powrotem do pizzerii albo sklepu spożywczego, albo czegokolwiek innego, robiąc gest do Britt-Marie, żeby za nią poszła.

– Jeśli to możliwe, wolałabym go kupić – informuje Britt-Marie.

– Kurde, Britt-Marie, jesteś taka, no wiesz… jak to szło? Uparta! Pożyczyć, kupić, co za różnica?!

– Dla mnie to stanowi różnicę. Ten, kto ma długi, nie jest wolnym człowiekiem – mówi Britt-Marie, bo tak mawiał zwykle jej ojciec.

Umarł jako bogaty człowiek. Jeśli jest to jakaś korzyść.

– Kurde, Britt-Marie, kryzys, no wiesz. Wszyscy som coś winni. Nikt nie wie komu. Rząd ma, jak to szło? Dziurę w budżecie! Tysiąc dwieście miliardów! Wszystkie rządy majom dziury w budżecie. Wszyscy ludzie majom długi. Nikt nie wie, komu coś jest winien. Powinniśmy znaleźć tego skurwiela z pieniędzmi i no wiesz, i wyjąć mu komary z dupska! – krzyczy Ktośka, wydaje się, że to dla niej dobra pobudka.

Robi gest w kierunku tej części ciała, z której jej zdaniem należy wyjąć komary. Britt-Marie stara się to zignorować. Ktośka podjeżdża do skrzynki z narzędziami.

– Jak idom treningi? – pyta.

– Trudno stwierdzić – odpowiada Britt-Marie.

– Źle? Ech… to nie twoja wina, Britt-Marie. Te dzieciaki nie trafiom nawet w dom od środka, wiesz! – drze się Ktośka.

– Pragnę panią poinformować, że wczoraj Ropucha trafił w głowę Bank. Umyślnie. Wszyscy byliśmy bardzo podekscytowani – mówi Britt-Marie i sama siebie zaskakuje, jaka jest urażona.

Ktośka śmieje się z chrypką w głosie, przynosi śrubokręt i podaje go Britt-Marie.

– Masz. Możesz pożyczyć.

– Nie chciałabym być wplątana w jakąś nielegalną działalność – mówi Britt-Marie, ponieważ nie wie, co na temat śrubokrętu wie urząd skarbowy.

Ktośka podaje go nieco bardziej uporczywie, ale potem coś sobie przypomina, jak ktoś, kto jest wmieszany w pożyczanie Britt-Marie wiertarki, dlatego pyta podejrzliwie:

– Czekaj… śrubokręt. Potrzebujesz… do?

– Sądzę, że potrzebuje się śrubokrętu do skręcania mebli z Ikei – odpowiada Britt-Marie, potem odchrząkuje i dodaje niechętnie: – Dodatkowo potrzebowałabym pomocy z wniesieniem paczki z mojego samochodu. Jeśli nie jest to zbytni kłopot.

Coś pociąga za kącik ust Ktoški.

Tego dnia Britt-Marie skręca mebel z Ikei. Prawie wszystko robi sama. Śrubokręt nie jest potrzebny, ale wszystko zajmuje prawie dziesięć godzin, ponieważ właściwie chodzi o trzy meble, stolik i dwa krzesła. Przeznaczone na balkon. Britt-Marie przesuwa je głęboko w kąt, jako podkładki używa papierowego ręcznika, potem siedzi tam sama i je pizzę, którą Ktośka dla niej upiekła. To bardzo dziwny dzień w życiu Britt-Marie, nawet biorąc pod uwagę, że ma same dziwne dni, odkąd przyjechała do Borg.

Sven je kolację przy innym stole, ale razem piją kawę. Nic do siebie nie mówią. Starają się tylko przyzwyczaić do swojej obecności. Tak, jak to się robi, kiedy dawno temu czyjaś obecność fizycznie na nas wpływała. Dawno temu czuło się kogoś, nie dotykając.

Karl wchodzi odebrać paczkę. Siada i pije kawę obok brodatych mężczyzn w bejsbolówkach przy stoliku w rogu. Wszyscy wydają się specjalnie ignorować Britt-Marie, jakby mieli nadzieję, że zniknie. Vega wchodzi z piłką pod pachą, tak brudna, jak tylko takie dziecko jak ona zdąży się ubrudzić między samochodem starszego brata a pizzerią. Za nią wbiega Omar, próbując z wielkim podnieceniem sprzedać Britt-Marie olej do impregnowania drewna, kiedy widzi jej świeżo złożone umeblowanie balkonowe. Najwyraźniej olej do impregnowania drewna spada z ciężarówek znacznie częściej, niż się wydaje.

Sven wstaje, trzyma w rękach swoją czapkę policyjną, kiedy Britt-Marie wychodzi na trening, ale nie mówi nic, a ona przyspiesza kroku, żeby nie zdążył nic powiedzieć.

Przed drzwiami stoi mama Bena. Jest ubrana tak, jakby się wybierała do szpitala, trzyma coś w rękach. Wygląda na zdecydowaną.

– Dobry wieczór, Britt-Marie. Nie poznałyśmy się, ale jestem mamą Bena…

– Jestem świadoma tego, kim pani jest – informuje Britt-Marie zachowawczo, jakby przygotowywała się na to, że ciężarówka znów ochlapie ją błotem.

– Chciałam tylko podziękować, że pani, cóż. Że pani widzi Bena. Niewielu dorosłym się to udaje – mówi od razu mama Bena, podając to, co trzyma w rękach.

To butelka faxinu. Britt-Marie stoi jak wmurowana. Mama Bena odchrząkuje nieobecnie.

– Cóż, mam nadzieję, że to nie wyszło głupio, Ben zapytał Omara, co pani lubi, a Omar powiedział, że to. Dostałam ją bardzo tanio, za jedyne sto koron, Omar dał nam cenę promocyjną, więc ja… Ben i ja chcieliśmy podziękować. Za wszystko.

Britt-Marie trzyma butelkę, jakby bała się ją upuścić. Mama Bena robi krok do tyłu, potem zatrzymuje się i wybucha:

– Chcemy, żeby pani wiedziała, Britt-Marie, że jest też inne Borg niż ci mężczyźni przesiadujący i pijący w pizzerii całymi dniami. Jesteśmy też tutaj my. I się nie poddajemy.

Głowa Britt-Marie rusza się powoli w górę i w dół, mama Bena się odwraca, wsiada do małego samochodu i odjeżdża. Ben biegnie za piłką. Zaczyna się trening, Britt-Marie woła imiona i zaznacza je na swojej liście, dzieci grają w idiotę, bo stanowi to jeden z punktów na liście Britt-Marie zaraz po „stworzyć listę obecności”. Dzieci prawie się nie żalą, jedyny raz zdarza się to wtedy, kiedy Vega się denerwuje i krzyczy, że jeśli ta drużyna ma kiedykolwiek być lepsza, nie mogą mieć trenera, który cały czas się z nimi cacka.

Dzieci nie da się zrozumieć, to oczywiste. Dlatego Britt-Marie zapisuje na swojej liście, że mają grać w idiotę więcej razy, i dzieci to robią. Potem zbierają się wokół Britt-Marie i wyglądają, jakby się spodziewały, że coś powie, więc Britt-Marie idzie zapytać Samiego, który siedzi na masce swojego czarnego samochodu, co by to miało być.

– A… no wie pani. Pobiegały sobie, to teraz chcą już grać. Niech pani im zrobi odprawę przed meczem i rzuci po prostu piłką.

– Odprawę? – powtarza Britt-Marie.

– Coś zachęcającego – wyjaśnia Sami.

Britt-Marie zastanawia się chwilę, odwraca się do dzieci i mówi coś tak zachęcającego, jak tylko potrafi:

– Postarajcie się nie zbrudzić.

Sami się śmieje. Dzieci nie wiedzą, o co chodzi. Potem grają w coś, co nazywają „dwiema bramkami”. Co sprawia, że Britt-Marie pyta Samiego, ile bramek jest zwykle w piłce nożnej. Ten odpowiada, że dwie. Britt-Marie nie potrafi zrozumieć, dlaczego się tego nie nazywa „strzelić bramkę”.

Ropucha, który stoi na jednej z bramek, przepuszcza ich więcej niż ktokolwiek. Siedem albo osiem z rzędu. Za każdym razem, kiedy to się dzieje, ma całkiem fioletową twarz i wrzeszczy „ZMIANA STRON!”. Sami

śmieje się z tego za każdym razem. To sprawia, że Britt-Marie się denerwuje, dlatego pyta:

– Dlaczego zachowuje się w ten sposób?

– Dorastał z ojcem, który był za Liverpoolem – odpowiada Sami, jakby to wszystko wyjaśniało.

Potem przynosi dwa słupki bramkowe z bagażnika, podaje jeden Britt-Marie i mówi:

– Jak ma się ojca, który jest za Liverpoolem, wydaje się, że wszystko można, kurwa, zmienić. Wie pani! Jak w finale Ligi Mistrzów.

Britt-Marie popija swój słupek bramkowy. Prosto z puszki. To doprawdy poza wszelkim szacunkiem i uczciwością. Dlatego uważa, że równie dobrze może powiedzieć, co teraz czuje:

– Nie chciałabym być w jakiś sposób niemiła, Sami, bo masz tak dobrze zorganizowaną szufladę na sztućce. Ale najczęściej uważam wszystko, co mówisz, za totalnie niedorzeczne!

Sami wybucha śmiechem. Pije słupek bramkowy. Mówi:

– Jak pani coś mówi, mam tak samo, Britt-Marie.

Potem opowiada jej o meczu piłki nożnej prawie dziesięć lat temu, kiedy Vega i Omar dopiero co odzwyczaili się od pieluch i siedzieli z nim i z Psycholem w pizzerii. Liverpool spotkał się z Milanem w finale Ligi Mistrzów, w tym momencie Britt-Marie przerywa, pytając, czy to jakieś zawody, a Sami odpowiada, że to rozgrywki o Puchar Ligi Mistrzów, na co Britt-Marie chce się dowiedzieć, co to znaczy, a Sami opowiada, że to są takie zawody, po czym Britt-Marie mówi, że można tak było od samego początku, nie musiał mówić jakichś dziwnych rzeczy.

Sami bierze wtedy bardzo głęboki wdech, nie jest to bynajmniej westchnienie. Potem opowiada, jak Milan prowadził w połowie meczu trzy do zera, a odkąd pamięta, nigdy nie widział żadnej drużyny w żadnym finale w żadnych rozgrywkach, która byłaby tak zrezygnowana i zmęczona jak Liverpool wtedy. Ale w szatni jeden z zawodników wstał i krzyczał jak opętany na innych, cały fioletowy na twarzy, ponieważ nie chciał żyć na świecie, w którym nie można niczego zmienić. W drugiej połowie meczu strzelił bramkę na jeden do trzech, machał ramionami jak opętany i biegał po całym boisku. Wszyscy inni zauważyli, że był jak lawina, której nie da się powstrzymać, i wszystko zmienił. Nie udałoby się tego powstrzymać żadnymi murami ani fosami, ani dziesięcioma tysiącami dzikich koni.

Wyrównali na trzy do trzech, była dogrywka, a potem wygrali w serii rzutów karnych. Nie da się powiedzieć komuś, kogo ojciec jest za Liverpoolem, że nie da się niczego zmienić.

Patrzy na Vegę i Omara i się uśmiecha.

– Albo starszego brata, zakładam. Można też mieć starszego brata.

Britt-Marie popija swój słupek bramkowy.

– Kiedy to opowiadasz, brzmi to niemalże poetycko.

Sami się szczerzy.

– Futbol to dla mnie poezja. Urodziłem się latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Podczas mistrzostw świata.

Britt-Marie nie ma pojęcia, co to oznacza, ale nie pyta, ponieważ uważa, że powinien istnieć jakiś umiar w opowiadaniu anegdot, nawet jeśli są poetyckie.

– Czy ojciec Ropuchy przychodzi tu pooglądać, jak on gra? – pyta.

– Stoi tam – odpowiada Sami, wskazując na pizzerię.

Karl stoi w progu i pije kawę. Ma na sobie czerwoną bejsbolówkę. Wygląda na szczęśliwego.

To bardzo dziwny dzień dla Britt-Marie. Dziwna gra.

Sven czeka na nią w pizzerii, kiedy kończy się trening. Proponuje, że ją podwiezie do domu, ale ona się upiera, że nie ma takiej potrzeby. Więc on pyta, czy może za to odwieźć jej meble balkonowe, a ona w końcu na to przystaje. Wynosi je i załadowuje, i prawie siada na miejscu kierowcy, kiedy Britt-Marie zamyka oczy i próbuje się nie powstrzymać, wydobywając z siebie słowa:

– Jadam kolację o szóstej.

– Słucham? – pyta Sven z głową wystającą z drugiej strony radiowozu.

Britt-Marie wbija pięty w błoto.

– A tak swoją drogą obrus nie jest konieczny. Istotne są za to sztućce i chcę zjeść kolację o szóstej.

– Jutro?

Britt-Marie potakuje z zaciśniętymi zębami. Wyjmuje swoją listę.

Kiedy radiowóz znika za rogiem, Vega, Omar i Sami wołają ją z drugiej strony parkingu. Sami się szczerzy. Vega strzela piłką tak daleko przez żwir i pluchę, że ta ląduje metr przed Britt-Marie. Britt-Marie wkłada swoją listę

do torebki, trzyma ją tak mocno, że aż knykcie jej bieleją, tak jak to się dzieje, kiedy się czekało całe życie, aż to się zacznie.

Podbiega kilka kroków i kopie w piłkę z całej siły.

Bo już nie wie, jak można się powstrzymać.

21

Jest kolejny dzień. I jest to zdecydowanie jeden z najgorszych dni w życiu Britt-Marie. Ma guza na głowie i prawdopodobnie złamała dwa palce. Tak przynajmniej mówi mama Bena, a mama Bena jest pielęgniarką, więc Britt-Marie przypuszcza, że jest w stanie wyjaśniać takie przypadki. Siedzą na kozetce za zieloną zasłoną w szpitalu miejskim. Britt-Marie ma plaster na czole, zabandażowaną rękę i stara się, jak może, żeby nie zacząć płakać. Mama Bena trzyma ją za rękę, ale nie pyta, co się stało. Britt-Marie jest za to wdzięczna, ponieważ najbardziej jej zależy na tym, aby nikt się nie dowiedział, jak do tego doszło.

A doszło do tego tak:

Britt-Marie spała tej nocy całą noc, zdarzyło się to po raz pierwszy, odkąd przyjechała do Borg. Spała takim snem, jakim śpią beztroskie małe dzieci, obudziła się pełna entuzjazmu. Znowu. Powinno to było wzbudzić w niej pewne podejrzenia, bo doprawdy nie może nic dobrego wyniknąć z budzenia się z pełnią entuzjazmu, tego Britt-Marie już się nauczyła. Ale teraz jest za późno. Teraz siedzi z guzem i złamanymi palcami, jak przestępca, który zranił się, dokonując przestępstwa. Tak ludzie pomyślą, jest o tym całkowicie przekonana, bo wiadomo – ludzie gadają. Sposób, w jaki do tego doszło, nie ma już żadnego znaczenia.

Jednak było tak, że Britt-Marie obudziła się pełna entuzjazmu i zaraz potem wysprzątała całą kuchnię Bank. Nie dlatego, że to było konieczne, ale dlatego, że Bank nie było w domu, a kuchnia tam była, kiedy Britt-Marie zeszła po schodach. Britt-Marie po prostu nigdy nie poznała żadnej kuchni, której nie chciałaby posprzątać. Potem poszła do ośrodka przez Borg. Posprzątała go od podłogi do sufitu. Dopilnowała, żeby wszystkie obrazki wisiały prosto, nawet te, na których były piłki. Stała w ciszy przed jednym z nich i patrzyła na siebie w odbiciu szybki w ramce. Potarła białą

plamę na serdecznym palcu. Ludzie, którzy nie nosili obrączki przez prawie całe życie, nie wiedzą, jak taka plama wygląda, nie wiedzą też tego ci, którzy od czasu do czasu ściągają obrączkę. Britt-Marie wie, że ludzie zachowują się w ten sposób, że zdejmują ją na przykład w czasie zmywania, i nierzadko muszą najpierw przecierać palec płynem do mycia naczyń, żeby zsunąć obrączkę. Robią to, aby płyn do mycia naczyń nie dostał się na obrączkę, kiedy zmywają naczynia. Ale Britt-Marie nie zdjęła swojej obrączki ani razu do momentu, kiedy zdjęła ją na dobre. Dlatego biała plama jest trwała, jakby jej skóra miała inny odcień, kiedy wychodziła za mąż. Jakby to było to, co zostało z niej pod spodem, jeśli zdrapie się to wszystko, kim się stała.

Z tą myślą Britt-Marie wybrała się do pizzerii i obudziła Ktośkę. Wypiły kawę, a Britt-Marie zapytała uprzejmie, czy Ktośka przypadkiem nie prowadzi sprzedaży kartek pocztowych. Okazało się, że Ktośka zajmuje się również tym typem działalności. Kartki były strasznie stare i miały napis „Witamy w Borg”. „Stąd wiadomo, że są bardzo stare”, powiedziała Ktośka, bo bardzo dawno nikt nie wypowiedział tych słów, nie będąc, jak to szło? Sarkastycznym!

Britt-Marie napisała kartkę do Kenta. Wiadomość była bardzo krótka. „Cześć. Tu Britt-Marie. Przepraszam za wszystko, co Ci wyrządziłam. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. I że masz czyste koszule. Twoja maszynka do golenia jest w trzeciej szufladzie w łazience. Jeśli chcesz wyjść na balkon, żeby umyć okna, musisz przekręcić klamkę i pociągnąć drzwi do siebie, jednocześnie lekko je popychając. Faxin jest w szafce ze środkami czystości”. Chciała napisać, że bardzo tęskni. Jednak tego nie zrobiła. Nie chciała sprawiać kłopotu.

– Czy zechce mi pani opisać drogę do najbliższej skrzynki pocztowej? – zapytała Ktośkę.

– Tu jest – odpowiedziała Ktośka, wskazując na swoją dłoń.

Britt-Marie od razu ujawniła swój sceptycyzm w stosunku do tej metody dostarczania korespondencji, ale Ktośka zapewniła, że jej poczta jest „najszybsza w mieście”! Britt-Marie nigdy się nie dowiedziała, o które miasto chodziło.

Potem obie przeprowadziły krótką dyskusję na temat żółtej koszulki z napisem „Bank” na plecach, która wisiała na ścianie w pizzerii, ponieważ Britt-Marie nie zdołała przestać się na nią patrzeć. Jakby stanowiła cenną

wskazówkę w tym całym misterium. Ktośka wyjaśniła pedagogicznie, że Bank nie wie, że koszulka tam wisi, a gdyby się dowiedziała, byłaby prawdopodobnie bardzo zła, i Ktośka sądzi, że „przyszłaby tu z dupskiem pełnym, jak to szło? Całą kolonią komarów!”.

– Dlaczego? – zapytała Britt-Marie.

– No wiesz, Bank nienawidzi piłki nożnej. Jak to szło? Nikt nie lubi przypominać sobie dobrych czasów w złych czasach – odpowiedziała Ktośka.

– Miałam wrażenie, że pani i pani Bank jesteście dobrymi przyjaciółkami – powiedziała Britt-Marie.

– Jesteśmy! Byłyśmy! Najlepszymi! Zanim, no wiesz… zanim wydarzyło się to z oczami. Zanim Bank się przeprowadziła – wyjaśniła Ktośka.

– I nigdy nie rozmawiacie o piłce nożnej?

Ktośka zaśmiała się sucho.

– Dawniej Bank kochała piłkę. Bardziej niż życie. Potem to z oczami. Oczy odebrały jej piłkę, więc teraz nienawidzi piłki. Rozumiesz? Takie jest życie, nie? Miłość, nienawiść, raz jedno, raz drugie. Dlatego wyjechała. Dawno temu. Ojciec Bank był inny niż Bank, poza piłkom nie mieli nic do gadania. Potem zmarł. Bank przyjechała tutaj, żeby go pogrzebać i sprzedać ten dom. Ona i ja teraz jesteśmy bardziej jak, no wiesz… kumpelki od kieliszka! Można powiedzieć: mniej gadania, więcej picia.

– Ha. Można zapytać, gdzie się podziewała, gdy wyjechała z Borg? – zapytała Britt-Marie.

– No wiesz… tu, tam. Jak się ma komary w dupie, to wiesz… nie da się usiedzieć w spokoju. – Ktośka się zaśmiała.

Britt-Marie się nie zaśmiała. Odchrząknęła.

– Była w Londynie, Lizbonie, Paryżu, dostałam kartki. Mam je gdzieś. Bank z psem, po całym świecie. No wiesz… czasami wydaje mi się, że jeździła przez to z oczami, bo było coraz gorzej. Może chciała zobaczyć świat, zanim zupełnie oślepnie.

Ktośka szuka pocztówek z Paryża. W duchu Britt-Marie bardzo chciałaby je potrzymać, ale dała sobie spokój. Próbowała zwrócić uwagę Ktośki na coś innego, wskazując na ścianę i pytając:

– Dlaczego ta koszulka jest żółta? Miałam wrażenie, że koszulki z Borg są białe.

– Drużyna narodowa – odpowiedziała Ktośka.

– Ha. Czy to coś szczególnego? – zapytała Britt-Marie.

– To… drużyna narodowa – odpowiedziała Ktośka, jakby pytanie było niezrozumiałe.

– Trudno tam się dostać? – zapytała Britt-Marie.

– To… drużyna narodowa – odpowiedziała Ktośka, jakby pytanie było bardzo głupie.

Britt-Marie zdenerwowała się z tego powodu, dlatego nie zadała już więcej na ten temat żadnych pytań. Za to zapytała nagle ku swojemu przerażeniu:

– Jak to się stało? Jak Bank straciła wzrok?

Nie żeby Britt-Marie należała do takich osób, które się wtrącają, bynajmniej, ale mimo wszystko. Przecież obudziła się tego dnia pełna entuzjazmu i mogło się wydarzyć cokolwiek. Jej rozsądek krzyczał, ale było już za późno.

– Choroba. Cholerne gówno. Rozwijała się wiele lat. Jak kryzys finansowy – wyjaśniła Ktośka, wymachując rękami w niejasnym geście.

– Ha – powiedziała Britt-Marie.

Brwi Ktośki opadły w kierunku koszulki.

– No wiesz, Britt-Marie, ludzie mówią: Bank dobra, POMIMO tego z oczami. Rozumiesz? Musiała walczyć mocniej niż inni. Dlatego: była najlepsza. Jak to jest? Stymulacja! Rozumiesz?

Britt-Marie nie była pewna, czy zrozumiała. Chciała zapytać Ktośkę, jak to się stało, że siedzi na wózku inwalidzkim, ale rozsądna część Britt-Marie postawiła tu granicę, ponieważ doprawdy nie wypada zadawać tego typu pytań. Dlatego konwersacja się skończyła. Potem Ktośka zrobiła kółko do przodu i do tyłu.

– Spadłam z łodzi. Kiedy byłam mała. Jakbyś się zastanawiała – wyjaśniła skwapliwie.

– Nie zastanawiałam się bynajmniej! – upierała się Britt-Marie.

Ktośka się uśmiechnęła.

– Wiem, Britt. Wiem. Nie masz, jak to szło? Uprzedzeń. Rozumiesz, że ja też człowiek. Tylko jeżdżę na wózku. Nie, to wózek przypadkowo wozi człowieka.

Poklepała Britt-Marie po ramieniu i dodała:

– Dlatego cię lubię, Britt. Też jesteś człowiekiem.

Britt-Marie chciała powiedzieć, że też lubi Ktośkę, ale jest rozsądna. Dlatego nie mówiły już więcej na ten temat. Britt-Marie kupiła snickersa dla szczura i zapytała, czy Ktośka przypadkowo nie prowadzi sprzedaży bukietów.

– Kwiaty? Dla kogo? – zapytała Ktośka.

– Dla Bank. Wydaje mi się nieuprzejme, że wynajmuję pokój przez cały ten czas, nie dziękując nawet kwiatkiem; w takich sytuacjach zwyczajowo daje się kwiaty – poinformowała Britt-Marie.

– Nie, kurde, nie mam żadnych kwiatów. Ale Bank lubi piwo! Weź za to piwo, co? – poradziła Ktośka.

Britt-Marie nie uważa, że to się wydaje cywilizowane, ale pomyślała, że dla kogoś, kto lubi piwo, piwo może być jak kwiaty. Uparła się, żeby Ktośka poszukała celofanu, co się Ktośce nie udało, ale po chwili w drzwiach pojawił się Omar, krzycząc: „Potrzebuje pani celofan? Mam! Cena po znajomości!”. Ponieważ najwyraźniej tak załatwia się sprawy w Borg.

Z celofanem, który bynajmniej nie miał ceny, jaką Britt-Marie nazwałaby ceną „po znajomości”, zapakowała piwo tak, żeby wyglądało ładnie, przyczepiła też na samej górze małą rozetkę. Potem poszła do ośrodka, zostawiła uchylone drzwi i umieściła przy progu talerz ze snickersem. Obok talerza postawiła ozdobną kartkę, na której było napisane długopisem: „Jestem na randce. Albo schadzce. Albo na jakkolwiek to się teraz nazywa. Nie musi pan zmywać po sobie naczyń. To dla mnie żaden problem”. Chciała napisać, że ma nadzieję, że szczur znajdzie kogoś, z kim będzie mógł zjeść kolację, że uważa, iż szczur nie zasługuje na jedzenie kolacji w samotności. Że samotność to rozrzutność zarówno w stosunku do ludzi, jak i szczurów. Jednak rozsądek rozkazał jej nie wtrącać się w społeczne wybory szczura, więc dała sobie spokój.

Zgasiła lampy, czekała na zmierzch, ponieważ właśnie o tej porze roku zmierzch niedorzecznie pojawia się w Borg przed porą kolacji. Kiedy się upewniła, że nikt jej nie widzi, udała się szybkim krokiem na przystanek autobusowy przy drodze, która opuszczała Borg w dwóch kierunkach, zostawiając jeden z nich, kiedy Britt-Marie już siedziała w autobusie. To było jak przygoda. Czuła się wolna. Nie aż tak, żeby nie zwrócić uwagi na stan siedzenia w autobusie, bynajmniej, więc rozłożyła dokładnie cztery

serwetki, zanim usiadła. Muszą być przecież jakieś granice, nawet jak się przeżywa przygody.

Jednak mimo wszystko: czuła, że przeżywa coś nowego, jadąc sama autobusem.

Przez całą drogę pocierała białą plamę na palcu. Solarium przy bankomacie w mieście było puste. Britt-Marie wykonywała instrukcje maszyny, która mówiła, żeby wrzuciła monety. Przez krótką chwilę jej znajomości z maszyną bawiły się w kamień na drodze, ponieważ maszyna twierdziła, że nie dostała żadnych pieniędzy, chociaż Britt-Marie je wrzuciła. Na szczęście dla wszystkich zamieszanych, po tym, jak Britt-Marie zaczęła wygrażać maszynie torebką, ta zmieniła zdanie, zamigotała nieco wyświetlaczem, a potem zapaliło się z pół tuzina świetlówek w twardym plastikowym łóżku na podłodze.

Britt-Marie nie jest bynajmniej koneserką solariów, musi to przyznać, więc być może nie jest zaznajomiona z ich podstawowymi funkcjami. Britt-Marie pomyślała, że usiądzie na taborecie obok łóżka ze świetlówkami, włoży rękę do środka i ostrożnie zamknie pokrywę. Jak długo musiałaby tam siedzieć, żeby opalić rękę tak, aby nie było na niej białych plam, nie wiedziała, ale pomyślała, że sam proces nie powinien być bardziej skomplikowany niż przygotowanie pieczonego łososia. Dlatego zaplanowała po prostu, że od czasu do czasu wyciągnie rękę, żeby sprawdzić, jak sprawa postępuje. Może chodziło o to, że maszyna pomrukiwała, a może chodziło o ciepło. To wszystko było bardzo usypiające, szczególnie jeśli było się pełnym entuzjazmu przez cały dzień. Takie odczucie może zmęczyć każdego. Dlatego Britt-Marie zasnęła. Tak to się odbyło. Jej głowa opadła do przodu, tak jak to robią głowy, kiedy zasypia się na taborecie, po czym czoło uderzyło mocno i bezlitośnie w pokrywę solarium i w ten sposób ręka utknęła w środku. Britt-Marie upadła na podłogę i straciła przytomność, a teraz siedzi w szpitalu. Z guzem na czole i złamanymi palcami.

Mama Bena siedzi obok i klepie ją po ramieniu. Personel sprzątający znalazł Britt-Marie w solarium, co sprawia, że Britt-Marie jest wyjątkowo rozżalona, bo wiadomo, o czym się mówi na spotkaniach personelu sprzątającego.

– Proszę się nie martwić, takie rzeczy zdarzają się najlepszym – szepce mama Bena, dodając otuchy.

– Nie – odpowiada Britt-Marie tak, że jej głos się załamuje, i opada na kozetce.

Mama Bena wyciąga rękę, ale Britt-Marie się odsuwa. Mama Bena podnosi się z zaciśniętymi ustami.

– Jest wystarczająco wielu, którzy się poddają w Borg, Britt-Marie. Proszę się nie stać jedną z nich.

Britt-Marie chce coś odpowiedzieć, ale upokorzenie i rozsądek każą jej wstać i wyjść. Dzieci z drużyny siedzą w poczekalni. Zdruzgotana Britt-Marie unika ich wzroku. Tego rodzaju wstyd, gdy się miało nadzieję, ale się upadło, jest dla niej czymś nowym. Britt-Marie nie jest przyzwyczajona do żywienia w stosunku do czegoś nadziei. Nie wie, co zrobić, kiedy się upadło. Dlatego przechodzi obok dzieci i szczerze sobie życzy, żeby ich tam nie było.

Sven czeka, trzymając czapkę policyjną w rękach. Przy jego stopach stoi pleciony koszyk wypełniony bagietkami.

– Pomyślałem, że… może nie ma pani ochoty iść teraz do restauracji po… tym wszystkim, więc przygotowałem piknik. Potem pomyślałem, że… może woli pani pojechać do domu. Naturalnie.

Britt-Marie zamyka mocno oczy i trzyma zabandażowaną rękę na plecach. Sven patrzy na swój koszyk.

– Bagietki kupiłem, ale koszyk sam uplotłem. Na kursie.

Britt-Marie przygryza policzki. Nie wie, czy Sven i dzieci wiedzą, dlaczego poszła do solarium. Co chciała opalić. Nie jest gotowa, aby zaryzykować, żeby ktoś z nich zapytał. Dostatecznie się wygłupiła. Dlatego szepce:

– Drogi Svenie, chciałabym po prostu pojechać do domu.

Sven odwozi ją do domu Bank, chociaż Britt-Marie chciałaby, żeby tego nie robił. Chciałaby, żeby nigdy jej takiej nie zobaczył. Ukrywa rękę pod bambusową zasłoną i chce, żeby tylko odwiózł ją do domu. Do jej prawdziwego domu. Prawdziwego życia. Żeby ją tam zostawił. Nie jest gotowa na entuzjazm.

Sven próbuje coś powiedzieć, gdy się zatrzymują, ale Britt-Marie już zdążyła wysiąść. Sven stoi przed radiowozem z czapką w rękach, kiedy

Britt-Marie zamyka drzwi wejściowe. Stoi po drugiej stronie i wstrzymuje oddech, dopóki nie usłyszy, jak Sven odjeżdża.

Sprząta dom Bank od podłogi do sufitu. Je zupę na kolację w samotności. Potem wchodzi wolno po schodach, idzie po ręcznik i siada na brzegu łóżka.

22

Bank wraca do domu spektakularnie pijana jakoś tak pomiędzy północą a brzaskiem. Ma w ręce karton po pizzy z pizzerii Ktoński i śpiewa. Nie są to bynajmniej cywilizowane piosenki. Marynarze by się zaczerwienili, Britt-Marie jest o tym całkowicie przekonana. Siedzi na balkonie, pies wydaje się obracać oczy w jej kierunku, łapią kontakt wzrokowy. Podczas gdy Bank przeklina, mamrocze i błądzi kluczem po zamku w drzwiach, pies wygląda tak, jakby chciał wzruszyć ramionami, poddając się. Britt-Marie w takich sytuacjach potrafi sympatyzować ze zwierzętami.

Pierwszy huk z parteru, który słychać, to ramka obrazka zrzucona ze ściany. Po drugim huku następuje trzask, kiedy ramka spotyka się z podłogą, a szkło pokrywające fotografię dziewczynki grającej w futbol i jej taty tłucze się i rozpada po całej podłodze. Bank robi to metodycznie przez prawie godzinę. Chodzi w kółko i zrzuca wszystkie pamiątki, nie jest rozwścieczona ani gwałtowna, raczej robi to zgodnie z systematyką smutku. Jedno za drugim, aż zostają gołe ściany z gwoździami. Britt-Marie siedzi bez ruchu na balkonie, chciałaby zadzwonić na policję. Ale nie ma numeru Svena.

W końcu hałasy ustają. Britt-Marie siedzi na balkonie do czasu, kiedy dochodzi do niej, że Bank się poddała i zasnęła. Chwilę później słychać lekkie kroki na schodach, drapanie po uchylonych drzwiach, a za moment Britt-Marie czuje, jak coś szorstkiego ociera się o koniuszki jej palców. Pies kładzie się obok niej, wystarczająco daleko, aby nie być uciążliwym, ale wystarczająco blisko, żeby się poczuli, kiedy się poruszy. Potem jest cicho aż do momentu, kiedy poranek opanowuje Borg, jeśli poranki w ogóle robią takie rzeczy.

Kiedy Britt-Marie i pies odważają się zejść po schodach, Bank siedzi na podłodze w przedpokoju oparta o ścianę. Śmierdzi alkoholem. Britt-Marie nie wie, czy śpi, ale czuje, że nie na miejscu byłoby podniesienie okularów

słonecznych, żeby sprawdzić, dlatego przynosi miotłę i zaczyna zamiatać szkło. Zbiera fotografie i układa je w schludny stosik. Stawia ramki rzędem w kącie. Serwuje psu śniadanie.

Wkłada płaszcz i pakuje listę do torebki, Bank nadal się nie rusza. Mimo to Britt-Marie decyduje się postawić obok niej piwo.

– To prezent. Chciałabym prosić, żeby go pani dzisiaj nie piła, bo wydaje się, że wypiła pani wystarczająco dużo wczoraj, tak że musiałaby się pani chyba wykąpać w sodzie oczyszczonej i olejku waniliowym, żeby kiedykolwiek pachnieć jak cywilizowana osoba, ale nie chciałabym się wtrącać – informuje.

Kiedy Bank się nie rusza ani nie odpowiada, Britt-Marie dodaje:

– Ha. Tak czy siak, zapakowałam je w celofan. Teraz, kiedy się już nad tym spokojnie zastanowiłam, wydaje mi się, że biorąc pod uwagę okoliczności, nie jest to uprzejme, ale chciałabym panią zapewnić, że wszystko to było zrobione z najlepszymi intencjami. Chciałam, żeby to wyglądało przyjemnie.

Bank siedzi tak spokojnie, że Britt-Marie musi się pochylić, żeby się upewnić, czy ona oddycha. Fakt, że oddech wydaje się wypalać rogówkę Britt-Marie, potwierdza, że jednak to robi. Britt-Marie mruga, podnosi się i nagle słyszy, jak z jej ust wydostają się słowa:

– Mam podstawy przypuszczać, że nie jest pani tego typu osobą, która miała ojca kibicującego Liverpoolowi. Zostałam mianowicie poinformowana, że osoba, której ojciec kibicuje Liverpoolowi, nigdy się nie poddaje.

Britt-Marie nie wie, dlaczego to mówi. Brzmi to nonsensownie. Ale na wszelki wypadek dodaje:

– Albo starszego brata. Zrozumiałam, że w niektórych przypadkach wystarczy starszy brat, który kibicuje Liverpoolowi.

Stoi na schodach i ma za sobą wszystko poza zamkniętymi drzwiami, kiedy Bank mamrocze w ciemności:

– Ojciec był za Tottenhamem.

Britt-Marie decyduje się nie dociekać, co to, na Boga, oznacza.

Ktośka siedzi w kuchni w pizzerii i pachnie jak Bank, ale ma nieco lepszy humor. Być może zauważa zabandażowaną rękę Britt-Marie, ale nic nie

mówi. Daje za to Britt-Marie kartkę, którą najwyraźniej zostawił „ktoś z miasta”.

– Coś o pucharze. Do „trenera”.

– Ha – mówi Britt-Marie, czytając kartkę, której treści nie rozumie, ale jest tu napisane coś o „obowiązku rejestracji” i „licencji”.

Britt-Marie nie ma czasu bardziej się w to wgłębiać, ma doprawdy inne rzeczy, którymi powinna się zająć, dlatego wkłada kartkę do torebki i podaje brodatym mężczyznom w bejsbolówkach kawę. Czytają gazety. Britt-Marie pyta o dodatek z krzyżówkami, oni znowu nic jej nie dają. Karl odbiera paczkę i też pije kawę. Kiedy kończy, przynosi kubek na ladę, kiwa głową do Britt-Marie, nie patrząc na nią, i mamrocze: „Dziękuję, była dobra”.

Rozsądek Britt-Marie powstrzymuje ją, aby zapytać, co, na Boga, dostaje ciągle w tych wszystkich paczkach. Może lepiej, że nie pyta. Może buduje bombę. O takich rzeczach wciąż się czyta. Karl wydaje się wprawdzie małomównym mężczyzną, który trzyma się sam i nie przeszkadza innym, ale właśnie taki typ opisują najczęściej sąsiedzi, kiedy mówią o kimś, kto buduje bomby. Osoby układające krzyżówki lubią bomby, stąd Britt-Marie o tym wie.

Sami i Psychol wchodzą po lanczu. Psychol kręci się złowieszczo przy drzwiach, błądząc oczami po lokalu, jakby szukał jakiejś zguby. Britt-Marie czuje się przez to tak nieswojo, że chyba musi to być widać. Sami patrzy na nią uspokajająco i zwraca się do Psychola:

– Mógłbyś pójść i sprawdzić, czy nie zostawiłem telefonu w samochodzie?

– Dlaczego? – pyta Psychol.

– Bo cię, kurwa, proszę – prosi Sami.

Psychol robi coś z ustami, co wygląda, jakby pluł. Drzwi zamykają się za nim radośnie. Sami odwraca się do Britt-Marie.

– Wygrała pani?

Britt-Marie patrzy się na niego bez zrozumienia. Sami szczerzy się znacząco, wskazując na jej zabandażowane palce.

– Wygląda, jakby się pani biła. Jak wygląda ta druga?

– Pragnę cię poinformować, że to był wypadek – protestuje Britt-Marie, nie będąc zbyt skłonna, aby wchodzić w szczegóły.

– Okej, trenerko, okej – śmieje się Sami i boksuje w powietrzu.

Britt-Marie usuwa frenetycznie okruszki ze spódnicy. Sami wyciąga z reklamówki trzy koszulki i kładzie je na ladzie.

– To są koszulki Vegi, Omara i Dina. Wyprałem je kilka razy, ale niektórych plam nie da się usunąć, cokolwiek bym robił.

– Spróbowałeś użyć sody oczyszczonej?

– A co? Pomaga? – pyta Sami.

Britt-Marie nabiera takiego entuzjazmu, że musi się oprzeć o kasę.

– Ja… mogę… postarać się usunąć plamy. To żaden kłopot!

Sami potakuje, chcąc podziękować.

– Dziękuję, trenerko. Proszę opowiedzieć, jak poszło, potrzebuję wskazówek. Te plamy na ciuchach pieprzonych dzieciaków, można by pomyśleć, że oni mieszkają na pieprzonych drzewach.

Britt-Marie czeka, aż Sami wyjdzie z Psycholem, po czym idzie do ośrodka. Plamy schodzą po sodzie oczyszczonej. Britt-Marie pierze ręczniki i fartuszki dla Ktośki, pomimo że Ktośka upiera się, że nie trzeba. Nie chodzi o to, żeby Ktośka miała problem z tym, że Britt-Marie coś dla niej pierze, ale uważa, że nie trzeba ich prać. Kłócą się o to krótko. Ktośka znowu nazywa Britt-Marie „Mary Poppins”, a za to Britt-Marie zaczyna mówić na Ktośkę „brudas”. Ktośka śmieje się tak bardzo, że brakuje jej argumentów w kwestii nieprania fartuszków.

Britt-Marie kładzie snickersa dla szczura. Nie czeka, aż przyjdzie, bo nie chce wyjaśniać, jak poszła randka. Nie dlatego, żeby wiedziała, że szczur będzie pytał, ale nie czuje się jeszcze gotowa o tym rozmawiać. Dlatego wraca do pizzerii i je kolację z Ktośką, bo Ktośka wydaje się przejmować tym wystarczająco za mało lub wystarczająco za bardzo, żeby o to zapytać.

Sven nie przychodzi tego wieczoru do pizzerii. Za każdym razem, kiedy dzwoni dzwonek na drzwiach pizzerii, Britt-Marie ma nadzieję i czuje to w klatce piersiowej i w krześle, że to się zmieni. Nie byłaby zła, nawet gdyby przyszedł w samym środku kolacji. Ale Sven nie przychodzi. Tylko od czasu do czasu wejdzie któreś z dzieci. Wkrótce wszystkie tam są, w świeżo wypranych koszulkach, bo najwyraźniej dzieci mają kogoś w domu, kto się tym zajmuje.

Mimo wszystko jest jakaś nadzieja w Borg. Że jest jeszcze ktoś, kto wie, ile znaczy świeżo wyprana koszulka.

Dzieci wybierają się na trening, kiedy w drzwiach pojawia się chłopiec. Ma na sobie kurtkę treningową z napisem „Hokej”. Jego ojca nie widać.

– Co tu, do cholery, robisz? – dopytuje się Vega.

Chłopak zagrzebuje ręce głęboko w kieszeniach i wskazuje głową na piłkę w jej ręce.

– Chciałem pograć.

– Spieprzaj do miasta pograć! – syczy Vega.

Broda chłopca opiera się o obojczyk, ale się nie wycofuje.

– Drużyna w mieście ma trening o szóstej. Gram wtedy w hokeja. Widziałem, że wy gracie później…

Britt-Marie odczuwa najwyraźniej, że powinna się wytłumaczyć z tej decyzji, więc mówi:

– Nie można przecież urządzać treningu w trakcie posiłku!

– W trakcie hokeja też nie – mówi chłopiec.

– Koniec świata – mówi Britt-Marie.

Vega ma już dosyć i próbuje się przecisnąć obok chłopca.

– Nie jesteś stąd, cholerny synu bogacza. I tak nie jesteśmy tacy dobrzy, jak ci z miasta, więc spadaj do nich, jak chcesz sobie pograć!

Chłopiec nadal się nie wycofuje. Zatrzymuje się. Podnosi podbródek.

– Mam to gdzieś, czy jesteście dobrzy. Chcę po prostu pograć.

I tak stają się drużyną.

Vega przepycha się najpierw przez drzwi z doborem słownictwa, które Britt-Marie uznaje za doprawdy nieodpowiednie dla cywilizowanych ludzi, ale Omar szturcha chłopca delikatnie w plecy i mówi:

– Jak ci się uda odebrać jej piłkę, to grasz z nami. Myślę, że się nie odważysz.

Chłopiec biegnie przez parking, nie słuchając do końca. Vega uderza go łokciem w twarz. Chłopiec upada na kolana, z nosa leci mu krew, ale wyciąga nogę i łapie piłkę wyciągnięty jak długi haczyk. Vega upada, szarpie się, ocierając o żwir, i obraca się jednym ruchem. W oczach ma wojnę. Omar szturcha Britt-Marie na progu pizzerii i wskazuje podniecony:

– Proszę zobaczyć, jak teraz Vega wejdzie wślizgiem!

– Co to znaczy? – pyta Britt-Marie, ale wkrótce dowiaduje się, kiedy Vega kopie piłkę przez całe boisko, a potem podskakuje na obu nogach

i ślizga się po żwirze, aż uderza o nogi chłopca i powoduje, że jego ciało robi w mroku pół dzikiego salta.

Tak Britt-Marie dowiaduje się, dlaczego wszystkie dzieci w Borg mają dżinsy z dziurami na udach. Vega podnosi się i stoi jak herszt, opierając piętę na piłce. Chłopiec czyści się kawałek dalej, jego potrzeba sody oczyszczonej jest alarmująca, wygrzebuje ostre kamienie ze skóry i twarzy. Vega patrzy na Britt-Marie, wzrusza ramionami i parska:

– On jest w porządku.

Britt-Marie wyjmuje z torebki swoją listę.

– Czy możesz mi podać swoje imię? – pyta.

– Max – odpowiada chłopiec.

Omar wskazuje najpierw poważnie na Vegę, a potem na Maxa.

– NIE MOŻECIE grać w tej samej drużynie, jak gramy na dwie bramki.

Potem grają w idiotę. Na dwie bramki. Stanowią drużynę. Nie ma Samiego, który mógłby oświetlić boisko swoim samochodem, ale na miejscu jest za to inny samochód z zapalonymi światłami. Ciężarówka jest tak zardzewiała po bokach, że wydaje się nieprawdopodobne, że można tak bardzo zniszczeć, od momentu kiedy w ogóle wynaleziono ciężarówki. Siedzi w niej Karl. Britt-Marie wchodzi do pizzerii przynieść mu kawę. Karl potakuje. Britt-Marie też.

23

Kiedy kobieta i mężczyzna w czerwonym samochodzie zatrzymują się kawałek dalej na parkingu, początkowo ani Britt-Marie, ani dzieci nie reagują, ponieważ zaczynają się przyzwyczajać, że zarówno nowi zawodnicy, jak i publiczność najwyraźniej pojawiają się w Borg na treningach, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. Dopiero kiedy Max mówi, wskazując: „To chyba ci z miasta. Ona jest szefową okręgowego związku piłki nożnej, mój stary ją zna”, trening zostaje przerwany, a gracze i trenerka podejrzliwie czekają na obcych.

– Britt-Marie? – pyta kobieta, podchodząc bliżej.

Jest schludnie ubrana, mężczyzna również. Czerwony samochód jest bardzo czysty, zauważa Britt-Marie najpierw z sympatią, którą zna ze swojego zwykłego życia, ale później z intuicyjnym sceptycyzmem, jakiego nauczyła się w Borg w stosunku do przedmiotów wyglądających na całe i czyste. Takie rzeczy rzadko zdarzają się w Borg.

– To ja – zapewnia Britt-Marie.

– Zostawiłam dzisiaj dla pani kilka dokumentów, zdążyła pani je przejrzeć? – pyta kobieta, robiąc gest w kierunku pizzerii.

– Ha. Ha. Nie, byłam zajęta.

Kobieta patrzy na dzieci. Potem na Britt-Marie.

– Chodzi o przepisy dotyczące Pucharu Styczniowego, do którego ta… *drużyna* została zgłoszona.

Wymawia słowo „drużyna”, jak Britt-Marie wymawia słowo „kubek”, kiedy trzyma w ręku plastikowy kubeczek.

– Ha – mówi Britt-Marie, wyjmuje notes i długopis, jakby chciała się uzbroić.

– Na zgłoszeniu pani jest wpisana jako trener. Posiada pani licencję? – pyta kobieta.

– Słucham? – mówi Britt-Marie, jednocześnie zapisując w notesie słowo „licencja”.

– LI-CEN-CJĘ – powtarza kobieta, wskazując na mężczyznę obok, jakby był kimś, kogo Britt-Marie powinna znać. – Okręgowy związek piłki nożnej i gmina pozwalają wziąć udział w Pucharze Styczniowym jedynie drużynom, które mają obwodową licencję trenerską.

Britt-Marie pisze w notesie: „Zdobyć obwodową licencję trenerską”.

– Ha. Czy zechce mnie pani poinformować o instrukcjach dotyczących zdobycia takiej licencji? Natychmiast postaram się dopilnować, aby osoba kontaktowa z urzędu pracy dopilnowała, aby…

– Droga pani, jej nie można tak po prostu ZDOBYĆ! Musi pani odbyć cały KURS! – wybucha nieco histerycznie mężczyzna obok kobiety przed czerwonym samochodem.

Wymachuje rękami po parkingu.

– Nawet nie jesteście drużyną!

Właśnie wtedy Vega ma już dosyć, ponieważ jej cierpliwość jest najwyraźniej tego bardziej krótkotrwałego rodzaju, dlatego się odcina:

– Słuchaj, facet, gramy tu, kurde, w piłkę, czy nie?

– Co? – odpowiada mężczyzna.

– Głuchy jesteś? Powiedziałam: Gramy tu, kurde, w piłkę, czy nie?! – wrzeszczy Vega.

– Tak? – odpowiada facet, szczerząc się ironicznie i rozkładając ramiona.

– Jeśli gramy tu w piłkę nożną, to to jest cholerne boisko – stwierdza Vega.

Mężczyzna patrzy zszokowany na Britt-Marie, jakby uważał, że powinna coś powiedzieć, ale Britt-Marie się z nim nie zgadza, ponieważ, pomijając dobór słownictwa, wyjątkowo zgadza się z Vegą. Dlatego nic nie mówi. Kobieta obok mężczyzny odchrząkuje.

– W mieście jest wyjątkowo dobrze zorganizowana drużyna piłkarska, jestem pewna, że…

– Mamy wyjątkowo dobrze zorganizowaną drużynę piłkarską tutaj! – odcina się Vega.

Kobieta oddycha z przerwami przez dziurki w nosie.

– Musimy mieć jakiś regulamin dotyczący Pucharu Styczniowego. W przeciwnym razie ktokolwiek może się pojawić i brać w nim udział. To byłoby chaotyczne, musicie to zrozumieć. Jeśli nie macie trenera z licencją, nie możecie niestety brać udziału w Pucharze, możecie złożyć wniosek w przyszłym roku i…

Głos, który jej przerywa, dobiegający gdzieś z mroku między czerwonym samochodem a ciężarówką Karla, jest skacowany i brzmi tak, że nie należy mu się sprzeciwiać, to oczywiste.

– Mam licencję. Wpisz moje imię na kartkę, jeśli to takie kurewsko ważne.

Kobieta gapi się na Bank. Wszyscy pozostali również. Na co patrzy Bank, wydaje się, zupełnie bezstronnie, niejasne. Pies w każdym razie patrzy na Britt-Marie. Britt-Marie zerka na niego, jakby byli spiskującymi kryminalistami.

– Niemożliwe, ONA wróciła do Borg? Może być problem, mówię od razu – syczy mężczyzna do kobiety na widok Bank.

– Cicho! – ucisza go kobieta.

Bank wychodzi z mroku, kiwając laską w kierunku kobiety i mężczyzny tak, że przypadkowo uderza mężczyznę mocno w łydkę. Dwa razy.

– Oj – przeprasza Bank i wskazuje laską na kobietę. – Wpisz moje imię. Zakładam, że go nie zapomnieliście – mówi, niechcący uderzając mężczyznę w ramię trzy lub może cztery razy. – Oj – mówi znowu.

– Nawet nie wiedziałam, że wróciłaś do Borg. – Kobieta uśmiecha się nerwowo.

– Teraz już wiesz – stwierdza Bank, wymachując wyzywająco laską tak, że uderza niechcący mężczyznę w ramię i trochę w policzek, a potem, jest to zapewne nieszczęśliwy wypadek, wkłada mu końcówkę laski do ust tak, że mężczyzna odskakuje do tyłu i zaczyna pluć dookoła błotem jak mały, wkurzony zraszacz z defektem.

– Oj – mówi Bank.

– My… to znaczy… według regulaminu powinno się… – próbuje kobieta.

Skacowana Bank stęka głośno.

– Zamknij się, Anniko, po prostu się zamknij. Dzieciaki chcą sobie pograć. Był taki czas, kiedy też tylko chciałyśmy sobie pograć, a faceci tacy jak on chcieli nas powstrzymać.

Bank podnosi laskę w kierunku mężczyzny, kiedy wypowiada ostatnie słowa, ale tym razem mężczyzna odskakuje. Kobieta stoi dobrą chwilę i rozważa możliwe odpowiedzi. Wygląda na coraz młodszą z każdą mijającą chwilą. Otwiera usta i znowu je zamyka. W końcu poddaje się

i zapisuje Bank w swoich kartkach. Mężczyzna odpluwa i dalej się pieni, kiedy wsiadają do samochodu i opuszczają Borg, jadąc w kierunku miasta.

Bank nie marnuje czasu na nieistotne sprawy, na kacu jej cierpliwość przypomina cierpliwość Vegi, dlatego wymachuje laską w kierunku dzieci, mrucząc:

– Jeśli nie jesteście ślepi, to chyba zdążyliście zauważyć, że tu jestem. Ale nie trzeba was widzieć, żeby zrozumieć, że jesteście beznadziejni. Mamy kilka dni do ich idiotycznego Pucharu, więc postaramy się zrobić wszystko, co możemy, żebyście byli nieco mniej beznadziejni.

Zastanawia się chwilę, potem dodaje:

– Nie spodziewajcie się nie wiadomo czego.

Nie jest to zbyt zachęcająca odprawa, bynajmniej. Britt-Marie wydaje się, że chyba lubiła Bank nieco bardziej, kiedy nie mówiła zbyt dużo. Oczywiście najpierw Omar zbiera się na odwagę, żeby oponować, częściowo dlatego, że nie boi się powiedzieć tego, co myśli cała drużyna, częściowo dlatego, że jest wystarczająco głupi, żeby to zrobić.

– Kurde, ale grubo, przecież nie możemy mieć ślepego trenera!

Britt-Marie splata ręce.

– Tak się nie mówi, Omarze. To niesłychanie niecywilizowane nazywać kogoś „grubym”. Może Bank ma tylko potężną budowę ciała.

Omar gapi się na nią.

– Kogo nazwałem grubym? Powiedziałem tylko, że to grubo!

– Ha. O to chodzi – mówi Britt-Marie, nie mając pojęcia, co to znaczy.

Omar wskazuje na Bank.

– Jest ślepa! Co ona wie o futbolu?

– Właściwie jest niedowidząca – wyjaśnia Britt-Marie i dodaje nieco obrażona: – To nie ma nic wspólnego z otyłością.

Omar przeklina. Bank kiwa tylko spokojnie głową. Wskazuje laską na piłkę z precyzją, która sprawia, że Omar czuje się trochę zbity z tropu.

– Dawaj piłkę – mówi, jednocześnie gwiżdżąc na psa.

Pies natychmiast biegnie i siada zaraz za Omarem. Potem szczeka głośno i wyraźnie. Bank obraca się prosta jak strzała w kierunku Omara i psa. Vega od razu kapuje, w jej wzroku pojawia się nadzieja, więc podbiega i kopie piłkę do Bank. Potem, śmiejąc się z Omara, odbiega od niego tak szybko,

jak tylko potrafi. Zaniepokojony Omar obserwuje psa za sobą i Bank przed nim.

– To znaczy… chwila, nie chciałem powiedzieć, że…

Bank rozpędza się kilka kroków, po czym biegnie szybko w kierunku piłki. W tej samej sekundzie pies kuca za Omarem i sika. Uryna zbiera się w schludną okrągłą kałużę na żwirze. Kiedy stopa Bank dotyka skóry na piłce, Omar robi unik, rzuca się przestraszony do tyłu, potyka się o psa i ląduje z twarzą w kałuży.

Bank zatrzymuje się z nogą na piłce. Wskazuje laską na Omara i mamrocze:

– Ja przynajmniej wiem, jak podkręcić piłkę. I nawet jeśli jestem prawie ślepa, mogę zrobić tak, żebyś leżał w psich szczynach. Dlatego ustalmy, że ja w każdym razie wiem więcej o futbolu niż ty.

Zafascynowana Vega stoi przy kałuży.

– Jak pani tego nauczyła psa?

Bank gwiżdże na psa. Głaszcze go po pysku. Otwiera kieszeń w kurtce i pozwala mu wziąć to, co ma w środku.

– Miałam psa, jeszcze zanim oślepłam. Połowy sztuczki go nauczyłam, jak jeszcze widziałam, a połowy potem.

– To niecywilizowane – mówi Britt-Marie, idąc do ośrodka po sodę oczyszczoną.

Kiedy wraca na parking, dzieci grają w piłkę tak głośno, że aż to słychać. Trzeba to samemu przeżyć, żeby zrozumieć różnicę, kiedy się gra cicho, a kiedy nie. Britt-Marie stoi w mroku i słucha. Za każdym razem, kiedy jedno z dzieci ma piłkę, reszta krzyczy: „Tu! Tu jestem!”.

– Jak kogoś słychać, to wiadomo, że jest – mamrocze Bank, starając się wymasować kaca ze skroni.

Dzieci grają. Krzyczą. Mówią, gdzie są. Britt-Marie trzyma mocno w dłoniach puszkę z sodą oczyszczoną, aż robią się na niej wgniecenia.

– Jestem tu – szepce. Chciałaby, żeby Sven tu był i żeby mogła mu to opowiedzieć.

Dziwne miasteczko. Potężna gra.

Dzieci żegnają się po treningu. Ropucha jedzie z tatą do domu ciężarówką. Sami odbiera Vegę, Omara i Dina. Po Bena przychodzi mama. Kiwa do Britt-Marie, Britt-Marie robi to samo. Bank nie mówi ani słowa w drodze

do domu, a Britt-Marie uważa, że nie należy kusić losu. Przede wszystkim uważa, że nie należy kusić laski, która dzisiaj po południu przebywała zarówno w błocie, jak i co najmniej w ustach jednej osoby. Dlatego akceptuje ciszę.

W domu Bank zdejmuje celofan z piwa i pije prosto z butelki. Britt-Marie idzie po kufel i podkładkę.

– Muszą istnieć jakieś granice – mówi zdecydowanie do Bank.

– Ale z ciebie zrzędliwa jędza, powiedział ci to już ktoś? – mówi Bank.

– Wielokrotnie – odpowiada Britt-Marie i w ten sposób zyskuje drugą prawdziwą przyjaciółkę, zależnie od tego, jak kto liczy.

Britt-Marie kieruje się do schodów, ale zmienia zdanie, odwraca się i pyta:

– Mówiła pani, że ojciec kibicował Tottenhamowi. Czy zechciałaby mi pani wytłumaczyć, co to znaczy, jeśli nie jest to problem?

Bank pije piwo z kufla. Opada na krzesło. Pies kładzie mordę na jej kolanie.

– Jak jest się za Tottenhamem, to daje się więcej miłości, niż się dostaje – mówi.

Britt-Marie zakłada nieuszkodzoną dłoń na bandaż na drugiej ręce. Doprawdy uważa, że sympatia w stosunku do futbolu jest niepotrzebnie skomplikowana.

– Przypuszczam, że chce pani przez to powiedzieć, że to zła drużyna.

Kąciki ust Bank się wzdrygają.

– Tottenham był najgorszą z możliwych drużyną, bo są prawie dobrzy. Zawsze obiecują, że będą świetni. Dają ci nadzieję. Dlatego dalej ich kochasz i starasz się znaleźć coraz bardziej innowacyjne sposoby, żeby nie czuć rozczarowania.

Britt-Marie potakuje, jakby to było rozsądne. Bank podnosi się i stwierdza:

– Jego córka przypominała w ten sposób jego ulubioną drużynę.

Stawia pustą butelkę na zlewie i wychodzi obok Britt-Marie do salonu, nie używając laski.

– Piwo było dobre. Dziękuję.

Tego wieczoru Britt-Marie wiele godzin siedzi w pokoju na brzegu łóżka. Podnosi się, stoi na balkonie, czeka na radiowóz. Potem wraca na brzeg

łóżka. Nie płacze, nie jest nieszczęśliwa, jest raczej zupełnie przeciwnie. Odczuwa pewnego rodzaju podniecenie. Okna są wymyte, podłoga przetarta, a meble balkonowe wysuszone. Posypała ziemię sodą oczyszczoną, a materac proszkiem do pieczenia. Pociera palcami nieuszkodzonej dłoni o bandaż na drugiej. Bandaż zasłania białą plamę, którą zwykle zakrywała obrączka. Czyli w pewien sposób osiągnęła żądany efekt dzięki wizycie w solarium, chociaż nie wszystko poszło tak, jak chciała. Nic nie poszło tak, jak chciała, odkąd przybyła do Borg.

Po raz pierwszy, odkąd tu przybyła, akceptuje, że niekoniecznie musi to być coś złego.

Kiedy słychać pukanie do drzwi, wydaje jej się, że to tylko fantazja, bo tak bardzo i tak długo tego chciała. Ale znowu słuchać pukanie, więc Britt-Marie wyskakuje z łóżka i potykając się, zbiega po schodach jak totalna wariatka. Naturalnie to zupełnie do niej niepodobne i ani trochę nie cywilizowane, nie zbiegała tak po schodach, odkąd przestała być nastolatką. Tak jak kiedy serce jest już przy drzwiach, zanim znajdą się tam stopy. W jednej sekundzie powstrzymuje się, zbiera cały rozsądek, który potrafi przywołać, żeby poprawić fryzurę i wszystkie niewidoczne fałdy na spódnicy.

– Sven! Ja… – zdąży powiedzieć z ręką na klamce.

Potem odejmuje jej mowę. Próbuje złapać powietrze. Czuje, jak nogi się pod nią uginają.

– Cześć, kochanie! – mówi Kent.

24

„Grzecznym chłopcom nie wolno całować ładnych dziewczyn”, mawiała zwykle mama Britt-Marie. Chociaż właściwie chodziło jej o to, że ładne dziewczyny nie powinny całować grzecznych chłopców, bo z grzecznymi chłopcami nie można się doprawdy spodziewać godnego utrzymania. „Musimy się modlić do Boga, żeby znalazła mężczyznę, który ją utrzyma, w przeciwnym razie będzie musiała żyć w rynsztoku, bo własnych umiejętności ona doprawdy nie posiada”, mawiała zwykle matka Britt-Marie, kiedy rozmawiała przez telefon. „Bóg mi ją zesłał jako karę za moje grzechy”, mawiała zwykle do telefonu, kiedy była trzeźwa, lub bezpośrednio do Britt-Marie, kiedy wypiła sherry.

Nie da się zadowolić rodzica, kiedy straciło się siostrę, która pod wszystkimi istotnymi względami była lepszą wersją nas samych. Britt-Marie mimo to się starała. Z ojcem, który przychodził coraz później, nie było szczególnie dużo możliwości, więc Britt-Marie nauczyła się nie mieć żadnych oczekiwań i skupić się na matce.

Alf i Kent mieszkali w tej samej klatce schodowej i kłócili się, jak to bracia. Wcześniej czy później zawsze chcieli mieć tę samą dziewczynę, jak to bracia. Czy chcieli Britt-Marie, bo po prostu jej chcieli, czy chcieli tego, co drugi brat, tego Britt-Marie nigdy się nie dowiedziała. Gdyby była tam Ingrid, zalecaliby się z pewnością do niej. Britt-Marie nie miała żadnych iluzji, nie ma się iluzji, kiedy jest się przyzwyczajonym żyć w czyimś cieniu. Ale chłopcy byli wytrwali, współzawodniczyli, walczyli o jej uwagę na zupełnie przeciwne sposoby. Jeden był głośny, drugi nieśmiały. Jeden się przechwalał, ile zarobi pieniędzy, drugi dawał jej kwiaty. Jeden był nieczuły w stosunku do Britt-Marie, drugi za grzeczny, a Britt-Marie nie chciała rozczarować matki. Dlatego wybrała głośnego, nieczułego, tego, który przechwalał się pieniędzmi. Odrzuciła grzecznego. Wybrała Alfa i odrzuciła Kenta.

Kent stał na klatce schodowej z kwiatami w rękach i zamkniętymi oczami, kiedy odchodziła z jego bratem, a kiedy wróciła, już go nie było.

Z Alfem była krótko. Był zmęczony, z tego co pamięta. Już znudzony. Jak zwycięzca, z którego spłynęła adrenalina. Pewnego ranka zostawił ją, zaciągnął się do wojska i nie było go wiele miesięcy. Tego poranka, kiedy miał wrócić, Britt-Marie po raz pierwszy w życiu stała godzinami przed lustrem i przymierzała nową sukienkę. Matka spojrzała na nią i powiedziała: „Ha, chcesz wyglądać tanio, ależ ci się udało". Britt-Marie starała się wytłumaczyć, że tak jest teraz modnie, a matka odpowiedziała, że Britt-Marie nie powinna podnosić głosu, bo brzmi jak niedorozwinięte dziecko. Britt-Marie wytłumaczyła ostrożnie, że chciała zrobić niespodziankę Alfowi na dworcu, a matka parsknęła: „Tak, z pewnością będzie zaskoczony!". Miała rację.

Britt-Marie przyszła w starej sukience, ze spoconymi rękami i sercem kołaczącym jak podkowy na bruku. Naturalnie słyszała opowieści o tym, jakoby żołnierze mieli dziewczyny w każdym porcie, prawdopodobnie założyła jedynie, że to nie dotyczyło Alfa. Przynajmniej nie zakładała, że będzie miał dwie w tym samym porcie.

Siedziała w kuchni i płakała w ręcznik przez całą noc, wtedy jej mama wstała z łóżka i nakrzyczała na nią, że robi hałas. Britt-Marie opowiedziała o tej drugiej dziewczynie, z którą zobaczyła Alfa. Matka przytaknęła krótko. „Ha, czego się spodziewałaś, kiedy wybrałaś takiego mężczyznę? Mówiłam ci przecież, że masz wybrać jego brata, tego porządnego chłopaka, jak on się nazywa? Kent?"

Potem poszła się znowu położyć. Kolejnego dnia wstała później niż zwykle. Aż kiedyś wcale nie wstała. Britt-Marie podjęła pracę kelnerki zamiast studiować, żeby móc zajmować się domem. Wnosiła do sypialni obiady dla matki, która przestała się odzywać, ale od czasu do czasu potrafiła się przeciągnąć, mówiąc: „Ha, kelnerka, cóż, jakże to miło, że nie czujesz, że jesteś winna rodzicom coś więcej po tym wszystkim, co ci daliśmy. Naturalnie nie było dla ciebie odpowiedniego wykształcenia, wolisz żyć z moich oszczędności tu, w domu". Potem w mieszkaniu było coraz ciszej. Aż w końcu zapanowała tam totalna cisza. Britt-Marie myła okna i czekała, aż coś się zacznie.

Pewnego dnia Kent stał na klatce schodowej. Dzień po pogrzebie matki. Opowiadał o swoim rozwodzie i o swoich dzieciach. Britt-Marie tak długo o tym marzyła, że myślała, że to tylko fantazja, a kiedy się do niej uśmiechnął, czuła jakby promienie słońca na swoim ciele. Więc zaczęła śnić jego snami. Żyć jego życiem. Bo była w tym dobra, a ludzie chcą robić to, w czym są dobrzy. Chcemy, żeby ktoś wiedział, że jesteśmy tutaj. Że to ma znaczenie.

Kent stoi na progu w drzwiach w Borg. W ręce ma kwiaty. Uśmiecha się. Promienie słońca na ciele Britt-Marie. Trudno wrócić, kiedy się doświadczyło, jak trudno zacząć od nowa. Trudno nie chcieć wrócić do swojego zwykłego życia, kiedy się zrozumie, czego trzeba człowiekowi, żeby dał radę zacząć od nowa.

– Czekałaś na kogoś innego? – pyta Kent niepewnie, znowu jest tym chłopcem z klatki schodowej.

Zszokowana Britt-Marie potrząsa głową. Kent się uśmiecha.

– Dostałem kartkę pocztową. A ja… to znaczy księgowy sprawdził, gdzie pobierałaś pieniądze z bankomatu – mówi prawie zakłopotany i robi gest ku drodze w kierunku miasta.

Kiedy Britt-Marie nie wie, co powiedzieć, mówi dalej:

– Zapytałem o ciebie w pizzerii. Ta na wózku nie chciała powiedzieć, gdzie jesteś, ale siedziało tam kilku facetów, którzy pili kawę, a oni bardzo chętnie mi to powiedzieli. Znasz ich?

– Nie – szepce Britt-Marie, nie wiedząc, czy kłamie, czy nie.

Kent podaje kwiaty.

– Ja, do cholery, kochanie. Wybacz! Ja, ona, ta kobieta, ona nigdy nic nie znaczyła. Już wszystko się skończyło. Kocham cię, do cholery. Kochanie!

Britt-Marie patrzy zaniepokojona na laskę, na której Kent się opiera.

– Co się stało, na Boga?

Kent macha rękami, jakby chciał zaprzeczyć.

– Aaaa, to nic takiego, lekarze chcą, żebym z tym chodził po zawale. Podwozie trochę zardzewiało, jak się stało w garażu przez całą zimę! – Szczerzy się, wskazując na swoje nogi.

Britt-Marie chce wziąć go za rękę.

Nie wydaje się naturalne, żeby go zapraszać do środka. Nigdy tego nie robiła, nawet wtedy, kiedy byli nastolatkami. W domu rodzinnym Britt-

Marie nie wolno było zabierać chłopaków do pokoju, mama uważała, że to nie wypada, więc pierwszym, którego Britt-Marie zaprosiła do pokoju, był Kent. Po śmierci matki. Został tam z nią. Przekształcił jej dom w swój, a swoje życie w jej życie.

Dlatego im obojgu wydaje się naturalne, że pojeżdżą razem bmw po Borg, bo z wielu powodów zawsze było najlepiej, kiedy jeździli samochodem. On na miejscu kierowcy, ona jako pasażer. Mogą udawać, że są tam tylko tranzytem. Mogą opuścić Borg, jak to się robi z miejscami, z których wysyła się pocztówki, bo tylko ci, którzy zamierzają opuścić jakieś miejsce, wysyłają pocztówki, ci, którzy mieszkają gdzieś na stałe, wysyłają listy.

Jadą do miasta i z powrotem. Kent trzyma rękę na dźwigni skrzyni biegów, więc Britt-Marie wyciąga ostrożnie opuszki palców swojej nieuszkodzonej dłoni i kładzie je na jego dłoni. Żeby poczuć, że zmierzają w tym samym kierunku. Jego koszula jest pognieciona i poplamiona na brzuchu kawą. Britt-Marie myśli o tym, jak Sami mówił o dzieciach, które mieszkają na drzewach, a Kent wygląda, jakby spadł z drzewa we śnie i obił się o każdą gałąź po drodze, spadając. Kent uśmiecha się, jakby chciał przeprosić.

– Nie znalazłem tego pieprzonego żelazka. W domu nie ma porządku, odkąd cię tam nie ma, kochanie. Wiesz o tym.

Britt-Marie nie odpowiada. Martwi się, co ludzie o nim pomyślą, że powiedzą, iż ma żonę, która go zostawiła, kiedy chodził o lasce i w ogóle. Marznie w palec serdeczny i jest dogłębnie wdzięczna, że bandaż nie pozwala Kentowi tego zobaczyć. Wie, że ją zawiódł, ale nie może przestać myśleć o tym, że też go zawiodła. Co warta jest miłość, jeśli zostawiamy tego, kto nas potrzebuje w najtrudniejszej chwili?

Kent kaszle i zdejmuje nogę z gazu, choć droga jest pusta. Britt-Marie nigdy nie widziała, żeby robił coś takiego. Zwalniał, choć nie musi.

– Lekarze mówią, że nie byłem w dobrym stanie. Przez dłuższy czas. Że nie byłem sobą. Biorę teraz cholernie dobre tabletki, antydepresyjne czy coś w tym stylu.

Mówi to tak, jakby werbalizował wszystkie swoje plany, jako coś oczywistego. Jakby coś kazało mu wracać późno i pachnieć pizzą, jakby to była usterka w trakcie produkcji, którą łatwo da się naprawić. Teraz już wszystko jest w porządku.

Chce zapytać, dlaczego do niej po prostu nie zadzwonił, ma przecież ze sobą telefon komórkowy. Uznał, że nie będzie potrafiła go włączyć. Dlatego Britt-Marie milczy. Kent wygląda przez okno, kiedy wracają do Borg.

– Wylądować w tak cholernie dziwnym miejscu! Co mówiła twoja matka o wsi? „Poza wszelką doskonałością”?

– Poza wszelkim poszanowaniem i przyzwoitością – odpowiada Britt-Marie.

– Była cholernie zabawna, twoja matka. Jest w tym jakaś ironia losu, że wylądowałaś tutaj, co? Ledwie wystawiałaś stopy poza mieszkanie przez czterdzieści lat!

Mówi to jak żart. Trudno jej to zaakceptować. Jednak kiedy zatrzymują się pod domem Bank, Kent oddycha tak ciężko, że Britt-Marie słyszy, że to musi boleć. Widzi po raz pierwszy łzy w jego oczach. Nie płakał nawet wtedy, kiedy pochowali jego własną matkę, a Kent trzymał Britt-Marie za rękę.

– To koniec. Z nią. Z tą kobietą. Nigdy nic nie znaczyła. Nie to, co ty – mówi.

Kent trzyma palce jej nieuszkodzonej dłoni, delikatnie je głaszcze i dodaje cicho:

– Potrzebuję cię w domu, kochanie. Jesteś tam potrzebna. Nie odrzucaj całego naszego wspólnego życia z powodu jednej głupiej pomyłki!

Britt-Marie usuwa niewidzialne okruszki z jego koszuli. Wącha kwiaty, które trzyma w dłoniach. Pachną jak zwykle.

– Nie wolno zapraszać chłopców do pokoju. W każdym wieku – szepce.

Kent śmieje się w głos. Britt-Marie pali skóra.

– Jutro? – woła za nią, kiedy Britt-Marie wysiada.

Ona potakuje.

Bo życie to coś więcej niż buty, w których się chodzi. Więcej niż to, kim się jest. To wspólnota. Części siebie w kimś innym. Wspomnienia i ściany, i szafki, i szuflady z przegródkami na sztućce, o których się wie, gdzie co leży. Całe życie dopasowywania się do idealnej organizacji, egzystencja o opływowym kształcie dopasowana do dwóch osobowości. Przeciętne życie, składające się z tego, co zwyczajne. Zaprawa murarska i kamień, piloty do telewizora i krzyżówki, koszule i soda oczyszczona, szafki w łazience i maszynka do golenia w trzeciej szufladzie. Do tego jej

potrzebuje. Jak jej nie ma, nic nie jest jak zwykle. Jest wartościowa, nieoceniona, niezastąpiona po prostu.

Britt-Marie idzie do swojego pokoju. Otwiera szuflady, składa ręczniki. Dzwoni telefon, na wyświetlaczu widać numer dziewczyny z urzędu pracy. Britt-Marie go wyłącza. Całą noc siedzi sama na balkonie. Ze spakowanymi torbami obok.

25

– Patrzy pan na mnie tak, jakby mnie osądzał. Pragnę pana poinformować, że w ogóle tego nie doceniam – zaznacza Britt-Marie.

Kiedy nie uzyskuje odpowiedzi, mówi nieco bardziej dyplomatycznie:

– Może nie było pana zamiarem patrzyć na mnie, jakby mnie pan oceniał, ale tak się właśnie czuję.

Kiedy nadal nie uzyskuje odpowiedzi, siada na taborecie z rękami skrzyżowanymi na kolanach i zwraca uwagę:

– Pragnę panu zwrócić uwagę, że ręcznik leży tam po to, aby mógł pan wytrzeć łapki. Nie jest bynajmniej ozdobą.

Szczur je snickersa. Nic nie mówi. Jednak Britt-Marie czuje, jakby ją osądzał. Dlatego parska w swojej obronie.

– Miłość to może niekoniecznie dla każdego fajerwerki i orkiestry symfoniczne, doprawdy uważam, że można mieć taką opinię. Dla niektórych z nas miłość może oznaczać inne rzeczy. Rozsądne rzeczy!

Szczur je snickersa. Przechadza się po ręczniku. Wraca do snickersa.

– Kent jest moim mężem. A ja jestem jego żoną. Dlatego doprawdy uważam, że siedzenie tutaj i bycie pouczaną przez szczura nie przystoi – wyjaśnia Britt-Marie. Potem nieco się opanowuje, przekłada ręce na kolanach i dodaje:

– Nie żeby było w tym coś złego, bynajmniej. W byciu szczurem. Jestem pewna, że to wyjątkowo wspaniałe.

Szczur nie stara się być kimś innym. Słowa Britt-Marie wydostają się z niej wraz z głębokim wydechem.

– Od dawna czuję smutek, drogi panie.

Szczur je snickersa. Dzieci grają w piłkę na parkingu pod ośrodkiem. Britt-Marie widzi bmw Kenta przez uchylone drzwi. Bawi się z dziećmi, lubią go. Wszyscy lubią Kenta od razu, kiedy go spotykają. Lata zajmuje dostrzeżenie jego słabych stron. Z Britt-Marie jest na odwrót.

Tak w ogóle nie wie, czy słowo „smutek” jest odpowiednie. Szuka odpowiedniego, jak w krzyżówce. Pionowo: „Gdy jest się nie w sosie”. „Czuje go osoba niezadowolona”. Albo: „Nie ma tego w płynnym dodatku do pieczeni”, jeśli krzyżówkę przygotowali jacyś przekręcający słowa dowcipnisie. Britt-Marie jest sceptyczna wobec udziału dowcipnisiów w układaniu krzyżówek, uważa, że najlepiej, kiedy ludzie pozostają poważni.

– „Przygnębienie” jest może lepszym słowem – mówi do szczura.

Już długo czuje się przygnębiona.

– Z pewnością wydaje się to panu niedorzeczne, ale w Borg miałam mniej czasu, żeby czuć się przygnębiona, niż w domu – wyjaśnia Britt-Marie szczurowi.

Szczur robi nową rundkę po ręczniku. Wygląda, jakby rozważał, czy ma zjeść do końca snickersa, czy też wziąć go ze sobą w torebce w miejsce, gdzie ludzie nie gadają o depresji w trakcie posiłku.

– To nie tak, że zostałam zmuszona, aby żyć w taki sposób. Mogłam dokonać zmiany. Mogłam poszukać pracy – mówi Britt-Marie i słyszy, że stara się bronić Kenta, nie siebie.

Ale swoją drogą to prawda. Mogła pójść do pracy. Kent uważał, że powinna trochę poczekać. Tak z rok. „Kto w przeciwnym razie zajmowałby się wszystkim w domu?”, pytał, a ona rozumiała, że nie widział siebie samego jak możliwej odpowiedzi. Więc po tym jak Britt-Marie siedziała w domu ze swoją matką, czekała kilka lat z dziećmi Kenta, a potem mama Kenta zachorowała, więc Britt-Marie została z nią w domu kilka kolejnych lat. Kent uważał, że tak jest najlepiej, chodziło przecież o okres przejściowy, aż zrealizują wszystkie plany Kenta, ale tak czy siak, byłoby najlepiej dla całej rodziny, aby Britt-Marie była popołudniami w domu, na wypadek gdyby Niemcy chcieli przyjść na kolację. Mówiąc „dla całej rodziny”, miał oczywiście na myśli wszystkich prócz Britt-Marie. „Cele reprezentacyjne można odpisać od podatku”, wyjaśniał zawsze nie wiadomo komu.

„Tak z rok” trwało kilka lat, a kilka lat stało się wszystkimi latami. Człowiek budzi się któregoś ranka i zdaje sobie sprawę, że ma więcej lat za niż przed sobą, nie wiedząc, jak to się stało.

– Mogłam pracować. Sama zadecydowałam, że zostanę w domu. Nie jestem żadną ofiarą – wyjaśnia Britt-Marie.

Nie opowiada, jak blisko była zdobycia pracy. Była na rozmowach w sprawie pracy. Wielu. Nie powiedziała o tym naturalnie Kentowi, bo wtedy zapytałby, ile miałaby zarabiać, a gdyby to powiedziała, zaśmiałby się i powiedział: „To chyba lepiej, żebym ci płacił za zostanie w domu, do cholery!”. Chciałby, aby to zabrzmiało jak żart, ale ona nie potrafiła się z tego śmiać, dlatego nic nie mówiła. Zawsze przychodziła na rozmowy dużo wcześniej i zawsze był tam też ktoś inny w poczekalni. Młode kobiety, prawie wyłącznie. Jedna z nich zaczęła rozmawiać z Britt-Marie, ponieważ nie rozumiała, że ktoś tak stary ubiega się o taką samą pracę jak ona. Miała trójkę dzieci i zostawił ją mąż. Jedno z dzieci chorowało. Kiedy wyszli po Britt-Marie, żeby ją zawołać, wstała i poszła do domu. Bo wiele można powiedzieć o Britt-Marie, ale nie jest doprawdy osobą, która chce ukraść pracę komuś, kto bardziej jej potrzebuje.

Nie opowiada tego szczurowi, bynajmniej, bo nie chce wyjść na męczennicę. Nie wiadomo przecież, jakie szczur ma doświadczenia. Może na przykład stracił całą swoją rodzinę w zamachu terrorystycznym, często się czyta o takich rzeczach. Bardziej dramatycznie nastawieni twórcy krzyżówek są mianowicie zachwyceni datami różnych ataków terrorystycznych. Nie chodzi o to, że Britt-Marie jest przesadnie zachwycona dramatopisarzami, ale woli ich przynajmniej od dowcipnisiów.

– Kent żył pod dużą presją, drogi panie – wyjaśnia Britt-Marie szczurowi.

Bo żył. Musiał utrzymać całą rodzinę. To zajmuje dużo czasu, a czas należy szanować.

– Dużo czasu zajmuje poznanie człowieka – mówi Britt-Marie do szczura, coraz ciszej z każdym wypowiadanym słowem. – Najpierw stawia pięty, kiedy chodzi. Nie wszyscy zwracają na to uwagę, ale tak jest. Kuli się, kiedy śpi, i zawsze marznie, niezależnie od tego, w ile kołder go opatulę. Boi się wysokości. I jest świetnie wykształcony, szczególnie jeśli chodzi o geografię! – podkreśla Britt-Marie.

Geografia to bardzo przydatna wiedza, kiedy dzieli się z kimś kanapę, rozwiązując krzyżówki. Niełatwo znaleźć kogoś takiego. Miłość nie musi dla wszystkich oznaczać fajerwerków. To mogą być stolice na pięć liter i buty, o których się wie, kiedy należy je podbić.

– On może się zmienić. – Britt-Marie chce to powiedzieć głośno i pewnie, ale wychodzi jej tylko szept.

Ale naprawdę może. Nawet nie musi się stać zupełnie nowym człowiekiem, wystarczy, jak będzie tym kimś sprzed zdrady. Przecież zażywa lekarstwa, a one mogą obecnie zdziałać cuda.

– Kilka lat temu sklonowali owcę, wyobraża pan sobie? – mówi Britt-Marie do szczura.

Wtedy szczur odchodzi.

Britt-Marie znosi talerze. Zmywa. Sprząta. Czyści okna i widzi przez nie, jak Kent gra w piłkę z Omarem i Dinem. Ona też może się zmienić, jest tego pewna. Nie musi być nudna. Może nie będzie znowu ładna, ale nie musi być nudna. Życie być może się nie zmieni, jeśli pojedzie do domu z Kentem, ale przynajmniej będzie jak zwykle.

– Nie jestem gotowa na niezwykłe życie – mówi Britt-Marie głośno do szczura, po czym przypomina sobie, że ten już poszedł.

Poznanie człowieka wymaga czasu. Nie jest gotowa, aby poznawać nowego. Postanowiła, że musi się nauczyć żyć z tym człowiekiem, którym jest.

Stoi w drzwiach i widzi, jak Kent strzela bramkę. Podbiega o lasce, skacze i robi piruet. Zapewne lekarz zakazał mu zachowywać się w ten sposób po zawale, ale Britt-Marie postanawia niczego nie krytykować, bo wygląda na takiego szczęśliwego. Britt-Marie zakłada, że muszą istnieć jakieś korzystne aspekty zdrowotne bycia szczęśliwym po zawale.

Omar marudzi, że chce się przejechać bmw, argumentując, że jest „zajebiste”. Britt-Marie pojmuje, że to musi być coś pozytywnego, więc powstrzymuje się również przed skrytykowaniem tego. Kent jeździ z Omarem i Dinem bmw wokół parkingu, wygląda, jakby im opowiadał, ile ono kosztuje, oni wyglądają tak, jakby im to bardzo imponowało. Kiedy za trzecim okrążeniem Kent pozwala Omarowi prowadzić, Omar wygląda, jakby mu ktoś właśnie powiedział, że może ujeżdżać smoki i walczyć mieczem w domu, i nikt na niego za to nie nakrzyczy.

Sven nie ma na sobie munduru, kiedy wychodzi z pizzerii, więc początkowo go nie zauważa, dopóki nie stają naprzeciw siebie w odległości kilku metrów. Sven patrzy na bmw, potem na Britt-Marie, odchrząkuje.

– Dzień dobry, Britt-Marie – mówi.

– Dzień dobry – mówi zaskoczona Britt-Marie.

Mocno trzyma torebkę, Sven trzyma ręce zagrzebane głęboko w kieszeniach, jak nastolatek. Ma na sobie koszulę, a włosy zaczesane mokrym grzebieniem. Nie mówi, że to z jej powodu, a zanim ona zdąży powiedzieć coś nierozsądnego, jej rozsądna część wydobywa z Britt-Marie:

– To mój mąż!

Wskazuje na bmw. Ręce Svena zagrzebują się jeszcze głębiej w kieszeniach. Kent zatrzymuje samochód, kiedy ich widzi, wysiada, jedną ręką wymachuje laską, a drugą rękę wyciąga do Svena i trzyma jego dłoń nieco dłużej i mocniej, niż jest to konieczne.

– Kent – chichocze Kent.

– Sven – mamrocze Sven.

– Mój mąż – przypomina Britt-Marie.

Ręka Svena wraca do kieszeni. Ubranie wydaje się go uciskać. Britt-Marie trzyma coraz mocniej torebkę, aż zaczynają ją boleć palce i być może inne części ciała. Kent szczerzy się niewzruszony.

– Fajne dzieciaki! Ten z kręconymi włosami chce zostać przedsiębiorcą, słyszałaś?

Śmieje się, patrząc na Omara. Britt-Marie spuszcza wzrok. Sven z zaciśniętymi zębami podnosi wzrok na Kenta.

– Nie wolno tam parkować – mówi i wskazuje łokciem na bmw, nie wyjmując ręki z kieszeni.

– Nie, nie – zbywa go Kent, wymachując jakby ze zmęczenia ręką w jego kierunku.

– Nie wolno tam parkować, powtarzam, i nie pozwalamy w tym mieście nastolatkom prowadzić samochodów. To nieodpowiedzialne! – upiera się Sven, wybuchając taką złością, jakiej Britt-Marie nigdy u niego nie zauważyła.

– Słuchaj pan, wyluzuj. – Kent szczerzy się z wyższością.

Sven się trzęsie.

– Jestem wyluzowany, jestem cholernie wyluzowany, drogi panie. Chodziłem na kurs!

Podniecony wskazuje obydwoma palcami wskazującymi przez podszewkę w kieszeniach.

– Nie wolno tam, do cholery, parkować, a pozwalanie dzieciom na prowadzenie samochodu jest karalne, musisz to pan zaakceptować, wszystko jedno, skąd pan pochodzisz…

Ostatnie słowa wypowiada ciszej. Jakby już żałowały, że opuściły jego usta. Kent wspiera się na lasce i kaszle nieco nieobecnie. Patrzy na Britt-Marie, ale ich oczy się nie spotykają, dlatego wpatruje się w Svena.

– Co z tobą nie tak, koleś? Jest pan gliniarzem czy co? – pyta.

– Tak! – odpowiada Sven.

– O cholera! – śmieje się Kent, natychmiast przybiera poważną minę, prostuje się i podnosi rękę do czoła, szyderczo salutując.

Sven się czerwieni i wlepia wzrok w zamek błyskawiczny swojej kurtki. Britt-Marie oddycha szybciej, idzie krok do przodu, jakby chciała ich fizycznie rozdzielić, ale poprzestaje na postawieniu obu stóp obok nich w żwirze i powiedzeniu:

– Drogi Kencie, czy mógłbyś przestawić samochód? Rzeczywiście stoi na samym środku boiska.

Kent wzdycha, ale gorliwie kiwa głową do Britt-Marie, podnosząc obydwie ręce, jakby coś mu zagrażało.

– Jasne, jasne, jeśli szeryf tak mówi. Nie ma problemu! Nie strzelać!

Robi kilka demonstracyjnych kroków w przód, pochyla się nad Britt-Marie, która nie pamięta, kiedy ją ostatnio pocałował.

– Śpię w hotelu w mieście. Cholerna szczurza nora, wiesz, jak to jest w takich miejscach, ale zobaczyłem, że naprzeciwko jest restauracja. Wygląda w porządku, biorąc pod uwagę okoliczności – mówi tak, żeby Sven usłyszał.

Robi lekceważący gest w kierunku pizzerii i ośrodka, wymawiając słowa „okoliczności”. Niepotrzebnie zbyt mocno dodaje gazu, przestawiając bmw. Kiedy kończy, podaje Omarowi swoją wizytówkę, bo Kent lubi rozdawać swoje wizytówki prawie tak samo jak informować rozmówcę, ile kosztują różne rzeczy, które posiada. Chłopiec wygląda, jakby mu to bardzo imponowało. Britt-Marie zauważa, że nie wie dokładnie, kiedy w trakcie tego wszystkiego Sven się obrócił i sobie poszedł, ale teraz już go tu nie ma.

Britt-Marie stoi sama przed pizzerią. Jeśli coś w niej teraz pęka, to jest to coś, na co bynajmniej nie powinna była sobie pozwolić od samego początku, przynajmniej próbuje to sobie wmówić. Bo za późno zaczynać od początku całe życie.

Je kolację z Kentem w restauracji na mieście. Mają białe obrusy, menu bez zdjęć i robią wrażenie, jakby poważnie traktowali sztućce. Albo przynajmniej nie żartem. Kent mówi, że czuje się bez niej samotny. Używa słowa „zagubiony”. Robi wrażenie, że traktuje ją poważnie, albo przynajmniej nie żartem. Ma na sobie swój stary, zniszczony pasek, zauważa Britt-Marie i domyśla się, że to dlatego, iż nie znalazł tego nowszego, który naprawiła przed wyjazdem. Chce powiedzieć, że tamten leży schludnie zwinięty w drugiej szufladzie szafy w sypialni. Ich sypialni. Chce, żeby krzyczał jej imię.

Jednak on tylko drapie się po brodzie i próbuje mówić obojętnie, gdy pyta:

– Ten gliniarz… czy on… jak wy… staliście się… przyjaciółmi?

Britt-Marie stara się, jak może, żeby jej odpowiedź brzmiała równie obojętnie:

– To tylko policjant, Kencie.

Kent potakuje i mruga powiekami tak, jakby były ciężkie.

– Musisz wiedzieć, że wiem, że się wygłupiłem, kochanie. Ale to już koniec. Nigdy nie będę się już z nią kontaktował. Nie możesz karać mnie przez całe życie za jeden skok w bok, prawda? – mówi, trzymając delikatnie jej zabandażowaną dłoń na stole.

Ma na palcu obrączkę. Britt-Marie czuje, jak biała plama na palcu serdecznym piecze ją oskarżycielsko. Kent poklepuje bandaż, jakby nawet się nie zastanawiał nad tym, że to tam.

– W porządku, postawiłaś na swoim, kochanie. Jasno i wyraźnie! Widzę to!

Britt-Marie potakuje. Bo to prawda. Bo nigdy nie chciała, żeby cierpiał, tylko żeby zrozumiał, że się mylił.

– Naturalnie uważasz, że ta sprawa z futbolem jest niedorzeczna – szepce.

– Żartujesz? Uważam, że to fantastyczne! – wybucha Kent.

Puszcza jej rękę, kiedy zostaje podane jedzenie, Britt-Marie od razu tęskni za jego ręką. Czuje się jak ktoś, kto właśnie wyszedł od fryzjera, gdzie podcięli mu włosy bardziej, niż chciał.

Britt-Marie kładzie ostrożnie serwetkę na kolanach, delikatnie ją głaszcze, jakby serwetka spała, i szepce:

– Ja też. Też uważam, że to fantastyczne.

Kent się rozpromienia. Pochyla się. Patrzy jej głęboko w oczy.

– Słuchaj, kochanie. Zostaniesz tu, aż dzieciaki zagrają w tym pucharze, o którym dzisiaj marudził ten z kręconymi włosami. A potem wrócimy do domu. Do naszego życia. Okej?

Britt-Marie bierze tak głęboki wdech, że aż zaczyna się jąkać.

– Byłabym wdzięczna – szepce.

– Wszystko dla ciebie, kochanie. – Kent potakuje i zatrzymuje kelnerkę, żeby poprosić o pieprz, chociaż jeszcze nie skosztował jedzenia.

To zwyczajne jedzenie, naturalnie, ale zanim rozum powstrzyma Britt-Marie, zastanawia się przez chwilę, czy nie opowiedzieć Kentowi o tym, że jadła tacos. Chce, żeby zrozumiał, że naprawdę sporo się wydarzyło w jej życiu w ostatnim czasie. Jednak nic nie mówi, bo muszą przecież istnieć jakieś granice, a poza tym Kent chce jej opowiedzieć o biznesach z Niemcami.

Britt-Marie zamawia do swojego dania frytki, nie je ich, ponieważ nie lubi frytek, ale zawsze je zamawia, kiedy są z Kentem w restauracji, bo martwi się, że on się nie naje swoją porcją.

Kiedy Kent sięga po nie, nie pytając, czy może, Britt-Marie spogląda przez okno i widzi przez chwilę radiowóz. Ale to może być tylko urojenie. Wstydzi się i od razu spuszcza wzrok na serwetkę. Jak to możliwe, że dorosła kobieta siedzi, wyobrażając sobie pojazdy specjalnego przeznaczenia? Co ludzie pomyślą?

Kent odwozi ją na trening, siedzi w swoim bmw i czeka, aż się skończy. Jest tam także Bank, więc Britt-Marie pozwala jej poprowadzić trening, podczas gdy ona sama zajmuje się głównie trzymaniem listy. Kiedy jest po wszystkim, Britt-Marie nie pamięta, co robili ani czy rozmawiała z dziećmi, ani czy w ogóle się z nimi pożegnała.

Po treningu Kent zawozi ją, Bank i psa z powrotem do domu Bank. Bank i pies wyskakują, nie pytając o cenę samochodu, co się bardzo nie podoba Kentowi. Bank niechcący stuka laską w lakier i przy dwóch pierwszych razach jest prawie pewne, że to niespecjalnie. Kent siedzi i rozmawia przez telefon, Britt-Marie siedzi obok i czeka, ponieważ jest w tym dobra. W końcu Kent mówi:

– Muszę wyjechać, żeby spotkać się jutro z księgowym. Takie tam biznesy z Niemcami, wiesz, kochanie, wielkie plany!

Kiwa mocno głową, jakby chciał podkreślić rozmiar planów. Britt-Marie uśmiecha się zachęcająco. Jednocześnie otwiera drzwi, kiedy uderza ją pewna myśl, dlatego pyta, choć nie do końca zdążyła to przemyśleć:

– Jakiej drużynie kibicujesz?

– Manchester United – odpowiada zaskoczony, spoglądając znad telefonu.

Britt-Marie potakuje i wysiada.

– To była bardzo przyjemna kolacja, Kencie. Dziękuję.

Kent przechyla się nad siedzeniami i patrzy na nią.

– Jak wrócimy do domu, pójdziemy do teatru, tylko ty i ja. Okej, kochanie? Obiecuję.

Britt-Marie stoi w przedpokoju z otwartymi drzwiami, dopóki Kent nie odjedzie. Potem widzi wiekowe kobiety w ogrodzie po drugiej stronie ulicy. Wspierają się na balkonikach i gapią, dlatego Britt-Marie odchodzi. Bank siedzi w kuchni i je bekon.

– Mój mąż kibicuje Manchester United – informuje Britt-Marie.

– Można się było, kurwa, spodziewać.

Britt-Marie nie ma pojęcia, co to znaczy. Ale nie brzmi to pozytywnie, bynajmniej.

26

Następny poranek Britt-Marie poświęca czyszczeniu mebli balkonowych. Będzie jej ich brakowało. Kobiety z balkonikami w ogrodzie po drugiej stronie drogi idą po gazety do swoich skrzynek pocztowych. Britt-Marie w nagłym ataku chęci bycia towarzyską próbuje do nich pomachać, ale one tylko się gapią. Zatrzaskują drzwi, wracając do swoich domów. Britt-Marie czuje się głupio.

Bank smaży bekon w kuchni, kiedy Britt-Marie schodzi, ale nie włącza bynajmniej żadnego wentylatora. „Jakże to miło – myśli Britt-Marie – że nie przeszkadza jej zapach spalonego boczku i nie martwi się, co pomyślą sąsiedzi”.

Britt-Marie stoi niepewnie w drzwiach między przedpokojem a kuchnią. Kiedy Bank wydaje się nie zauważać, że tam jest, odchrząkuje dwa razy, ponieważ czuje, że jest winna swojej gospodyni wyjaśnienie po tym wszystkim, co się stało.

– Pewnie pani uważa, że należy się pani wyjaśnienie odnośnie do wydarzeń związanych z moim mężem – wyjaśnia.

– Nie – odpowiada zdecydowanie Bank.

– He – stwierdza rozczarowana Britt-Marie.

– Bekon? – mamrocze Bank, wlewając na patelnię odrobinę oleju.

– Nie, dziękuję – odpowiada Britt-Marie, bynajmniej nie czując obrzydzenia, potem dodaje: – Jest moim mężem. Nie rozwiedliśmy się. Nie było mnie tylko w domu przez jakiś czas. Jakbym była na urlopie. Ale teraz wracam do domu, droga pani. Domyślam się, że pani nie rozumie tego typu spraw, ale to mój mąż. Doprawdy nie wypada zostawić męża w moim wieku.

Bank wygląda jak ktoś, kto nie chce rozmawiać o relacji Britt-Marie z Kentem.

– Na pewno nie chcesz bekonu? – mamrocze.

Britt-Marie potrząsa głową.

– Nie, dziękuję. Chcę, aby pani wiedziała, że nie jest złym mężem. Popełnił błąd, ale wszyscy je popełniamy. Jestem pewna, że miał wiele okazji, żeby popełnić ten sam błąd wcześniej, jednak tego nie zrobił. Nie można obciążać człowieka przez całą wieczność za jedną pomyłkę.

– Dobry bekon – mówi Bank.

– Istnieją pewne obowiązki. Małżeńskie obowiązki. Nie można się po prostu poddać – wyjaśnia Britt-Marie.

– Zaproponowałabym jajka, gdyby były. Ale pies je zjadł. Musisz się zadowolić bekonem – mamrocze Bank.

– Nie zostawia się nikogo po całym życiu – mówi Britt-Marie.

– Dostaniesz bekon – stwierdza Bank, włączając wentylator.

Można by pomyśleć, że robi to, bo bardziej przeszkadza jej głos Britt-Marie niż zapach smażonego boczku, dlatego Britt-Marie wciska pięty w podłogę.

– Nie jadam bekonu. On nie jest zdrowy ze względu na cholesterol. Kent też go ograniczył, proszę pani, był u lekarza jesienią. Mamy niezwykle wybitnego lekarza. Jest imigrantem, droga pani. Z Niemiec!

Bank przekręca moc wentylatora na maksimum, dlatego Britt-Marie musi podnieść głos, a nawet prawie krzyczeć, kiedy wyjaśnia:

– Nie wypada zostawić męża zaraz po zawale! Nie jestem tego typu kobietą!

Talerz uderza o stół przed nią, tak że tłuszcz spływa po brzegu stołu.

– Jedz swój bekon – mówi Bank.

Britt-Marie daje go psu. Ale nie mówi nic więcej o Kencie. Przynajmniej próbuje. Za to pyta:

– Co to znaczy, że ktoś jest za Manchesterem United albo cokolwiek to znaczy?

Bank odpowiada z ustami pełnymi bekonu.

– Ciągle wygrywają. Dlatego zaczęli wierzyć, że na to zasługują.

– Ha – mówi Britt-Marie.

Bank nie mówi nic więcej. Dlatego Britt-Marie podnosi się i myje talerz. Suszy go. Nie rusza się, bo myśli, że może Bank chce coś dodać, ale kiedy Bank w ogóle zapomina o jej obecności, Britt-Marie odchrząkuje i mówi z niezłomną emfazą:

– Kent nie jest złym mężem. Nie zawsze wygrywał.

Pies patrzy na Bank, jakby uważał, że Bank powinna mieć wyrzuty sumienia. Bank wydaje się to zauważać, bo je w jeszcze bardziej wkurzonej ciszy niż zwykle. Britt-Marie wychodzi z kuchni, wkłada płaszcz i wsuwa schludnie złożoną listę do torebki, podczas gdy pies warczy w kuchni, a Bank stęka głośno, odpowiadając psu, i w końcu krzyczy do przedpokoju:

– Podwieźć cię?!

– Słucham? – mówi Britt-Marie.

– Mam cię podwieźć do ośrodka? – pyta Bank.

Britt-Marie gapi się na nią i prawie upuszcza torebkę.

– Odwieźć? Jak to…? Nie, dziękuję. Nie chcę… nie wiem… nie oceniam bynajmniej, ale jak…?

Milknie, kiedy widzi szczerzącą się Bank.

– Nie prowadzę pojazdów. Żartowałam, Britt-Marie.

Pies patrzy zachęcająco. Britt-Marie poprawia włosy.

– Ha. To… miło z pani strony.

– Nie martw się tak, Britt-Marie! – woła Bank za nią, a Britt-Marie doprawdy nie wie, co odpowiedzieć na tak absurdalną reakcję.

Britt-Marie idzie spacerem do ośrodka. Sprząta. Myje okna i wygląda przez nie. Widzi teraz inne rzeczy, niż zanim przyjechała do Borg. Faxin to umożliwia.

Serwuje snickersa przy drzwiach. Przechodzi przez boisko, które dawniej wydawało się jedynie parkingiem. Radiowóz Svena stoi zaparkowany pod pizzerią. Britt-Marie oddycha głośno, po czym wchodzi do środka.

– Dzień dobry – mówi.

– Britt! Cześć! – krzyczy Ktośka, wyjeżdżając z kuchni z dzbankiem do kawy.

Sven stoi przy kasie, jest ubrany w mundur. Szybko zdejmuje czapkę policyjną i trzyma ją w rękach.

– Dzień dobry, Britt-Marie. – Uśmiecha się, wygląda, jakby urósł kilka centymetrów.

Potem słychać inny głos, który dochodzi spod okna:

– Dzień dobry, kochanie!

Kent siedzi przy stoliku i pije kawę. Zdjął buty i położył stopy na innym krześle. To jeden z jego najgorszych talentów, że może siedzieć gdziekolwiek, pić kawę i wyglądać, jakby mu było tak wygodnie jak we

własnym salonie. Nikt poza Kentem nie opanował tej sztuki, żeby będąc nieproszonym, czuć się wszędzie jak w domu.

Sven znowu się kurczy. Jakby uchodziło z niego powietrze. Britt-Marie próbuje nie wyglądać, jakby jej serce zatrzymało się dwukrotnie.

– Wydawało mi się, że miałeś się spotkać z księgowym – wydusza z siebie.

– Wkrótce wyjeżdżam, ten chłopak, Omar, chciał mi coś pokazać. – Kent uśmiecha się, jakby miał nieskończenie dużo czasu, potem mruga do Svena, jakby chciał go rozdrażnić, i mówi głośno:

– Nie martw się, szeryfie, dzisiaj nie zaparkowałem niezgodnie z przepisami. Stoję po drugiej stronie drogi.

Sven wyciera ręce o spodnie i patrzy w podłogę, odpowiadając:

– Tam też nie wolno parkować.

Kent potakuje, udając, że bierze to bardzo poważnie.

– Chce szeryf wypisać mandat? Przyjmuje szeryf gotówkę?

Kładzie swój portfel na stole. Portfel jest tak gruby, że musi być spięty gumką, żeby dało się go nosić w tylnej kieszeni. Potem śmieje się, jakby to był tylko żart. Jest w tym dobry, w sprawianiu, że wszystko wygląda na żart. Albowiem wtedy nikt nie może się poczuć urażony, bo Kent zawsze może powiedzieć: „Daj spokój, nie masz poczucia humoru?”. Ten, kto ma najmniej poczucia humoru, zawsze przegrywa na tym świecie.

Sven patrzy w podłogę.

– Nie wypisuję mandatów. Nie jestem strażnikiem miejskim.

– Okej, szeryfie! Okej! Ale szeryf oczywiście parkuje tam, gdzie mu pasuje. – Kent szczerzy się, wskazując na radiowóz pod oknem.

Sven nie zdąży odpowiedzieć, bo Kent krzyczy wesoło do Ktośki:

– Proszę się nie kłopotać kawą szeryfa, ja stawiam! W końcu to podatnicy opłacają szeryfowi pensję, więc proszę to dodać do naszego rachunku!

Sven nie odpowiada. Kładzie tylko gotówkę na ladzie i mówi cicho do Ktośki:

– Sam mogę zapłacić za swoją kawę.

Potem zerka na Britt-Marie i mamrocze:

– Wezmę ją na wynos, jeśli można.

Britt-Marie chce coś powiedzieć. Nie zdąża.

– Zobacz, kochanie! Zrobiłem je dla tego chłopaka, Omara! – wydziera się Kent, wymachując stosem wizytówek.

Kiedy nie wszystkie osoby zebrane w pizzerii natychmiast podbiegają do jego stołu, Kent podnosi się bardzo wolno i wzdycha, jakby nikt tutaj nie miał poczucia humoru. Potem idzie w samych skarpetkach do kasy, tak że Britt-Marie wydaje wewnętrzne okrzyki, i podaje wizytówkę Svenowi.

– Masz, szeryfie, weź wizytówkę!

Potem szczerzy się do Britt-Marie i pokazuje jej jedną. Jest na niej napisane „Omar – Przedsiębiorca”.

– W „mieście” jest drukarnia. Wydrukowali je cholernie szybko dzisiaj rano, byli przeszczęśliwi, wiesz, biedacy nie mają żadnych klientów! – opowiada radośnie Kent, robiąc potężne znaki cudzysłowu, kiedy mówi „miasto”.

Sven stoi obok i przełyka z trudem ślinę. Ktośka przelewa jego kawę do papierowego kubeczka, Sven ją odbiera i od razu kieruje się do drzwi.

Kiedy przechodzi obok Britt-Marie, zwalnia i przez chwilę spotyka jej wzrok.

– Życzę… miłego dnia – mówi.

– Tobie… to znaczy, panu też. Miłego dnia – odpowiada Britt-Marie, gryząc się w policzki.

– *Be careful out there*, szeryfie! – krzyczy Kent swoim serialowym angielskim.

Sven się nie rusza, patrzy w podłogę. Britt-Marie zauważa, jak splata jedną pięść tak mocno, że aż bieleją mu knykcie, po czym wkłada ją do kieszeni. Jakby wkładał zwierzę do worka. Drzwi dzwonią za nim radośnie.

Britt-Marie stoi nieporadnie przy kasie. Kent potrafi osiągnąć dziwną rzecz, potrafi poczuć się jak w domu w każdym miejscu, tak że Britt-Marie czuje się tam od razu jak intruz. Kent klepie ją po plecach i wymachuje wizytówkami.

– Drogi Kencie, nie mógłbyś przynajmniej włożyć butów? – szepce Britt-Marie.

Kent patrzy ze zdziwieniem na swoje skarpetki. Wymachuje chwilę dużym palcem u nogi przez dziurę w jednej ze skarpetek.

– Jasne, jasne, kochanie. Muszę już lecieć. Daj je temu chłopakowi, Omarowi, jak przyjdzie!

Dramatycznie wymachuje nadgarstkiem, tak że aż zegarek brzęczy. Jest bardzo drogi, Britt-Marie i wszyscy, którzy spotkali Kenta w kolejce na stacji benzynowej, to wiedzą. Potem wkłada wizytówki do ręki Britt-Marie i całuje ją w policzek.

– Wrócę dzisiaj wieczorem! – krzyczy, wychodząc, w następnej sekundzie już go nie ma.

Britt-Marie się nie rusza, jest bardziej bezradna niż zazwyczaj. Albo dlatego, że się nie przejmuje, albo dlatego, że przejmuje się za bardzo.

Omar pojawia się w porze lanczu. Od razu szuka Britt-Marie po pizzerii, jakby byli dwiema ostatnimi osobami na ziemi, a ona miała ostatnią paczkę chipsów.

– Jest tu pan Kent? Przyjdzie dzisiaj? – pyta, pociągając ją za rękę.

– Ma dzisiaj spotkanie z księgowym. Wróci wieczorem – informuje Britt-Marie.

– Załatwiłem zajebiste felgi do jego bmw! Totalnie czadowe! Chce pani zobaczyć? Cena po znajomości, wie pani?! – wrzeszczy Omar.

Britt-Marie nie pyta, co to znaczy, ponieważ przypuszcza, że chodzi o jakąś ciężarówkę, która, pomimo że nie miała postoju w Borg, była nieco lżejsza, wyjeżdżając z miasteczka, niż gdy tu przyjeżdżała.

Kiedy daje chłopcu wizytówki, ten natychmiast milknie. Trzyma je, jakby były zrobione z bezcennego jedwabiu. Drzwi dzwonią, wchodzi Vega. Nie patrzy na Britt-Marie.

– Dzień dobry, Vego – mówi Britt-Marie.

Vega ją ignoruje.

– Dzień dobry, Vego – powtarza Britt-Marie.

– Zobacz, jakie ZAJEBISTE wizytówki. Dostałem je od pana Kenta! – krzyczy Omar z błyszczącymi oczami.

Vega reaguje obojętną ciszą i wybiega do kuchni. Wkrótce słychać, że zmywa naczynia, co brzmi, jakby próbowała zabić coś chodzącego po zlewie. Ktośka wyjeżdża z kuchni i wzrusza ramionami, jakby chciała przeprosić Britt-Marie.

– Vega się źli, no wiesz.

– Skąd pani wie? – pyta Britt-Marie.

– Nastolatka. Sama zmywa. Cholernie zła, nie?

Britt-Marie musi przyznać, że to rozsądna logika.

– Dlaczego jest zła?

Omar od razu odpowiada:

– Bo wie, że był tu pan Kent, więc domyśla się, że pani wyjedzie!

Sam niespecjalnie wygląda na smutnego z tego powodu, ponieważ możliwość wymiany trenera na klienta felg wydaje się ciekawszą ofertą.

– Zostanę w Borg aż do zawodów – mówi Britt-Marie jakby sama do siebie.

Chłopiec nie wygląda na takiego, który by tego słuchał. Nawet nie poprawia Britt-Marie, żeby mówiła „Puchar”. Britt-Marie prawie by chciała, żeby to zrobił.

Brodaci mężczyźni w bejsbolówkach wchodzą przez drzwi. Piją kawę i czytają gazety, udając, że Britt-Marie tam nie ma, ale dzisiaj wyglądają na bardziej zrelaksowanych niż zwykle, jakby wiedzieli, że wkrótce nie będą musieli udawać.

Przychodzi Karl ubrany w czerwoną bejsbolówkę i odbiera nową paczkę. Britt-Marie niemal się skłania do tego, żeby zapytać, co w niej jest, ale drzwi dzwonią już za nim radośnie, zanim słowa zdążą się wydobyć z jej ust. Ktośka podjeżdża do Britt-Marie, potem wraca na swoje miejsce. Je płatki kukurydziane prosto z paczki. Britt-Marie nie idzie po talerz dla niej. Ktośka wygląda, jakby prawie sobie tego życzyła.

– Karl buduje, jak to szło? Szklarnię! – mówi w fontannie kukurydzianych okruszków.

– Słucham? – mówi Britt-Marie, strzepując kilka ze swojego żakietu.

– Szklarnię, no wiesz. Na rośliny i inne takie – wyjaśnia pomocnie Ktośka.

– Ha. I to zawierają te wszystkie paczki?

– Jasne, no wiesz, Karl i jego żona pobrali się w piątek. Dlatego w każdy piątek od czternastu lat Karl kupuje takie kwiatki, no wiesz. Potem kryzys, zamkli firmę transportowom, a Karl, no wiesz, jest mechanikiem ciężarówek, a teraz jest bezrobotny. Zamkli kwiaciarnię w Borg. Nie ma kasy, nie ma kwiatków. Dlatego Karl buduje szklarnię w ogrodzie, żeby jego żona dostawała co piątek kwiatki.

Ktośka wysypuje ostatnią garść płatków z paczki do ust, tak że mniej więcej połowa ląduje na swetrze.

– Jest nawet o tym wiersz. Jak to szło? „Największa jest miłość”, nie?

– To fragment Biblii – potwierdza Britt-Marie, ponieważ często pojawia się w krzyżówkach pytanie, co jest największe, Britt-Marie dobrze wie, że największa jest miłość.

Vega nie ma już najwyraźniej niczego, czym mogłaby uderzać w kuchni, dlatego kieruje się do drzwi, żeby wyjść.

– Ha. Oczywiście wychodzisz? – mówi Britt-Marie z najlepszymi intencjami.

– Jakby to panią obchodziło – syczy Vega.

– Zdążysz na trening? – pyta Britt-Marie.

– Jakie to, kurwa, ma znaczenie?

– Może przynajmniej włożysz kurtkę? Na dworze jest zimno…

– Spieprzaj, babo! Spieprzaj do twojego gównianego życia i do twojego chujowego męża!

Dziewczynka zatrzaskuje za sobą drzwi. Te dzwonią radośnie.

Britt-Marie sprząta całą pizzerię, milcząc i zaciskając zęby. Nikt nie próbuje jej powstrzymać.

Kiedy kończy, opada na taboret w kuchni. Ktośka siada obok i pije piwo. Obserwuje ją podejrzliwie.

– Piwo. Chcesz, Britt-Marie?

Britt-Marie otwiera szeroko oczy.

– Owszem, doprawdy! Sądzę, że doprawdy mam ochotę na piwo.

Piją piwo w milczeniu. Britt-Marie bierze dwa albo trzy małe łyki, kiedy drzwi znowu otwierają się radośnie. Wychodzi z kuchni i widzi młodego chłopaka, który wchodzi, nie jest bynajmniej przyzwyczajona do takiej ilości alkoholu w samo popołudnie, może dlatego nie zwraca od razu uwagi, że mężczyzna ma głęboko nasunięty na twarz kaptur. Ale Ktośka go widzi. Odstawia piwo. Podjeżdża za Britt-Marie i ciągnie ją za rękaw.

– Britt-Marie. Na podłogę. Teraz!

Wtedy Britt-Marie zauważa pistolet.

27

Patrzenie prosto w lufę pistoletu jest bardzo dziwne. Ona cię wciąga. Wpadasz do niej. Za kilka godzin może przyjadą policjanci z miasta i zapytają Britt-Marie, czy może opisać, jak wyglądał ten młody mężczyzna, co miał na sobie, czy był wysoki czy niski, czy mówił jakimś dialektem albo z jakimś akcentem. Ale jedyny rysopis, jaki będzie mogła podać, to: „Trzymał pistolet”. Jeden z policjantów pewnie wtedy wyjaśni, że musi zrozumieć, że w napadach rabunkowych zwykle chodzi o pieniądze i „nie należy tego odbierać osobiście”.

Naturalnie łatwo to będzie powiedzieć policjantowi, ale doprawdy trudno NIE brać czegoś osobiście, kiedy ma się wymierzony prosto w ciebie pistolet, taki jest zdecydowany pogląd Britt-Marie.

– Otwieraj tę pieprzoną kasę, do kurwy nędzy! – syczy do niej bandyta.

Później Britt-Marie sobie przypomni, że brzmiało to, jakby traktował ją jak narzędzie, nie jak człowieka. Ktośka próbuje podjechać do kasy, ale Britt-Marie stoi na środku jak wmurowana.

– OTWIERAJ! – wrzeszczy bandyta tak, że zarówno Ktośka, jak i mężczyźni w bejsbolówkach podnoszą ręce do góry, jakby to miało pomóc.

Jednak Britt-Marie się nie rusza. Strach paraliżuje ją tak, że nawet nie potrafi się bać. Dlaczego to robi, nie wie doprawdy, ale są różne rzeczy w człowieku, o których się nie wie, dopóki nie ma się wymierzonego w siebie pistoletu. Dlatego, ku zdziwieniu swojemu, Ktośki i mężczyzn, Britt-Marie słyszy, jak jej usta opuszczają takie słowa:

– Musi pan najpierw coś kupić.

– OTWIERAJ! – wydziera się rabuś.

Britt-Marie wciąż się nie rusza. Kładzie swoją zabandażowaną rękę na drugą. Trzęsą się, ale dzisiaj jest taki dzień, że Britt-Marie czuje, że miarka już się przebrała. Dlatego odpowiada bardzo troskliwie:

– Należy wybrać jakąś kwotę, żeby móc ją otworzyć, drogi panie. W przeciwnym razie paragon będzie błędny.

Pistolet podskakuje w górę, a potem w dół w rękach bandyty. Dzieje się tak w równej mierze z wściekłości, jak i z zaskoczenia.

– WBIJ, KURWA, COKOLWIEK!

Britt-Marie przekłada ręce przed sobą. Palce ma śliskie od potu. Ale coś w niej najwyraźniej decyduje, pomimo niezwykle energicznych protestów rozsądku, że to dobra pora w jej życiu, żeby postawić na swoim.

– Musi pan zrozumieć, że nie można wbić czegokolwiek. Będzie wtedy błędny paragon.

– PIERDOLĘ TWÓJ KUREWSKI PARAGON, POJEBANA BABO! OTW…! – krzyczy rabuś.

– Nie ma doprawdy powodu, aby podnosić głos – przerywa zdecydowanie Britt-Marie, po czym wyjaśnia cierpliwie: – Nie ma również doprawdy potrzeby, aby używać tego typu języka, drogi panie!

Wózek Ktośki podjeżdża w tej chwili tak, że uderza ją na wysokości ud i powoduje, że Ktośka, wózek i Britt-Marie upadają. Huk, kiedy pistolet strzela w sufit, brzęczy w uszach Britt-Marie tak, że traci orientację. Ze świetlówek spada deszcz szklanych odłamków, Britt-Marie nie wie, czy leży na plecach, czy na brzuchu, co jest ścianą, a co podłogą. Czuje ciężki oddech Ktośki w swoim uchu, wydaje jej się, że słyszy z oddali dzwonienie drzwi.

Potem słyszy głosy Omara i Vegi.

– Co do chol… – wydusza z siebie Vega, a Britt-Marie instynktownie podnosi się od razu, pomimo że w uszach nadal jej brzęczy, a rozsądek wrzeszczy do niej, żeby się ogarnęła i dalej leżała jak cywilizowany człowiek.

Jest wiele rzeczy, których się nie wie o człowieku, zanim człowiek stanie się człowiekiem. Do czego jest zdolny. Ile posiada odwagi. Bandyta obraca się do Vegi i Omara ze zszokowanym wyrazem twarzy, który przebija się przez kaptur:

– Pierdolone dzieciaki, co wy tu, kurwa, robicie?

– Psychol? – szepce Omar.

– KURWA, CO TU ROBICIE? CZEKAŁEM, KURWA, AŻ SOBIE PÓJDZIECIE! CO TU ROBICIE, PIERDOLONE DZIECIAKI?

– Zapomniałam kurtki – wydusza z siebie Vega.

Psychol nadal wymachuje do niej pistoletem, ale Britt-Marie staje między lufą a dziećmi. Wyciąga ręce do tyłu, żeby mieć pewność, że chroni dziewczynkę i chłopca swoim ciałem, potem nie rusza się ani o milimetr. Znowu stoi wmurowana w podłogę, ale z całym życiem stłumionych ambicji, które trzymają ją na nogach.

– Już wystarczy! – syczy, wygrażając.

Nie pamięta, żeby kiedykolwiek komuś wygrażała w całym swoim wcześniejszym życiu.

W lokalu nastaje po tym ambiwalentna atmosfera, tak można to wszystko opisać. Psychol najwyraźniej nie wie, co ma zrobić z pistoletem, po czym dochodzi do wniosku, że nikt w lokalu nie odważy się nic zrobić, wtedy Britt-Marie patrzy z niezadowoleniem na jego buty i mówi:

– Właśnie przetarłam podłogę.

– ZAMKNIJ SIĘ, DO KURWY NĘDZY! – krzyczy Psychol.

– Nie zamierzam bynajmniej się zamknąć – odpowiada Britt-Marie.

Psychol tak się poci, że pot aż mu kapie z dziury pod kapturem. Robi po pizzerii dwa kółka pistoletem w powietrzu na wysokości oczu, tak że mężczyźni w bejsbolówkach znowu rzucają się na podłogę. Potem jeszcze raz patrzy na Britt-Marie z nienawiścią i wybiega.

Drzwi dzwonią radośnie, a ciało Britt-Marie opada na podłogę. Znowu traci orientację, gdzie jest góra i dół, do takiego łagodnego stopnia, że najpierw nie zauważa, że trzymają ją pionowo drżące ręce Omara i Vegi. Britt-Marie czuje, że klapa jej żakietu jest mokra od łez, i nie wie, które łzy należą do niej, oraz nie wie, kiedy przestaje leżeć w ich ramionach, a dzieci znajdują się w jej uścisku. Ale gdy czuje, że zaraz upadną, znajduje siłę, żeby stać wyprostowana. Ponieważ kobiety takie jak Britt-Marie tak robią, znajdują siłę, kiedy muszą coś zrobić dla kogoś.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam – mówi zdyszana Vega.

– Szsz… – szepce Britt-Marie, kołysząc ją i Omara.

– Przepraszam, że nazwałam panią babą – mówi Vega, łkając.

– Nie jest to bynajmniej nic, czego wcześniej nie słyszałam – uspokaja ją Britt-Marie.

Umieszcza dzieci ostrożnie na krzesłach. Opatula je kocami i daje im gorące kakao, bo tego chciały dzieci Kenta, kiedy były małe i budziły się w środku nocy z powodu okropnych koszmarów. Jakość kakao jest wątpliwa, ponieważ Ktośka zapewniała, że to jest „prawie kakao! z Azji!”, ale dzieci są zbyt roztrzęsione, żeby poczuć jego smak.

Omar jąka nieprzerwanie, że muszą złapać Samiego, a Vega ciągle dzwoni do starszego brata. Britt-Marie stara się ich uspokoić, mówiąc, że jest prawie pewna, że Sami nie miał nic wspólnego z tym napadem, po czym dzieci gapią się na nią i szepcą:

– Nie rozumie pani. Kiedy Sami usłyszy, że Psychol w nas celował, znajdzie go i zabije. Musimy znaleźć Samiego!

Sami nie odbiera. Dzieci boją się coraz bardziej. Britt-Marie owija je mocniej kocami i przygotowuje więcej kakao. Potem robi to, co potrafi. Przynosi miotłę, mop, sodę oczyszczoną i zmiata szkło oraz przeciera podłogę.

Kiedy kończy, stoi za kasą i trzyma się lady tak mocno, jak może, żeby nie zemdleć. Ktośka przynosi jej tabletkę na ból głowy i jeszcze jedno piwo. Brodaci mężczyźni w bejsbolówkach podnoszą się zza swoich stołów, przynoszą filiżanki do kasy i stawiają je bez słowa przed Britt-Marie. Potem zdejmują bejsbolówki, kłaniają się, wyciągają coś ze swoich gazet i jej podają.

Dodatki z krzyżówkami.

28

Britt-Marie nie wie, czy najpierw słyszy głos Kenta, czy Svena. Sven przyszedł, bo zadzwoniła po niego Vega. Kent przyszedł, bo zadzwonił po niego Omar.

Radiowóz i bmw wpadają w poślizg, wjeżdżając na parking. Obydwaj mężczyźni są biali na twarzy, wchodzą do pizzerii chwiejnym krokiem, stoją przy drzwiach z rękami wzdłuż ciała i gapią się na zestrzeloną świetlówkę na suficie. Potem gapią się na Britt-Marie. Widzi, jak bardzo się boją. Widzi, jak ich dręczy sumienie, że ich tu nie było i że jej nie ochronili. Widzi, jak ich to boli, że stracili szansę, aby stać się jej bohaterem. Głośno przełykają ślinę. Wyglądają, jakby nie wiedzieli, na której stopie stoją. Potem robią intuicyjnie to, co większość mężczyzn robi w takiej sytuacji.

Zaczynają się kłócić, czyja to wina.

– Czy nikomu nic się nie stało? – pyta najpierw Sven, ale przerywa mu Kent, który nagle wskazuje całą ręką po lokalu i rozkazuje:

– Zachowajmy spokój, dopóki nie przyjedzie policja!

Sven kręci się jak zraniony model.

– A niby co mam na sobie, ty żałosny japiszonie? Przebranie na bal?

– Mam na myśli prawdziwą policję, taką, która potrafi POWSTRZYMAĆ coś takiego! – syczy Kent.

Sven robi dwa wkurzone kroki do przodu i podnosi brodę.

– Jasne, jasne, sam powstrzymałbyś to za pomocą PORTFELA, gdybyś tu był!

Ich białe twarze czerwienieją w jednej chwili. Britt-Marie nigdy nie widziała Svena tak rozzłoszczonego, a biorąc pod uwagę wyraz twarzy Vegi, Omara i Ktoški, można wyciągnąć wniosek, że oni też go nigdy takim nie widzieli. Kent, który uznaje swoją pozycję w lokalu za zagrożoną, próbuje podnieść głos jeszcze bardziej, żeby przejąć kontrolę nad sytuacją.

– Dzieciaki, wszystko z wami w porządku? – pyta Omara i Vegę, wskazując na nich całą ręką.

– Nie pytaj ich, jak się czują! Nawet ich nie ZNASZ! – odcina się Sven, odpychając rękę Kenta, potem obraca się do nich i pyta, wskazując na nie całą dłonią:

– Wszystko okej, dzieciaki?

Zbici z tropu Vega i Omar potakują. Ktośka próbuje coś powiedzieć, ale nie ma szans. Kent przepycha się przed Svena i wymachuje obiema rękami.

– Uspokójmy się wszyscy, żebyśmy mogli zadzwonić po policję.

– Stoję tu, CYMBALE! – wydziera się Sven.

W uszach Britt-Marie dalej dzwoni. Odchrząkuje i próbuje powiedzieć:

– Drogi Kencie. Drogi Svenie. Uspokójcie się, proszę, i…

Obydwaj mężczyźni nie słyszą, nieprzerwanie kłócą się dalej i gestykulują, jakby Britt-Marie była czymś, co można wyłączyć za pomocą pilota. Kent parska, mówiąc, że „Sven nie mógłby ochronić ręki rękawiczką”, Sven mamrocze, odpowiadając, że Kent „z pewnością jest bardzo odważny, kiedy siedzi w bmw z zamkniętymi drzwiami”. Kent krzyczy, że Sven nie powinien sobie wyobrażać, że jest „kimś”, bo jest „gliniarzem w jakiejś wiosze”, a Sven odkrzykuje, że Kent nie powinien sobie myśleć, że „może tu przyjeżdżać i kupować podziw ludzi wizytówkami i innym gównem!”. Na co Kent krzyczy: „Chłopak chce, do cholery, zostać przedsiębiorcą!”, po czym Sven wrzeszczy, że „to nie jest żaden zawód!”, wtedy Kent kpi sobie, że „to co? Ma zostać policjantem? Co? Ile zarabiają gliniarze? No co?”, po czym Sven się wścieka: „Dostajemy dwuipółprocentową podwyżkę rocznie, poza tym mam niezły zysk z moich funduszy emerytalnych! Chodziłem na kurs!”.

Britt-Marie próbuje się między nich wcisnąć, ale oni jej nie widzą.

– Drogi Kencie. Drogi Svenie – próbuje, ale kiedy Kent jeszcze mocniej gestykuluje, a Sven wskazuje całą ręką, wszystko kończy się tym, że obydwaj uderzają ją w twarz, tak że Britt-Marie aż odskakuje.

Żaden z mężczyzn tego nie zauważa, są zbyt zajęci ciągnięciem się nawzajem za ubrania.

– Chodziłem na *kurs* – przedrzeźnia szyderczo Kent Svena.

– Słuchaj! Szarpanie munduru policjanta jest przestępstwem, do cholery! – ryczy Sven, ciągnąc za koszulę Kenta.

– Uważaj, wiesz, ile kosztowała!? – wydziera się Kent.

– Ty próżna ofermo, nic dziwnego, że Britt-Marie cię zostawiła! – krzyczy Sven.

– Zostawiła mnie!? Myślisz, że zostanie z to-bą, sławnym stróżem porządku?! – wrzeszczy Kent.

Britt-Marie wymachuje z całej siły rękami, żeby ją zobaczyli.

– Drogi Kencie. Drogi Svenie! Przestańcie natychmiast! Właśnie przetarłam podłogę!

Nic to nie daje, obydwaj mężczyźni otaczają swoimi prawymi ramionami głowę tego drugiego i zaczynają się zataczać dookoła, pochyleni w tańcu przekleństw i stęknięć, a sekundę później drzwi pizzerii pękają i rozpadają się na drewniane odłamki przy akompaniamencie potężnego huku, kiedy obydwaj wypadają przez nie jak pijane niedźwiedzie. Lądują w jednym stosie na żwirze, bo ich właściwości fizyczne nie są szczególnie niezwykłe.

Britt-Marie podbiega i gapi się na nich. Oni patrzą się na nią, nagle milkną, bo dochodzi do nich, co nawyprawiali. Najpierw Kent próbuje się podnieść.

– Kochanie, przecież widzisz, że ten facet to idiota!

– On zaczął! – protestuje od razu Sven, podnosząc się z trudem na nogi i stając obok.

– Zgłupiałeś!? – wrzeszczy Kent.

– Jaaa!? To ty jesteś… – odgryza się Sven.

W tym momencie Britt-Marie ma już dosyć. Dosyć wszystkiego. Nakrzyczano na nią, szturchnięto ją, grożono jej pistoletem, a teraz musi przetrzeć podłogę jeszcze raz, bo w całej pizzerii są odłamki drewna. Istnieją doprawdy jakieś granice.

Nie słyszą jej za pierwszym, drugim i trzecim razem. Dlatego napełnia płuca powietrzem i mówi tak zdecydowanie, jak tylko potrafi:

– Proszę już sobie stąd pójść.

Kiedy nadal nie słyszą, robi coś, czego nie pamięta, żeby robiła ponad dwadzieścia lat, jak wtedy, kiedy zwiało jej kwiatki z balkonu. Krzyczy.

– WYNOŚCIE SIĘ STĄD! OBYDWAJ!

W pizzerii jest ciszej, niż gdyby wszedł tu kolejny uzbrojony rabuś. Kent i Sven stoją z otwartymi ustami i mruczą coś pod nosem, co z pewnością zamieniłoby się w słowa, gdyby mogli pomiędzy sylabami zamknąć usta. Britt-Marie wbija mocniej pięty w podłogę, wskazując na zepsute drzwi.

– Wynocha. Natychmiast.

– Do diabła, kochanie… nie dener… – jąka się Kent.

Sven się nadyma.

– Właśnie, no właśnie! Idź sobie stąd, żałosny japiszonie, Britt-Marie nie chce, żebyś tu był! Nie rozumiesz te… – zaczyna rozkazywać z nagłym przypływem pewności siebie.

Ręka Britt-Marie pruje powietrze między nimi, tak że Sven robi krok do tyłu z powodu fali powietrza.

– Pan też, Svenie! Proszę mi nie mówić, co czuję! Nie zna mnie pan! Najwyraźniej nawet ja sama siebie nie znam, bo nie tak bynajmniej zwykle się zachowuję!

Gdzieś w lokalu Ktośka próbuje się powstrzymać od śmiechu. Vega i Omar wyglądają, jakby chcieli zrobić notatki, żeby nie zapomnieć żadnego szczegółu. Britt-Marie opanowuje się, poprawia włosy, usuwa odłamki drewna ze spódnicy, kładzie zabandażowaną rękę na drugiej i wyjaśnia naprawdę troskliwie i łagodnie:

– Teraz tu posprzątam. Do widzenia, Svenie i Kencie.

Dzwonek dzwoni smutno i nierówno za Kentem i Svenem. Zatrzymują się na chwilę pod pizzerią i krzyczą do siebie: „Widzisz, co zrobiłeś?”. Potem milkną.

Britt-Marie sprząta.

Ktośka i dzieci chowają się w kuchni, dopóki nie skończy. Nie mają odwagi nawet się zaśmiać.

29

Nie jest to wina tych dwóch policjantów. Bynajmniej. Przyjeżdżają do Borg z miasta i z całą pewnością próbują po prostu jak najlepiej wykonać swoją pracę.

Jednak Britt-Marie jest nieco drażliwa. Często tak się dzieje, kiedy ktoś wygraża człowiekowi pistoletem.

– Rozumiemy, że nadal pozostaje pani pod wpływem szoku, ale musi pani odpowiedzieć na nasze pytania – stara się wyjaśnić jeden z policjantów.

– Nie przeszkadza panom, że wchodzą panowie zabłoconymi butami na świeżo przetartą podłogę, rozumiem, jakże to miło – odpowiada Britt-Marie.

– Powiedzieliśmy, że przykro nam z tego powodu. Bardzo przykro. Ale jak już tłumaczyliśmy wiele razy, musimy przesłuchać świadków na miejscu zdarzenia – stara się drugi policjant.

– Moja lista jest zniszczona – informuje Britt-Marie.

– Jak to? – pyta policjant.

– Poprosili panowie o moje zeznania. Moja lista jest zniszczona. Nic z tych rzeczy nie było na mojej liście, kiedy wychodziłam rano z domu, a teraz panuje tam totalny nieład.

– To nie było specjalnie – mówi pierwszy policjant.

– He. He. Więc teraz moje zeznania też się nie zgadzają – stwierdza Britt-Marie.

– Musimy się dowiedzieć, jak dobrze pani widziała sprawcę – stara się drugi policjant.

– Pragnę poinformować, że widzę wyśmienicie. Rozmawiałam o tym z moim optykiem. „Widzi pani doskonale, Britt-Marie”, powiedział – mówi Britt-Marie, ściągając usta i dodając usłużnie: – To znakomity optyk, drogi panie. Dobrze wychowany. Nie wchodzi do pomieszczeń w zabłoconych butach.

Policjanci wzdychają jednocześnie. Britt-Marie wydycha głośno powietrze. Bynajmniej nie wzdycha.

– Bardzo by nam pani pomogła, gdyby mogła pani opisać sprawcę – prosi jeden z policjantów.

– Naturalnie mogę to zrobić – syczy Britt-Marie.

– To jak by go pani opisała? – pyta pełen nadziei policjant.

– Miał pistolet – mówi Britt-Marie.

– Pamięta pani coś jeszcze? Jakieś rzucające się w oczy szczegóły? – pyta policjant.

– Ha. Pistolet to nie jest rzucający się w oczy szczegół, to właśnie chcą panowie powiedzieć? – pyta Britt-Marie.

– Nie… nie, oczywiście nie to…

W tej chwili przerywa mu drugi policjant, najwyraźniej ma nadzieję, że zyska zaufanie Britt-Marie, jeśli zmienią taktykę, dlatego kładzie rękę na jej ramieniu, obniża głos i mówi poufnym tonem:

– Nie musi się pani bać, Britt-Marie. Musi pani przede wszystkim zrozumieć, że nie należy traktować tego typu przestępstw osobiście!

Britt-Marie odsuwa jego rękę ze swojego ramienia, jakby była brudnym ptakiem.

– W takim razie jak, według panów, mam to traktować?

Policjanci muszą przyznać, że nie mają na to szczególnie dobrej odpowiedzi. Dlatego Britt-Marie wskazuje na ich buty i informuje:

– Traktuję osobiście wchodzenie w zabłoconych butach, kiedy właśnie przetarłam podłogę.

Wtedy policjanci decydują się wrócić do miasta.

Britt-Marie myje ponownie podłogę. Czyści ją tak mocno, że Ktośka musi ją w końcu powstrzymać.

– Britt-Marie, uważaj na mopa, drogi był, do cholery! – Szczerzy się.

Britt-Marie nie uważa, że to jeden z najlepszych dni, aby jeździć dookoła i się szczerzyć, bynajmniej. Ale Ktośka dopilnowuje, żeby wypiła swoje piwo i zjadła swój kawałek pizzy, a potem podaje jej kluczyki.

– Miałam zdecydowane wrażenie, że mój samochód nie jest jeszcze naprawiony! – wybucha Britt-Marie.

Zawstydzona Ktośka wzrusza ramionami.

– A no wiesz… Gotowy od kilku dni, ale… no wiesz.

– Nie, doprawdy nie wiem – mówi Britt-Marie.

Ktośka ze wstydu pociera rękami o kolana.

– Samochód gotowy od kilku dni. Ale bez samochodu Britt-Marie nie może wyjechać z Borg, no nie?

– Czyli pani mnie oszukała? Okłamywała mnie pani prosto w oczy? – pyta zraniona Britt-Marie.

– Tak – przyznaje się Ktośka.

– Czy zechce mi pani wyjaśnić dlaczego?

Ktośka wzrusza ramionami.

– Lubię cię. Jesteś, jak to szło? Jak świeży podmuch powietrza! Borg nudne bez Britt, nie?

Na to Britt-Marie nie ma szczególnie dobrej odpowiedzi, należy to głośno przyznać. Dlatego Ktośka przynosi nowe piwa i krzyczy jakby mimochodem:

– Ale Britt, słuchaj, pozwól mi cię zapytać: co sądzisz o niebieskich samochodach?

– Co chce pani przez to powiedzieć? – mówi Britt-Marie, dysząc.

Potem na boisku poświęcają solidną chwilę kłótni na ten temat, ponieważ Ktośka niestrudzenie chce wyjaśnić, że mogłaby z dużą łatwością dopasować lakier samochodu Britt-Marie do tego samego niebieskiego koloru, który mają nowe drzwi. To żaden kłopot. Ktośka jest mianowicie całkiem pewna, że zarejestrowała w jakimś urzędzie przy jakiejś okazji firmę lakierniczą.

W końcu Britt-Marie czuje się tym tak poruszona, że wyjmuje z torebki swój notatnik, wyrywa całą listę na ten dzień i zaczyna nową. Nigdy w swoim życiu nie zrobiła czegoś podobnego, ale ekstremalne okoliczności wymagają ekstremalnych środków.

Idzie do domu spacerem przez Borg razem z Vegą i Omarem, ponieważ mimo wszystko wypiła w ciągu dnia ponad pół piwa, a w takim wypadku nawet nie wchodzi w grę siadanie za kółkiem. Szczególnie w samochodzie z niebieskimi drzwiami. Mój Boże, co by ludzie pomyśleli? Omar nie odzywa się ani słowem, dopóki nie dochodzą do domu, cisza ta trwa dłużej, niż kiedykolwiek Britt-Marie jej doświadczyła, odkąd się poznali.

Vega dzwoni do Samiego raz za razem, ale bez powodzenia. Britt-Marie stara się ją przekonać, iż Sami być może nie wie o napadzie, ale Vega

odpowiada, że to przecież Borg. Wszyscy wiedzą wszystko o sobie w Borg. Dlatego Sami wie, a nie odbiera, ponieważ chce znaleźć i zabić Psychola.

W tych okolicznościach Britt-Marie nie może zostawić dzieci samych, więc idzie z nimi do mieszkania i przygotowuje kolację. Jedzą dokładnie o szóstej. Dzieci jedzą, patrząc na swoje talerze tak, jak to robią dzieci, które spodziewają się najgorszego. Gdy za pierwszym razem dzwoni telefon Britt-Marie, najpierw podskakują wysoko, ale to Kent, więc Britt-Marie nie odbiera. Kiedy minutę później dzwoni Sven, również nie odbiera, a kiedy dziewczyna z urzędu pracy dzwoni trzy razy z rzędu, Britt-Marie wyłącza telefon.

Vega znowu dzwoni do Samiego. Nikt nie odpowiada. Wtedy zaczynać zmywać naczynia, choć nikt jej o to nie poprosił, i wtedy dochodzi do Britt-Marie, że sytuacja jest naprawdę poważna.

– Jestem pewna, że nie wydarzyło się nic poważnego – mówi Britt-Marie.

– Skąd to pani, do cholery, wie? – odpowiada Vega.

Omar mamrocze przy stole:

– Sami nigdy się nie spóźnia na kolację. Jest kolacyjnym nazistą.

Potem bierze swój talerz i wkłada go do zmywarki. Dobrowolnie. Wtedy Britt-Marie dochodzi do wniosku, że muszą być przedsięwzięte jakieś drastyczne środki, dlatego skupia się, wdycha i wydycha powietrze z piętnaście razy i mocno przytula obydwoje dzieci. Kiedy płaczą, sama zaczyna płakać.

Gdy wreszcie słychać dzwonek do drzwi, potykają się o siebie, biegnąc do nich. Nikomu z nich nawet nie przychodzi do głowy, że gdyby to był Sami, otworzyłby drzwi kluczem, więc kiedy naciskają klamkę, a na zewnątrz stoi biały pies, Omar jest zawiedziony. Vega jest zła, a Britt-Marie zaniepokojona. Ponieważ to ich podstawowe uczucia w życiu.

– Nie możesz tu wejść z brudnymi łapami – informuje psa Britt-Marie.

Pies patrzy na swoje łapy i wygląda, jakby tracił pewność siebie. Obok stoi Bank, a zaraz potem Max, Ben, Dino i Ropucha. Bank wyciąga swoją laskę i lekko dotyka brzucha Britt-Marie.

– Cześć, Rambo!

– Wykluczone! – protestuje instynktownie Britt-Marie.

Max, który nie zna Britt-Marie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak się zachować, próbuje od razu wytłumaczyć nieporozumienie.

– To nie jest żaden diss. Ona wyraża pani szacun!

Britt-Marie obserwuje go, jakby przemawiał do niej alfabetem Morse'a. Patrzy na kolejne dziecko z rzędu, które przypadkowo okazuje się Ropuchą, jakby się spodziewała, że przetłumaczy to, co właśnie powiedział Max, który tłumaczył, co właśnie powiedziała Bank. Ropucha wydaje się to rozumieć, dlatego odchrząkuje uroczyście i wyjaśnia, wyraźnie artykułując:

– Wie pani. Wystraszyła pani tego rabusia. Jak Rambo. To znaczy, że jest pani ziomalem z zajebiście zimną krwią!

Britt-Marie kładzie cierpliwie zabandażowaną rękę na drugą i kieruje wzrok na Bena. On się uśmiecha i potakuje zachęcająco.

– To znaczy, że to dobrze.

Britt-Marie akceptuje tę informację, jej oczy wędrują z powrotem na Bank.

– Ha. To miło z pani strony.

– Nie ma za co – mamrocze Bank niecierpliwie, gestykulując nadgarstkiem, jakby miała tam zegarek.

– Jak będzie z treningiem?

– Jakim treningiem? – pyta Britt-Marie.

– Z treningiem! – odpowiada Max, ma na sobie swoją kurtkę hokejową, robi ruchy w górę i w dół, jakby chciało mu się siku.

Britt-Marie przenosi ciężar ciała z pięt na palce.

– Zakładałam, że samo przez się jest odwołany. Ze względu na okoliczności.

– Jakie okoliczności? – pyta Max.

– Ze względu na napad, mój drogi – wyjaśnia troskliwie Britt-Marie.

Max wygląda, jakby próbował przymusić swój mózg do pracy, żeby wyjaśnić, co te dwie sprawy mają ze sobą wspólnego. Potem dochodzi do jedynego logicznego wniosku.

– Ten rabuś zwinął piłkę?

– Słucham? – pyta Britt-Marie.

– Jak nie zwinął piłki, to chyba możemy grać, co nie? – proponuje Max.

Zebrana na klatce schodowej grupa ludzi bierze to przez chwilę w milczeniu pod rozwagę, a kiedy żaden z nich nie potrafi podać żadnych racjonalnych kontrargumentów, nie ma nic więcej do zrobienia.

Tak więc grają. Na dziedzińcu pod blokiem, między koszami na śmieci a stojakiem na rowery, w dwupalcowych rękawiczkach i z psem, który stanowi jeden ze słupków bramki.

Bawią się.

Max zatrzymuje Vegę, właśnie kiedy ma strzelić bramkę, ona go wymija, zaciskając pięści. Max się cofa. Vega krzyczy: „Nie dotykaj mnie, synalku burżuja!”. Wszyscy się cofają. Omar unika piłki, jakby się jej przestraszył.

Czarny samochód zatrzymuje się na drodze właśnie wtedy, kiedy Ropucha już trzeci raz trafia prosto w mordę słupek bramki, który w tym momencie odmawia współpracy. Omar biegnie prosto w ramiona Samiego, Vega się obraca i bez słowa wchodzi do domu.

Słupek bramki je cukierki z kieszeni Bank i zostaje podrapany za uchem, kiedy Sami podchodzi bliżej.

– Cześć, Bank! – mówi.

– Znalazłeś go? – pyta Bank.

– Nie – mówi Sami.

– No to Psychol ma szczęście! – wrzeszczy rozochocony Ropucha, wymachując kciukiem i palcem wskazującym, które imitują pistolet, ale kończy od razu, kiedy Britt-Marie rzuca mu takie spojrzenie, jakby odmówił używania podkładek.

Bank dotyka Samiego laską po brzuchu.

– Psychol ma szczęście, ale ty, Sami, masz jeszcze większe szczęście.

Idzie do domu zaraz za Maxem, Dinem, Ropuchą i Benem. Zanim skręcą za rogiem, Ben zatrzymuje się i woła do Britt-Marie:

– Ale pani przyjdzie jutro, no nie?

– Na co? – dopytuje się Britt-Marie, po czym cała kolektywna gromada oczu kieruje się na nią, jakby straciła rozum.

– Na Puchar! Jutro jest Puchar! – wrzeszczy Max.

Britt-Marie czyści spódnicę, żeby nie zauważyli, że zamyka oczy i przygryza policzki.

– Ha. Ha. Oczywiście. Oczywiście.

Nic nie mówi o tym, że to będzie jej ostatni dzień w Borg. Oni też nic nie mówią na ten temat.

Britt-Marie siedzi w kuchni w mieszkaniu do momentu, aż Sami wychodzi z pokoju Vegi i Omara.

– Śpią – mówi z na wpół wymuszonym uśmiechem.

Britt-Marie się podnosi, skupia się i informuje go niewzruszenie:

– Nie chcę się wtrącać, bo nie jestem bynajmniej taką osobą, ale jeśli wyobrażałeś sobie, że zabijesz tego Psychola dziś wieczorem ze względu na Vegę i Omara, to pragnę wyjaśnić, że nie wypada, aby dżentelmen biegał dookoła i zabijał ludzi.

Sami podnosi brwi. Britt-Marie obejmuje palcami torebkę.

– Nie jestem żadnym dżentelmenem. – Uśmiecha się.

– Nie, ale możesz nim zostać! – proponuje Britt-Marie.

Sami się śmieje. Britt-Marie tego nie robi. Dlatego Sami przestaje.

– Niech pani da spokój. Nie zabiłem go. To mój najlepszy przyjaciel. Tylko ma coś, kurwa, z głową, rozumie pani?

– Tak – mówi Britt-Marie, bo rzeczywiście uważa, że może powiedzieć, że już to pojęła.

– Jest winny ludziom pieniądze. Złym ludziom. Dlatego jest zdesperowany. Myślał, że Vegi i Omara tam nie będzie.

– He – mówi Britt-Marie.

– Nie żeby pani była nieważna! – poprawia się Sami.

– Nie myślałam doprawdy w ten sposób, bynajmniej – protestuje Britt-Marie.

– Sorry. Muszę zapalić – wzdycha Sami i dopiero wtedy Britt-Marie zauważa, że trzęsą mu się ręce.

Idzie za nim na balkon, kaszle niepewnie i bynajmniej nie demonstracyjnie. Sami próbuje rozdmuchać dym, żeby w nią nie trafił, przepraszając:

– Sorry, przeszkadza to pani?

– Chciałabym cię zapytać, czy nie masz ich przypadkiem więcej – mówi Britt-Marie, nie zamykając oczu.

Sami zaczyna się śmiać.

– Wydawało mi się, że pani nie pali.

– Otóż nie palę – zapewnia Britt-Marie.

– Okej – mówi, podając jej papierosa.

– Miałam długi dzień – broni się Britt-Marie.

– Okej, okej – chichocze Sami, podając jej ogień.

Britt-Marie pali krótkimi, okrągłymi wdechami. Zamyka oczy.

– Pragnę cię poinformować, że nie tylko ty masz tendencje do dzikiej, nieodpowiedzialnej egzystencji. Paliłam niezliczoną ilość papierosów w młodości.

Sami śmieje się w głos, Britt-Marie czuje, że raczej śmieje się z niej niż z nią, więc wyjaśnia:

– Pragnę cię poinformować, że w młodości byłam doprawdy zatrudniona jako kelnerka!

Potakuje stanowczo, żeby zaznaczyć, że to doprawdy nie jest coś, co sobie wymyśliła. Sami wygląda, jakby mu to imponowało, i robi gest, aby usiadła na odwróconej skrzynce na napoje gazowane.

– Ma pani ochotę na whisky, Britt-Marie?

Najwyraźniej rozsądek Britt-Marie zamknął się w pokoju, bo nagle słyszy, jak mówi:

– Tak, doprawdy, wiesz co, Sami? Doprawdy napiłabym się whisky!

Tak więc piją whisky i palą. Britt-Marie próbuje robić kółka z dymu, bo wie, że chciała się tego nauczyć, kiedy była kelnerką. Kucharze potrafili je robić. To wyglądało na bardzo uspokajające.

– Ojciec nie odszedł, wygoniliśmy go, Magnus i ja – opowiada Sami bez ostrzeżenia.

– Kim jest Magnus? – pyta Britt-Marie.

– Woli, jak się mówi do niego „Psychol”, ludzie nie boją się tak Magnusa. – Sami się szczerzy.

– Ha – mówi Britt-Marie, ale właściwie bardziej „ach tak” niż „aha”.

– Ojciec bił mamę, kiedy pił. Nikt nic nie widział, no wie pani, ale Magnus miał po mnie przyjść na trening, kiedy byliśmy mali, i zobaczył coś, czego nigdy wcześniej nie widział. On się wychował w typowej rodzinie, jego ojciec pracował w firmie ubezpieczeniowej i jeździł oplem. Ale on… kurwa, nie wiem. Zobaczył, że wchodzę między matkę a ojca, ojciec lał mnie jak zwykle z całej siły, nagle, kurwa, znikąd widzę Magnusa z nożem przystawionym do szyi ojca i słyszę krzyki. Chyba do wtedy nie wiedziałem, że nie wszystkie dzieciaki żyją tak jak my. Że nie wszystkie się boją za każdym razem, kiedy wracają do domu. Omar płakał. Wie pani… wtedy poczułem, że mam dosyć. Rozumie pani?

Britt-Marie stara się odkaszlnąć dym z nosa. Sami poklepuje ją przyjaźnie w plecy i idzie po wodę. Potem stoi przy poręczy na balkonie

i zagląda za nią, jakby obliczał, jak daleko jest do ziemi.

– Magnus i ja przepędziliśmy ojca. Nie tak łatwo dobrać sobie przyjaciół.

Możliwe, że whisky i papierosy robią z Britt-Marie takie rzeczy, których bynajmniej nie można nazwać cywilizowanymi, ale pyta wprost:

– Gdzie jest wasza mama, Sami?

– Wyjechała na trochę, wkrótce wróci – stara się wytłumaczyć Sami.

Britt-Marie zbiera się i wskazuje, wygrażając papierosem.

– Pragnę cię poinformować, Sami, że można wiele o mnie powiedzieć. Ale idiotką bynajmniej nie jestem.

Sami opróżnia szklankę. Drapie się po włosach.

– Nie żyje – przyznaje w końcu.

Britt-Marie nie wie dokładnie, ile czasu zajmuje jej zrozumienie całej historii. W Borg jest noc i chyba pada śnieg. Kiedy tata Samiego, Vegi i Omara opuścił Borg, mama brała więcej zleceń z firmy transportowej. Rok po roku. Kiedy firma transportowa zwolniła wszystkich kierowców, brała zlecenia z zagranicznych firm, gdzie tylko mogła coś znaleźć. Rok po roku, tak jak to robią matki. Pewnego wieczoru utknęła w korku, zatraciła poczucie czasu, zaryzykowała. Jechała całą noc w złą pogodę starą ciężarówką. O zmierzchu mijała się z samochodem osobowym, w którym kierowca sięgnął po komórkę i zjechał na drugą stronę drogi. Gwałtownie skręciła, opony ciężarówki ślizgały się w deszczu, ciężarówka straciła równowagę i się przewróciła. Spadł deszcz szkła i krwi, a trójka dzieci siedziała tysiące kilometrów dalej i czekała na dźwięk klucza otwierającego drzwi.

– Była cholernie dobrą matką. Była wojowniczką – szepce Sami.

Britt-Marie musi sobie dolać, zanim wydusza z siebie:

– Bardzo, bardzo mi przykro, Sami.

Brzmi to bardziej trywialnie, niż można sobie wyobrazić. Ale tylko to potrafi powiedzieć. Sami klepie ją wyrozumiale po ramieniu, jakby to on ją pocieszał, a nie na odwrót.

– Vega się boi, nawet jeśli się wydaje, że głównie jest wkurzona. Omar jest wkurzony, nawet jeśli się wydaje, że głównie się boi.

– A ty? – pyta Britt-Marie.

– Nie mam czasu na uczucia. Muszę się zająć dzieciakami – odpowiada Sami.

– Ale jak…? Chodzi mi o urzędy – zaczyna Britt-Marie w galimatiasie niepowiązanych wybuchów myśli.

Sami zapala jej nowego papierosa, potem zapala jednego dla siebie.

– Nigdy nigdzie nie zgłosiliśmy, że ojciec odszedł. Pewnie jest gdzieś za granicą, ale nadal jest zameldowany pod tym adresem. Mieliśmy jego stare prawo jazdy, a Omar przekupił jednego kierowcę na stacji benzynowej, żeby pojechał na posterunek policji w mieście i go udawał, i podpisał wszystkie dokumenty. Dostaliśmy kilka tysięcy z ubezpieczenia po śmierci mamy. Nikt nigdy więcej o nic nie pytał.

– Ale nie możemy przecież… na Boga, Sami, przecież to nie *Pippi Langstrumpf*! Kto się zajmie dziećmi? – wybucha Britt-Marie.

– Ja. Ja się nimi zajmę – odcina się Sami.

Britt-Marie oddycha. Kaszle whisky i dymem. Sami klepie ją znowu ostrożnie po plecach.

– Jak… długo? – pyta Britt-Marie, kaszląc.

– Kilka miesięcy. Wiem, że wkrótce nas usadzą, nie jestem idiotą. Ale potrzebuję trochę czasu, Britt-Marie. Tylko trochę czasu. Mam plany. Muszę tylko udowodnić, że potrafię utrzymać rodzinę, rozumie pani? W przeciwnym razie wezmą Vegę i Omara do pierdolonego domu dziecka. Nie mogę im na to pozwolić. Nie zostawię ich!

Britt-Marie się podnosi, czyści zarówno siebie, jak i poręcze balkonu i wszystko inne, co jest pod ręką.

– Nie potrafię usunąć tych plam z poręczy – mówi sfrustrowany Sami, podnosząc się i wskazując na nie.

– Próbowałeś sodą oczyszczoną? – pyta Britt-Marie.

Sami potrząsa głową. Zamyka oczy. Britt-Marie obserwuje swoje odbicie w oknie, dym zasłania jego ramę.

– Może pozwolą ci się zająć dziećmi. Jeśli powiesz dokładnie, jak jest, to może…

– Proszę na mnie spojrzeć. Wyrok w zawieszeniu, bez pracy i z takimi kumplami jak Psychol. Pozwoliłaby mi pani zająć się dwójką dzieci? – pyta.

Britt-Marie wygląda, jakby błagała.

– Możemy im pokazać szufladę na sztućce! Wyjaśnimy, że masz potencjał, aby zostać dżentelmenem!

– Dziękuję – mówi Sami, kładąc jej rękę na ramieniu.

Britt-Marie pochyla się do niego.

– A Sven wie o wszystkim?

Sami gładzi ją spokojnie po włosach.

– To do niego zadzwonili z policji za granicą, jak znaleźli ciężarówkę. Przyjechał tutaj, żeby nam o tym powiedzieć. Płakał tyle samo co my. To tak, jakby mieć rodzica w armii, wie pani, kiedy mama jeździ ciężarówką. Potem przychodzi ktoś w mundurze, dzwoni do drzwi i wiadomo.

– Czyli… Sven…

– Wie o wszystkim.

Britt-Marie zamyka oczy i kładzie głowę na jego koszuli. Jakże to dziwne. Dorosła kobieta na balkonie młodego mężczyzny w samym środku nocy. Co sobie ludzie pomyślą?

– Miałam wrażenie, że zostaje się policjantem, bo się wierzy w prawa i reguły – szepce.

– Wydaje mi się, że Sven został policjantem, bo wierzy w sprawiedliwość – odpowiada Sami.

Britt-Marie się prostuje. Przeciera twarz.

– Będziemy potrzebować więcej whisky. I jeśli to nie zbyt dziwaczna prośba, poproszę też o butelkę płynu do czyszczenia okien.

Po długiej chwili namysłu dodaje:

– W obecnych okolicznościach mogę zaakceptować dowolną markę.

30

Britt-Marie budzi się z bólem głowy tego najbardziej spektakularnego rodzaju. Leży w łóżku w swoim pokoju w domu Bank, a jakiś sąsiad najwyraźniej wierci coś w ścianie, bo cały pokój się kołysze, kiedy Britt-Marie wstaje. Poci się i jest jej niedobrze, ciało ma obolałe, a w ustach czuje gorzki, piekący posmak. Britt-Marie nie jest bynajmniej kobietą, która niczego nie doświadczyła, więc od razu dochodzi do wniosku, w jakim stanie się znajduje. Następnego dnia po skonsumowaniu w domu Samiego większej ilości alkoholu, niż wypiła łącznie przez ostatnie czterdzieści lat, można wyciągnąć tylko jeden wniosek.

– Mam grypę! – wyjaśnia gorliwie, zwracając się do Bank, kiedy schodzi do kuchni.

Bank smaży bekon i jajka. Pies wącha, podnosząc pysk do góry, i odsuwa się nieco od Britt-Marie.

– Śmierdzisz alkoholem! – stwierdza Bank, nie kryjąc rozbawienia.

– No właśnie. Pewnie dlatego czuję się dzisiaj właśnie tak – przytakuje Britt-Marie.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, że masz grypę – mówi Bank.

Britt-Marie przytakuje gorliwie.

– Właśnie to chciałam powiedzieć, droga pani! To jedyne rozsądne wyjaśnienie. Jak się pije alkohol, ma się przecież obniżoną odporność. Doprawdy czytałam nieco na ten temat. Właśnie dlatego rozchorowałam się na grypę.

Bank przewraca jajka. Pies przekrzywia pysk.

– Aha, grypa, no tak – mamrocze Bank, stawiając jajka na stole przed Britt-Marie.

Britt-Marie zamyka oczy, powstrzymując falę nudności, która ją opanowuje, po czym daje jajka psu. Bank stawia za to przed nią szklankę zimnej wody. Britt-Marie pije. Człowieka bardzo suszy, kiedy ma grypę. Nieco się na ten temat czytało.

– Doprawdy to bardzo dziwne, to wszystko, bo doprawdy nigdy nie choruję – wyjaśnia.

Bank kiwa głową, nie wygląda na zupełnie przekonaną, dlatego Britt-Marie kiwa głową mocniej, jakby chciała to wyrównać.

– Kent i nasze dzieci naturalnie ciągle chorowały, jak nie jedno, to drugie, ale ja doprawdy nigdy nie byłam chora. „Britt-Marie, jesteś zdrowa jak ryba!”, tak mawia mój lekarz, doprawdy!

Kiedy ani Bank, ani pies nie odpowiadają, Britt-Marie oddycha głośno i mruga smutno oczami. Słowa są pozbawione tlenu, kiedy się poprawia:

– Dzieci Kenta.

Pije swoją wodę w ciszy. Pies i Bank jedzą jajka. Idą z nią do pizzerii, żeby spotkać się z drużyną piłkarską, ponieważ Britt-Marie nie jest tego typu kobietą, która nie idzie do pracy, mając grypę. Pies demonstracyjnie obchodzi kwietnik przed domem, ponieważ śmierdzi on tak, jakby ktoś tam w nocy zwymiotował.

– Fuuuj! Czy można zapytać, co tak śmierdzi na pani kwietniku? – pyta Britt-Marie, bynajmniej nie dlatego, że się wtrąca, ale jeśli to jest wynikiem doboru środka nawożącego, nie jest to bynajmniej dziwne, że nic nie chce tam rosnąć.

– Ktoś był pijany i zwymiotował na kwietnik w nocy – informuje Bank.

– Na kwietnik? Barbarzyńcy! – wybucha przerażona Britt-Marie.

Bank potakuje, nawet nie próbując ukryć swojego rozbawienia.

– Barbarzyńcy. Dokładnie.

Ktośka siedzi za zniszczonymi drzwiami w pizzerii i pije kawę, kiedy przychodzą. Robi grymas, gdy Britt-Marie podchodzi, Britt-Marie robi jeszcze większy grymas.

– Śmierdzi tu. Paliła pani w środku? – pyta oskarżycielsko.

Ktośka marszczy nos.

– A ty, Britt? Jak to szło? Paliłaś się i próbowałaś się gasić za pomocą whisky?

– Pragnę panią poinformować, że mam grypę – parska Britt-Marie.

Ktośka przekrzywia głowę niezupełnie tak samo, jak to zwykle robi pies. Bank popycha wózek Ktośki laską.

– Przestań pieprzyć trzy po trzy, zrób jej Bloody Mary.

– A co to takiego? – dopytuje się Britt-Marie.

– Pomaga na… grypę – mamrocze Bank.

Ktośka znika w kuchni i wraca ze szklanką pełną czegoś, co przypomina sok pomidorowy. Britt-Marie sceptycznie bierze łyk, po czym te krople, którym udało się dostać do jej ust, natychmiast zawracają i zostają wyplute prosto na psa. Nie wygląda on bynajmniej na rozbawionego.

– To śmierdzi… al-ko-ho-lem! – mówi Britt-Marie, plując.

Pies wychodzi i siada na żwirze, stara się ustawić zgodnie z kierunkiem, z którego wieje wiatr. Bank trzyma przed sobą laskę na prostym ramieniu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie jest w zasięgu plwocin. Ktośka marszczy czoło, przynosi szmatkę i przeciera stół, mrucząc pod nosem.

– Nie wiem, co to za grypa, Britt, ale zrób mi przysługę, wiesz? Nie zapalaj zapałki w pobliżu twojego oddechu, zanim nie wyszczotkujesz zębów, okej? Pizzeria nie jest ubezpieczona na wypadek pożaru, no wiesz.

Britt-Marie nie rozumie doprawdy, co to ma oznaczać. Ale przeprasza uprzejmie Ktośkę i Bank, wyjaśniając, że musi już iść, bo ma pewne sprawy do załatwienia w ośrodku i nie ma czasu stać tu i marnować całego poranka. Potem idzie szybkim krokiem przez parking, kieruje się opanowana do toalety w ośrodku i zamyka za sobą drzwi. Uważa mianowicie, że nie wypada wymiotować przy ludziach, którzy właśnie piją kawę.

Kiedy wychodzi, szczur siedzi na podłodze jak mały włochaty gość zaproszony na obiad, który chciałby mieć ekskluzywny zegarek, żeby móc teraz puknąć w niego z niezadowoleniem. Britt-Marie przynosi snickersa i talerz, podaje jedzenie i przeprasza uprzejmie, że musi się teraz zająć sprzątaniem. Potem idzie po odkurzacz, włącza go, niesie do łazienki, zamyka drzwi, przytrzaskując kabel, żeby szczur nie pomyślał, że tam wymiotuje, tylko że na przykład odkurza umywalkę.

Szczura już nie ma, kiedy Britt-Marie znowu wychodzi. Snickersa swoją drogą też. Myje talerz, kiedy przerywa jej lekkie pukanie laską w drzwi. Bank stoi przed wejściem z psem. Podaje jej szczoteczkę i pastę do zębów. Britt-Marie wkłada jedną trzęsącą się rękę w drugą.

– Wydaje mi się, że to zatrucie pokarmowe – wyjaśnia.

Bank mamrocze coś, co zdecydowanie brzmi jak „jasne, zatrucie pokarmowe”, obraca się i wraca do pizzerii.

Britt-Marie myje wielokrotnie zęby i schludnie układa włosy. Czyści łazienkę sodą oczyszczoną, jakby chciała usunąć ślady morderstwa. Potem

zaciąga zasłony i pije trzy duże szklanki wody z rzędu; nie chce ryzykować, że ktoś to zobaczy, ponieważ jedynie zwierzęta i ludzie z tatuażami żłopią płyny w ten sposób.

Sven przykuca przy drzwiach do pizzerii i skręca zawias. Kiedy widzi Britt-Marie, potyka się, wstaje i zdejmuje czapkę policyjną. Przy jego stopach stoi skrzynka na narzędzia. Sven stara się uśmiechać.

– Pomyślałem tylko, że naprawię drzwi.

– Ha – mówi Britt-Marie, spoglądając na odłamki drewna wokół jego stóp.

– Ja, ja potem tu posprzątam. Tak się nawyprawiało… tak mi przykro!

Wygląda, jakby mówił to ostatnie ze względu na ważniejsze rzeczy niż odłamki drewna. Usuwa się z drogi. Britt-Marie przemyka obok. Wstrzymuje oddech, choć wymyła zęby.

– Jest mi… przykro z powodu…tego, co… wczoraj – mówi za nią smutno Sven.

Britt-Marie przystaje, nie obracając się. Odchrząkuje.

– Chciałam powiedzieć, że, to znaczy, nie było moim zamiarem, aby się pan poczuł, jak… pan się poczuł. Nigdy nie chciałam być kimś, kto sprawi, że pan się tak… poczuje.

Zamyka oczy i kiwa głową. Czeka, aż wszelki rozsądek przepędzi wyobrażenie, że on ją dotknie.

– Pójdę po odkurzacz – szepce później.

Wie, że on patrzy za nią, kiedy idzie. Jej kroki są niezdarne, gdy to robi. Jakby zapomniała, jak się stawia po sobie stopy. Wszystkie słowa wypowiedziane do niego są jak mieszkanie w hotelu, nowe, dziwne i ostrożnie szukające po omacku na ścianie kontaktów, które włączają inne lampy niż te, które chciało się zapalić.

Ktośka wyjeżdża za nią z kuchni, kiedy Britt-Marie otwiera szafę, żeby wyjąć odkurzacz.

– Chodź tu.

Britt-Marie gapi się na bukiet w jej rękach. To tulipany. Fioletowe. Britt-Marie kocha fioletowe tulipany tak bardzo, jak tylko można kochać coś, nie uważając tego za niepotrzebny wybuch uczuć. Trzyma je czule w rękach i bardzo stara się nie trząść. „Kocham Cię”, jest napisane na karteczce doczepionej do bukietu. Od Kenta.

Lata trwa poznanie nowego człowieka. Całe życie. To sprawia, że mieszkanie staje się domem. W hotelu jest się tylko gościem. Hotel nie wie, jakie są nasze ulubione kwiaty.

Napełnia płuca zapachem tulipanów, przez jedną krótką chwilę znowu tam jest, przy swoim zlewozmywaku, swojej szafce ze środkami czyszczącymi i swoich dywanach, o których wie, w którym pokoju się znajdują, ponieważ to ona je tam położyła. Białe koszule i czarne buty, i wilgotny ręcznik na podłodze w łazience. Wszystkie rzeczy Kenta. Jego gadżety. Nie da się tak po prostu zmienić tych rzeczy. Człowiek budzi się pewnego poranka i wie, że już za późno, żeby nocować w hotelu.

Nie spotyka wzroku Svena, kiedy wychodzi z kuchni. Jest wdzięczna, że odkurzacz zagłusza wszystko, czego nie powinno się powiedzieć. Potem przychodzą Vega, Omar, Ben, Ropucha i Dino, punktualnie, i wtedy Britt-Marie zajmuje się wydawaniem świeżo wypranych strojów piłkarskich. Vega patrzy badawczo na Britt-Marie i pyta, czy nie ma przypadkiem kaca, bo wygląda, jakby miała, twierdzi dziewczynka. Britt-Marie stara się wyjaśnić, że nie ma bynajmniej kaca, chce poinformować, że ma grypę. Doprawdy.

– Aaa. Taka grypa. Sami też ją miał rano – śmieje się Omar.

Britt-Marie obraca się od razu do Bank i Ktośki.

– Właśnie mówiłam! Krąży jakiś wirus!

Bank potrząsa głową. Ktośka pije czerwony napój, który Britt-Marie zostawiła na stole.

Pierwszy dźwięk przyjaznego dzwonka znad drzwi, po tym jak Sven je naprawił i wstawił, słychać, kiedy brodaci mężczyźni w bejsbolówkach przychodzą, żeby się napić kawy i przeczytać swoje poranne gazety. Jeden z nich pyta Omara, kiedy „zacznie się pierwszy mecz”, a kiedy Omar odpowiada, mężczyźni spoglądają na zegarki. Jakby musieli pilnować czasu po raz pierwszy od bardzo dawna.

Drugi dźwięk dzwonka nad drzwiami słychać, kiedy przez próg gramolą się obydwie wiekowe kobiety z balkonikami. Jedna z nich wwierca wzrok w Britt-Marie, wskazując.

– Ona trenuje tych młodzieńców?

Britt-Marie nie wie, czy to słowa, czy jakieś mruczenie pod nosem. Vega przechyla się, szepcąc:

– Pyta, czy pani jest naszą trenerką.

Britt-Marie potakuje, nie spuszczając wzroku z palca wskazującego wiekowej kobiety, jakby ten miał zaraz odpalić. Po potwierdzeniu wiekowa kobieta wyciąga torebkę spod poręczy balkonika i wciska ją Britt-Marie.

– Owoce dla młodzieńców!

– Mówi, że to są owoce dla chłopaków z drużyny – tłumaczy pomocnie Vega.

– Ha. Pragnę poinformować, że w drużynie jest też dziewczynka – prostuje Britt-Marie.

Wiekowa kobieta gapi się na Britt-Marie. Potem patrzy na Vegę, która jest ubrana w sportową koszulkę. Druga wiekowa kobieta przepycha się, mamrocze coś całkowicie niezrozumiałego do pierwszej wiekowej kobiety i wskazuje na Vegę, wbijając wzrok w Britt-Marie.

– Jeszcze jeden dla niej!

– Mówią, że dostanę dodatkowy owoc – mówi zadowolona Vega, odbierając torebkę Britt-Marie i zaglądając do niej.

– Ha – mówi Britt-Marie, poprawiając nerwowo spódnicę na wszelkie sposoby, które przychodzą jej do głowy.

Kiedy znowu podnosi wzrok, obydwie wiekowe kobiety stoją tak blisko, że nie dałoby się włożyć pomiędzy nie kartki formatu A4. Kobiety wskazują na nią i Bank.

– Wy, młodzież, wezną te dzieci i pojadą do tych przeklętych mieszczuchów, i powiedzą tym cholerom, że Borg nie umarło! Nie umarliśmy jeszcze! Powiedz to tym cholerom, słyszy, co mówię?

– Mówi, że pani i Bank mają zabrać nas do miasta i opowiedzieć tym cholerom, że Borg nie umarło – mamrocze Vega z ustami pełnymi owoców.

Bank stoi z drugiej strony obok Britt-Marie i się szczerzy.

– Mówiła do ciebie „młodzież”, Britt-Marie.

Britt-Marie, do której nie zwracano się słowem „młodzież”, nawet kiedy była nastolatką, nie wie, co powinna odpowiedzieć. Dlatego klepie trochę nieobecnie w balkonik jednej z kobiet i odpowiada:

– Ha. Dziękuję. Uprzejmie dziękuję.

Kobiety mamroczą coś i odchodzą. Ktośka przynosi klucze do białego samochodu z niebieskimi drzwiami, a Vega informuje pomiędzy kolejnymi gryzami, że muszą po drodze odebrać Maxa.

– Ha. Wydawało mi się, że go nie lubisz – mówi zdziwiona Britt-Marie.

– PANI TEŻ!? – wrzeszczy natychmiast Vega, tak że owoc pryska wokół nich jak fontanna.

Omar śmieje się głośno i szyderczo. Vega wybiega za nim na parking z jabłkami i mango krążącymi wokół jego głowy.

Britt-Marie zaciska mocno powieki, aż ból głowy powoli odpuszcza. Potem bawi się nerwowo kluczykami, cicho odkasłuje i podaje je Svenowi, nie łapiąc z nim kontaktu wzrokowego.

– Nie powinno się prowadzić samochodu, kiedy ma się… grypę.

Sven znowu zdejmuje czapkę, kiedy wsiada do samochodu, nie musi wspominać o tym, że to ze względu na troskliwość. Nie chce, żeby Britt-Marie się martwiła, co ludzie sobie pomyślą, jak pojedzie z policją na zawody piłkarskie. Zwłaszcza białym samochodem z niebieskimi drzwiami.

Nie mówi też, że w samochodzie jest znacznie więcej pasażerów i psów niż to dopuszczalne zarówno ze względów prawnych, jak i higienicznych, szczególnie że zarówno pies, jak i Ropucha muszą leżeć w bagażniku, bo nigdzie indziej nie ma miejsca, ale mimo wszystko taktownie zwraca uwagę, że samochód należy zatankować. Pyta, czy jej w tym nie wyręczyć. Britt-Marie odpowiada, że to doprawdy niepotrzebne, bo potrafi zatankować sama. To przecież jej samochód, niezależnie od tego, że ma niebieskie drzwi.

Od dziesięciu minut stoi z jedną ręką włożoną w drugą przed dystrybutorem na stacji benzynowej, gdy otwierają się tylne drzwi, z których wyczołguje się Vega, starając się wydostać z plątaniny rąk, nóg, butów do piłki nożnej i psich pysków. Następnie staje obok, tak żeby Britt-Marie zniknęła z pola widzenia Svena.

– Ten środkowy – mówi cicho, sama nie sięgając po wąż.

Britt-Marie patrzy na nią z paniką w oczach.

– Nie pomyślałam o tym, zanim wysiadłam z samochodu, moja droga, ale ja doprawdy nie wiem, jak…

Łamie jej się głos. Vega rozciąga się, jak może, żeby Sven nie widział niczego przez okno. Wyciąga rękę i dotyka Britt-Marie.

– Nie ma sprawy, trenerko.

Britt-Marie lekko się uśmiecha, czule usuwając włos z koszulki Vegi.

– Zawsze Kent tankował samochód. On zawsze… to robił.

Vega wskazuje na środkową pompę. Britt-Marie bierze wąż, jakby się bała porażenia prądem. Vega pochyla się i odkręca wlew na paliwo.

– Kto cię tego nauczył? – pyta Britt-Marie.

– Moja mama – odpowiada Vega.

Potem tak się szczerzy, że widać wyraźniej niż zwykle, że jest siostrą Samiego.

– Nie trzeba być za Liverpoolem od dziecka, trenerko. Można się tego nauczyć, jak się jest dorosłym.

Tego dnia odbywa się Puchar, jest to też dzień pożegnania i dzień, w którym Britt-Marie sama tankuje samochód. Mogłaby zdobywać góry i przemierzać morza, gdyby ktoś ją poprosił, czuje to potem wyraźnie.

To nowe odczucie. Również to.

31

Borg to miasteczko przy drodze. Wszystko wygląda inaczej, kiedy jest piękna pogoda. Dotyczy to zarówno dróg, jak i miasteczek. Britt-Marie nie wie, kiedy dokładnie słońce przebija się przez wieczną piankę styczniowej szarości nieba tego przedpołudnia, ale niesie ono ze sobą obietnicę nowej pory roku. Przejeżdżają obok domu Ropuchy, stoi przed nim szklarnia. W środku porusza się kobieta w ciąży. Przejeżdżają obok wielu ogrodów, w których znajdują się ludzie, co jest wyjątkowo dziwne, jeśli się przywykło do wiecznie pustych dróg w Borg. Niektórzy ludzie są młodzi, niektórzy mają dzieci, niektórzy machają do przejeżdżającego samochodu. Jakiś mężczyzna trzyma w ręce tabliczkę.

– Czy on też wystawia tablicę z napisem „Dom na sprzedaż”? – pyta Britt-Marie.

Sven zwalnia i kiwa do mężczyzny przez okno.

– Zdejmuje ją.

– Dlaczego?

– Jadą na Puchar. Chcą wiedzieć, co się wydarzy. Już dawno nikt w Borg nie był tego ciekawy.

Biały samochód z niebieskimi drzwiami toczy się przez Borg i dopiero kiedy przejeżdżają obok znaku, który informuje o opuszczeniu Borg, Britt-Marie dostrzega za sobą inne samochody. Po raz pierwszy w Borg tworzy się korek.

Max mieszka w jednym z dużych domów zaraz za granicą miasteczka. Domy stoją samotnie na bocznej ulicy i mają tak duże okna, że mogły zostać tam wstawione tylko przez kogoś, kto uważa za ważniejsze, żeby można było zajrzeć do środka, niż żeby móc przez nie wyjrzeć. To osiedle, które od lat ze wzmagającą się agresją walczy z gminą, aby wpisać je jako część miasta, a nie część Borg, opowiada Sven Britt-Marie. W następnej sekundzie gwałtownie hamuje, bo nagle na dole ulicy z garażu wyjeżdża kierowca w bmw, nie rozglądając się wcale. Fredrik ma na nosie okulary

przeciwsłoneczne i rozmawia przez telefon, kieruje samochodem tak, jakby z nim walczył. Sven do niego kiwa, bmw przejeżdża obok z hukiem, jakby chętnie przejechało przez drugi samochód.

– Cholerne komary w dupie – mamrocze Vega, wysiadając z tyłu.

Britt-Marie idzie za nią. Max otwiera, zanim nawet zdążą wcisnąć dzwonek, wychodzi i zestresowany zamyka za sobą drzwi. Nadal ma na sobie koszulkę z napisem „Hokej” na klatce piersiowej, ale pod pachą trzyma piłkę.

– Nie musisz brać ze sobą piłki, Vega spakowała już jedną do samochodu – informuje Britt-Marie.

Max mruga oczami z niezrozumienia. Britt-Marie nakłada jedną dłoń na drugą.

– Przecież, na Boga, niepotrzebna wam dodatkowa piłka?

Max patrzy na piłkę. Potem na Britt-Marie.

– Potrzebna?

Jakby to słowo nie łączyło się z piłkami nożnymi.

– Muszę do łazienki – wzdycha Vega, idąc niecierpliwie w kierunku drzwi.

Ręka Maxa łapie jej ramię, ona ją odrzuca, chłopak wygląda, jakby się przestraszył.

– Nie da się.

Vega podejrzliwie mruży oczy.

– Boisz się, że zauważę, w jakich bogactwach się pławicie? Myślisz, że obchodzi mnie, że jesteście milionerami?

Max próbuje odsunąć ją od drzwi, ale ona jest szybsza i się prześlizguje. On za nią krzyczy, ciągnąc ją za kurtkę, ale jej mimo wszystko udaje się otworzyć drzwi. Nagle stają nieruchomo. Ona otwiera usta, on zamyka oczy.

– O… kurde, gdzie wasze meble? – pyta Vega.

– Musieliśmy je sprzedać – mamrocze Max i zamyka drzwi, nie zaglądając do środka.

Vega znowu na niego patrzy.

– Nie macie pieniędzy?

– Nikt nie ma pieniędzy w Borg – mówi Max, kierując się do samochodu.

– To dlaczego twój ojciec nie sprzeda jebanego bmw?! – woła za nim Vega.

– Bo wtedy wszyscy się dowiedzą, że się poddał – wzdycha Max, siadając na tylnym siedzeniu.

– Jak to, do kur… – zaczyna Vega, siadając obok i dostając mocnego szturchańca od Omara.

– Siostra, daj spokój, kim teraz jesteś? Gliną czy coś? Daj mu spokój.

– Chcę tylko się dowie… – protestuje, ale Omar znowu ją szturcha.

– Daj spokój! Mówi jak jeden z nich, ale w piłkę gra jak jeden z nas. Kumasz? Daj mu spokój.

Max nie odzywa się przez całą drogę do miasta. Kiedy zatrzymują się przed halą sportową, gdzie mają się odbyć zawody o Puchar, wyczołguje się z tylnego siedzenia z piłką pod pachą, rzuca ją na asfalt i kopie w nią najmocniej, jak Britt-Marie kiedykolwiek widziała, żeby ktoś kopał piłką w ścianę.

Omar obejmuje jego plecy ręką, kiedy idą do hali, i mówi troskliwie:

– Twoja piłka wygląda na trochę nienapompowaną. Potrzebujesz dobrej pompki? Mogę ci załatwić!

Britt-Marie wypuszcza psa i Ropuchę z bagażnika. Bank podąża za nimi. Dino i Vega też. Na końcu idzie Sven. Britt-Marie liczy ich wiele razy i próbuje sobie przypomnieć, kogo brakuje, po czym słychać słaby głos Bena, dochodzący z najdalszej części tylnego siedzenia:

– Przepraszam, Britt-Marie. To było niechcący.

Kiedy Britt-Marie nie od razu lokalizuje jego głos, Ben wydusza z siebie:

– Nigdy wcześniej nie grałem w Pucharze. Zdenerwowałem się. Nie chciałem nic o tym mówić na stacji.

Britt-Marie nadal ledwo go słyszy, więc wkłada głowę do samochodu. Widzi ciemną plamę na jego spodniach i na siedzeniu pod nim.

– Przepraszam – szepce i mocno zaciska powieki.

– Aaa… nic się nie stało. Głowa do góry! Zejdzie po sodzie oczyszczonej! – wykrztusza Britt-Marie, szukając w bagażniku zapasowych ubrań.

Bo stała się kimś takim w Borg. Jeździ na zawody piłki nożnej i ma zapasowe ubrania w bagażniku.

Trzyma na oknie bambusową zasłonę, kiedy Ben się przebiera. Potem posypuje siedzenie sodą oczyszczoną. Bierze jego spodnie do hali i pierze je w umywalce w przebieralni. Ben stoi obok niej z zawstydzonymi kącikami ust, lecz z błyszczącymi oczami, a kiedy Britt-Marie kończy, wymyka mu się:

– Mama tu będzie. Wzięła dzisiaj urlop!

Mówi to, jakby opisywał budynek z czekolady. Pozostałe dzieci kopią dwie piłki po korytarzu na zewnątrz, a Britt-Marie musi się opanować, żeby nie wybiec i ich nie poinformować, że doprawdy nie wypada kopać piłki w środku. W ogóle uważa, że hale sportowe nie powinny się mieścić w budynkach, ale nie chce bynajmniej, aby ktokolwiek patrzył na nią, jakby *oszalała*, więc trzyma język za zębami.

Hala sportowa składa się z wysokich trybun, w poprzek których biegną równie wysokie schody, które prowadzą ku prostokątnej powierzchni z kolorowymi kreskami wzdłuż i wszerz, co sprawia, że Britt-Marie przypuszcza, iż właśnie tam rozgrywane są mecze. Wewnątrz.

Bank zbiera dzieci w kółku przy schodach na samej górze i mówi do nich rzeczy, których Britt-Marie nie rozumie, ale które, jak przypuszcza, są jakiegoś rodzaju odprawą, która ich bawi.

Kiedy Bank kończy, wymachuje laską w powietrzu w kierunku, w jakim sądzi, że znajduje się Britt-Marie, mówiąc:

– Chciałabyś coś powiedzieć przed meczem, Britt-Marie?

Britt-Marie nie przygotowała się na tego typu ewentualność, nie ma tego punktu na liście, dlatego trzyma mocno torebkę, myśli chwilę, po czym mówi:

– Uważam, że powinniśmy zrobić dobre pierwsze wrażenie.

Nie do końca wie, co chce przez to powiedzieć, ale ogólnie uważa, że jest to dobra życiowa rada. Dzieci patrzą na nią z brwiami uniesionymi na różne wysokości. Vega je jakiś owoc, wskazując z goryczą ludzi na trybunach.

– Na kim? Na nich? Przecież nas nienawidzą, chyba zdaje sobie pani z tego sprawę?

Britt-Marie musi przyznać, że większość ludzi na trybunach, z których wielu ma na sobie koszulki i szaliki z nazwą drużyny z miasta, patrzy na drużynę z Borg trochę tak, jak się patrzy na kogoś obcego, kto beknął w tramwaju. W połowie drogi na schodach stoi mężczyzna z rady gminnej

i kobieta ze związku piłki nożnej, a może na odwrót, w każdym razie ci, którzy byli na treningu kilka dni temu. Kobieta wygląda na zmartwioną, mężczyzna ma w dłoni stos kartek, a obok nich stoi bardzo poważny mężczyzna w koszulce w napisem „Funkcjonariusz” i inna osoba z długimi włosami w bluzie z nazwą drużyny z miasta na klatce piersiowej i słowem „Trener” po drugiej stronie. Trener wydaje się oburzony, choć Britt-Marie nie ma bynajmniej żadnych uprzedzeń. Drze kartki i wskazuje na dzieci z Borg, krzycząc coś w stylu: „Poważny Puchar! To nie plac zabaw!”.

Britt-Marie nie wie, co to ma oznaczać, ale kiedy Ropucha wyciąga puszkę z kieszeni na koszulce, uznaje, że nie jest to bynajmniej dobry sposób, aby zrobić dobre pierwsze wrażenie, więc upomina go, aby jej nie otwierał. Ropucha upiera się, tłumacząc, że ma niski poziom cukru, na co angażuje się Vega, szturchając go w ramię i sycząc: „Głuchy jesteś? Nie otwieraj tej puszki!”. To sprawia, że Ropucha, którego poczucie równowagi zupełnie nie współgra z jego niskim punktem ciężkości, traci równowagę i wywraca się do tyłu. Toczy się, krzycząc wniebogłosy, do połowy schodów, aż jego ciało upada u nóg kobiety ze związku piłki nożnej, mężczyzny z rady gminnej, funkcjonariusza i trenera.

– NIE OTWIERAJ PUSZKI! – krzyczy Vega.

– Co? – krzyczy Ropucha, leżąc z obracającymi się białkami oczu u stóp trenera, potem pewnie dochodzi do wniosku, że zawroty głowy muszą być wynikiem niskiego poziomu cukru we krwi. Dlatego decyduje się otworzyć puszkę z napojem gazowanym.

Nie da się tego opisać jako dobre pierwsze wrażenie. Bynajmniej.

Kiedy Britt-Marie i Bank zdążą dojść do tej części schodów, gdzie wylądował Ropucha, trener w wyniku poprzedniego zdarzenia jest jeszcze bardziej oburzony. Mężczyzna i kobieta, i kartki wirują dookoła w deszczu pryskającej oranżady z puszki. Trener ma taką ilość oranżady we włosach, na twarzy i ubraniu, że prawa natury odnośnie do ilości oranżady w puszce musiały chyba zostać zaburzone.

– Powaaaażnie? Czy to na poważnie? – mówi trener, spluwając do funkcjonariusza.

Funkcjonariusz kiwa bardzo poważnie głową. Trener wskazuje na Bank i Britt-Marie, jest teraz tak zły, że robi to obydwoma rękami, co sprawia, iż

z odległości trudno rozróżnić, czy na coś wskazuje, czy też może demonstruje, jak wygląda duży borsuk.

– Panie są trenerkaaaami tej drużyny?

Trener robi szalone znaki cudzysłowu, wymawiając słowa „trenerki” i „drużyna”. Laska Bank dotyka trenera przez pomyłkę po raz pierwszy i być może nie do końca przez przypadek kolejne pięć razy. Kobieta wygląda na zmartwioną. Mężczyzna z kartkami przesuwa się za nią i trzyma, bacząc na swoje wcześniejsze doświadczenia, rękę na ustach.

– My jesteśmy trenerkami – weryfikuje Bank.

Trener się szczerzy, jednocześnie wyglądając na wkurzonego.

– Baba i niewidoma, powaaaaażnie? Czy to poważny Puchar? No co?

Funkcjonariusz kiwa poważnie głową. Kobieta, bardziej przybita niż kiedykolwiek, patrzy na Bank.

– Jeden z zawodników waszej drużyny, niejaki Patrik Ivars…

– Co ze mną? – wrzeszczy Ropucha bojaźliwie z podłogi.

– O co chodzi? – pieni się Bank.

– No właśnie, o co chodzi z Patrikiem? – pyta trzeci głos.

Ojciec Ropuchy stoi teraz za Britt-Marie. Schludnie przeczesał włosy i się wystroił. W klapie marynarki ma czerwonego tulipana. Obok niego stoi Kent w pogniecionej koszuli. Uśmiecha się do Britt-Marie. Ona chciałaby go złapać za rękę.

– Patrik jest o dwa lata młodszy od pozostałych dzieci. Jest za młody, żeby grać w tym Pucharze bez dopuszczenia – mówi kobieta, kaszląc ze wzrokiem spuszczonym na podłogę.

– To dajcie mu dopuszczenie! – ryczy Bank, wymachując laską w kierunku funkcjonariusza.

– Przepisy to przepisy! – przerywa trener.

– Serio? NA SERIO? CHODŹ TU, TY MA… – wrzeszczy Bank, wymachując wściekle laską w kierunku trenera, na co on próbuje złapać laskę, żeby się nie wywrócić, i pociąga Bank za sobą na schody.

Oboje tracą grunt pod nogami i niemal się wywracają, gdy wtem wielka ręka jednym zdecydowanym ruchem zaciska się na rękawie bluzy jak imadło, powstrzymując upadek. Trener zwisa przechylony nad schodami z szeroko otwartymi oczami wbitymi w Kenta, Kent trzyma niewzruszenie rękę, pochyla się i deklaruje w ten sam pewny siebie sposób, jak kiedy opowiada ludziom, jak prowadzi interesy z Niemcami:

– Jeśli jeszcze raz spróbujesz popchnąć ślepą kobietę na schody, to pozwę ciebie tak, że cała twoja rodzina będzie spłacała długi przez kolejne dziesięć pokoleń, możesz być tego pewien.

Trener gapi się na niego. Bank odzyskuje równowagę, niechcący opierając laskę o brzuch trenera dwa lub może trzy razy. Mężczyzna z kartkami podaje swoje kartki. Funkcjonariusz potakuje poważnie. Zmartwiona kobieta kaszle kilka razy.

– Złożono skargę z drużyny przeciwnej, odnośnie do tej „Vigi” z waszej drużyny, bo widzimy po jej numerze identyfikacyjnym, że… – zaczyna kobieta.

– Mam na imię VEGA! – parska Vega z góry.

– Tak, Vieeega – próbuje ją naśladować kobieta.

– Zrobił ktoś pani kupę do uszu? VE-GA! – powtarza Vega.

Kobieta drapie się zarozumiale po płatkach uszu. Uśmiecha się, jakby została miejscowo znieczulona. Obraca się do Britt-Marie, która wydaje się jedyną rozsądną osobą w towarzystwie.

– Należy mieć dopuszczenie, żeby nieletni i dziewczynki mogli grać.

– Przepisy to prze… przepisy – jąka się trener, nie potrafiąc się wydostać z uścisku Kenta.

– Niech będzie – odpowiada Kent spokojnie, obracając się do kobiety, mężczyzny i funkcjonariusza, po czym dodaje, uśmiechając się: – Wyłączcie Patrika i Vegę z rozgrywek, bo drużyna z miasta najwyraźniej za bardzo trzęsie tyłkami, żeby zagrać z młodszym chłopakiem i dziewczyną!

Potem następuje krótka obustronna cisza.

– Cooo?! – wybucha trener.

– TRZĘSIECIE TYŁKAMI! – krzyczy Bank, niechcący ocierając laską o bluzę, a trochę o mężczyznę z kartkami.

– My ku… – mamrocze trener.

Właśnie w ten sposób Vega i Patrik dostają dopuszczenie. Patrik schodzi po schodach na boisko z ręką taty wokół swoich ramion, ale wygląda, jakby najchętniej pobiegł wokół całej hali z ramionami wyciągniętymi jak skrzydła samolotu.

Inne dzieci wbiegają na boisko i zaczynają się rozgrzewać, strzelając do bramki, co swoją drogą wygląda tak, jakby strzelały na rozgrzewkę we wszystko oprócz bramki.

Britt-Marie i Kent stoją na schodach. Ona usuwa włos z rękawa jego koszuli. Poprawia zgięcie na rękawie tak delikatnie, że nawet nie dotyka jego ramienia.

– Skąd wiedziałeś, żeby powiedzieć, że się boją? – pyta.

Kent śmieje się tak, że coś w środku Britt-Marie też się śmieje.

– Mam starszego brata. Na mnie to zawsze działało. Pamiętasz, jak skoczyłem z balkonu i złamałem nogę? Wszystkie najgłupsze rzeczy, które zrobiłem, zaczęły się od tego, że mówił, że nigdy się nie odważę!

– To miło z twojej strony. I miło było dostać tulipany – szepce Britt-Marie, nie pytając, czy była jedną z tych głupich rzeczy.

Kent znowu się śmieje.

– Kupiłem od ojca Ropuchy. Uprawia je w szklarni w ogrodzie. Szalony, nie? Przekonywał mnie, żebym kupił czerwone, bo są „lepsze”, ale ja powiedziałem, że ty wolisz fioletowe.

Britt-Marie usuwa niewidzialny kurz z jego klatki piersiowej. Opanowuje się. Wkłada rozsądnie jedną rękę w drugą i mówi:

– Muszę już iść. Zaraz zaczynają.

– Powodzenia! – mówi Kent, pochylając się i całując ją w policzek tak, że Britt-Marie musi się trzymać poręczy, aby nie spaść ze schodów.

Kiedy Kent odchodzi i siada na wolnym miejscu w tej sekcji trybuny, gdzie ulokowała się publiczność, która zjechała z Borg, Britt-Marie uświadamia sobie, że po raz pierwszy dotrzymuje jej towarzystwa ze względu na nią, a nie na odwrót.

Na siedzeniu obok siedzi Sven. Ze spuszczonym wzrokiem.

Britt-Marie robi głębokie wdechy na każdym stopniu schodów w dół. Bank i pies czekają na nią przy ławce obok boiska. Ktośka też, ma wyjątkowo zadowolony wyraz twarzy.

– Jak się tu pani dostała? – pyta Britt-Marie.

– Przyjechałam samochodem, no wiesz – odpowiada Ktośka beztrosko.

– A co z pizzerią, sklepem spożywczym i urzędem pocztowym? Zostały zamknięte? – pyta zatroskana Britt-Marie.

Ktośka wzrusza ramionami.

– Kto będzie coś kupował, Britt? Wszyscy z Borg tu!

– Nie można doprawdy zawiesić wszelkiej działalności gospodarczej! – wybucha Britt-Marie, potem uderza ją pewna myśl, więc pyta: – Co chce pani powiedzieć przez to, że pani tu przyjechała samochodem?

Ktośka trzyma ręce przed sobą, jakby trzymała kierownicę.

– Przyjechałam, no wiesz. Twoim samochodem.

– Nie mam uprzedzeń! – mówi Britt-Marie.

Ktośka wywija ramionami.

– Zbudowałam twój samochód, no wiesz. Ten z urzędu transportu drogowego powiedział: niepełnosprawna. Nie może prowadzić zwykłych pojazdów, no to zbudowałam niezwykły.

Britt-Marie poprawia niewidoczną fałdę na spódnicy z taką prędkością, że wygląda to tak, jakby chciała rozpalić ogień. Ktośka klepie ją uspokajająco.

– Zdenerwowana? Nie martw się, Britt, powiedziałam temu funkcjonariuszowi: Siedzę przy boisku z Britt, no nie? Bo działam, jak to szło? Uspokajająco na Britt. Ten powiedział tylko „nie", to ja powiedziałam: „Nie widzę żadnej sekcji dla niepełnosprawnych, to nielegalne, nie?". Powiedziałam: „Mogom cię pozwać". A teraz siedzę tu. Najlepsze miejsce, no nie?

Britt-Marie bierze powolny wdech. Potem robi powolny wydech. Powtarza całość. To nie pomaga. Dlatego Britt-Marie przeprasza, opuszcza boisko, wychodzi na korytarz, kieruje się do toalety i wymiotuje. Kiedy wraca na ławkę, Ktośka nadal gada jak najęta, nerwowo bębniąc palcami o wszystko, co znajduje się w pobliżu. Pies obwąchuje Britt-Marie. Bank podaje paczkę gum.

– To normalne. Często ma się zatrucie przed ważnymi meczami.

Britt-Marie żuje gumę, zasłaniając usta ręką, ponieważ ludzie mogą sobie pomyśleć, że ma tatuaże albo cokolwiek innego. Potem publiczność bije brawo, sędzia wchodzi na boisko i drużyna z Borg, która nawet nie ma własnego boiska, rozgrywa mecz. Kibicuje jej miasteczko, w którym prawie wszystko zamknięto. Ale tylko prawie.

Pierwszą rzeczą, która się wydarza, jest to, że Dino zostaje zatrzymany łokciem przez dużego chłopca ze skomplikowaną fryzurą. Kiedy Dino jest przy piłce następnym razem, dzieje się to samo, tylko tym razem mocniej. Kilka metrów od Britt-Marie trener podskakuje w brudnej od oranżady bluzie, krzycząc zagrzewająco:

– Dokłaaadnie! Pokaż, co potrafisz!

Britt-Marie jest przekonana, że zaraz dostanie zawału serca, ale kiedy wyjaśnia to Bank, Bank mówi, że „tak ma być, kiedy się patrzy na futbol”. Kto, na Boga, chciałby w takim razie oglądać futbol, zadaje sobie pytanie Britt-Marie. Kiedy Dino ma piłkę po raz trzeci, duży chłopiec rozpędza się z drugiej strony boiska i biegnie z całej siły z podniesionym łokciem. Po chwili leży na plecach. Max stoi nad nim ze spiętą klatką piersiową i wyprostowanymi ramionami. Zaczyna iść w kierunku ławki, kiedy sędzia mu mówi, że musi opuścić boisko.

– Max! Ha! Jesteś taki, jak to szło? – krzyczy radośnie Ktośka.

Bank uderza laską o buty Maxa.

– Gada jak jeden z nich. Gra jak jeden z nas.

Max uśmiecha się i coś odpowiada, ale Britt-Marie ich nie słyszy. Sędzia zagwizdał na wznowienie meczu, kiedy rozmawiali, a nogi Britt-Marie same się podniosły bez jej pozwolenia. Jej usta otworzyły się nie wiadomo kiedy. Na boisku trzech zawodników biegło obok siebie i piłka odbiła się o linię boczną, i nagle tam leży, przed stopami Bena. Ben patrzy na nią. Cała hala gapi się na niego.

– Strzelaj – szepce Britt-Marie.

– NO STRZELAJ! – krzyczy głos z trybun.

To Sami. Obok niego stoi kobieta cała czerwona na twarzy. Po raz pierwszy Britt-Marie widzi, że jest ubrana w coś innego niż w kitel.

– STRZEEEEEEELAJ!!! – krzyczy Bank, wymachując we wszystkie strony laską w powietrzu.

I Ben strzela. Powietrze się kończy. Britt-Marie zakrywa twarz rękami, Bank prawie się wywraca na wózek Ktośki, krzycząc: „Co się dzieje? Babo, powiedz, co się dzieje!”.

Trybuny opanowała cisza, jakby nikt do końca nie wiedział, co się stało. Ben wygląda najpierw, jakby miał się rozpłakać, potem – jakby chciał się schować. Więcej nie zdąży zrobić, zanim znajdzie się pod ryczącym stosem rąk i nóg, i białych koszulek. Borg prowadzi jeden do zera. Sami biegnie wokół trybun z wyciągniętymi rękami, jak samolot, Kent i Sven podskakują ze swoich siedzeń tak szybko, że niechcący wpadają sobie w objęcia, co sprawia, że Sami musi wlecieć pomiędzy nich, żeby nie zaczęli się bić.

Z chaosu wydostaje się kobieta z czerwoną twarzą i zbiega po schodach. Kilku funkcjonariuszy staje na drodze, kiedy widzą, że chce wbiec na boisko, ale nie udaje im się jej powstrzymać. Nie powstrzymaliby jej,

gdyby mieli broń. Ben tańczy z mamą, jakby nikt mu tego nie mógł odebrać.

Borg przegrywa czternaście do jednego. To się nie liczy. Grają ten mecz, jakby odgrywał najważniejszą rolę na świecie.

To się liczy.

32

W pewnym wieku wszystkie pytania, jakie człowiek sobie zadaje, dotyczą właściwie jednego: Jak żyć?

Jeśli zamknie się oczy dość mocno i na dość długo, można sobie przypomnieć te rzeczy, które sprawiły, że było się szczęśliwym. Zapach skóry mamy, kiedy Britt-Marie miała pięć lat i chichocząc, uciekała na klatkę schodową przed nagłą ulewą. Zimny czubek nosa taty na jej policzku. Szorstka, przynosząca pocieszenie łapa przytulanki, której nie pozwoliła wyprać. Szum fal, które rozbijały się o głazy podczas ich ostatnich wakacji nad morzem. Oklaski w teatrze. Włosy siostry, kiedy wracały po beztroskim spacerze na wietrznej ulicy.

Coś więcej? Kiedy jeszcze była szczęśliwa? Kilka chwil. Dźwięk obracających się kluczy w zamku. Bicie serca Kenta, kiedy spał. Śmiech dziecka. Wiatr na balkonie. Zapach tulipanów. Pierwsza wielka miłość. Pierwszy pocałunek.

Kilka chwil. Człowiek, jakikolwiek, ma tak niewiele okazji, aby je przeżyć. Zapomnieć o czasie i skoczyć. Kochać coś bez opamiętania. Eksplodować z namiętności. Kilka razy, kiedy jesteśmy dziećmi, może, jeśli nam to dane. Ale potem, ile oddechów bierzemy poza nami samymi? Ile czystych uczuć sprawia, że cieszymy się, śmiejąc się na głos bez wstydu? Ile mamy szans, żeby zostać pobłogosławionym utratą pamięci?

Wszelka namiętność jest dziecinna. Jest banalna i naiwna. Nie jest wyuczona, jest instynktowna, zalewa nas. Powala nas. Oczyszcza nas. Wszystkie inne uczucia są ziemskie, ale namiętność jest kosmiczna. Dlatego jest tyle warta, nie z powodu tego, co nam daje, ale dlatego, że wymaga, abyśmy zaryzykowali. Naszą godność. Niezrozumienie innych i pobłażliwe potakiwania.

Britt-Marie krzyczy, kiedy Ben strzela gola. Jej podeszwy opuszczają nawierzchnię hali. Większość ludzi nie doznaje takiego błogosławieństwa

w styczniu. Kosmosu.

Za to kocha się futbol.

Jest późny wieczór, Puchar skończył się wiele godzin temu, a Britt-Marie znowu jest w szpitalu. Spiera w umywalce krew z białej koszulki, podczas gdy Vega siedzi obok na sedesie, w jej głosie nadal słychać euforyczne bąbelki. Jakby nie umiała usiedzieć w ciszy. Gdyby mogła, wzbiłaby się w powietrze.

Serce Britt-Marie bije tak szalonym rytmem, że nie rozumie, jak ludzie mogą tak żyć, jeśli jest prawdą, jak twierdzą dzieci, że drużyna może rozgrywać mecze każdego tygodnia. Kto chciałby sobie coś takiego robić co tydzień?

– Doprawdy nie rozumiem, jak mogło ci przyjść do głowy, aby tak się zachować – wydusza z siebie Britt-Marie szeptem, bo nie potrafi wydobyć zwykłego głosu z obolałego od krzyku gardła.

– Inaczej strzeliliby bramkę! – wyjaśnia Vega po raz tysięczny.

– Rzuciłaś się prosto na piłkę – syczy Britt-Marie, robiąc pełen wyrzutu gest znad umywalki i plam krwi na koszulce.

Vega mruga oczami. Widać, że ją boli, bo ma spuchniętą i ciemnofioletową połowę twarzy. Od pękniętej skóry na skroni przez zaczerwienione oko po nos z zastygniętą krwią wokół ust i pękniętą dolną wargą, która jest tak duża, że sprawia, iż wygląda, jakby starała się zjeść osę.

– Zatrzymałam strzał – upiera się.

– No tak, twarzą. Nie zatrzymuje się, na Boga, strzału twarzą – upiera się Britt-Marie, nie wyjaśniając, że jest zła głównie dlatego, iż Vega miała krew na twarzy i koszulce.

– Inaczej strzeliliby bramkę! – mówi Vega, wzruszając ramionami.

Britt-Marie wciera sodę oczyszczoną w koszulkę.

– Za nic nie mogę pojąć, że kochasz piłkę nożną tak bardzo, że jesteś gotowa ryzykować w ten sposób życie – syczy dalej.

Vega wygląda, jakby się zastanawiała. Potem jakby się wahała.

– Nigdy pani niczego tak nie kochała? – pyta.

Britt-Marie wysypuje więcej sody oczyszczonej na koszulkę. Jest zaskoczona.

– Ha. Nie. Ja… he. Nie wiem. Doprawdy nie wiem.

– Nie boli mnie, kiedy gram – mówi Vega ze wzrokiem utkwionym w numer na plecach koszulki w umywalce.

– Co nie boli? – pyta Britt-Marie.

– Nic – odpowiada Vega.

Britt-Marie milknie zawstydzona. Odkręca ciepłą wodę. Zamyka oczy. Vega przechyla głowę do tyłu i obserwuje sufit w toalecie.

– Śnię o futbolu, kiedy śpię – mówi, jakby to było rozsądne, potem pyta szczerze zaciekawiona, jakby nie rozumiała, o czym innym można śnić: – O czym pani śni?

Britt-Marie nie ma pojęcia, dlaczego to się z niej wydostaje, ale szepce instynktownie:

– Czasami śnię o Paryżu.

Vega kiwa głową ze zrozumieniem.

– W takim razie piłka nożna jest dla mnie jak Paryż dla pani. Była tam pani wiele razy?

– Nigdy – szepce Britt-Marie, poirytowana, że w ogóle się odezwała.

– Dlaczego nie? – pyta Vega.

– To jedna z tych rzeczy, do których nigdy nie doszło, chodź tu teraz i umyj twarz – mówi Britt-Marie, zbywając Vegę.

– Dlaczego nie? – upiera się Vega.

Britt-Marie reguluje kran, aby nie leciała zbyt ciepła woda. Serce nadal wali jej tak, że może policzyć jego uderzenia. Patrzy na Vegę, usuwa kilka włosów z jej czoła i dotyka ostrożnie opuchlizny w kąciku oka, jakby ją to bardziej bolało niż Vegę. Potem szepce:

– Musisz wiedzieć, że kiedy byłam mała, pojechałam z moją rodziną nad morze. Moja siostra znalazła najwyższe skały, żeby z nich skoczyć do wody, a kiedy skoczyła i potem się wynurzyła, stałam na samej górze, a ona krzyczała: „Skocz, Britt-Marie! Po prostu skocz!”. Musisz zrozumieć, że kiedy się tak stoi na samej górze i patrzy, jest taka sekunda, w której by się naprawdę skoczyło. Jak tylko się to zrobi dokładnie wtedy, to się uda. Ale jeśli się zaczeka, nic z tego nigdy nie będzie.

– Skoczyła pani? – pyta Vega.

– Nie jestem kimś takim, kto skacze – odpowiada Britt-Marie.

– Ale pani siostra tak?

– Była taka jak ty. Nie bała się – odpowiada Britt-Marie.

Potem składa papierowy ręcznik, szepcąc:

– Ale nawet ona nie wpadłaby na to, aby się rzucić na piłkę twarzą jak kompletna wariatka!

Vega podnosi się i pozwala Britt-Marie opatrzyć rany.

– To dlatego pani nie pojechała do Paryża! Bo nie jest pani kimś takim, kto skacze? – pyta dziewczynka.

– Jestem za stara na Paryż – szepce kobieta.

– Jak stary jest Paryż? – pyta dziewczynka.

Na to Britt-Marie nie ma dobrej odpowiedzi. Choć brzmi to jak naprawdę znakomite hasło do krzyżówki. Ogląda się w lustrze. To wszystko jest naturalnie niedorzeczne. Jest przecież dorosłą kobietą, a teraz już drugi raz w przeciągu kilku tygodni jest w szpitalu. Na sedesie siedzi dziecko, ma poranioną całą twarz, a inne leży w sali na końcu korytarza ze złamaną nogą. Bo zatrzymywali strzał. Któż chciałby żyć w ten sposób?

Vega spotyka jej wzrok w lustrze. Śmieje się tak, że aż krew spływa jej z ust na brodę. Co sprawia, że śmieje się jeszcze bardziej, wariatka.

– Jeśli nie jest pani kimś, kto skacze, to jak, do diabła, wylądowała pani w Borg?

Britt-Marie przyciska ręcznik do jej wargi i syczy, że powinna zwracać uwagę na to, jak się wysławia. Vega mamrocze coś wkurzonego, więc Britt-Marie przyciska mocniej jej wargę. Potem ciągnie dziewczynkę na korytarz, zanim ta zdąży powiedzieć coś więcej.

Co jest naturalnie niedobrym pomysłem, ponieważ jest tam Fredrik. Chodzi wkurzony ciężkim krokiem w tę i we w tę pod toaletą. Ropucha, Dino, Ben i Omar śpią na ławkach w rogu. Fredrik wskazuje od razu oskarżycielsko na Britt-Marie.

– Jeśli Max złamał nogę i nie pojedzie na elitarny obóz, dopilnuję, żeby nigdy się pani nie zbliżyła do…

Jego głos się łamie, zamiera, kiedy zamyka oczy i próbuje się opanować. Vega przepycha się przed Britt-Marie i odsuwa jego palec.

– Zamknij się! Noga się wyleczy! Zatrzymał strzał.

Fredrik zaciska pięści i cofa się przed nią, jakby się bał, że w swojej rozpaczy coś nawyprawia.

– Zabroniłem mu grać w piłkę nożną przed elitarnym obozem. Powiedziałem mu, że jeśli będzie miał kontuzję, zaprzepaści całą swoją karierę. Powiedziałem mu, że…

– Jaką karierę, do cholery? Chodzi przecież do cholernego gim-na-zjum! – odcina się Vega.

Fredrik znowu wskazuje na Britt-Marie. Opada na ławkę, jakby ktoś go upuścił.

– Wiesz, co oznacza elitarny obóz, kiedy gra się w hokeja na lodzie? Wiesz, co poświęciliśmy, żeby miał takie możliwości?

– A zapytał pan Maxa, czego on chce? – pyta wrogo Vega.

– Jesteś nienormalna? Przecież to elitarny obóz! Oczywiście, że chce! – wrzeszczy Fredrik.

– Nikt na niego nie musi krzyczeć, żeby grał w piłkę nożną! – odkrzykuje Vega.

– Chyba potrzebujesz kogoś, kto by na ciebie nakrzyczał! – krzyczy Fredrik, podnosząc się.

– A PAN CHYBA POTRZEBUJE JAKICHŚ MEBLI! – wrzeszczy Vega, rzucając się ku niemu.

Stoją teraz czoło w czoło, oddychając ciężko z wycieńczenia. Oboje mają łzy w oczach. Żadne z nich nigdy nie zapomni, jak Borg grało w Pucharze. Nikt z Borg nigdy tego nie zapomni.

Przegrali wprawdzie drugi mecz Pucharu pięć do zera. Trzeba było przerwać mecz na kilka minut, bo Ropucha obronił jeden rzut karny i wszyscy musieli zaczekać, aż przestanie biegać wokół boiska jak samolot. Bank zaśmiała się wtedy i krzyknęła, że publiczność wrzeszczała, jakby Borg wygrało mistrzostwa świata, Britt-Marie po wielu wyjaśnieniach zrozumiała, że to są inne zawody piłki nożnej, które najwyraźniej są bardzo istotne, jeśli ma się tego typu zainteresowania.

W trakcie trzeciego i ostatniego meczu w hali było tak głośno, że w końcu Britt-Marie słyszała tylko nieustający szum, serce biło jej tak mocno, że straciła czucie, jej ramiona kręciły się wokół ciała, które przestało do niej należeć. Przeciwna drużyna prowadziła dwa do zera, ale w końcowych minutach meczu Vega strzeliła bramkę dla Borg całym swoim ciałem. Zaraz potem Max przejął piłkę wślizgiem przy bramce Borg, a kiedy się podnosił i spojrzał na trybuny, jego tata właśnie wchodził do hali. Fredrik stał naburmuszony z rękami w kieszeniach i nie spotkał jego wzroku. Max przedryblował całą przeciwną drużynę i strzelił bramkę.

Kiedy jego głowa wyłoniła się z kłębowiska nóg i rąk kolegów z drużyny, rozczarowany Fredrik obrócił się i znowu zniknął za drzwiami.

Max nadal stał spokojnie przy bocznej linii i patrzył za nim, gdy sędzia zagwizdał na wznowienie meczu. Kiedy wrzawa publiczności przywróciła go do meczu, przeciwna drużyna zdążyła już strzelić piłką w słupek i poprzeczkę, a cała drużyna poza Vegą leżała w rozsypce na boisku, ale gdy zawodnik z przeciwnej drużyny miał trafić piłką do pustej bramki, Vega rzuciła się całym ciałem i zatrzymała strzał. Twarzą. Na piłce była krew. Wystarczyło zwykłe zagranie wewnętrzną częścią stopy, aby rozstrzygnąć mecz, ale zawodnik z przeciwnej drużyny odwrócił się i chciał zagrać piłkę piętą. Dlatego Max pobiegł prosto w kłębowisko ciał i rzucił się z wyprostowaną nogą. Trafił w piłkę, zawodnik z przeciwnej drużyny trafił w nogę Maxa. Max krzyknął tak głośno, że Britt-Marie poczuła, jakby sama złamała nogę.

Mecz skończył się wynikiem dwa-dwa. Był to pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna, kiedy Borg nie przegrało meczu piłki nożnej. Vega siedziała obok Maxa w karetce i śpiewała zupełnie nieodpowiednie piosenki przez całą drogę do szpitala.

Przy wejściu stoi mama Bena. Patrzy na Vegę, potem na Britt-Marie, kiwa głową, jak to się robi pod koniec długiej zmiany.

– Max chce się spotkać z wami obiema. Tylko z wami.

Fredrik przeklina głośno, ale mama Bena jest niewzruszona.

– Tylko wy dwie.

– Myślałam, że ma pani dzisiaj wolne – mówi Vega.

– Miałam. Ale kiedy Borg gra w piłkę nożną, szpital musi wezwać dodatkowy personel – mówi surowo, chociaż widać, że stara się powstrzymać od śmiechu.

Nakrywa kocem Bena na jednej z ławek i całuje go w policzek. Potem robi to samo z Dinem, Ropuchą i Omarem, którzy śpią na innych ławkach.

Britt-Marie czuje nienawistne spojrzenia Fredrika na swoich plecach, kiedy idą za nią wzdłuż korytarza, dlatego zwalnia i idzie za Vegą, żeby spojrzenia nie trafiły w Vegę. Max leży w łóżku z nogą zwróconą ku sufitowi. Szczerzy się na widok opuchniętej twarzy Vegi, kiedy wchodzą.

– Niezła twarz! Wyraźnie lepiej niż wcześniej.

Vega parska, wskazując głową na jego nogę.

– Myślisz, że lekarze wyprostują ją tym razem tak, żebyś się nauczył porządnie strzelać?

Max się szczerzy. Vega robi to samo.

– Ojciec się wkurzył? – pyta Max.

– A czy niedźwiedzie srają w lesie? – odpowiada Vega, ale Britt-Marie uznaje, że już wystarczy.

– Doprawdy! Vego! Czy to odpowiednie słownictwo w szpitalu, tak uważasz?

Vega się śmieje. Max też. Britt-Marie bierze głęboki, opanowany oddech i zostawia oboje z ich słownictwem.

Fredrik nadal stoi w poczekalni, gdzie go zostawili. Britt-Marie zatrzymuje się nieobecnie. Powstrzymuje impuls, aby wyciągnąć rękę i usunąć z jego ramienia jeden z włosów Vegi, który tam wylądował, kiedy stali czoło w czoło i krzyczeli.

– Ha – szepce Britt-Marie.

Fredrik nie odpowiada. Gapi się tylko w podłogę. Britt-Marie stara się wydobyć resztkę głosu, który ma w gardle, pytając:

– Czy kiedykolwiek kochał pan coś tak, jak te dzieci kochają piłkę, Fredriku?

Jego głowa się podnosi, wbija w nią wzrok.

– Ma pani własne dzieci, Britt-Marie?

Britt-Marie przełyka ciężko ślinę, potrząsając głową. Fredrik znowu patrzy w podłogę.

– To niech mnie pani nie pyta, czy coś kocham.

Siedzą na krzesłach, nic więcej nie mówiąc, dopóki mama Bena znowu nie wychodzi. Britt-Marie się podnosi, ale tata Maxa dalej siedzi, jakby nie miał już siły wstać. Mama Bena kładzie mu rękę na ramieniu i mówi, pocieszając:

– Max chciał, żeby panu przekazać, że z dużym prawdopodobieństwem będzie mógł znowu grać w hokeja za pół roku. Noga się już wtedy całkowicie zrośnie. Jego kariera nie powinna być w ogóle zagrożona.

Tata Maxa się nie rusza. Przyciska mocno brodę do szyi. Mama Bena kiwa głową do Britt-Marie. Britt-Marie przygryza policzki. Mama Bena kieruje się znowu do drzwi, kiedy ojciec Bena w końcu kładzie dłonie na

oczach w dwóch szybkich ruchach, łzy lecą mu między palcami na brodę. Nie ma przy sobie chusteczki. Na podłodze robią się plamy.

– A w piłkę nożną? Kiedy będzie mógł grać w piłkę?

W pewnym wieku wszystkie pytania, jakie człowiek sobie zadaje, dotyczą właściwie jednego: Jak żyć?

33

Britt-Marie siedzi sama na ławce na chodniku przed oddziałem ratunkowym. W dłoniach trzyma tulipany. Czuje wiatr we włosach. Myśli o Paryżu. To dziwne, moc, jaką może mieć nad człowiekiem jakieś miejsce, choć nigdy się w nim nie było. Kiedy zamknie oczy, może poczuć bruk pod stopami. Być może wyraźniej niż kiedykolwiek. Jakby oderwała się od ziemi, kiedy Ben strzelił bramkę, i wylądowała na niej jako inny człowiek. Jako ktoś taki, kto skacze.

– Wolne? – pyta głos.

Słyszy, że on się uśmiecha. Ona też się uśmiecha, po czym otwiera oczy. Wolno potakuje.

– Nie ma za co – szepce.

– Jest pani zachrypnięta – mówi Sven, uśmiechając się.

Britt-Marie potakuje.

– To przez grypę.

Sven głośno się śmieje. Coś w niej też się śmieje. Sven siada i podaje jej wazon ceramiczny.

– Zrobiłem go… dla pani. Chodzę na kurs. Pomyślałem, że może pani wstawić do niego swoje tulipany.

Britt-Marie obejmuje mocno wazon. Dotyka powierzchni, która jest szorstka jak łapa przytulanki, której nie pozwoliła swoim rodzicom wyprać.

– Dzisiaj było cudownie. Muszę to przyznać. Było zupełnie bajecznie – wydusza z siebie.

– To bajeczny sport – odpowiada Sven.

Jakby życie było takie proste.

– Cudownie było znowu poczuć entuzjazm – szepce.

Sven uśmiecha się i odwraca do niej, wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, dlatego go powstrzymuje, zbierając cały swój rozsądek w jednym duszącym oddechu i mówiąc:

– Jeśli to nie jest dla pana zbyt duży problem, byłabym bardzo wdzięczna, gdyby pan potem odwiózł dzieci do domu.

Britt-Marie widzi, jak Sven siedzi i maleje z każdą mijającą sekundą. Serce się w niej skręca. W nim też.

– Domyślam się, że to znaczy, że, no cóż. Domyślam się, że Kent panią odwiezie – wydusza z siebie.

– Tak – szepce Britt-Marie.

Sven siedzi, milcząc i trzymając ręce na brzegu ławki. Ona robi to samo, bo lubi robić to samo co on. Zerka na niego i chce mu powiedzieć, że to nie jego wina. Że jest po prostu za stara, żeby się zakochać. Chce mu powiedzieć, że może przeżyć coś lepszego. Że zasługuje na to. Że zasługuje na coś idealnego. Ale nie mówi tego, ponieważ się boi, że powie, iż to ona jest idealna.

Britt-Marie nadal trzyma mocno wazon, kiedy miasto i droga migają jej przed oknem w bmw. Klatka piersiowa boli ją od powstrzymanych marzeń. Kent naturalnie mówi przez całą drogę. Na początku o piłce nożnej i o dzieciach, ale wkrótce zmienia temat na interesy i Niemców, i swoje plany. Chce pojechać na wakacje, mówi, tylko on i ona. Mogą pójść do teatru. Pojechać nad morze. Już niedługo. Tylko musi załatwić kilka spraw. Kiedy wjeżdżają do Borg, żartuje, że to miasteczko jest takie małe, że można stać przy znakach wjazdu i wyjazdu z niego i rozmawiać ze sobą, nie podnosząc głosu.

– Jak się człowiek położy, to stopy wylądują w następnej wiosze! – chichocze, a kiedy Britt-Marie nie odpowiada od razu, mówi to jeszcze raz.

Jakby to było problemem.

– Okej, pobiegnij po swoje rzeczy, to będziemy mogli już jechać! – mówi niewzruszony, kiedy zatrzymuje się pod domem Bank.

– Teraz? – syczy Britt-Marie, szyja tak mocno jej tętni, że czuje ból przy każdej sylabie.

– Tak, do cholery, mam jutro spotkanie. Jak teraz wyjedziemy, nie będzie po drodze żadnych korków! – instruuje, stukając koniuszkami palców po kokpicie, jakby chciał, żeby się pospieszyła.

– Nie możemy przecież stąd wyjechać w samym środku nocy – protestuje Britt-Marie ledwo słyszalnie.

– Dlaczego nie? – pyta.

– Doprawdy tylko przestępcy jeżdżą samochodami w środku nocy – szepce Britt-Marie zdecydowanie.

– Na Boga, kochanie, skup się – stęka Kent.

Paznokcie Britt-Marie wbijają się w wazon.

– Nawet nie złożyłam wypowiedzenia. Nie mogę doprawdy stąd wyjechać, nie składając wypowiedzenia. Trzeba oddać klucze, chyba to rozumiesz.

Kent śmieje się, podnosząc ręce do sufitu.

– Kochanie, chyba nie można tego nazwać „pracą”?

Britt-Marie przygryza policzki.

– Dla mnie to jest praca – szepce.

– Tak, tak, nie to chciałem powiedzieć, kochanie. Nie wściekaj się. Ale możesz przecież zadzwonić po drodze. Chyba nie jest to takie ważne? Mam jutro spotkanie! – mówi Kent, jakby to on się dopasowywał.

Britt-Marie nie odpowiada. Kent gładzi się po brodzie, mówiąc coś, co w jego opinii pewnie jest żartem:

– Dostajesz w ogóle wynagrodzenie za tę „pracę”?

Paznokcie Britt-Marie bolą, kiedy uginają się, przyciskając się do ceramiki na kolanach.

– Nie jestem przestępcą. Nie pojadę samochodem do domu w środku nocy. Nie zrobię tego, Kencie – szepce.

Kent wzdycha, poddając się.

– No dobra, dobra, to pojedziemy jutro rano, jeśli to takie ważne. Cholercia, ale ta wieś weszła ci w krew, kochanie! Przecież nawet nie lubisz piłki nożnej!

Paznokcie Britt-Marie powoli puszczają ceramikę. Jej kciuk przesuwa się po brzegu wazonu. Poprawia w nim tulipany.

– Kilka dni temu dostałam krzyżówkę, Kencie. Było w niej pytanie o piramidę potrzeb Maslowa.

Kent zaczyna wstukiwać coś do swojego telefonu, więc Britt-Marie wysila się trochę bardziej, sycząc:

– To popularne pytanie w krzyżówkach, doprawdy, piramida Maslowa. Dlatego poczytałam o niej w gazecie. Opisuje potrzeby człowieka. Na pierwszym stopniu są najbardziej podstawowe potrzeby. Jedzenie i woda.

– Mmm – mówi Kent, wyglądając, jakby odpowiadał na SMS-a.

– Powietrze też, domyślam się – dodaje Britt-Marie tak cicho, że słychać, iż sama nie jest tego pewna.

Drugi stopień to „bezpieczeństwo”, trzeci to „wspólnota”, czwarty to „poczucie własnej godności”. Pamięta to dokładnie, bo ten Maslow jest bardzo popularny w krzyżówkach. Nawet dowcipnisie wydają się go lubić.

– Najwyższy stopień w piramidzie to „samorealizacja”. I tego właśnie doświadczyłam, Kencie. Doświadczyłam samorealizacji.

Britt-Marie przygryza wargę.

– Naturalnie to niedorzeczne według ciebie, z pewnością.

Kent podnosi głowę znad swojego telefonu. Obserwuje ją i oddycha głęboko na głos, tak jak to zwykle robi, zanim zacznie chrapać.

– Nie, nie! Rozumiem to, do cholery, kochanie. Rozumiem. To świetnie, naprawdę świetnie! Samorealizacja. Świetnie.

– Też uważam, że to świetnie – szepce Britt-Marie, trzymając go za rękę.

Kent potakuje i się szczerzy.

– No to teraz wyrzuciłaś to z siebie. No to jutro jedziemy do domu!

Britt-Marie przygryza wargę i puszcza jego rękę. Przyciska mocno do siebie wazon, wysiada z samochodu.

– Do cholery, kochanie. Nie denerwuj się! Jak długo trwa ta praca? Do kiedy jesteś zatrudniona? – pyta Kent.

– Trzy tygodnie – wydusza z siebie Britt-Marie.

– A potem? Kiedy te trzy tygodnie się skończą, nie będziesz już miała pracy? Będziesz mieszkać w Borg na bezrobociu?! – woła za nią.

Kiedy Britt-Marie nie odpowiada, wzdycha i wysiada z samochodu.

– Chyba wiesz, że to nie jest twój dom, kochanie.

Britt-Marie wie, że on ma rację.

Kent biegnie za nią. Ona się zatrzymuje i przygryza policzki. On odbiera od niej wazon z tulipanami, wnosi go do domu, ona idzie wolno za nim. On spuszcza swoją wielką głowę.

– Przepraszam, kochanie – mówi, kładąc czule ręce na jej podbródku, kiedy stoją w przedpokoju.

Britt-Marie zamyka oczy. On całuje ją w powieki. Zawsze tak robił, na początku, zaraz po śmierci jej matki. Kiedy była najbardziej samotna na świecie. Aż pewnego dnia stała na klatce schodowej i już nie odczuwała

samotności. Bo on jej potrzebował, a nie jest się samotnym, kiedy człowiek czuje się potrzebny. Dlatego kocha, kiedy on całuje ją w powieki.

– Jestem tylko zestresowany. Z powodu jutrzejszego spotkania. Ale wszystko będzie dobrze. Obiecuję, obiecuję.

Britt-Marie chce mu uwierzyć. Kent się szczerzy, całuje ją w policzek i mówi, żeby się nie martwiła. Że przyjedzie po nią jutro rano o szóstej, żeby zdążyli przed korkami. Potem żartuje: „Nigdy nie wiadomo, czy te wszystkie trzy samochody, które mają w Borg, nagle nie wyjadą na drogę jednocześnie! Może być ciasno!”. Ona się uśmiecha, jakby to było zabawne. Stoi w przedpokoju za zamkniętymi drzwiami i czeka, aż on odjedzie.

Potem idzie po schodach na górę i ścieli łóżko. Porządkuje swoje torby. Składa wszystkie ręczniki. Schodzi znowu po schodach, wychodzi i spaceruje po Borg. Jest ciemno i cicho, jakby nikt tu nie mieszkał, jakby Puchar nigdy się nie odbył. Ale w pizzerii świeci się światło, słyszy, jak Ktośka i Bank śmieją się w środku. Słyszy też inne głosy. Brzęczenie szklanek. Piosenki o piłce nożnej i inne piosenki, które śpiewa Bank, z tekstami, jakich w opinii Britt-Marie bynajmniej nie powinno się powtarzać.

Britt-Marie otwiera ośrodek i zapala lampę w kuchni. Siada na taborecie i ma nadzieję, że pojawi się szczur. Tak się jednak nie dzieje. Dlatego siedzi z telefonem komórkowym, tuląc go w dłoniach, jakby miał płynną postać, mija dłuższa chwila, zanim zbiera się w sobie, żeby zadzwonić. Dziewczyna z urzędu pracy odbiera za trzecim razem.

– Britt-Marie? – mówi, jakby wyrwana ze snu.

– Chciałabym złożyć wypowiedzenie – szepce Britt-Marie.

Następuje taki odgłos, jakby dziewczyna się potknęła i coś przewróciła. Może lampę.

– Nie, nie, mama rozmawia tylko przez telefon, kochanie, spróbuj zasnąć – słyszy Britt-Marie.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – pyta Britt-Marie.

– Przepraszam. Rozmawiałam z moją córką. Zasnęłyśmy na kanapie – tłumaczy się dziewczyna po drugiej stronie.

– Nie wiedziałam, że ma pani córkę – syczy Britt-Marie.

– Mam dwie – odpowiada dziewczyna. Brzmi to tak, jakby wchodziła do kuchni, zapalała lampę i zaparzała kawę.

– Która godzina? – pyta.

– W każdym razie taka, że picie teraz kawy nie wydaje się rozsądne – odpowiada Britt-Marie, szybko dodając: – Ale proszę naturalnie robić, co pani uważa. Naturalnie.

Dziewczyna wdycha i wydycha dość metodycznie po drugiej stronie. Słychać, jakby robiła się kawa. Mimo wszystko.

– Co mogę dla pani zrobić, Britt-Marie?

– Chciałabym się zwolnić. Zamierzam jechać do domu – szepce Britt-Marie.

Dziewczyna długo milczy.

– Jak było na Pucharze? – pyta potem.

Jest w tym pytaniu coś, co ma wpływ na Britt-Marie. Może chodzi o to, że wylądowała jako inny człowiek po golu Bena. Nie wie. Ale robi wdech i wydech, a potem opowiada wszystko.

O miasteczkach przy drogach i szczurach, i ludziach, którzy noszą bejsbolówki w pomieszczeniach. O pierwszych randkach chłopców, o koszulkach na ścianach pizzerii. Wszystko z niej wypływa. O faxinie i bambusowych zasłonach, butelkach po piwie, celofanie i meblach z Ikei. Pistoletach i dodatkach z krzyżówkami. Policjantach i przedsiębiorcach. Idiocie w błysku świateł ciężarówki. Niebieskich drzwiach i dawnych meczach. Fioletowych tulipanach i whisky, i o papierosach, i o straconych matkach. O grypie. I o puszkach z napojami gazowanymi. O jeden do zera dla drużyny z miasta. O dziewczynce, która zatrzymała strzał twarzą. O kosmosie.

– To brzmi śmiesznie. Naturalnie pani myśli, że to brzmi śmiesznie – szepce.

Dziewczynie po drugiej stronie załamuje się głos, kiedy mówi:

– Czy opowiadałam pani, dlaczego się tym zajmuję, Britt-Marie? Nie wiem, czy pani o tym wie, ale trzeba wytrzymać wiele gówna, kiedy się pracuje w urzędzie pracy. Ludzie naprawdę potrafią być źli. I kiedy mówię „gówna”, Britt-Marie, musi pani wiedzieć, że chodzi mi o dosłowne znaczenie. Raz pewna osoba wysłała mi kupę w kopercie.

– Koniec świata! – wybucha Britt-Marie tak szybko, że aż zaczyna kaszleć.

– Jakby to była moja wina, że jest kryzys finansowy – mówi dziewczyna.

Britt-Marie się nie rusza, rozmyślając nad czymś przez dłuższą chwilę.

– Britt-Marie? – pyta w końcu dziewczyna, żeby sprawdzić, czy nadal tam jest.

Britt-Marie kaszle.

– Czy można zapytać, jak ją włożyli do koperty?

– Kupę? – pyta dziewczyna.

Britt-Marie potakuje zdecydowanie.

– Ha. Ha. Naturalnie uważa pani, że to głupie pytanie, naturalnie. Ale moim zdaniem wydaje się to trudne, trafić tam, gdzie trzeba.

Dziewczyna śmieje się głośno przez kilka minut. Britt-Marie cieszy się, że straciła głos, bo myśli, że dziewczyna może nie słyszy, że ona też się śmieje. Może to nie kosmos, może nie, ale to uczucie sprawia, że podnosi się nieco znad taboretu.

– Czy wie pani, dlaczego się tym zajmuję, Britt-Marie? – pyta znowu dziewczyna.

– Nie – odpowiada Britt-Marie.

– Moja mama pracowała w opiece społecznej przez całe swoje życie. Mówiła zawsze, że w samym środku gówna, w samym środku najgorszego, pojawia się historia pełna słonecznych promieni. I wtedy to wszystko jest tego warte.

Dziewczyna milczy długo, długo, długo. Potem uśmiecha się słowami wypowiadanymi do słuchawki:

– Pani jest moją promienną historią, Britt-Marie.

Britt-Marie przełyka ślinę.

– Nie wypada rozmawiać przez telefon w środku nocy. Jeśli pani pozwoli, zadzwonię jutro.

– Dobrej nocy, Britt-Marie – szepce dziewczyna.

– Pani też – szepce Britt-Marie.

Kończą rozmowę.

Britt-Marie siedzi na taborecie z telefonem komórkowym, tuląc go w dłoniach. Zaskakuje ją odczucie, że tak bardzo by chciała, żeby pojawił się szczur. Kiedy słychać pukanie do drzwi, myśli, że to on. Potem naturalnie się opanowuje, dochodząc do wniosku, że szczury bynajmniej nie pukają do drzwi, bo nie mają knykci. Przynajmniej tak to sobie wyobraża.

– Jest ktoś w domu? – pyta Sami w progu.

Britt-Marie zeskakuje z taboretu.

– Coś się stało? Czy ktoś miał wypadek?

Sami stoi spokojnie, oparty o ościeżnicę.

– Nie. Skąd ten pomysł?

– Jest przecież środek nocy, Sami. Nie przychodzi się przecież do ludzi w środku nocy, nie dzwoniąc wcześniej, jakby się było sprzedawcą odkurzaczy lub kimś takim, jak nic się nie stało!

– Mieszka pani tutaj? – Sami się szczerzy.

– Chyba rozumiesz, co mam na myśli – szepce Britt-Marie.

Sami kiwa głową.

– Luz, Britt-Marie. Przejeżdżałem obok i zobaczyłem, że się świeci. Pomyślałem, że ma pani ochotę na papierosa. Albo na drinka.

Śmieje się jej kosztem. Wcale jej się to nie podoba.

– Doprawdy nie – syczy.

– Okej. W porządku – śmieje się Sami.

Britt-Marie poprawia spódnicę.

– Ale jeśli masz ochotę na snickersa, to zapraszam.

Siadają na taboretach. Patrzą na gwiazdy przez najczystsze okna w całym Borg, jedząc snickersa z talerzyków.

– Było dzisiaj *nice* – mówi Sami.

– Tak, było… *nice* – zgadza się Britt-Marie.

Chce mu powiedzieć, że musi opuścić Borg i pojechać jutro do domu; nigdy się nie dowie, czy to wyczuł, bo zanim zdąży otworzyć usta, Sami mówi:

– Muszę pojechać do miasta. Muszę pomóc przyjacielowi.

– Jakiemu przyjacielowi? Jest środek nocy – syczy Britt-Marie.

– Magnusowi. Ma problem z kilkoma facetami. Jest im winien kasę, wie pani. Muszę mu pomóc – mówi Sami.

Britt-Marie gapi się na niego. On kiwa głową. Uśmiecha się autoironicznie.

– Wiem, co pani sobie myśli. Ale to jest Borg. Przebaczamy sobie w Borg. Nie mamy wyboru. Jakbyśmy tego nie robili, nie mielibyśmy żadnych przyjaciół, na których moglibyśmy się wkurzać.

Britt-Marie się podnosi. Bierze ostrożnie jego talerz. Waha się długo, ale w końcu kładzie czule zabandażowaną rękę na jego policzku.

– Nie musisz być zawsze tym, który interweniuje, Sami – szepce.

– Muszę – szepce Sami.

Britt-Marie zmywa naczynia. On stoi obok i wyciera talerze. Czyszczą swoją część lady.

– Jeśli mi się coś stanie, może mi pani obiecać, że dopilnuje, żeby Omarowi i Vedze nic się nie stało? Może mi pani obiecać, że znajdzie pani dobrych ludzi, którzy się nimi zajmą? – pyta.

Krew opuszcza twarz Britt-Marie.

– Dlaczego miałoby ci się coś stać? – syczy przerażona.

Jego ręka obejmuje uspokajająco jej ramiona.

– Eee, nic mi się nie stanie. Jestem pierdolonym supermanem. Ale wie pani. Jakby coś, to dopilnuje pani, żeby zamieszkali z dobrymi ludźmi?

Britt-Marie wyciera dokładnie ręce w ręcznik, żeby Sami nie zauważył, że się trzęsą.

– Dlaczego pytasz mnie? Dlaczego nie zapytasz Bank albo Svena, al…

– Bo pani nie jest kimś takim, kto odchodzi, Britt-Marie – mówi.

– Ani ty! – protestuje Britt-Marie.

Sami staje na progu i zapala papierosa. Britt-Marie stoi z boku i wdycha dym, dorosła kobieta, jakby była kelnerką. Słońce jeszcze nie wzeszło. Usuwa włos z rękawa jego kurtki. Kładzie włos na chusteczkę i ją składa.

– Za którą drużyną była wasza mama? – szepce.

Sami szczerzy się i odpowiada oczywiście tak, jak odpowiadają na to pytanie wszyscy synowie:

– Za naszą.

Sami odwozi ją do domu Bank. Całuje ją we włosy. Britt-Marie siedzi na balkonie obok spakowanych toreb i widzi, jak Sami jedzie w kierunku miasta. Zmusił ją, aby obiecała, że nie będzie siedziała całą noc i czekała, aż jego samochód wróci do Borg.

Mimo wszystko to robi.

34

– Pragnę poinformować, że złożyłam wypowiedzenie. Muszę wrócić do domu, drogi panie.

Britt-Marie bawi się bandażem owiniętym wokół serdecznego palca.

– Mogę doprawdy zrozumieć, że pan tego nie pojmuje. Ale moje miejsce jest w domu, z Kentem. Człowiek musi mieć swój dom.

Potakuje, jakby chciała przeprosić.

– Naturalnie nie chcę przez to powiedzieć, że szczury nie potrzebują domu. Bynajmniej. Jestem pewna, że posiada pan całkiem wygodny dom.

Szczur siedzi na podłodze i obserwuje talerz przed sobą, jakby ten nadepnął mu na ogon i nazwał go bałwanem.

– Nie było snickersów – przeprasza Britt-Marie.

Szczur patrzy na słoiki na talerzu.

– To jest masło orzechowe. A to jest coś, co się nazywa „nutella” – mówi dumnie Britt-Marie, po czym tłumaczy, odchrząkując: – Nie było snickersów w sklepie spożywczym, ale poinformowano mnie, że to właściwie to samo.

Nadal jest środek nocy. Ktośka nie była bynajmniej zadowolona, że została obudzona, ale Britt-Marie nie potrafiła usiedzieć w samotności z torbami na balkonie Bank. Dlatego przyszła tu, żeby się pożegnać. Ze szczurem i z miasteczkiem.

Britt-Marie serwuje co nieco z każdego słoika, układając obydwa produkty schludnie na talerzu. Obok kładzie gałązkę koperku. Składa serwetkę i umieszcza ją obok talerza.

– Nie musi pan zjadać koperku, jeśli pan nie chce. To tylko dekoracja – wyjaśnia.

Szczur je masło orzechowe. Britt-Marie stoi przy oknie. Wkrótce zacznie świtać. Ktośka zgasiła światło w pizzerii i ponownie się położyła, mając nadzieję, że Britt-Marie nie zacznie znowu pukać do jej drzwi, bo potrzebuje czekolady z orzeszkami ziemnymi. Impreza już dawno temu się

skończyła. Droga jest pusta. Britt-Marie pociera swoją obrączkę ziemniakiem obtoczonym w sodzie oczyszczonej, bo to najlepszy sposób czyszczenia obrączek. Czyści tak zwykle obrączkę Kenta, kiedy on zapomina ją wziąć z nocnego stolika przed spotkaniem z Niemcami. Kent bywa taki roztrzepany, najczęściej kiedy spotyka się z Niemcami. Britt-Marie zwykle czyści obrączkę do takiego stopnia, żeby błyszczała tak mocno, by nie mógł jej nie zobaczyć, kiedy wstaje z łóżka następnego ranka.

Po raz pierwszy czyści własną obrączkę. Po raz pierwszy jej nie nosiła. Nie patrząc na szczura, szepce:

– Kent mnie potrzebuje. Człowiek musi czuć się potrzebny, drogi panie.

Nie wie, czy szczury siedzą nocami w kuchni i zastanawiają się, jak żyć. Albo z kim.

– Sami powiedział, że nie jestem kimś takim, kto odchodzi, drogi panie, ale przecież jestem dokładnie kimś takim. Gdzie tylko się obrócę, to od kogoś odchodzę. Dlatego jedynym prawidłowym rozwiązaniem musi być zostanie tam, gdzie ma się dom. W swoim zwykłym życiu.

Britt-Marie stara się mówić pewnie. Szczur liże łapki. Robi pół okręgu na serwetce. Potem wybiega przez drzwi.

Britt-Marie nie wie, czy on nie jest zdania, że Britt-Marie mówi za dużo. Nie wie, dlaczego dalej przychodzi. Naturalnie chodzi o snickersa, ale ma nadzieję, że chodzi też o coś innego. Bierze talerz i przykrywa plastikową folią resztę masła orzechowego i nutellę. Wkłada wszystko do lodówki ze starego przyzwyczajenia, ponieważ nie jest kimś takim, kto wyrzuca jedzenie. Osusza dokładnie obrączkę, zawija ją w kawałek papierowego ręcznika i wkłada do kieszeni żakietu. Miło będzie zdjąć bandaż i wsunąć ją z powrotem na palec. To będzie jak położenie się we własnym łóżku po długiej podróży.

Zwykłe życie, nigdy nie chciała niczego innego prócz zwykłego życia. Mogła dokonać innych wyborów, mówi do siebie, ale wybrała Kenta. Człowiek nie wybiera okoliczności, ale decyduje o swoich czynach, upiera się w ciszy. Sami miał rację. Nie jest kimś takim, kto odchodzi. Dlatego musi pojechać do domu, tam, gdzie jest potrzebna.

Siedzi na taborecie w kuchni, patrzy w ścianę, czekając na czarny samochód. Nikt nie nadjeżdża. Zastanawia się, czy Sami myśli o tym, jak ma przeżyć życie, czy kiedykolwiek miał taki luksus. Człowiek decyduje

o swoich wyborach, z pewnością, ale w życiu Samiego było więcej okoliczności niż działań. Zastanawia się, czy wybory, czy też okoliczności robią z nas tego typu ludzi, jakimi się stajemy, co sprawiło, że Sami stał się kimś takim, kto interweniuje. Zastanawia się, czego najbardziej wymaga się od człowieka: żeby był kimś takim, kto skacze, czy kimś takim, kto tego nie robi.

Zastanawia się, ile człowiek ma miejsca w duszy, żeby się zmienić, kiedy jest już wystarczająco stary. Kogo jeszcze spotka, co można w niej zobaczyć, jacy ludzie sprawią, że zobaczy coś w sobie.

Sami pojechał do miasta, żeby chronić kogoś, kto na to nie zasługuje, Britt-Marie jest gotowa pojechać do domu z tego samego powodu. Bo jeśli nie przebaczamy tym, których kochamy, to kto nam zostanie? Czym jest miłość, jeśli nie kochaniem naszych bliskich, kiedy na to nie zasługują?

Wszystkie pytania Britt-Marie dotyczą jednego: Jak żyć? Dla kogo? Czyje jest to życie?

Światła na drodze błyszczą, powoli wydobywają się z ciemności jak ręce z wody. Przejeżdżają obok znaku witającego podróżnych w Borg. Zwalniają przy przystanku. Skręcają na żwir. Britt-Marie stoi przy wejściu.

W późniejszym opisie, kiedy będzie się opowiadało o tym, co wydarzyło się w mieście, zostanie powiedziane, że kilku młodych mężczyzn znalazło wczesnym rankiem Magnusa pod barem. Jeden z nich miał w ręku nóż. Inny młody mężczyzna interweniował. Taki, który zawsze interweniuje.

Samochód zatrzymuje się wolno na żwirze. Ciepłe westchnienie, kiedy silnik gaśnie. Światła zostają wyłączone, jednocześnie zapalają się lampy w pizzerii. W niektórych miasteczkach wiadomo od razu, co oznaczają samochody zatrzymujące się pod oknem przed świtem. Wiadomo, że to nic dobrego. Ktośka wyjeżdża na schody, wózek zatrzymuje się od razu, kiedy dostrzega policyjny mundur.

Sven stoi, trzymając swoją czapkę w obydwu rękach, na wardze ma odciski zębów, które próbowały wszystko powstrzymać. Nierozważność, która spływa czerwonymi strużkami wzdłuż jego policzków, świadczy o tym, jakże to było daremne.

Britt-Marie krzyczy na cały głos. Upada. Ląduje pod ciężarem człowieka, którego już nie ma.

35

Ta żałoba nie jest powolna. Nie narasta w śladach wyparcia, złości, rozmowach, depresji i akceptacji. Wybucha od razu jak żarłoczny pożar, ogień, który pożera cały tlen. Britt-Marie leży na ziemi, kopie i uderza w żwir, starając się złapać powietrze. Ciało próbuje się wygiąć do środka, jakby nie było w nim kręgosłupa, jakby próbowało desperacko stłumić wewnętrzne płomienie.

Śmierć jest totalną niemocą. Niemoc jest totalną desperacją.

Britt-Marie nie wie, jak udaje jej się wstać. Jak Sven wsadza ją do samochodu. Musiał ją zanieść. Znajdują Vegę w połowie drogi między ośrodkiem a mieszkaniem, leży na żwirze. Włosy ma przylepione do twarzy. Jej słowa brzmią jak zadyszane płukanie gardła, jakby łzy wypełniły jej płuca. Jakby dziewczynka topiła się od środka.

– Omar. Musimy znaleźć Omara. On ich zabije.

Britt-Marie nie wie, czy to ona obejmuje Vegę na tylnym siedzeniu najmocniej, jak potrafi, czy jest na odwrót.

Wokół nich świt wybudza Borg jak oddech ukochanego w uchu. Słońcem i obietnicami. Jak łaskoczące światło na ciepłej narzucie, jak zapach świeżo zaparzonej kawy, jak tosty. Nie powinien tego robić. To nazbyt zły dzień, żeby było pięknie, ale świt się tym nie przejmuje. Radiowóz przeciska się przez pierwszą godzinę poranka, sam na drodze. Palce Svena trzymają tak mocno kierownicę, pulsują od krwi, która z nich wypływa, że musi to boleć. Jakby musiał gdzieś zebrać ból. Poukładać go. Przyspiesza, kiedy widzi drugi samochód. Jedyny samochód, który chce wyjechać z Borg o tej porze. Jedyny brat, którego Vega musi uratować.

Każda śmierć jest niesprawiedliwa. Każda żałoba poszukuje winnego. Nasza złość spotyka się prawie zawsze z niemiłosiernym uświadomieniem sobie, że nikt nie jest winny niczyjej śmierci. Ale jeśli ktoś jest jej winny?

A gdyby było wiadomo, kto zabrał tego, kogo kochamy? Co byśmy zrobili? W którym samochodzie byśmy siedzieli? Co trzymalibyśmy w rękach?

Radiowóz przejeżdża z hukiem i zatrzymuje się gwałtownie przed drugim samochodem. Stopy Svena dotykają asfaltu, zanim któryś z nich zdąża się zatrzymać. Całą wieczność stoi sam na drodze, przez twarz biegną mu czerwone paski, a usta są wybrzuszone od ugryzień. W końcu otwierają się drzwi samochodu i Omar wysiada. Oczy mężczyzny w ciele chłopca. Koniec dzieciństwa. To tego typu noc, której nie można cofnąć w człowieku.

– Co, Sven? Co masz mi do powiedzenia? Że mam za dużo do stracenia? Co mogę, kurwa, jeszcze stracić?

Sven wyciąga przed siebie ręce, dłońmi do góry. Wzrok błądzi po tym, co Omar trzyma w ręce. Ledwo słychać jego głos.

– Powiedz mi, Omarze, gdzie to się skończy. Kiedy ich zabijesz, a oni ciebie. Opowiedz, gdzie to się wtedy skończy.

Omar się nie rusza. Jakby on też musiał gdzieś zebrać swój ból. Dwóch młodych mężczyzn w samochodzie za nim otwiera drzwi, ale nie wysiada, siedzą tam i czekają na decyzję Omara.

Britt-Marie ich rozpoznaje. Grali w piłkę z Samim i Magnusem w blasku świateł czarnego samochodu Samiego… Kiedy to było? Kilka dni temu? Tygodni? Całe życie temu. Są tylko chłopcami. Oni też.

Śmierć jest totalną niemocą. Niemoc jest totalną desperacją. Zdesperowani ludzie podejmują desperackie czyny. Włosy Britt-Marie poruszają się na wietrze, kiedy drzwi radiowozu się otwierają i Vega wysiada. Patrzy na swojego brata. Przyciska głowę do jego szyi i szepce:

– Gdzie stał Sami?

Kiedy Omar nie odpowiada od razu, powtarza:

– Gdzie. Stał. Sami?

– Między nami – mówi Omar, dysząc.

Dwóch młodych mężczyzn rzuca ostatnie spojrzenie na Svena. Kiedyś może dało się ich powstrzymać. Ale dzisiaj skaczą.

Samochód odjeżdża, zostawiając Britt-Marie, Svena i dwoje dzieci na drodze. Świt opanowuje ich wszystkich.

Jakby nie miał nic lepszego do roboty.

Radiowóz jedzie wolno przez Borg, przejeżdża na drugą stronę, skręca w żwirową drogę. Jedzie całą wieczność, Britt-Marie nie wie, czy zasnęła, czy zemdlała. Zatrzymują się nad jeziorem. Britt-Marie zawija pistolet we wszystkie chusteczki, jakie ma w torebce, nie wie dlaczego, ale może nie chce, żeby dziewczynka się pobrudziła. Vega upiera się, że ona to zrobi. Wysiada i rzuca go do wody tak daleko, jak tylko potrafi.

Britt-Marie nie wie, jak godziny stają się dniami ani ile ich mija. Śpi w nocy między dziećmi w łóżku Samiego. Uderzenia ich serc w jej dłoniach. Zostaje tam wiele dni. Nic nie planuje, nie podejmuje żadnych decyzji, po prostu z nimi jest. Świty i zmierzchy się stapiają. Potem pamięta jak przez mgłę, że rozmawiała z Kentem przez telefon, ale nie pamięta, co zostało powiedziane. Wydaje jej się, że może go poprosiła, żeby załatwił wszystkie praktyczne rzeczy, zadzwonił w kilka miejsc, radzi sobie w takich sytuacjach. Wszyscy zawsze mówią, że jest w tym dobry.

Sven przychodzi do mieszkania pewnego popołudnia, Britt-Marie nie wie, który to dzień z kolei. Ma ze sobą młodą dziewczynę z pomocy socjalnej. Jest ciepła i miła. Kark Svena nie wygląda już, jakby dawał radę unosić jego myśli. Dziewczyna siada z nimi wszystkimi przy stole w kuchni, mówi wolno i delikatnie, ale nikt nie potrafi się skoncentrować. Wzrok Britt-Marie błądzi gdzieś za oknem, jedno dziecko patrzy w sufit, drugie na podłogę.

Kolejnej nocy Britt-Marie budzi łoskot pod mieszkaniem. Wstaje, błądzi ręką, szukając włączników światła. Od drzwi balkonowych wieje wiatr. W kuchni Vega kiwa się maniakalnie do przodu i do tyłu. Do przodu i do tyłu. Do przodu i do tyłu. Sprząta. Czyści wszystko, co znajduje. Ręce pocierają gorączkowo blat i patelnie. W kółko. Jakby były magicznymi lampami, które mogą jej wszystko oddać.

Ręce Britt-Marie wahają się w powietrzu za jej drżącymi ramionami. Palce się uginają, ale nie dotykają niczego.

– Przykro mi, rozumiem, że musisz czuć… – szepce.

– Nie mam czasu, żeby coś czuć. Muszę się zająć Omarem – przerywa dziewczynka bezbarwnym głosem.

Britt-Marie chce jej dotknąć, ale ona się wyrywa, dlatego Britt-Marie idzie po swoją torebkę. Wyjmuje sodę oczyszczoną. Dziewczynka spotyka jej wzrok, smutek nie ma nic więcej do powiedzenia. Słowa nic nie

zmienią. Dlatego sprzątają, aż nastaje kolejny dzień. Chociaż nawet soda oczyszczona na to nie pomaga.

Pewnej niedzieli w styczniu, kiedy Liverpool spotyka się ze Stoke w meczu wyjazdowym, Sami zostaje pogrzebany obok swojej mamy, pod miękką kołderką z czerwonych tulipanów. Opłakiwany przez brata i siostrę, i całe miasteczko. Omar zostawia szalik na cmentarzu. Britt-Marie podaje kawę w pizzerii, dopilnowuje, aby każdy miał podkładkę. Wszyscy mieszkańcy Borg tam są. Wokół parkingu stoją zapalone świeczki, białe koszulki z numerami na plecach wiszą cicho w rzędzie na płocie. Niektóre są nowe, niektóre tak stare i sprane, że są szare. Ale wszyscy pamiętają.

Vega stoi w drzwiach w świeżo wyprasowanej sukience. Ma uczesane włosy. Przyjmuje kondolencje, jakby oni mieli największe prawo do żałoby. Mechanicznie potrząsa ich dłońmi. Ma apatyczny wzrok, jakby ktoś wyłączył w niej korki. Coś łomocze na parkingu, ale nikt tego nie słyszy. Britt-Marie próbuje nakłonić Vegę do zjedzenia czegoś, ale ona nie odpowiada nawet, kiedy się ją woła. Pozwala zaprowadzić się do stołu, siada na krześle, ale jej ciało reaguje tak, jakby spało. Obraca się i przekręca instynktownie do ściany. Nie chce być dotykana. Łomotanie na parkingu wzrasta. Rozpacz Britt-Marie rośnie. Ludzie różnie odczuwają niemoc i desperację, ale dla Britt-Marie nigdy nie stają się one wyraźniejsze, niż kiedy nie potrafi nakłonić kogoś do jedzenia.

Mruczące głosy tłumu w pizzerii urastają w jej uszach do rozmiarów orkanu, jej ręce się poddały i szukają teraz ramienia Vegi, jakby wyciągały się nad urwiskiem. Ale ramię się odsuwa. Opada na ścianę. Oczy uciekają do środka. Talerz stoi nieruszony.

Kiedy łomotanie na parkingu wzrasta jeszcze bardziej, jakby chciało coś udowodnić, Britt-Marie obraca się ze złością do drzwi, ręce ma tak mocno splecione, że bandaż spada z jej palców, chce ostro krzyknąć, że ma być spokój, kiedy czuje, jak ciało dziewczynki przepycha się obok niej i idzie dalej, mijając masę ludzi.

Na zewnątrz stoi wsparty na kulach Max. Wisi na ramionach całym swoim ciężarem, stara się utrzymać równowagę, balansując ciałem w powietrzu, wymachuje zdrową nogą i kopie piłkę tak, że ta leci łukiem w kierunku ośrodka, potem na płot z koszulkami, aż w końcu wraca do

niego. Bu-bum-bum, tak to brzmi. Bu-bum-bum. Bu-bum-bum. Bu-bum-bum.

Jak bicie serca.

Kiedy dziewczynka podchodzi dostatecznie blisko, Max przepuszcza piłkę, nie obracając się. Piłka zbliża się do Vegi, zatrzymuje się u jej stóp. Palce Vegi dotykają piłki przez buty. Pochyla się, wyciąga koniuszki palców i dotyka szwów na skórze piłki.

Potem płacze, nie starając się nawet opanować.

Tysiąc kilometrów dalej Liverpool wygrywa pięć do trzech.

36

Omar i Dino pojawiają się jako pierwsi, aby zagrać z Vegą. Na początku są ostrożni, jakby każdy ruch był dyktowany żałobą, ale wkrótce zaczynają grać tak, jakby to był zwykły wieczór. Grają, tracąc pamięć, ponieważ nie wiedzą, co mogliby zrobić. Pojawia się więcej dzieci, najpierw Ropucha i Ben, ale wkrótce także pozostałe. Britt-Marie nie rozpoznaje wszystkich, ale mają spodnie wytarte na udach. Grają, jakby były mieszkańcami Borg.

– Britt-Marie? – pyta Sven w formalny sposób, do którego nie jest przyzwyczajona.

Stoi u jej boku obok bardzo wysokiego mężczyzny. Naprawdę niezwykle wysokiego. Britt-Marie nawet nie wie, jak można by zainstalować działające oświetlenie u niego w domu.

– Ha? – mówi.

Sven przedstawia wujka Dina, po angielsku. W angielskim Svena jest mnóstwo „j”, ale Britt-Marie nie krytykuje. Nie jest kimś takim.

– Hello – mówi Britt-Marie, co stanowi z jej strony cały wkład w konwersację.

Nie chodzi o to, że Britt-Marie nie zna angielskiego. Chodzi o to, że nie wie, jak mówić, żeby nie poczuć się jak głupek. Nawet nie wie, jak jest po angielsku „głupek”. Uważa, że to uzasadnia jej powściągliwość.

Bardzo wysoki mężczyzna, który naprawdę jest nierozsądnie wysoki, choć Britt-Marie nie ma bynajmniej żadnych przesądów, wskazuje na Dina i wyjaśnia, że mieszkali w trzech krajach i siedmiu miastach, zanim przyjechali do Borg.

Sven uprzejmie tłumaczy dla Britt-Marie. Britt-Marie rozumie doskonale angielski, ale pozwala mu kontynuować, w obawie, że ktoś będzie oczekiwał, żeby coś powiedziała. Kąciki ust wysokiego mężczyzny drgają melancholijnie, kiedy mówi, że małe dzieci nie pamiętają, i że to jest

błogosławieństwo. Ale Dino był na tyle duży, żeby widzieć, słyszeć i zapamiętać. Pamięta, że uciekali.

– Mówi, że prawie w ogóle się nie odzywa, nadal. Że rozmawia tylko z nimi… – wyjaśnia Sven, wskazując za okno.

Britt-Marie kładzie jedną rękę na drugą. Wysoki mężczyzna robi to samo.

– Sami – mówi, wypowiada imię, jakby śpiewał, zwracając uwagę na każdą literę, rzęsy Britt-Marie ciążą.

– Mówi, że Sami zauważył chłopca samego na drodze. Vega i reszta wołali, pytając, czy nie chce z nimi zagrać, ale on nie rozumiał. Więc Sami kopnął do niego piłkę, a on w nią kopnął – mówi Sven.

Britt-Marie patrzy na wysokiego mężczyznę, rozsądek nie pozwala jej opowiedzieć, że pewnego razu, kiedy mieszkała z Kentem w hotelu, ktoś zostawił tam zagraniczną gazetę, a Britt-Marie rozwiązała prawie całą krzyżówkę zupełnie sama.

– *Thank you* – mówi wysoki mężczyzna.

– Chce podziękować, że pani trenowała drużynę. To wiele zna…

Britt-Marie przerywa mu, ponieważ rozumie.

– To ja dziękuję.

Sven zaczyna tłumaczyć wysokiemu mężczyźnie, ale on go powstrzymuje, ponieważ też rozumie. Przyciska dłoń Britt-Marie. Wraca do pizzerii i pomaga Ktośce pozbierać szklanki i talerze ze stołów.

– Pracuje nocami w szpitalu. Dino jadał zawsze kolację z Vegą i Omarem, bo Sami nie chciał, żeby chłopiec jadł sam – opowiada Sven.

Potem mocno zwija wargi do środka.

– To był piękny pogrzeb – mówi, ponieważ mówi się takie rzeczy w takiej sytuacji.

Wyjmuje coś z kieszeni i podaje Britt-Marie. Kluczyki do jej samochodu. Błądzi wzrokiem. Przez okno widzą bmw Kenta, które zakręca na końcu parkingu.

– Zakładam, że pojadą teraz państwo do domu, oboje – mówi Sven z nieobecnym wzrokiem.

– Tak będzie najlepiej – mówi Britt-Marie, przygryza policzki, ale słowa i tak się z nich wydostają: – Jeśli nie będę potrzebna. Jeśli nie będę potrzebna… Vedze i Omarowi…

Sven podnosi wzrok i opuszcza go w tym krótkim czasie, który mija między pierwszym zdaniem a zrozumieniem, że to, o czym mówi Britt-

Marie, dotyczy tego, czy potrzebują jej dzieci. A nie on.

– Ja, ja, naturalnie, naturalnie skontaktowałem się ze służbami socjalnymi. Wysłali jakąś dziewczynę do Borg – wyjaśnia z zaciśniętymi zębami, jakby już zapomniał, że przyjechał z dziewczyną do dzieci kilka nocy temu.

– Naturalnie – odpowiada Britt-Marie.

– Ona jest, polubi ją pani. Współpracowałem z nią wiele razy. Jest dobrym człowiekiem. Chce ich dobra, nie jest jak… nie taka, jak można się spodziewać po pracowniku służb socjalnych – mówi Sven.

Britt-Marie ściera chusteczką pot z czoła, żeby nie zauważył, że wyciera oczy.

– Obiecałam Samiemu, że będzie im dobrze. Obiecałam… chcę… muszą mieć szansę… to musi być jakaś promienna historia w ich życiu, Svenie. Kiedyś – wydusza z siebie.

– Zrobimy co w naszej mocy. Wszyscy zrobimy, co tylko możemy – odpowiada.

– Oczywiście, oczywiście – mówi Britt-Marie, patrząc na swoje buty.

Sven ściska palcami czapkę policyjną w rękach.

– Ta dziewczyna, ona zamieszka z nimi przez kilka dni. Aż wszystko załatwią. Jest bardzo troskliwa, nie musi się pani martwić, tak, no cóż, zostałem poproszony, aby zawieźć dzieci do domu.

Mija kilka sekund, zanim dociera do Britt-Marie, co powiedział. Zanim świadomość, że już nie jest potrzebna dzieciom, do niej dociera.

– Naturalnie, naturalnie. Tak będzie najlepiej, naturalnie – szepce.

Kent wysiada ze swojego bmw na boisko. Widzi przez okno Britt-Marie i Svena, wkłada nieobecnie ręce do kieszeni w spodniach i wygląda, jakby stał na rogu ulicy, nie chcąc przyznać, że się zgubił. Nigdy nie był dobry w rozmowach o śmierci, Britt-Marie to wie. Jest kimś takim, kto potrafi załatwić sprawy praktyczne, zadzwonić w kilka miejsc, może pocałować w powieki. Ale nigdy nie był dobry w uczuciach.

Jego wzrok wydaje się rozważać, czy wejść do pizzerii, ale stopy niosą go w przeciwnym kierunku. Przez kilka kroków wydaje się wracać do bmw, ale piłka toczy się w jego kierunku i zatrzymuje przy jego stopach. Omar stoi kilka metrów dalej. Kent kładzie podeszwę buta na piłce i patrzy na

chłopca. Kopie do niego piłkę. Omar odbiera ją bokiem stopy tak, że ta wraca do Kenta.

Trzydzieści sekund później Kent znajduje się w kłębowisku dzieci, w pogniecionej koszuli, która wyszła mu w trzech czwartych zza paska. Włosy są potargane, chwila szczęśliwa. Kiedy piłka zbliża się na wysokości kolana w jego kierunku, rozpędza się i strzela z całej siły, nie trafia w piłkę, widzi za to, jak jego własny but leci nad dachem ośrodka.

– Koniec świata – mamrocze Britt-Marie, stojąc przy oknie.

Dzieci podążają oczami za butem. Odwracają się do Kenta. Patrzy na nie i zaczyna się śmiać. One też się śmieją. Resztę meczu gra bez buta, kiedy strzela bramkę, biegnie wokół boiska z Omarem na plecach, tak żeby Britt-Marie mogła wyraźnie zobaczyć dużą dziurę w skarpetce, tak żeby ludzie pomyśleli, że nie ma nikogo, kto mógłby mu powiedzieć, że musi zmienić skarpetki.

Omar przytula go nieco za mocno. Nieco za długo. Tak jak wtedy, kiedy nastolatki mają szansę przytulić kogoś poza boiskiem. Kent też go przytula. Ponieważ w futbolu to dozwolone.

Sven obraca się od okna, mamrocząc:

– Proszę nie myśleć o mnie źle, Britt-Marie, że nie zadzwoniłem wcześniej do służb socjalnych. Chciałem dać szansę Samiemu na ułożenie wszystkiego. Pomyślałem, że ja, ja, ja chciałem mu dać szansę. Proszę nie myśleć o mnie źle.

Jej palce poruszają się w powietrzu między nimi tak blisko, jak mogą, nie dotykając go.

– Jest zupełnie na odwrót, Svenie. Na odwrót.

Sven wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, dlatego Britt-Marie wrzuca szybko między nich słowa:

– Teraz jest tu więcej dzieci niż przedtem. Skąd one się wzięły?

Sven zakłada czapkę policyjną na głowę. Ląduje na niej krzywo.

– Przychodzą tu każdego wieczoru po Pucharze. Każdego wieczoru jest ich coraz więcej. Jak tak dalej pójdzie, Borg przestanie być drużyną, stanie się klubem.

Britt-Marie nie wie, co to znaczy, ale ładnie brzmi. Wydaje jej się, że Samiemu by się to spodobało.

– Wyglądają na szczęśliwe. W samym środku tego wszystkiego potrafią być szczęśliwe, kiedy grają w piłkę nożną – stwierdza zazdrośnie.

Sven gładzi wierzchem dłoni brodę. Wygląda na zmęczonego. Nigdy nie widziała, żeby był zmęczony. Wreszcie kąciki jego ust poruszają się lekko, oczy błyszczą przez chwilę, kiedy mówi do niej:

– Futbol sprawia, że życie musi iść dalej. Zawsze jest nowy mecz. Zawsze jest następny sezon. Zawsze można marzyć, że wszystko będzie lepiej. To bajeczna gra.

Britt-Marie poprawia wgniecenie na jego koszuli, lekko jak motyl porusza opuszkami palców na koszuli, nie dotykając ciała pod spodem.

– Jeśli nie jest to zbyt niestosowne, chciałabym panu zadać osobiste pytanie, Svenie – mówi.

– Oczywiście – przytakuje smutno Sven.

– Której drużynie pan kibicuje?

Niespodziewanie jego twarz się rozluźnia.

– Nigdy nie kibicowałem żadnej drużynie. Chyba za bardzo kocham piłkę nożną. Czasami pasja kibicowania jakiejś drużynie może stanąć na drodze miłości do gry.

Britt-Marie myśli, że to pasuje do takiego mężczyzny jak Sven, aby bardziej wierzyć w miłość niż w pasję. Policjant, który bardziej wierzy w sprawiedliwość niż w prawo. Uważa, że to do niego pasuje. Jednak nie mówi tego na głos.

– Jakże poetycko – mówi.

– Kurs. – Sven się uśmiecha.

Chciałaby powiedzieć znacznie więcej. Być może on też. Ale wszystko, co mu się w końcu udaje wydobyć, brzmi:

– Chcę, aby pani wiedziała, Britt-Marie, że za każdym razem, jak ktoś puka do moich drzwi, mam nadzieję, że to pani.

Może chciałby powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymuje. Britt-Marie chce go zawołać, ale jest już za późno.

Drzwi dzwonią za nim radośnie, bo drzwi doprawdy nie wiedzą, że nie wypada tak robić.

Britt-Marie wyciera chusteczką policzki, żeby to nie wyglądało tak, jakby chciała wytrzeć oczy. Potem idzie zdecydowanym krokiem przez pizzerię do Ktoś ki. Nadal wszędzie jest pełno ludzi. Mama Bena i wujek Dina, i rodzice Ropuchy, ale także masa innych osób, których twarze Britt-

Marie pamięta przelotnie z trybun. Sprzątają i ustawiają krzesła, Britt-Marie musi się powstrzymywać, żeby ich nie poprawiać.

– To był… jak to szło? Piękny pogrzeb, no nie? – mówi Ktośka, jej głos brzmi nieco mgliście.

– Tak – potwierdza Britt-Marie, następnie wyjmuje portfel, mówiąc: – Czy zechciałaby mnie pani poinformować, ile jestem winna za drzwi w moim samochodzie?

Ktośka bębni palcami w bok wózka.

– To znaczy, ja, no wiesz, myślałam o twoim samochodzie, Britt-Marie. Nie mam dobrego mechanika, może jest nie tak, no wiesz? Sprawdź najpierw robotę, co? Potem wrócisz zapłacić.

– Nie rozumiem – informuje Britt-Marie.

Ktośka drapie się po policzku, żeby nikt nie zauważył, że przeciera oczy.

– Britt-Marie bardzo uczciwa. Nie kradnie. Dlatego wiem, że Britt-Marie wróci do Borg. Żeby zapłacić.

Britt-Marie chowa portfel. Wyjmuje chusteczkę. Obraca się.

– Oczywiście. Oczywiście.

Chce się zająć sprzątaniem, ale dociera do niej niemiłosierna świadomość, że obcy ludzie w pizzerii już to zrobili. Ktośka rozdzieliła wszystkie zadania. Nic już nie zostało.

Britt-Marie nie jest już potrzebna.

Stoi sama w drzwiach, dopóki dzieci nie przestają grać. Idą do domu, jedno po drugim. Sven czeka cierpliwie na Vegę i Omara kawałek dalej. Nie pospiesza ich. Vega idzie prosto na tylne siedzenie, zamyka za sobą drzwi, ale Omar spaceruje samotnie wzdłuż płotu, przeciągając palcami po koszulkach. Pochyla się nad świeczkami na ziemi, podnosi jedną z nich i zapala o inną, po czym ją odkłada. Kiedy się podnosi, dostrzega Britt-Marie w drzwiach. Jego ręka porusza się prawie niezauważalnie na wysokości biodra, machając do niej. Machanie młodego mężczyzny znaczy o wiele więcej niż machanie dziecka. Britt-Marie macha do niego tak długo, jak długo udaje jej się ukryć, że płacze.

Wchodzi na parking, gdy radiowóz skręca na drogę i znika, jadąc w kierunku domu dzieci. Kent czeka na nią. Jest spocony, ma pogniecioną koszulę, która zwisa mu znad paska. Włosy sterczą z jednej strony jego

wielkiej głowy i nadal ma na sobie tylko jeden but. Wygląda głupio. Przypomina to Britt-Marie, jak wyglądali, kiedy byli dziećmi. Jego pasja nigdy nie przejmowała się opinią innych ludzi, nigdy nie bał się ośmieszyć. Nigdy nie potrzebował potwierdzenia od kogoś innego niż Britt-Marie.

Kent trzyma ją za rękę, ona przyciska powieki do jego ust. Mamrocze:

– Vega się boi, nawet jeśli się wydaje, że jest zła. Omar jest zły, nawet jeśli się wydaje, że się boi.

– Wszystko będzie dobrze – mówi Kent w jej włosy.

– Obiecałam Samiemu, że będzie im dobrze – mówi Britt-Marie, łkając.

– Będzie im dobrze, musisz pozwolić, aby odpowiednie służby się tym zajęły – mówi spokojnie Kent.

– Wiem. Oczywiście, że wiem – szepce ona.

– To nie są twoje dzieci, kochanie – mówi Kent.

Britt-Marie nie odpowiada. Bo wie o tym. Oczywiście, że o tym wie. Dlatego prostuje plecy, przeciera oczy chusteczką, poprawia jedno wgniecenie na spódnicy oraz te liczne na koszuli Kenta. Zbiera się, zakłada ręce przed sobą i prosi go:

– Chciałabym załatwić ostatnią sprawę. Jutro. W mieście. Jeśli to nie jest kłopot.

– Pójdę z tobą – mówi on.

– Nie musisz zawsze obok mnie stać, Kencie – informuje ona.

– Właśnie muszę – mówi Kent.

Potem się uśmiecha. Britt-Marie próbuje zrobić to samo.

Jednak kiedy on zaczyna iść w kierunku swojego bmw, Britt-Marie stoi z piętami wbitymi w żwir i mówi, jak to się robi, kiedy się uważa, że muszą doprawdy istnieć jakieś granice:

– Nie, Kencie, doprawdy! Musisz się opanować! Nie pojadę z tobą bynajmniej do miasta, jeśli nie będziesz miał włożonych obu butów!

37

Dziwną rzeczą z miasteczkami przy drodze jest to, że można znaleźć równie wiele powodów, aby z nich wyjechać, jak i wymówek, żeby w nich zostać. Część ludzi nigdy nie przestanie się zajmować jednym lub drugim.

Minie jeszcze prawie tydzień po pogrzebie, zanim Britt-Marie wsiądzie do swojego białego samochodu z niebieskimi drzwiami i wyjedzie na drogę, która prowadzi stamtąd w dwóch kierunkach. Trzeba swoją drogą zaznaczyć, że nie do końca są temu winni jedynie urzędnicy z urzędu gminy. Oni próbują tylko wykonywać swoją pracę. To nie ich wina, że nie są zaznajomieni z precyzją, z jaką Britt-Marie odhacza punkty na swoich listach.

Dlatego pierwszego dnia, w poniedziałek, mężczyzna, który zastępuje recepcjonistkę w urzędzie gminy w mieście, wygląda, jakby Britt-Marie żartowała. Recepcja jest otwarta od ósmej zero zero, więc Britt-Marie z Kentem przychodzą tam o ósmej zero dwie, ponieważ Britt-Marie nie chce bynajmniej, żeby pomyślano, że jest natarczywa.

– Borg? – mówi zastępca recepcjonisty tonem, jakiego się używa, kiedy się wymawia imiona postaci z bajek.

– Drogi panie, nie może pan doprawdy pracować w urzędzie gminy, nie wiedząc, że Borg jest częścią gminy! – wyjaśnia Britt-Marie.

– Nie jestem stąd. Jestem tu tylko na zastępstwie – informuje młody mężczyzna.

– Ha. Uważa pan naturalnie, że to wymówka, żeby niczego nie wiedzieć – potakuje Britt-Marie.

Ale Kent szturcha ją w ramię, dodając odwagi i szepcąc, żeby spróbowała być nieco bardziej dyplomatyczna, dlatego Britt-Marie opanowuje się, zaciska zęby, uśmiecha się troskliwie do młodego mężczyzny i mówi:

– Jakie to odważne z pana strony, że założył pan ten krawat. Wygląda zupełnie głupio.

Potem następuje seria zdań, których nie da się opisać jako „dyplomatyczne”. Ale Kentowi udaje się w końcu uspokoić oboje antagonistów do tego stopnia, że młody mężczyzna obiecuje, że nie zadzwoni po ochronę, a Britt-Marie obiecuje, że nie uderzy go znowu torebką.

Dziwną rzeczą z miasteczkami przy drogach jest to, że nie trzeba przebywać w nich zbyt długo, żeby poczuć się osobiście urażonym, że młodzi mężczyźni nie przejmują się ich egzystencją. Tym, że one tu są.

– Przyszłam, żeby zażądać, aby zbudowano boisko do piłki nożnej w Borg, drogi panie – wyjaśnia Britt-Marie, wydobywając z siebie wręcz boską cierpliwość.

Wskazuje na swoją listę. Młody mężczyzna przegląda segregator. Obraca się demonstracyjnie do Kenta i mówi coś o „komisji”, która właśnie ma spotkanie.

– Jak długo? – dopytuje się Britt-Marie.

Młody mężczyzna przegląda segregator.

– To spotkanie śniadaniowe. Czyli jakoś tak do dziesiątej.

– Dzie-sią-tej! Jedzą państwo śniadanie do dzie-sią-tej? W takim razie nic dziwnego, że nic nie zostaje tutaj zrobione – informuje troskliwie Britt-Marie.

Po czym zarówno ona, jak i Kent muszą opuścić urząd gminy, ponieważ młody mężczyzna łamie obietnicę, że nie zadzwoni po ochronę.

Wracają o dziesiątej. Dowiadują się, że komisja ma zebranie do po lanczu. Wracają po lanczu i dowiadują się, że komisja ma zebranie do końca dnia. Britt-Marie przedstawia swoją sprawę dotyczącą boiska nieco wyraźniej, ponieważ uważa, że nie potrzeba bynajmniej spędzić tu całego dnia, aby ją załatwić. Pracownik ochrony, który zostaje wezwany, uważa, że owa wyraźność jest przesadzona. Mówi Kentowi, że jeśli Britt-Marie zrobi tak jeszcze raz, będzie zmuszony odebrać jej torebkę. Kent szczerzy się i mówi, że pracownik ochrony jest odważniejszym mężczyzną niż on. Britt-Marie nie wie, czy ma się poczuć urażona, czy dumna.

– Wrócimy jutro, kochanie, nie martw się – uspokaja ją Kent, kiedy stamtąd wychodzą.

Britt-Marie kiwa dłonią, poddając się.

– Masz swoje spotkania, Kencie. Musimy jechać do domu, rozumiem to, naturalnie to rozumiem. Chciałam tylko…

Bierze tak głęboki wdech, że wygląda to tak, jakby go brała z dna torebki.

– Vegę nic nie boli, kiedy gra w piłkę.

– Co ją nie boli? – pyta Kent,

– Nic ją nie boli – mówi Britt-Marie.

Duża głowa Kenta opada, zamyślając się.

Britt-Marie poprawia bandaż na swojej ręce.

– Wiem, że dzieci już mnie nie potrzebują. Naturalnie jestem tego świadoma, Kencie. Chciałabym tylko móc im coś dać. Chciałabym przynajmniej dać im boisko.

– Wrócimy jutro – powtarza Kent, otwierając przed nią drzwi do samochodu.

– Nie, nie, ty masz swoje spotkania, rozumiem, że masz swoje spotkania, musimy jechać do domu – wzdycha.

Kent drapie się roztargniony po włosach. Lekko kaszle. Wbija wzrok w gumową uszczelkę między oknem a blachą w drzwiach, odpowiadając:

– Prawda jest taka, kochanie, że mam tylko jedno spotkanie. Ze sprzedawcą samochodów.

– Ha. Nie wiedziałam, że planujesz kupić nowy samochód – mówi Britt-Marie.

– Nie zamierzam kupować. Chcę sprzedać ten – mówi Kent, wskazując na bmw, do którego właśnie wsiadł.

Jego twarz jest przygnębiona, jakby wiedziała, że tego się od niej oczekuje. Ale kiedy wzrusza ramionami, robi to jak młody chłopak, jakby były lekkie i miękkie i właśnie wyzwoliły się z ogromnego ciężaru.

– Firma zbankrutowała, kochanie. Próbowałem ją ratować tak długo, jak zdołałem, ale… cóż. No wiesz. Kryzys finansowy.

Britt-Marie otwiera usta.

– Co zamierzasz zrobić?

Kent uśmiecha się beztrosko i młodo.

– Zacznę od początku. To jedyne, co można zrobić, prawda? Kiedyś nic nie miałem, może to jeszcze pamiętasz?

Britt-Marie pamięta. Jej palce szukają jego palców. Są stare, ale on się śmieje.

– Zbudowałem całe życie. Mogę to znowu zrobić.

Trzyma jej obydwie ręce w swoich i próbuje złapać ją wzrokiem, obiecując:

– Mogę znowu stać się tym mężczyzną, kochanie.

Są w połowie drogi między miastem a Borg, kiedy Britt-Marie obraca się do niego i pyta, jak poszło Manchesterowi United. Wtedy Kent śmieje się na głos. Jest rozkosznie.

– Eeee, szkoda gadać. To był ich najgorszy sezon od ponad dwudziestu lat. Pewnie zwolnią trenera lada dzień.

– Jak to możliwe? – pyta Britt-Marie.

– Zapomnieli, dzięki czemu odnosili sukcesy – odpowiada on.

– Jak przypomnieć sobie coś takiego? – pyta Britt-Marie.

– Zaczyna się od początku – odpowiada Kent.

Tej nocy Kent wynajmuje pokój u rodziców Ropuchy. Britt-Marie nawet nie pyta, czy nie wolałby zamieszkać w domu Bank, bo Kent wyznaje, że „ta ślepa baba przyprawia mnie trochę o dreszcze”.

Następnego dnia idą znowu do urzędu gminy. Kolejnego też. Są pewnie w urzędzie pracownicy, którym się wydaje, że prędzej czy później się poddadzą, ale ci ludzie po prostu nie znają powagi list pisanych długopisem. Czwartego dnia o poranku spotykają mężczyznę w marynarce z komisji. W porze lanczu wzywa do siebie dodatkowo kobietę i mężczyznę, oboje mają na sobie marynarki. Być może wynika to z przeprowadzonej analizy tematu, albo po prostu pierwszy mężczyzna w marynarce chce zwiększyć swoje szanse, że nie zostanie trafiony torebką Britt-Marie. Nie wiadomo.

– Słyszałem wiele dobrego o Borg. Ponoć jest tam tak uroczo – mówi zachęcająco kobieta, jakby miasteczko dwadzieścia kilometrów od jej biura było egzotyczną wyspą, na którą można się wybrać tylko dzięki sile magii.

– Jestem tu z powodu boiska do piłki nożnej – stwierdza Britt-Marie.

– Aha – mówi kobieta w żakiecie.

– Nie ma na to środków w budżecie – informuje mężczyzna w marynarce.

– Jak mówiłem – mówi pierwszy mężczyzna w marynarce.

– W takim razie żądam, aby zmienić budżet – informuje Britt-Marie.

– To niemożliwe! Jak by to wyglądało? Musielibyśmy zrobić zmiany we wszystkich budżetach! – mówi drugi mężczyzna w marynarce z przerażeniem w głosie.

Kobieta w żakiecie uśmiecha się, pytając, czy Britt-Marie ma ochotę na kawę. Britt-Marie nie ma bynajmniej ochoty na kawę. Kobieta w żakiecie uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Wydawało nam się, że Borg już ma boisko.

Drugi mężczyzna w marynarce świszcze przez zęby, wyrażając swoje niezadowolenie, potem mówi, niemal krzycząc:

– Nie. Ziemia na boisko została sprzedana pod budowę mieszkań własnościowych. To jest w budżecie!

– W takim razie proszę, aby odkupić ziemię – mówi Britt-Marie.

Świszczenie między zębami mężczyzny odbywa się teraz w akompaniamencie niewielkiej fontanny śliny.

– Jak by to wyglądało? Wtedy WSZYSCY chcieliby odkupić swoją ziemię! Nie możemy przecież wszędzie budować boisk! Mielibyśmy jakiś zalew boisk!

– Aha – mówi pierwszy mężczyzna w marynarce, patrząc znudzonym wzrokiem na zegarek.

Kent musi wtedy trzymać dość mocno torebkę Britt-Marie. Kobieta w żakiecie pochyla się rozbrajająco, nalewając wszystkim kawę, chociaż nikt nie ma na nią ochoty.

– Rozumiemy, że była pani zatrudniona w ośrodku w Borg – mówi z łagodnym uśmiechem na twarzy.

– Tak. Tak, to się zgadza, ale… zwolniłam się – mówi Britt-Marie, przygryzając policzki.

Kobieta uśmiecha się jeszcze łagodniej, przesuwając filiżankę z kawą bliżej do Britt-Marie.

– Nie mieliśmy tam w zasadzie etatu, droga Britt-Marie. Mieliśmy zamknąć ośrodek przed świętami Bożego Narodzenia. Ten etat był pomyłką.

Drugi mężczyzna w marynarce świszcze teraz jak silnik w łodzi motorowej.

– Ten etat nie był ujęty w budżecie. Jak by to wyglądało?

Pierwszy mężczyzna w marynarce wstaje.

– Proszę nam wybaczyć, ale za chwilę mamy ważne spotkanie.

Po tych słowach Britt-Marie opuszcza urząd gminy. Ze świadomością, że jej przyjazd do Borg był pomyłką. Mają rację. Oczywiście mają rację.

– Jutro, kochanie. Przyjedziemy tu jutro – stara się Kent, kiedy znowu siedzą w bmw, ale Britt-Marie pochyla tylko cicho głowę do okna, jakby się poddawała, pod podbródkiem trzyma chusteczkę. Kiedy Kent to zauważa, w jego wzroku pojawia się nagle coś zdecydowanego, coś żądnego zemsty, ale Britt-Marie nie zauważa tego w tej chwili.

Piąty dzień w urzędzie to piątek. Znowu pada. Kent musi zmusić Britt-Marie, żeby z nim pojechała, ona się upiera, że to nie ma sensu, on zostaje zmuszony, aby jej zagrozić, że złośliwie wpisze całkowicie nieistotne zadania długopisem na jej listę. Wtedy Britt-Marie wyrywa listę, jakby była doniczką, którą Kent grozi zrzucić z balkonu, następnie siada niechętnie w bmw, mamrocząc, że Kent jest „chuliganem”.

Kiedy przyjeżdżają do urzędu gminy, czeka na nich kobieta. Britt-Marie rozpoznaje, że to kobieta ze związku piłki nożnej.

– Ha. Naturalnie przyszła pani tutaj, aby nas powstrzymać? – zauważa Britt-Marie.

Kobieta patrzy ze zdziwieniem na Kenta. Pociera nerwowo dłonie.

– Nie. Pani mąż do mnie zadzwonił. Jestem tu, aby państwu pomóc.

Kent poklepuje Britt-Marie po ramieniu.

– Zadzwoniłem w kilka miejsc. Pozwoliłem sobie zrobić to, w czym jestem dobry.

Kiedy Britt-Marie wchodzi do biura osób w marynarkach, jest tam jeszcze więcej osób w marynarkach. Kwestia boiska do piłki nożnej w Borg była najwyraźniej poza jurysdykcją trzech osób w marynarkach, więc zwołano więcej członków komisji.

– Dowiedzieliśmy się, że silne lobby wspiera inicjatywę budowania większej liczby boisk w gminie – mówi nowa marynarka, wskazując głową na kobietę ze związku piłki nożnej.

– Doszło nawet do nas, że lokalni przedsiębiorcy są gotowi dokonać pewnych… nacisków – mówi inna marynarka.

– Bardzo nieprzyjemnych nacisków! – potwierdza trzecia marynarka, kładąc plastikową teczkę z dokumentami na stole przed Britt-Marie.

– Przypomniano nam pocztą elektroniczną i licznymi telefonami, że w tym roku odbędą się wybory – mówi poprzednia marynarka.

– Przypomniano nam w sposób bardzo obcesowy i napastliwy – przytakuje kolejna marynarka.

Britt-Marie się pochyla. Dokumenty są oznaczone nagłówkiem „Organizacja Oficjalnego Zrzeszenia Niezależnych Przedsiębiorców Grupy Pracowniczej Borg”. Z dokumentów wynika wyraźnie, że właściciele pizzerii w Borg, sklepu spożywczego w Borg, pełnomocnik Urzędu Pocztowego w Borg oraz mechanik w Borg zebrali się pewnej nocy w tym samym lokalu i podpisali wspólne żądanie wybudowania boiska piłki nożnej w Borg. Na wszelki wypadek również właściciele nowo założonych przedsiębiorstw „Biuro Adwokackie Syn & Syn”, „Zakład Fryzjerski Włoski i Pogłoski” oraz „Import Win SA” podpisali żądanie. Przypadkowo wszyscy tym samym charakterem pisma. Jedyny różniący się podpis należy do mężczyzny o imieniu Karl, który według dokumentu właśnie otworzył kwiaciarnię.

Pozostałe podpisy są wykonane charakterem pisma Kenta. Stoi za Britt-Marie z rękami w kieszeniach, zapadł się w sobie tak, jakby nie chciał zajmować miejsca. Britt-Marie chce, żeby się wyprostował. Kobieta w żakiecie podaje kawę, potakując z egzaltacją.

– Nie miałam pojęcia, że przedsiębiorczość w Borg tak rozkwitła! Jakże to urocze!

Umysł Britt-Marie musi mocno pracować, żeby powstrzymać ją przed pobiegnięciem wokół pokoju z ramionami wyciągniętymi jak skrzydła samolotu, bo jest prawie całkowicie pewna, że nie wypada.

Pierwszy mężczyzna w marynarce odchrząkuje i prosi o głos. Mówi:

– Sytuacja wygląda tak, że skontaktował się z nami nawet urząd pracy z pani miasta.

– Dwadzieścia jeden razy. Dwa-dzie-ścia je-den razy kontaktowano się z nami – informuje inna marynarka.

Britt-Marie obraca się i patrzy na Kenta, co ma zrobić, ale on stoi z otwartymi ustami i wygląda na równie zszokowanego jak ona. Nowa, najwyraźniej przypadkowo wybrana marynarka, wskazuje na inny dokument.

– Poinformowano nas, że była pani zatrudniona w ośrodku w Borg.

– Przez pomyłkę! – Kobieta w żakiecie uśmiecha się łagodnie.

Przypadkowa marynarka kontynuuje niezmordowanie:

– Urząd pracy w pani mieście zwrócił nam uwagę na pewne polityczne zobowiązania odnośnie do tej kwestii. Zostaliśmy również poinformowani o pewnej elastyczności w budżecie gminnym, odnośnie do etatów teraz, kiedy jest… rok wyborczy.

– Dwadzieścia jeden razy. Dwadzieścia jeden razy zwrócono nam na to uwagę! – potwierdza inna wkurzona marynarka.

Britt-Marie walczy z językiem, który znajduje się gdzieś pomiędzy zębami. Słowa zawodzą. Jąka się, aż w końcu wyrzuca z siebie:

– Czy zechcą mi państwo wyjaśnić, co to, na Boga, oznacza?

Wszystkie marynarki w pokoju wstrzymują powietrze, stękają, jakby to doprawdy powinno być oczywiste. Rękawy marynarek ponoszą się jednocześnie, żeby sprawdzić, czy to nie jest przypadkiem pora lanczu. Okazuje się, że jest już ta pora. Pokój opanowuje wielkie zniecierpliwienie. Jedna z marynarek najwyraźniej bierze na siebie odpowiedzialność, aby wyjaśnić wszystko, dlatego patrzy zmęczonym wzrokiem na Britt-Marie, mówiąc:

– To oznacza, że gmina może zabudżetować albo nowe boisko do piłki nożnej, albo etat dla pani w ośrodku. Nie stać nas na obydwa wydatki.

Nie jest to bynajmniej rozsądny wybór, przed jakim można postawić człowieka.

Dziwną rzeczą z miasteczkami przy drodze jest to, że można znaleźć równie wiele powodów, aby z nich wyjechać, jak i wymówek, żeby w nich zostać.

38

– Proszę, abyś zrozumiał, że nie jest to bynajmniej rozsądny wybór, przed jakim można postawić człowieka – mówi Britt-Marie.

Kiedy nie dostaje żadnej odpowiedzi, mówi:

– To nie jest bynajmniej rozsądny wybór, mój drogi. Proszę, abyś nie wykorzystywał tego przeciwko mnie.

Nadal nie słyszy odpowiedzi, dlatego przygryza policzki i poprawia spódnicę.

– Jest tu bardzo schludnie. Naturalnie nie wiem, czy ma to dla ciebie teraz jakieś znaczenie, ale mam nadzieję, że tak. To bardzo czysty i schludny cmentarz.

Sami nie odpowiada, ale Britt-Marie ma nadzieję, że słyszy, kiedy ona mówi:

– Chcę, żebyś wiedział, drogi chłopcze, że nigdy nie będę żałowała, że przyjechałam do Borg.

Jest sobotnie popołudnie. Dzień po tym, jak gmina postawiła ją przed nierozsądnym wyborem, i ten sam dzień, w którym Liverpool spotyka się z Aston Villą tysiąc kilometrów od Borg. Wcześnie rano Britt-Marie poszła do ośrodka. W poniedziałek będą tam stały koparki na żwirze, tak przynajmniej obiecały marynarki. Kent zmusił je, aby obiecały, bo w przeciwnym wypadku nie pozwoliłby im pójść na lancz. Dlatego obiecały, zaklinając się na wszystko, że zostanie położona trawa i będą prawdziwe bramki z siatką. Prawdziwe bielone linie po bokach. To nie był rozsądny wybór, przed którym można postawić człowieka, ale Britt-Marie pamięta, jak to jest stracić rodzeństwo, wie, że chodzi się wtedy po omacku. Dlatego myśli, że to najlepsze, co może dać komuś, kto błądzi. Boisko.

Słyszała głosy przez otwarte drzwi pizzerii, ale nie weszła. Czuła, że tak będzie najlepiej. Ośrodek był pusty, ale drzwi lodówki były otwarte. Ślady szczurzych zębów, które wgryzały się w gumową uszczelkę na drzwiach,

zdradzają przebieg wydarzeń. Plastikowa folia na talerzu została przegryziona, masło orzechowe i nutella na nim zostały całkowicie zlizane. Wychodząc, szczur przewrócił na ladę puszkę Britt-Marie z proszkiem do pieczenia. Zostały ślady łapek na białym proszku. Dwie pary szczurzych śladów. Szczur najwidoczniej miał randkę.

Przez dłuższą chwilę Britt-Marie siedziała na jednym z taboretów z ręcznikiem na kolanach. Potem przetarła twarz i posprzątała kuchnię. Umyła i zdezynfekowała naczynia, dopilnowała, żeby wszystko było czyste. Poklepała ekspres do kawy, który ucierpiał po wypadku z kamieniem na drodze, przejechała dłonią po mapie z czerwonym punktem, który wisiał odpowiednio nisko na ścianie, informując, gdzie się znajduje.

Pukanie do drzwi, o dziwo, nie zaskoczyło jej. Dziewczyna ze służb socjalnych, która stała w drzwiach, wydawała się tu pasować. Jakby była stąd.

– Dzień dobry, Britt-Marie, zobaczyłam, że się świeci, mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedziała dziewczyna.

– Bynajmniej. Przyszłam tylko, żeby zostawić klucze – poinformowała Britt-Marie cicho, czując się jak gość w nie swoim domu.

Podała klucze do ośrodka, ale dziewczyna ich nie wzięła. Uśmiechnęła się tylko ciepło, patrząc na lokal.

– Bardzo tu ładnie. Zrozumiałam, że to wiele znaczy dla Vegi i Omara, chciałam go zobaczyć, żeby lepiej ich rozumieć.

– Posprzątałam przed przeprowadzką najlepiej, jak potrafiłam – zapewniła Britt-Marie.

– Obiecuję, że zrobię dla nich wszystko, co w mojej mocy – obiecała dziewczyna.

Britt-Marie błądziła kluczami, zamykając ośrodek. Starała się stłumić wszystko, co w niej wzbierało. Skontrolowała kilka razy, czy włożyła wszystkie swoje rzeczy do torebki i czy na pewno zgasiła światło w toalecie i w kuchni. Zebrała w sobie siłę, żeby powiedzieć to, co chciała powiedzieć już wiele razy, mimo że rozsądek walczył zębami i pazurami, żeby ją powstrzymać:

„Czy to by coś zmieniło, gdyby ktoś zaproponował, że zajmie się dziećmi?”, chciała zapytać. Naturalnie wiedziała, że to niedorzeczne. Jednak zdążyła otworzyć usta i zapytać:

– Czy… chciałabym zapytać, czy, to naturalnie niedorzeczne, doprawdy, ale chciałam się dowiedzieć, czy może coś by się zmieniło, gdyby ktoś…

Britt-Marie spotkała wzrok rodziców Ropuchy, zanim zdążyła dokończyć zdanie. Stali w drzwiach. Mama z rękami na swoim ciążowym brzuchu i tata z bejsbolówką w rękach.

– Dzień dobry – powiedziała mama.

– Czy to pani ma odebrać dzieci? – zapytał Karl.

Mama szturchnęła go lekko w bok i obróciła się bez ceremonii do dziewczyny ze służb socjalnych.

– Nazywam się Sonja. A to Karl. Jesteśmy rodzicami Patrika, który gra w tej samej drużynie co Vega i Omar – powiedziała mama.

Całkiem możliwe, że dziewczyna ze służb chciała coś odpowiedzieć, ale Karl nie dał jej szansy:

– Chcemy się zająć dziećmi! Chcemy, żeby zamieszkały z nami! Nie może pani ich zabrać z Borg!

Sonja spojrzała na Britt-Marie. Może zobaczyła jej ręce, bo przeszła przez pokój i przytuliła ją, choć zupełnie nikt jej o to nie prosił. Britt-Marie wymamrotała, że ma na rękach płyn do mycia naczyń, ale Sonja nie przestawała jej przytulać. Coś zagrzechotało przy drzwiach. Dziewczyna ze służb socjalnych zaśmiała się lekko, jakby to był naturalny impuls za każdym razem, kiedy otwierała usta.

– Prawda jest taka, że to samo pytanie zadali mi mama Bena i wujek… „Dina”… tak się nazywa, prawda?

Grzechotanie przy drzwiach się nasiliło, uzupełnione demonstracyjnym chrząknięciem.

– Te dzieci! Mogom mieszkać u mnie, no nie? One som, jak to szło? Jak moje dzieci.

Ktośka wyglądała, jakby była gotowa pobić się o to z każdą osobą w pokoju. Wskazała na boisko, na płocie nadal wisiały koszulki, a wszystkie świeczki zostały zapalone rano.

– Jest potrzebna, jak to szło? Trzeba całej wsi, żeby wychować dziecko, no nie? My mamy całom wieś!

Bank stała za nią z psem. Kiedy dziewczyna ze służb spojrzała na nią, Bank jakby to poczuła, dlatego od razu uderzyła laską i potrząsnęła obcesowo głową, mówiąc:

– Nie przyszłam tu adoptować żadnych dzieciaków. Chcę tylko moją pizzę.

Sonja puściła Britt-Marie, niechętnie, jak to się robi z balonem, wiedząc, że ten odleci, kiedy się to zrobi. Karl ścisnął w rękach swoją bejsbolówkę, wskazując jednocześnie prowokacyjnie i z przerażeniem na dziewczynę ze służb socjalnych.

– Nie może pani zabrać dzieci z Borg, wylądują wtedy u byle kogo! Mogą wylądować u kogoś, kto jest za Chelsea!

Britt-Marie położyła klucze do ośrodka na ladzie i wyślizgnęła się za plecami rozmawiających. Gdyby to zauważyli, a może to zrobili, to nie pozwoliliby jej wymknąć się po cichu, bo zależy im na niej wystarczająco mocno.

Popołudnie staje się wieczorem w Borg, szybko i nieubłaganie, jakby zmierzch zakleił plastrem światło dzienne. Britt-Marie kuca, kładąc czoło na grobie Samiego.

– Kochany chłopcze. Nigdy nie będę żałowała, że tu byłam.

Jest sobota i Liverpool gra mecz tysiąc kilometrów stamtąd. W poniedziałek przyjadą do Borg koparki. Britt-Marie nie wie, czy jest religijna, ale myśli sobie, że to dobrze, iż Bóg ma w Borg plan do wykonania. Boisko.

Ma plamy z trawy na rajstopach, kiedy spaceruje sama po miasteczku przy drodze. Białe koszulki nadal wiszą na płocie, zapalono pod nimi nowe świeczki. Ośrodek jest oświetlony światłem padającym z telewizora, widzi cienie głów dzieci w środku. Więcej dzieci niż kiedykolwiek wcześniej. To już raczej klub niż drużyna. Chce wejść, ale wie, że nie wypada. Wie, że tak będzie najlepiej.

Na żwirze między ośrodkiem a pizzerią stoją dwie całkiem stare ciężarówki z włączonymi światłami. W błysku świateł porusza się kilku brodatych mężczyzn w bejsbolówkach. Stękają, jęczą, przepychają się i tłoczą. Zajmuje to dłuższą chwilę, zanim dojdzie do Britt-Marie, że grają w piłkę nożną.

Bawią się.

Idzie dalej wzdłuż drogi. Stoi przez kilka uderzeń serca w mroku pod niepozornym małym domem z niepozornym małym ogrodem. Jeśli się nie wie, że jest właśnie tam, można łatwo przejść, nie zauważając nawet, że coś się minęło. Dom ma pod tym względem wiele wspólnego z właścicielem. Radiowóz nie stoi przed wejściem, nie świeci się w oknach. Kiedy Britt-Marie jest całkowicie pewna, że Svena nie ma w domu, prześlizguje się do drzwi i puka w nie. Bo chce to zrobić raz w życiu.

Potem ucieka stamtąd, schowana w cieniu, i idzie ostatni kawałek do domu Bank. Kwietnik już nie śmierdzi. Tabliczka z napisem „Na sprzedaż” została usunięta. Pachnie jajkami sadzonymi, kiedy Britt-Marie wchodzi do przedpokoju, pies śpi, Bank siedzi na fotelu w salonie z twarzą tak blisko telewizora, że Britt-Marie prawie chce ją ostrzec, że to doprawdy może być niebezpieczne dla oczu, ale potem przychodzi jej do głowy ważniejsze pytanie.

– Czy wolno zapytać, kto gra? – pyta.

– Aston Villa i Liverpool! Aston Villa prowadzi dwa do zera! – odpowiada podniecona Bank.

– Ha. Rozumiem, że kibicuje pani Liverpoolowi, jak wszystkie dzieci.

– Oszalałaś? Jestem za Aston Villą! – syczy Bank.

– Czy mogę się dowiedzieć dlaczego? – pyta Britt-Marie, ponieważ po dłuższym zastanowieniu uświadamia sobie, że pierwszy raz widzi, że Bank w ogóle przejmuje się meczem w telewizji.

Bank wygląda, jakby uważała, że to niedorzeczne pytanie. Zastanawia się chwilę i odpowiada naburmuszona:

– Bo nikt nie jest za Aston Villą.

Potem dodaje:

– No i mają fajne koszulki.

Drugi argument wydaje się Britt-Marie w każdym razie nieco bardziej racjonalny niż pierwszy. Bank podnosi głowę, ścisza telewizor. Bierze łyk piwa i odchrząkuje.

– W kuchni jest jedzenie. Jeśli jesteś głodna.

Britt-Marie potrząsa głową, mocno trzyma swoją torebkę.

– Kent zaraz tu będzie. Jedziemy do domu. On pojedzie swoim samochodem, ja moim, ale on będzie oczywiście jechał pierwszy. Nie lubię prowadzić samochodu w mroku. Najlepiej będzie, żeby on jechał pierwszy.

Bank podnosi i opuszcza brwi. Wstaje z fotela, przeklinając na niego z powodu wysiłku, jakby to była wina mebla, że człowiek się starzeje.

– To nie moja sprawa, Britt-Marie. Ale uważam, że powinnaś nauczyć się prowadzić samochód w mroku.

– To miło z pani strony – odpowiada Britt-Marie ze wzrokiem spuszczonym na torebkę.

Bank i pies pomagają znieść torby i doniczki balkonowe z piętra. Britt-Marie zmywa naczynia i sprząta w kuchni. Sortuje sztućce. Głaszcze psa za uszami. Ktoś w telewizji krzyczy głośno. Bank znika w salonie, wygląda na wkurzoną, kiedy wraca.

– Liverpool strzelił bramkę. Dwa-jeden dla Aston Villi – mamrocze.

Britt-Marie przechadza się po domu po raz ostatni. Poprawia dywany i zasłony. Kiedy wchodzi do kuchni, mówi:

– Nie jestem osobą, która lubi się wtrącać, ale nie umknęło mojej uwadze, że tabliczka z napisem „Na sprzedaż” zniknęła z trawnika. Pragnę pani pogratulować sprzedaży domu.

Bank śmieje się gorzko.

– Żartujesz? Kto kupiłby dom w Borg?

Britt-Marie poprawia spódnicę.

– Ha. Pragnę zaznaczyć, że ściągnięcie tabliczki „Na sprzedaż” nie było nierozsądną decyzją!

Bank obraca się do lady i próbuje udawać, że jest zajęta znoszeniem talerzy, których już nie ma.

– Aaaa, chyba zostanę w Borg przez jakiś czas. Pójdę porozmawiać z ojcem. Może teraz, jak nie żyje, będzie łatwiej, bo nie będzie mi ciągle przerywał.

Britt-Marie chce ją poklepać po ramieniu, ale dochodzi do wniosku, że lepiej się powstrzymać. Chociażby z tego powodu, że Bank ma w pobliżu swoją laskę.

Słychać pukanie do drzwi, Bank wychodzi do przedpokoju, a potem do salonu, nie otwierając drzwi, ponieważ wie, kto puka. Britt-Marie rozgląda się po raz ostatni po kuchni. Pozwala palcom przejechać w powietrzu przy ścianach. Tak blisko, że je czuje, ale nie za blisko, żeby ich nie dotknąć. Mimo wszystko są bardzo brudne. Nie zdążyła się nimi zająć. Potrzebowałaby na to więcej czasu w Borg.

Kent uśmiecha się z ulgą, kiedy Britt-Marie otwiera drzwi.

– Jesteś gotowa do drogi? – mówi zestresowany, jakby się obawiał, że Britt-Marie zmieni zdanie.

Britt-Marie potakuje, podnosi torebkę, kiedy nagle osoba w telewizji wrzeszczy jak opętana. Brzmi to tak, jakby została pobita.

– Co na Boga?! – krzyczy Britt-Marie.

– Jedziemy! Mogą być korki! – stara się Kent, ale jest już za późno.

Britt-Marie wchodzi do salonu. Bank przeklina, wkurzając się na młodego mężczyznę w czerwonej koszulce, który biega wokół, krzycząc, aż sinieje na twarzy.

– Dwa-dwa. Liverpool strzelił na dwa do dwóch – mamrocze, kopiąc w fotel, jakby to on ponosił winę.

Britt-Marie jest już prawie za progiem.

Bmw Kenta stoi na ulicy, Kent idzie za nią, wyciąga do niej rękę, ale ona się wyrywa. To doprawdy nie wypada, dorosła kobieta, która biegnie, jakby była przestępcą uciekającym przed sprawiedliwością. Zatrzymuje się przy krawężniku, dysząc z palącym oddechem w gardle, obraca się, patrzy na Kenta ze łzami spływającymi po policzkach.

– Kochanie, co ty wyprawiasz? Musimy już jechać – mówi Kent, ale głos mu się łamie, ponieważ prawdopodobnie widzi, co Britt-Marie wyprawia.

Spódnica jest pognieciona, ale Britt-Marie jej nie poprawia. Włosy są niemal potargane, tak potargane, jak to w ogóle możliwe w jej przypadku. Rozsądek kapituluje w końcu całkowicie, pozwalając jej podnieść głos.

– Liverpool strzelił na dwa-dwa! Chyba wygrają!

Duża głowa Kenta pozwala opaść podbródkowi bliżej klatki piersiowej. Kurczy się.

– Nie możesz zostać ich mamą, kochanie. A nawet jeśli będziesz mogła, co stanie się potem? Kiedy nie będą już ciebie potrzebować? Co wtedy się stanie?

Britt-Marie potrząsa głową. Ale nie przekornie, a buntowniczo i smutno. Jakby chciała skoczyć, nawet jeśli to tylko brzeg chodnika.

– Nie wiem, Kencie. Nie wiem, co się wydarzy później.

Kent zamyka oczy, wygląda znowu jak chłopiec z klatki schodowej i prosi ją cicho:

– Mogę zaczekać tylko do jutra rana, Britt-Marie. Mieszkam u rodziców Ropuchy. Jeśli nie zapukasz do tych drzwi jutro rano, pojadę do domu sam.

Próbuje być pewny siebie, mówiąc to. Ale wie, że już ją stracił.

Britt-Marie jest w połowie drogi do ośrodka.

Omar i Vega widzą ją, zanim ona ich zauważa. Przebiegła koło nich, zanim usłyszała, jak krzyczały za nią poirytowane.

– Co na Bo… Liverpool… doprawdy nie wiem, co zrobili, ale mam wrażenie, że wygrają z tymi… no jak oni się nazywają? Villa coś! – mówi zziajana Britt-Marie, tak mrugając oczami z powodu zadyszki, że musi się wesprzeć dłońmi o kolana, na środku ulicy. Sąsiedzi pewnie myślą, że musiała się zaznajomić z narkotykami.

– Wiemy! – przytakuje gorliwie Omar.

– Ha – dyszy Britt-Marie.

– Jest dwa do dwóch, wygramy! Widać było w oczach Gerrarda, kiedy strzelał bramkę, że wygramy! – krzyczy entuzjastycznie Omar.

Britt-Marie podnosi wzrok, oddychając tak ciężko, że wie, że zaraz dostanie migreny.

– Czy zechcecie mnie w takim razie poinformować, co, na Boga, robicie na środku ulicy?

Vega stoi przed nią z rękami w kieszeniach, potrząsając głową, jakby uważała, że Britt-Marie doprawdy powinna się już domyślić.

– Kiedy zaczniemy wygrywać, to chcemy zobaczyć to z panią.

Liverpool nie wygrywa meczu. Kończy się wynikiem dwa do dwóch. Nie ma to żadnego znaczenia i jednocześnie znaczy to wszystko.

Tej nocy jedzą bekon i jajka w kuchni Bank. Vega i Omar, i Britt-Marie, i Bank, i pies. Kiedy Omar ma łokcie na stole, Vega zwraca mu uwagę, żeby je zdjął. Ich spojrzenia spotykają się na chwilę, potem Omar słucha siostry, nie protestując.

Britt-Marie stoi w przedpokoju, kiedy dzieci wkładają kurtki. Britt-Marie zwija palce w butach i czyści ich rękawy tak długo, że dzieci muszą przytrzymać jej ręce, aby przestała.

Dziewczyna ze służb socjalnych stoi na trawniku i czeka na nich.

– Jest w porządku, nie lubi piłki nożnej, ale jest w porządku – mówi Vega do Britt-Marie.

– Nauczymy ją – zapewnia Omar.

Britt-Marie przygryza policzki, potakując.

– Tak… chodzi o to, że… chciałam powiedzieć, że ja… że wy… że ja nigdy… – zaczyna Britt-Marie.

– Wiemy – mamrocze Vega, wtulona w żakiet Britt-Marie.

– Luz – obiecuje Omar, przytulając się do jej szyi.

Dzieci dochodzą do drogi, kiedy chłopiec się odwraca. Britt-Marie nie rusza się ani trochę, jakby chciała zapisać ten obrazek w siatkówce do końca. Dlatego Omar pyta:

– Co pani robi jutro?

Britt-Marie zakłada ręce przed sobą. Wdycha tyle powietrza, ile zdoła.

– Kent czeka, żebym zapukała do jego drzwi.

Vega wkłada ręce do kieszeni. Podnosi brwi.

– A Sven?

Britt-Marie bierze oddech. Wydycha. Pozwala, aby Borg obijało jej się po płucach.

– Powiedział, że ma nadzieję, że to ja, za każdym razem, kiedy ktoś puka do drzwi.

Dzieci wyglądają na małe w blasku latarni ulicznych. Jednak Vega przeciąga się, prostuje plecy i mówi:

– Niech pani zrobi mi przysługę, Britt-Marie.

– Cokolwiek – szepce kobieta.

– Niech pani nie puka jutro do żadnych drzwi. W drogę!

Britt-Marie stoi na balkonie w domu Bank i czuje, jak Borg wieje jej czule po włosach. Nie tak mocno, żeby zepsuć jej fryzurę, jednak wystarczająco, aby poczuła wiatr. Ktoś rozwozi gazety, gdy jeszcze panuje mrok. Kobiety z balkonikami wychodzą z domu w kierunku skrzynki pocztowej. Jedna z nich kiwa do Britt-Marie, Britt-Marie robi to samo. Nie całym ramieniem, bynajmniej, kiwa opanowanym gestem jedną dłonią na wysokości bioder. Jak rozsądna osoba. Czeka, aż kobiety wejdą do środka. Potem schodzi cicho po schodach, wynosi torby do białego samochodu z niebieskimi drzwiami.

Zanim nadchodzi świt, stoi pod drzwiami i puka.

39

Jeśli zamknie się oczy na dość długo i dość mocno, można sobie przypomnieć wszystkie razy, kiedy podjęło się życiowe decyzje, myśląc tylko o sobie. Zrozumieć, że nigdy do tego nie doszło. Jadąc wolno białym samochodem z niebieskimi drzwiami przez miasteczko przy drodze, kiedy jeszcze jest ciemno i opuszcza się okna, i wciąga głęboko powietrze, można sobie przypomnieć wszystkich mężczyzn, w których się było zakochaną.

Alf. Kent. Sven. Jeden ją zdradził i zostawił. Drugi ją zdradził i go zostawiła. Trzeci był wieloma rzeczami, których nigdy nie miała, ale może żadnej z nich nigdy jej nie brakowało. Może bardzo powoli zdjąć bandaż z ręki i spojrzeć na białą plamę na serdecznym palcu. Marzyć o pierwszych miłościach i drugich szansach, ważyć przebaczenie przeciw zakochaniu. Liczyć uderzenia serca.

Jeśli zamknie się oczy, można przypomnieć sobie wszystkie decyzje w życiu. Zrozumieć, że wszystkie zostały podjęte z powodu kogoś innego.

Jest wczesny poranek w Borg, ale świat zdaje się czekać. Jakby chciał jej dać czas na podniesienie ręki. Na decyzję.

Na Skok.

Puka do drzwi. Otwierają się. Chce powiedzieć wszystko, co w sobie nosi, ale jest bez szans. Chce powiedzieć, dlaczego jest tu, a nie gdzieś indziej, ale ktoś jej przerywa. Czuje się rozczarowana, że się jej spodziewano. Że jest taka przewidywalna. Chce powiedzieć, jak się czuje, otworzyć się i wyrzucić wszystko z piersi, ale nie daje jej się takiej możliwości.

Prowadzi się ją za to z powrotem do drogi pewną dłonią. Chodnik jest pełen plastikowych kanistrów, są rozrzucone wszędzie po trochu. Jakby spadły z ciężarówki.

– Zrobiliśmy zbiórkę w drużynie. Policzyliśmy, jak to daleko – mówi chłopiec.

– Ci z nas, co potrafią liczyć, policzyli – dodaje dziewczynka.

– Potrafię liczyć! – wrzeszczy wkurzony chłopiec.

– Do tylu, ile razy potrafisz podbić piłkę, czyli w sumie do trzech! – Dziewczynka się szczerzy.

Britt-Marie się pochyla, dotykając kanistrów. Śmierdzą. Coś dotyka jej ramion i trwa to dobrą chwilę, zanim dociera do niej, co dzieci mają w rękach.

– To benzyna. Policzyliśmy. Wystarczy na całą drogę do Paryża – szepce Omar.

– I z powrotem – szepce Vega.

Stoją i kiwają, kiedy Britt-Marie siada w fotelu kierowcy. Kiwają całymi ciałami, tak jak tego nigdy nie robią dorośli. Do Borg przychodzi słoneczny poranek, ale opanowuje się i czeka z szacunkiem przy horyzoncie, jakby chciał dać jej czas, żeby sama podjęła decyzję po raz ostatni i pierwszy tylko z myślą o sobie. Kiedy światło słoneczne w końcu rozciąga się nad domami, biały samochód z niebieskimi drzwiami zaczyna odjeżdżać.

Może się zatrzyma. Może zapuka do jeszcze jednych drzwi. A może będzie jechać dalej.

Jeden Bóg wie, czy Britt-Marie starczy benzyny.

Jest styczeń w miejscu, które jest raczej jednym z miliona niż jednym na milion. Miejscu jak każde inne i jak żadne inne. Za kilka miesięcy tysiąc kilometrów stąd Liverpool prawie wygra ligę angielską. W jednej z ostatnich kolejek będzie prowadzić trzy do zera z Crystal Palace, ale w ciągu ośmiu nieprawdopodobnych minut straci trzy bramki i tytuł mistrzowski. Nikt w drużynie Liverpoolu nigdy nie będzie nic wiedział o Borg, nie będą nawet wiedzieli, że takie miejsce istnieje, ale nikomu, kto będzie przejeżdżał tą drogą z opuszczonymi szybami, nie uda się nie usłyszeć tego, co się stanie.

Manchester United zwalnia swojego trenera i zaczyna od nowa. Tottenham obiecuje, że następny sezon będzie lepszy. Gdzieś tam nadal są ludzie, którzy kibicują Aston Villi.

Jest teraz styczeń, ale wiosna przyjdzie do Borg. Młody mężczyzna będzie spoczywał obok swojej matki na cmentarzu pod kołderką szalików,

dwoje dzieci opowie im, przekrzykując się nawzajem, o fatalnych sędziach i beznadziejnych wślizgach. Piłka będzie się toczyć, kopnie ją jakaś stopa, ponieważ to miasteczko, w którym nikt nie potrafi się przed tym powstrzymać. Przyjdzie lato, kiedy Liverpool wszystko straci, potem przyjdzie jesień i nowy sezon i znowu wszystko wygrają. Futbol to dziwna gra, ponieważ zmusza życie, aby toczyło się dalej.

Borg leży tam, gdzie leży. Gdzie zawsze leżało. Miasteczko, o którym najmilsze, co można powiedzieć, to że jest zbudowane przy drodze, która prowadzi stamtąd w dwóch kierunkach. Do domu i do Paryża.

Kiedy się przejeżdża przez takie miejsce jak Borg, łatwo doprawdy zwrócić uwagę na to, co zostało zamknięte. Trzeba zwolnić, żeby zobaczyć to, co zostało. W Borg mieszkają ludzie. Są szczury i balkoniki, i szklarnie. Płot i białe koszulki, i zapalone świeczki. Świeżo położona murawa i promienne historie. Są kwiaciarnie, które sprzedają tylko czerwone kwiaty. Jest sklep spożywczy i mechanik samochodowy, i agencja urzędu pocztowego, i pizzeria, w której jest zawsze włączony telewizor, kiedy leci mecz, i gdzie nigdy nie trzeba odczuwać wstydu, kupując na kredyt. Nie ma już ośrodka, ale są dzieci, które jedzą bekon i jajka ze swoją nową trenerką i jej psem w domu z balkonem, w salonie, gdzie na ścianach wiszą teraz nowe zdjęcia. Wzdłuż drogi są teraz ze dwie tabliczki z napisem „Na sprzedaż” mniej, niż było ich wczoraj. Są dorośli brodaci mężczyźni w bejsbolówkach, którzy bawią się w świetle reflektorów starych ciężarówek.

Jest boisko. Jest klub piłki nożnej.

I cokolwiek się wydarzy.

Gdziekolwiek ona jest.

Wszyscy będą wiedzieli, że Britt-Marie tu była.

Podziękowania od autora

Nedzie. Największym błogosławieństwem w życiu jest możliwość dzielenia się czymś z kimś, kto jest dużo mądrzejszy od ciebie samego. Przykro mi, że nigdy tego nie doświadczysz, bo to naprawdę genialne uczucie. Asheghetam. Sightseeing.

Jonasowi Axelssonowi. Mojemu wydawcy i agentowi, który nigdy nie zapomina, że nadal jestem początkujący i że jego najważniejszym zadaniem jest nauczenie mnie, żebym lepiej pisał. **Niklasowi Natt och Dag**, który we wszystkich swoich tekstach z całym szacunkiem dla mojej twórczości przypomina mi każdego dnia, że to przywilej. **Céline Hamilton** i **Agnes Cavallin** z Partners in Stories, których mały dom jest wypełniony wszelkimi kompetencjami po sam dach, pełnym serca i rozsądku, które sprawiły, że ten projekt mógł dojść do skutku. **Karin Wahlén** z Kult PR, która wyczuła klimat od samego początku. **Vanji Vinter**, gramatycznej elitarnej bojowniczce, bezkompromisowo nieocenionej korektorce, redaktorce i krytyczce, pomimo że jej szuflada na sztućce jest totalnym nieporozumieniem. **Nilsowi Olssonowi**, który z dużym pokładem miłości, cierpliwie i wyczulonym okiem stworzył trzy fantastyczne okładki. **Andrei Fehlauer**, która wkroczyła z doświadczeniem i precyzją w kluczowych partiach książki i bez wątpienia ją ulepszyła.

Czytelnikom mojego bloga. Którzy byli ze mną od początku. Czyli to głównie wasza wina.

Torstenowi Wahlundowi, **Annie Marii Käll** i **Martinowi Wallströmowi**, którzy nagrali moje historie na audiobookach i obdarzyli moich bohaterów głosami w sposób, który nie wydawał mi się możliwy. Są teraz bardziej wasi niż moi. **Julie Lærke Løvgren**, która miała kontrolę nad moimi książkami za granicą. **Judith Toth**, która mnie tu zabrała. **Siri Lindgren** z Partners in Stories, która dba o to, aby łódka się nie przewróciła, kiedy

Jonas nie chce w niej spokojnie siedzieć. **Johanowi Zillénowi**. Pierwszy na pokładzie, ostatni, który z niego schodzi.

Wszystkim, którzy nadal zajmują się moimi książkami w Forum, Månpocket, Bonnier Audio i Bonnier Rights. W szczególności: **Johnowi Häggblomowi**, bez którego pomocy by mnie tu nie było. **Liselott Wennborg Ramberg**, która była redaktorką *Saker min son behöver veta om världen.* **Adamowi Dahlinowi**, który dostrzegł potencjał. **Sarze Lindegren** i **Stephanie Tärnqvist**, które zawsze miały dla mnie więcej cierpliwości, niż na to zasługuję.

Natur och Kultur, które trzyma nas pod skrzydłami, w szczególności **Hannah Nilsson** i **Johnowi Augustssonowi**.

Pocketförlaget i A Nice Noise, którzy w to uwierzyli.

Wszystkim, którzy pisali recenzje, blogi, zamieszczali posty na Twitterze, Facebooku, Instagramie i rozmawiali o moich wcześniejszych książkach. W szczególności wam, którym się nie podobały i którzy poświęciliście czas, żeby rzeczowo i pedagogicznie wyjaśnić dlaczego. Nie mogę zapewnić, że stałem się dzięki temu lepszym autorem, ale zmusiliście mnie do myślenia. Nie sądzę, żeby było w tym coś złego.

Lennartowi Nilssonowi z Gantofty. Najlepszemu trenerowi futbolu, jakiego miałem.

PRZEDE WSZYSTKIM DZIĘKUJĘ

Tobie, Czytelniku. Za Twój czas.